

LUCY MAUD MONTGOMERY

RILLA ZE ZŁOTEGO BRZEGU

Tytuł oryginału: Rilla of Ingleside

Tłumaczyła: Janina Zawisza Krasucka

I. „WIADOMOŚCI” Z GLEN I INNE SPRAWY

Było ciepło, nasiąknięte złotem, przyjemne popołudnie. W obszernej bawialni na Złotym Brzegu siedziała Zuzanna Baker, tonąc w aureoli własnego zadowolenia. Była już czwarta po południu i Zuzanna, która pracowała zazwyczaj intensywnie od szóstej rano, uważała, że zasłużyła na godzinkę odpoczynku i ploteczek. Była w danej chwili najzupełniej szczęśliwa, bo nawet w kuchni dzisiaj wszystko szło jak z płatka. Dr Jekyll nie był Mr Hyde’em i nie grał jej na nerwach, a z miejsca, na którym obecnie siedziała, mogła ze swobodą obserwować przedmiot swej najwyższej dumy, mianowicie gazon peonii, własne arcydzieło, kwitnących, jak żadne peonie w Glen St. Mary nigdy nie kwitły. Były tam peonie purpurowe, srebrzyste i białe jak zimowy, czyściutki śnieg.

Zuzanna miała na sobie nową, czarną, jedwabną bluzkę, jakiej nawet pani marszałkowa Elliot nigdy nie nosiła, i biały, nakrochmalony fartuch, pięknie związany skrzyżowanymi taśmami szerokości pięciu cali. Fartuchy takie też nieczęsto się widzi. Nic dziwnego, że Zuzanna posiadała samopoczucie dobrze ubranej kobiety i ze spokojem poczęła przeglądać numer „Codziennych Przedsięwzięć” zabierając się do uważnego odczytania „Wiadomości” z Glen, które, jak właśnie wyjaśniła ją panna Kornelia, zajmowały dzisiaj pół kolumny i wspomniano w nich prawie o każdym mieszkańcu Złotego Brzegu. Na tytułowej stronicy „Przedsięwzięć” widniał wielki nagłówek artykułu o tym, że jakiś arcyksiążę Ferdynand, czy ktoś tam, został zamordowany w miejscowości noszącej śmieszna nazwę Sarajewo. Lecz Zuzanna nie interesowała się tak mało ważnymi sprawami, lubiła coś istotnie życiowego. O, tutaj były „Migawki z Glen St. Mary”. Zuzanna poprawiła się na krześle i poczęła odczytywać jedną wiadomość po drugiej na głos, jakby pragnąc wydobyć z tego jak najwięcej zadowolenia.

Pani Blythe i gość jej, panna Kornelia - alias pani marszałkowa Elliot - gawędziły w pobliżu otwartych drzwi prowadzących na werandę, poprzez które wnikało chłodne, rozkoszne powietrze, przynosząc z ogrodu woń rozkwitłych kwiatów i echo wesołych głosów od strony winnej altanki, gdzie znajdowali się Rilla, panna Oliver i Walter, prowadząc ożywioną rozmowę i śmiejąc się wesoło. Gdziekolwiek była Rilla Blythe, tam musiał być serdeczny, wesoły śmiech.

W bawialni znajdowała się jeszcze jedna żywa istota, zwinięta w kłębek na kanapie, która posiadała bardzo silną indywidualność i prawdopodobnie była jedyną żywą istotą, której Zuzanna nie cierpiała.

Wszystkie koty są tajemnicze, lecz Dr Jekyll i Mr Hyde - w skróceniu „Doc” - był tajemniczy potrójnie. Był to kot o podwójnej osobowości albo, jak twierdziła Zuzanna, musiał być opętany przez diabła. Coś niesamowitego istniało od samego początku jego egzystencji. Przed czterema laty Rilla Blythe miała ukochanego kociaka, białego jak śnieg, o czarnym ogonku, którego nazwała Jacek Mróz. Zuzanna nie lubiła Jacka Mroza, chociaż nie umiała nigdy tej swojej niechęci uzasadnić.

- Proszę mi wierzyć na słowo, droga pani doktorowo - mawiała zazwyczaj złowroźnie - że z tego kota nic dobrego nie będzie.

- Ale dlaczego Zuzanna tak sądzi? - pytała niejednokrotnie pani Blythe.

- Nie sądzę, tylko wiem - brzmiała odpowiedź Zuzanny pełna gwarancji.

Co do innych mieszkańców Złotego Brzegu, to Jacek Mróz był ich faworytem: bardzo czysty i dobrze wychowany, nie pozwolił nigdy, aby na jego białym futerku zaistniała choć najdrobniejsza plamka. Posiadał niezwykle miły sposób mruczenia i łaszenia się, jednym słowem - potrafił zaskarbić sobie serca wszystkich.

I nagle nieoczekiwana tragedia zawisła nad Złotym Brzegiem. Jacek Mróz miał kocięta!

Trudno było opisać szalony triumf Zuzanny. Czyż nie mówiła zawsze, że przyjdzie dzień, kiedy kot okaże się całkiem czymś innym? Teraz wreszcie wszyscy się sami przekonali!

Rilla zatrzymała jedno z kociąt, bardzo ładne, o burym futerku, przecinanym pomarańczowymi pręgami, i o dużych, atlasowych złocistych uszkach. Nazwała kociaka Złotko i imię to zdawało się pasować najzupełniej do małego, figlarnego stworzonka, które w zaraniu swej młodości nie zdradzało się nigdy, że posiada ponure i mściwe usposobienie. Zuzanna oczywiście ostrzegła całą rodzinę, że niczego dobrego nie można się spodziewać po potomku tego diabelskiego Jacka Mroza. Lecz prorocze ostrzeżenia Zuzanny zbywano tylko śmiechem.

Rodzina Blythe'ów tak nawykła uważać Jacka Mroza za przedstawiciela płci brzydkiej, że trudno jej było wyzbyć się tego przyzwyczajenia. Toteż mówiono nadal o kotce jako o stworzeniu rodzaju męskiego, aczkolwiek stwarzało to sytuację nader śmieszne. Goście zazwyczaj otwierali szeroko oczy, gdy Rilla mówiła: „Jacek i jego kocięta” albo zwracała się poważnie do Złotka: „Idź do matki i powiedz mu, żeby ci wymył futerko”.

- To jest stanowczo nieprzyzwoite, droga pani doktorowo - mówiła Zuzanna z goryczą. Ona sama starała się pójść na kompromis, mówiąc o Jacku „ono” albo „biały zwierzak”. Nikt z mieszkańców Złotego Brzegu nie bolał zbytnio, gdy następnej zimy „ono” zostało przypadkowo otrute.

Z biegiem czasu nazwa „Złotko” dziwnie nie pasowała do pomarańczowego kocura i Walter, który właśnie zaczytywał się książkami Stevensona, ochrzcił kota mianem „Dr Jekyll i Mr Hyde”. Jako Dr Jekyll kot był senny, pieszczotliwy, zadomowiony i bardzo lubił, gdy go głaskano, klepano i pieszczono. Szczególnie lubił leżeć na grzbiecie z wyciągniętą, lśniąca szyją i mruczeć w sennym zadowoleniu. Mruczał zresztą prześlicznie. Jeszcze nigdy na Złotym Brzegu nie było kota, który by tak stale i z takim przejęciem mruczał.

- Jedyną rzecz, jakiej zazdroszczę kotom, to mruczenie - mówił dr Blythe przysłuchując się monotonnej melodii Doca. - Mruczenie to wyraża całą pełnię zadowolenia.

Doc był bardzo ładny. W każdym ruchu posiadał mnóstwo gracji, a pozy, jakie przybierał, były pełne godności. Gdy wyciągał swój długi, puszysty ogon, siedząc na werandzie z wzrokiem utkwionym w przestrzeń, państwo Blythe dochodzili do wniosku, że nawet egipski Sfinks nie miał w swej postaci więcej tajemniczości i wspaniałego majestatu.

Gdy napadał go nastrój Mr Hyde’a - co się przeważnie zdarzało przed deszczem lub wiatrem - stawał się dzikim stworzeniem o zmienionych oczach. Przeistoczenie to następowało zawsze nieoczekiwanie. Zeskakiwał wtedy z kanapy z niepohamowanym sykiem i wrzaskiem, gryząc i drapiąc każdego, kto usiłował go udobruchać. Sierść Doca stawała się wtedy ciemniejsza, a oczy połyskiwały diabelskim blaskiem. Było w nim coś, co przerażało, lecz jednocześnie zachwycało swym demonicznym pięknem. Gdy przeistoczenie następowało o zmierzchu, wszyscy mieszkańcy Złotego Brzegu odczuwali dziwny lęk. W takich razach Doc stawał się nieustraszonym stworzeniem i tylko Rilla” broniła go, twierdząc, że to „taki piękny kot-włóczęga”. Istotnie Doc lubił się włóczyć. Dr Jekyll lubił świeże mleko, Mr Hyde na mleko nawet nie patrzył i warczał ponuro nad kawałkiem mięsa. Dr Jekyll schodził po schodach tak cicho, że nikt kroków jego nawet dosłyszeć nie mógł, krok Mr Hyde’a był tak ciężki, jak stąpanie zmęczonego człowieka. Niekiedy wieczorami, gdy Zuzanna zostawała sama w domu, „drętwiała ze strachu”, jak twierdziła, słysząc głośnie kroki Doca. Siadywał na środku kuchni ze straszliwym wzrokiem utkwionym w jej twarzy i tak mógł siedzieć całymi godzinami. Po prostu działało to jej na nerwy, lecz na próżno biedna Zuzanna chciała go z kuchni wypędzić. Raz nawet ośmieliła się rzucić w Doca kawałkiem drzewa, lecz wówczas bestia skoczył na nią. Zuzanna wybiegła z przestrachem i od tej pory nigdy już nie zaczynała

z Mr Hyde'em, choć gdy Doc popadał w nastrój Dra Jekylla, zdobywała się na tyle odwagi, aby mu dać prztyczka w nos.

- *Przyjaciele panny Flory Meredith, Geralda Meredith i Jamesa Blythe* - czytała Zuzanna cedząc z zadowoleniem nazwiska przez zęby - *bardzo się cieszyli z niedawnego ich powrotu do domu z Redmond. James Blythe, który otrzymał stopień akademicki w roku 1913, ukończył właśnie pierwszy kurs medycyny.*

- Flora Meredith wyrosła na piękną dziewczynę - zauważyła panna Kornelia pochylając się nad swoją robótką filet. - Naprawdę trzeba podziwiać, jaka w tych dzieciach zaszła zmiana od chwili, gdy Rozalia West zamieszkała na plebanii. Ludzie zapomnieli prawie zupełnie, ile dawniej te dzieciaki przysparzały kłopotu. Aniu, kochanie, pamiętasz, jak się dawniej zachowywały? Nie przypuszczałam, aby Rozalia mogła mieć na nie taki wpływ. Jest raczej ich przyjaciółką niż macochą. Dzieciaki pokochały ją, a Una po prostu uwielbia Rozalię. Stała się prawdziwą niewolnicą małego Bertie, nic dziwnego zresztą, bo to strasznie miły dzieciak. Ale czy widziałas kiedy, aby dziecko było tak podobne do ciotki, jak Bertie do Heleny? Ma takie same ciemne włosy i jest tak samo uparty. Nie posiada ani odrobiny podobieństwa do Rozalii. Norman Douglas utrzymuje żartem, że bocian przynosząc Bertie'ego miał, na myśli jego i Helenę i tylko przez omyłkę pozostawił go na plebanii.

- Bertie uwielbia Jima - rzekła pani Blythe. - Gdy Jim przychodzi na plebanie, Bertie chodzi za nim jak przywiązany mały psiak, przyglądając mu się spod zmarszczonych, czarnych brwi. Jestem pewna, że nie ma takiej rzeczy, której by dla Jima nie zrobił.

- Czy z Jima i Flory będzie para?

Pani Blythe uśmiechnęła się. Wiadome było wszystkim, że panna Kornelia, która przed laty jeszcze tak nie cierpiała mężczyzn, teraz najchętniej łączyła młode pary.

- Są na razie tylko dobrymi przyjaciółmi, panno Kornelio.

- Bardzo dobrymi przyjaciółmi, możecie mi wierzyć - powiedziała panna Kornelia dobitnie. - Wiem o wszystkim, co wyprawia ta młodzież.

- Nie wątpię, że Mary Vance stara się już o to, żeby pani wiedziała, pani marszałkowo Elliot - wtrąciła Zuzanna znacząco. - Sądzę jednak, że wstyd mówić o małżeństwie takich dzieci.

- Dzieci! Jim ma już dwadzieścia jeden lat, Flora dziewiętnaście - odparła panna Kornelia. - Nie należy zapominać, Zuzanno, że my, stare, nie jesteśmy jedynymi dorosłymi osobami na świecie.

Skrzywdzona Zuzanna, która nie lubiła wszelkich docinków na temat wieku, nie z próżności, lecz z obawy, że ludzie mogą pomyśleć, iż jest już za stara do pracy, zabrała się na nowo do czytania „Wiadomości”.

- *Karol Meredith i Shirley Blythe wrócili do domu w zeszły piątek z Akademii Królewskiej. Domyślamy się, że Karol zaangażowany zostanie do szkoły w Porcie na rok przyszły, i jesteśmy pewni, że wkrótce stanie się popularnym i jednym z najzdolniejszych nauczycieli.*

- Będzie uczył teraz dzieci wszystkiego możliwego o insektach - odparła panna Kornelia. - Skończył Akademię i pan Meredith i Rozalia pragnęli, aby jesienią jechał do Redmond, ale Karol jest bardzo niezależny, chce sam zarabiać na swoje dalsze wykształcenie. Dzielny z niego chłopak.

- *Walter Blythe, który od dwóch lat był nauczycielem w Lowbridge, opuścił zajmowane stanowisko* - czytała Zuzanna. - *Podobno zamierza na jesieni wyjechać do Redmond.*

- Czy Walter jest już dość silny, aby wybrać się do Redmond? - zagadnęła z niepokojem panna Kornelia.

- Sądzimy, że nabierze siły do jesieni - odparła pani Blythe. - Wypoczynek letni na świeżym powietrzu i słońce dobrze mu zrobią.

- Tyfus jest trudną rzeczą do wyleczenia - zauważyła panna (Kornelia z naciskiem - tym bardziej, jeżeli ktoś jest tak delikatny, jak Walter. Sądzę, że lepiej by zrobił, gdyby odłożył studia jeszcze na jeden rok. Ale on jest strasznie ambitny. Czy Di i Nan także wyjeżdżają?

- Tak. Obydwie chciały udzielać lekcji jeszcze w przyszłym roku, lecz Gilbert uważa, że lepiej będzie, gdy jesienią wyjadą do Redmond.

- Bardzo mnie to cieszy. Będą przynajmniej mogły uważać na Waltera, aby się nie przemęczał za bardzo nauką. Przypuszczam - ciągnęła dalej panna Kornelia, zerkając na Zuzannę - że po naganie, jaką otrzymałam przed pięciu minutami, mogę się narazić, jeśli powiem, że Jerry Meredith robi słodkie oczy do Nan.

Zuzanna zdawała się nie słyszeć tej uwagi, a pani Blythe zaśmiała się znowu.

- Mam pełne ręce roboty z tymi chłopcami i dziewczętami, nieprawdaż, droga panno Kornelio? Gdybym to wszystko brała poważnie, głowa by mi pękła. A nie chcę o tym myśleć; tak mi trudno uświadomić sobie, że już są dorośli. Ilekroć patrzę na tych dwóch moich wysokich synów, dziwię się, że to ci sami chłopcy, których kołysałam, pieściłam i śpiewałam im do snu. Czyż Jim nie był najmilszym dzieckiem w starym Wymarzonym Domku? A teraz jest już prawie dorosłym mężczyzną, zalecającym się do panien.

- Wszyscy się starzejemy - westchnęła panna Kornelia.

- Przypomina mi zawsze o starości tylko jedna rzecz - uśmiechnęła się pani Blythe - a mianowicie noga, którą złamałam, gdy Józia Pye kazała mi przejść przez ogrodzenie Barrych na Zielonym Wzgórzu. Jeszcze do dzisiaj czuję darcie na zmianę pogody. Nie chcę przyznać, że to jest reumatyzm, ale boli dotkliwie. Co do dzieci, to zarówno moje, jak i Meredithów układają plany na jak najprzyjemniejsze spędzenie lata, zanim wyjadą na studia. Wesoły z nich narodek! Wprowadzają do domu mnóstwo radości i serdecznego śmiechu.

- Czy Rilla wstąpi na Akademię, jak Shirley wróci?

- To jeszcze nie jest postanowione. Mam wrażenie, że raczej nie. Przede wszystkim Gilbert twierdzi, że nie jest dość silna - jest zbyt wyrosnięta na swój wiek - ja znów chciałabym choć jedno ze swoich dzieci mieć przy sobie na przyszłą zimę. Z nudów musiałabym z Zuzanną kłócić się chyba codziennie.

Zuzanna uśmiechnęła się słysząc te słowa. Bawiła ją sama myśl, że mogłaby kłócić się z „drogą panią doktorową”.

- A Rilla sama, czy chce jechać? - zapytała panna Kornelia.

- Nie. Trzeba przyznać, że jedynie Rilla nie zdradza wygórowanych ambicji. Wolałabym, żeby była bardziej ambitna. Wesołe spędzenie czasu jest jej jedynym ideałem.

- Dlaczegoż by miało być inaczej, droga pani doktorowo?! - zawołała Zuzanna, która nie mogła znieść, aby ktoś występował przeciw mieszkańcom Złotego Brzegu. - Młoda dziewczyna powinna wesoło spędzać czas, ja bym nie była lepsza na jej miejscu. Jeszcze zdąży nauczyć się łaciny i greki.

- Chciałabym, aby miała choć trochę poczucia odpowiedzialności, Zuzanno. A sama wiesz, jak okropnie jest próżna.

- Ma z czego być próżna - odparła Zuzanna. - Jest najładniejszą dziewczyną w Glen St. Mary. Czy pani myśli, że te wszystkie MacAllistery i Crawfordy, i Ellioty zza portu w ciągu czterech generacji mogłyby zdobyć się na taką urodę? Nie mogłyby. Nie, droga pani doktorowo, znam swoje miejsce, ale nie pozwolę pani na krytykowanie Rilli. Niech pani posłucha, pani marszałkowo Elliot.

Zuzanna znalazła okazję, by zmierzyć się z panną Kornelią w sprawach sercowych dzieci. Z upodobaniem zaczęła czytać:

- *Miller Douglas postanowił nie wyjeżdżać na Zachód. Zamierzają w dalszym ciągu pracować na farmie ciotki pani Alec Dawis.*

Zuzanna zerknęła na pannę Kornelię.

- Słyszałam, pani marszałkowo Elliot, że Miller zaleca się do Mary Vance.

Ten strzał był celny. Twarz panny Kornelii spurpurowiała.

- Nie chcę, aby Miller Douglas uczepił się Mary - odparła. - Pochodzi z marnej rodziny. Ojciec jego był wypędkiem Douglasów, nigdy go nie zaliczyli do swego grona, a matka to jedna z tych okropnych Dillonów zza portu.

- Wydaje mi się, pani marszałkowo Elliot, że rodzice Mary Vance nie byli tym, co się nazywa arystokracją. - Mary Vance otrzymała dobre wychowanie i jest zręczną, rozsądną i zdolną dziewczyną - odparła panna Kornelia. - Nie zmarnuje się dla Millera Douglasa, możecie mi wierzyć!! Wie, jakie jest moje zdanie w tej sprawie, a Mary jak dotąd nigdy nie była nieposłuszna.

- Sądzę, że nie musi sobie pani tym, zaprztać głowy, pani marszałkowo Elliot, jako że pani Alec Davis jest tak samo temu przeciwna jak pani i oświadczyła, że jej siostrzeniec nigdy nie poślubi takiego nic bez nazwiska jak Mary Vance.

Zuzanna, czując, że zwyciężyła w tej potyczce, przeszła do następnej wiadomości.

- *Z radością dowiadujemy się, że p. Oliver została ponownie zaangażowana jako nauczycielka na przyszły rok. P. Oliver spadzi swe dobrze zasłużone wakacje w swym domu w Lowbridge.*

- Tak się cieszę, że Gertruda zostaje - powiedziała pani Blythe. - Okropnie by nam jej było brak. I ma taki doskonały wpływ na Rillę, która ją uwielbia. Są przyjaciółkami mimo różnicy wieku.

- Słyszałam, że wchodzi za męża.

- Mówiono o tym, ale odłożono małżeństwo na rok.

- Kim jest młody człowiek?

- Robert Grant. To młody prawnik z Charlottetown. Mam nadzieję, że Gertruda będzie zadowolona. Życie jej było niewesołe, zaprawione goryczą, i jest okropnie wrażliwa. Pierwsza młodość już minęła i obecnie jest sama jedna na świecie. Miłość, która się zrodziła w jej sercu, jest dla niej czymś tak nieoczekiwanym, że chwilami nie śmie w nią wierzyć. Gdy ślub musiał ulec zwłoce, wpadła w skrajną rozpacz, aczkolwiek nie było to winą pana Granta. Zaszły pewne komplikacje w sprawach posiadłości jego ojca, który umarł zeszłej zimy, i syn nie może się ożenić, dopóki wszystko nie zostanie załatwione. Mam wrażenie jednak, że Gertruda przyjęła to za zły omen, uważając, że szczęście ją zawodzi.

- Nie należy nigdy, droga pani doktorowo, liczyć zbyttnio na jednego mężczyznę - zauważyła uroczyście Zuzanna.

- Pan Grant jest tak samo zakochany w Gertrudzie, jak ona w nim, Zuzanno. To nie on zawiódł w tym wypadku, tylko złośliwy los. Gertruda posiada w duszy dużo mistycyzmu i z

tego powodu ludzie nazywają ją przesadną. Ma dziwną wiarę w sny i trudno jej to wyperswadować. Muszę przyznać, że niektóre jej sny... Ale broń Boże, żeby Gilbert miał usłyszeć, że wypowiadam takie herezje. Co takiego interesującego znalazłaś, Zuzanno?

Zuzanna wydała głośny okrzyk.

- Proszę posłuchać, droga pani doktorowo: *Mrs Zofia Crawford opuściła swój dom w Lowbridge i zamierza zamieszkać ze swą siostrzenicą, panią Albertową Crawford*. Przecież Zofia jest moją kuzynką, pani doktorowo. Kłóciłyśmy się zawsze, będąc dziećmi, która z nas ma wziąć ze szkoły niedzielnej kartę z napisem „Bóg jest Miłością”, i od tego czasu nigdyśmy ze sobą nie rozmawiały. A teraz Zofia przyjeżdża tu, aby zamieszkać naprzeciwko nas.

- Powtórzycie dawne sprzeczki, Zuzanno. Chociaż uważam, że w sąsiedztwie najlepsza jest zgoda.

Kuzynka Zofia zawsze rozpoczynała kłótnie, więc powinna teraz pierwsza mnie przeprosić, droga pani doktorowo - rzekła Zuzanna wyniośle. - Jeżeli wyciągnie rękę do zgody, to jestem o tyle dobrą chrześcijanką, aby tę rękę ucisnąć. Nie jest ona osobą wesołą i przez całe życie słynęła z ponurego usposobienia. Jak ją widziałem po raz ostatni, miała już twarz porządnie pooraną zmarszczkami. Strasznie rozpaczała na pogrzebie pierwszego męża, co jej nie przeszkodziło wyjść ponownie za mąż w niespełna rok. Następna wiadomość, jaką tu widzę, dotyczy specjalnego kazania zeszłej niedzieli w naszym kościele, piszą, że kościół był pięknie udekorowany.

- Przypomina mi to, że pan Pryor ogromnie nie lubi kwiatów w kościele - wtrąciła panna Kornelia. - Zawsze mówiłam, że będą kłopoty, gdy ten człowiek przeprowadzi się tutaj z Lowbridge. Nie powinno się było wybrać go do starszyny - ten błąd drogo nas będzie kosztować, wierzajcie mi! Słyszałam, jak mówił, że jeżeli dziewczęta nadal będą „ubierały ambonę tymi chwastami”, to on przestanie przychodzić do kościoła.

- Kościół inaczej wyglądał, nim stary Brodacz Księżycowy przybył do Glen, i na pewno będzie wyglądał lepiej, jak on się wreszcie stąd wyniesie - rzekła Zuzanna.

- Kto mu dał takie śmieszne przezwisko? - zapytała pani Blythe.

- Chłopcy z Lowbridge, zawsze go tak nazywali, odkąd pamiętam, droga pani doktorowo. Prawdopodobnie dlatego, że twarz ma okrągłą i czerwoną i stale nosi bokobrody. Nie daj Boże, aby usłyszał, że go tak nazywają. Pominąwszy jednak jego bokobrody, pani doktorowo, on sam nie posiada odrobiny rozsądku i zawsze ma jakieś głupie pomysły. Należy teraz do starszyny i podobno jest bardzo religijny. Doskonale pamiętam te czasy, droga pani doktorowo, jak przed dwudziestu laty pasał swoją krowę na cmentarzu w Lowbridge. Zawsze

przypominam sobie o tym, ile razy wygłasza kazanie. Wszystko już wyczytałam z gazety, pozostałe wiadomości nie są ważne. Nigdy nie interesowałam się sprawami zagranicznymi. Kto to jest ten arcyksiążę, który został zamordowany?

- Co to nas może obchodzić? - zauważyła panna Kornelia, nie wiedząc o tym, że odpowiedź na jej pytanie los sam już przygotowuje. - W krajach bałkańskich zawsze ktoś kogoś morduje albo daje się zamordować. Taki jest normalny bieg rzeczy i naprawdę nie wiem, dlaczego nasze gazety drukują takie głupstwa. „Przedsięwzięcia” za bardzo gonią za sensacją, z tymi olbrzymimi nagłówkami. Ale muszę już iść do domu. Nie, Aniu, nie zatrzymuj mnie na kolacji. Marszałek gotów pomyśleć, że skoro mnie nie ma przy posiłku, widocznie nie warto go w ogóle jeść, zresztą jak każdy mężczyzna. Muszę już iść. Na miłość boską, Aniu, kochanie, co się dzieje z tym kotem? Czy się wściekł?

Istotnie Doc w tej samej chwili skoczył pod nogi panny Kornelii, parsknął w jej stronę, po czym wypadł przez okno.

- O, nie! Staje się tylko znowu Mr Hyde'em, co oznacza, że będziemy mieli deszcz jeszcze w nocy. Doc jest wspaniałym barometrem.

- Dzięki Bogu, że poszedł na włóczęgę zamiast do mojej kuchni - rzekła Zuzanna. - Ja także pójdę zająć się kolacją. Teraz, kiedy na Złotym Brzegu mamy tyle gości, przygotowanie posiłków nie jest rzeczą łatwą.

II. PORANNA ROSA

Za ogrodem okalającym dom na Złotym Brzegu pełno było młodych, osłonecznionych polanek, poprzdzielanych kawałkami cienistych gaików. Rilla Blythe leżała w hamaku pod wysoką sosną. Gertruda Oliver siedziała na pniu tuż przy niej, a Walter, rozciągnięty w całej okazałości na trawie, tonął w marzeniach o dawnych bohaterach i pięknościach ubiegłych stuleci, które w umyśle jego jeszcze ciągle żyły.

Rilla była „dzieckiem” rodziny Blythe i ciągle ją za dziecko uważano, bo nikt nie chciał uwierzyć, że powoli staje się dorosłą osobą. Miała prawie lat piętnaście i była tak wysoka, jak Di i Nan, a niemal tak piękna, za jaką ją uważała Zuzanna. Miała duże, marzycielskie orzechowe oczy, mlecznobiałą cerę, upstrzoną malutkimi złotymi piegami i delikatnie zarysowane brwi, nadające całej twarzy wyraz niemego zapytania, który skłaniał ludzi, a szczególnie młodych chłopców do dziwnej ochoty udzielania na to nieme pytanie odpowiedzi. Włosy jej były jedwabiste, wijące się, o odcieniu rudawokasztanowatym, a delikatny puszek nad górną wargą sprawiał wrażenie, jakby dobra wróżka przeciągnęła niechący palcem podczas chrztu Rilli. Rilla, której najlepsi nawet przyjaciele nie zaprzeczali wrodzonej próżności, sama twierdziła, że twarz ma ładną, lecz martwiła się swą figurą i pragnęła bardzo, aby matka wreszcie pozwoliła jej nosić dłuższe suknie. Ta Rilla, która za dawnych dni, za czasów Doliny Tęczy, sprawiała wrażenie tłuściutkiego pulpeta, teraz była szczupłą, a może nawet ręce i nogi miała trochę za chude. Jim i Shirley dokuczali jej zawsze, nazywając ją „Pajakiem”. Powoli jednak Rilla wyrastając stawiała się coraz zgrabniejsza. W ruchach jej było coś takiego, co sprawiało wrażenie, że Rilla nie chodzi, tylko tańczy. Była nieco rozpieszczona i odrobinę tymi pieszczotami zepsuta, lecz ogólnie uważano, że jest bardzo miłą dziewczyną, chociaż nie posiadała tej mądrości, co Nan i Di.

Panna Oliver, która właśnie od tego dnia miała wakacje, została zatrzymana na rok na Złotym Brzegu. Blythe’owie przyjęli ją, aby zrobić przyjemność Rilli, która była zakochana w swej nauczycielce i pragnęła, aby zamieszkały razem, dopóki dla panny Oliver nie znajdzie się jakiś inny pokój. Gertruda Oliver miała dwadzieścia osiem lat i życie pozostawiło w jej duszy bolesne ślady. Była to dziewczyna przystojna, o smutnych, ciemnych oczach, ironicznym nieco zarysie ust i całej masie czarnych włosów, opadających jej na skronie. Nie była piękna, lecz posiadała dziwny czar i jakaś tajemnica tchnęła z jej twarzy. Rilla uważała, że Gertruda jest precudowna. Nawet jej chwilowe nastroje, ponure nieco i cyniczne, Rilla

przyjmowała z entuzjazmem. Nastroje te jednak następowały tylko wówczas, gdy panna Oliver była zmęczona. Zazwyczaj była ona niezastąpioną towarzyszką i młodzież na Złotym Brzegu zapominała o tym, że Gertruda była o tyle lat starsza. Walter i Rilla stanowili parę ulubieńców panny Oliver i darzyli ją najzupełniejszym zaufaniem, powierzając nauczycielce najskrytsze swe tajemnice, jak również zwierając się jej ze swych pragnień i aspiracji. Gertruda wiedziała, że Rilla marzy o „bawieniu się”, o chodzeniu na przyjęcia i bale jak Nan i Di i o posiadaniu pięknych wieczorowych toalet, jak również całego zastępu wielbicieli. Koniecznie w liczbie mnogiej! Co do Waltera, to panna Oliver wiedziała, że napisał zbiór sonetów „Do Rozalii” - to znaczy do Flory Merediht - i że poza tym pragnie otrzymać katedrę literatury angielskiej na jakiejś wyższej uczelni. Panna Gertruda знаła jego namiętne uwielbienie piękna i nienawiść wszystkiego, co brzydkie, znała jego dążenia i słabostki.

Walter, jak zwykle, był najładniejszy spośród chłopców Złotego Brzegu. Panna Oliver z przyjemnością nań patrzyła, myśląc w duszy, że chciałaby bardzo mieć takiego syna. Puszyste, czarne włosy, błyszczące, szare oczy i delikatne rysy twarzy. Poeta w każdym calu! Zbiór sonetów był istotnie rzeczą śmiałą i można go było uważać za doskonały, zważywszy, że sonety te napisał dwudziestoletni chłopak. Panna Oliver nie była znawczynią poezji, lecz zdawała sobie sprawę, że Walter Blythe posiada nieprzeciętny talent.

Rilla kochała Waltera całym sercem. Nie dokuczał jej nigdy, jak to zwykle czynili Jim i Shirley. Nigdy nie nazywał jej „Pajakiem”. Przydomek, jaki wymyślił dla niej, był „Rilla-ma-Rilla”, pochodzący z prawdziwego jej imienia Marilla. Imię to otrzymała w spadku po ciotce Maryli z Zielonego Wzgórza, lecz ciotka Maryla umarła jeszcze wówczas, gdy Rilla była mała i nie znała jej dobrze. Rilla zaś twierdziła, że nadane jej imię jest strasznie staromodne i przesadne. Dlaczego na przykład nie na zwali jej Berta, co było takie piękne i pełne godności, zamiast tego głupiego „Rilla”? Nie zwracała uwagi na przydomek Waltera, lecz nikt oprócz niego i panny Oliver nie mógł jej tak nazywać. „Rilla-ma-Rilla” w ustach Waltera brzmiało jakoś dziwnie melodyjnie, jak szmer wody w górskim strumieniu. Zwierzała się pannie Oliver, że gotowa jest nawet um r z e ć za Waltera, gdyby to dla jego dobra było potrzebne. Rilla lubiła wyrażać się z emfazą, jak zresztą wszystkie dziewczęta w jej wieku, a największą goryczą przejmowała ją świadomość, że Walter opowiada więcej swych sekretów Di niż jej.

- Uważa, że nie jestem jeszcze dość dorosła, aby rozumieć - skarżyła się pewnego razu pannie Gertrudzie. - Ale ja doskonale rozumiem! Nigdy nie pisnęłabym przed nikim ani słowa, nawet pani bym nie powiedziała. Mogę opowiadać p a n i o swoich sprawach, ale jego tajemnic nie zdradzę. Ja mu mówię o wszystkim, nawet pokazywałam mu swój pamiętnik.

Strasznie mnie boli, jak Walter milczy przede mną. Chociaż poezje swoje pokazuje mi zawsze i uważam, że są nadzwyczajne. Żyję ciągle nadzieją, że kiedyś będę tym dla Waltera, czym była Dora dla swego brata Wordswortha. Wordsworth nigdy nie napisał takich poezji, jak Walter, Tennyson także.

- Tego bym nie powiedziała. Obydwaj napisali całe mnóstwo utworów - rzekła panna Oliver sucho, a widząc niemy wyrzut w oczach Rilli, dorzuciła pośpiesznie: - Ale jestem pewna, że Walter będzie wielkim poetą, może nawet najślawniejszym w Kanadzie, a ty, gdy dorośniesz, z pewnością staniesz się jego powiernicą.

- Jak leżał w szpitalu na tyfus w zeszłym roku, po prostu szalałam z rozpaczy - westchnęła Rilla z powagą. - Nie chcieli mi powiedzieć, jaki jest jego stan, dopóki nie wyzdrowiał, ojciec im nie pozwalał. Całe szczęście, że nie wiedziałam, bo umarłabym chyba ze zmartwienia. Codziennie przed snaniem musiałam się wypłakać. Ale czasami - dorzuciła z goryczą, lubiła mówić z goryczą imitując ton panny Oliver - czasami mam wrażenie, że Walter więcej dba o Wtorka niż o mnie.

Wtorek był jednym z psów na Złotym Brzegu, a otrzymał to imię dlatego, że przybył na Złoty Brzeg we wtorek, a w owym dniu właśnie Walter kończył czytać „Robinsona Kruzoe”. Wtorek właściwie był własnością Jima, lecz przywiązany był również bardzo do Waltera. Zazwyczaj lubił leżeć przy nim z nosem wsuniętym pod jego pachę, poruszając radośnie ogonem, ilekroć Walter go pogłaskał. Wtorek nie był ani szkockim owczarkiem, ani też seterem czy pudlem. Był sobie takim, jak mówił Jim, „autentycznym kundlem”, bardzo autentycznym, dodawali złośliwi ludzie. Istotnie, Wtorek nie miał wspaniałego wyglądu. Czarne łaty biegły przez żółty grzbiet i jedna z nich zachodziła aż na oko. Uszy miał dziwnie wystrzępione, bo trzeba wyjaśnić, że Wtorek nie zawsze wychodził zwycięsko z rozgrywek honorowych. Posiadał jednak wielką zaletę. Zdawał sobie sprawę, że nie wszystkie psy mogą być piękne, mądre czy bohaterskie, lecz wiedział dokładnie, że każdy pies może kochać. Wiedział, że od czasu jak psy istnieją na świecie, w piersi każdego z nich bije oddane i pełne wierności serce. W brązowych oczach Wtorka odzwierciedlała się głębia jego psiej duszy, której posiadania niektórzy ludzie psom odmawiają. Wszyscy na Złotym Brzegu lubili Wtorka, nawet Zuzanna, aczkolwiek Wtorek niejednokrotnie narażał się pannie Baker, wsuwając się do jej pokoju i lokując wygodnie na jej łóżku.

Rilla tego popołudnia nie była w nastroju do jakichkolwiek sprzeczek.

- Czyż czerwiec nie był cudownym miesiącem? - zagadnęła spoglądając sennie na srebrne obłoki zawieszone ponad Dolinę Tęczy. - Mieliśmy takie bajkowe czasy i taką cudowną pogodę Jednym słowem, było cudownie pod każdym względem.

- Ja się trochę inaczej na to zapatruję - rzekła panna Oliver z westchnieniem. - Uważam to za coś złowróbnego. Dobro jest darem bogów, pewnym rodzajem wynagrodzenia za to, co ma nastąpić. Tak często już się z tym stykałam, że nie lubię, gdy ludzie mówią, że im jest dobrze! Mimo to jednak czerwiec naprawdę był cudowny.

- Oczywiście nie był bardzo podniecający - rzekła Rilla. - Jediną sensacją, jaką mieliśmy w Glen od lat wielu, było zemdleńie panny Meade w kościele. Czasami chciałabym, aby nastąpiło coś d r a m a t y c z n e g o , coś, o czym długo można myśleć.

- Lepiej nie życz sobie tego. Dramaty zawsze komuś niosą gorycz. Będziecie mieli piękne, wesołe lato! A ja będę się nudzić w Lowbridge!

- Często będzie pani stamtąd wyjeżdżać, nieprawdaż? Zapowiada się kilka zabaw tego lata, chociaż przypuszczam, że w tym nie będę brała udziału, jak zwykle. Czy to nie straszne, że ciągle uważają mnie za małą dziewczynkę?

- Zdażysz jeszcze być dorosłą, Rillo. Niech lepiej dzieciństwo twoje trwa jak najdłużej. I tak zbyt szybko ono mija. Wkrótce zakosztujesz życia aż do przesytu.

- Zakosztuję życia! Ja bym chciała je p o c h ł a n i a ć ! - zawołała Rilla ze śmiechem. - Pragnęłabym wszystkiego, wszystkiego, co tylko dziewczyna posiąść może. W przyszłym miesiącu skończę piętnaście lat i w t e d y nikt już chyba nie powie, że jestem dzieckiem. Słyszałam kiedyś, że lata między piętnastym i dziewiętnastym rokiem są najlepszymi latami w życiu dziewcząt. Postaram się, aby te kilka lat wykorzystać jak najlepiej, tylko na zabawę.

- Nie ma sensu myśleć o tym, co będziesz robić; plany rzadko kiedy się urzeczywistniają.

- Ale nie plany zabaw - zaprotestowała Rilla.

- O niczym nie myślisz, tylko o zabawach, głuptasku - rzekła panna Oliver pobłażliwie. - Zresztą cóż to znaczy piętnaście lat? Zamierzasz wstąpić do jakiejś szkoły tej jesieni?

- Nie, ani w tym roku, ani w żadnym. Po prostu nie mam ochoty. Nigdy nie interesowałam się tymi wszystkimi „ologiami” i „izmami”, za którymi tak szaleją Nan i Di. Już pięcioro z nas studiuje, uważam, że wystarczy. Jedna osoba w rodzinie może być nieukiem. Niech sobie ja tym nieukiem będę, bylebym była ładna, powabna i miała powodzenie. Nie chcę być mądra. Nie posiadam żadnego talentu i nie ma pani pojęcia, jak mi z tym wygodnie, bo nikt ode mnie zbyt wiele nie wymaga. Nie mam również najmniejszego pociągu do gospodarstwa czy gotowania. Nie lubię szyć i ścierać kurzu, a nawet Zuzanna nie może mnie nauczyć pieczenia małych ciasteczek. Ojciec powiada, że nie przędę, nie orzę, tylko jestem nietykalną lilią w rodzinie - kończyła Rilla śmiejąc się głośno.

- Jesteś zbyt młoda, aby już zakończyć swą edukację, Rillo.

- Och, mama przejdzie ze mną kurs literatury na przyszłą zimę. To odświeży jej dyplom. Na szczęście lubię czytać. Proszę nie patrzeć na mnie z taką troską i rozczarowaniem, moja najdroższa. Nie mogę być trzeźwa i rozsądna, kiedy wszystko jest takie różane i tęczowe. Na przyszły miesiąc skończę piętnaście, na przyszły rok szesnaście, a za dwa lata siedemnaście. Czy może być coś bardziej czarującego?

- Odstukaj! - rzekła Gertruda Oliver na pół za śmiechem, na pół z powagą. - Odstukaj w nie malowane drzewo, Rillo-ma-Rillo.

III. W POŚWIACIE KSIĘŻYCA

Rilla, która zawsze, nawet we śnie, się uśmiechała, ziewnęła teraz, przeciągnęła się i uśmiechnęła do Gertrudy Oliver. Panna Oliver przyjechała poprzedniego dnia z Lowbridge i pozostała tu, aby wybrać się na zabawę, zapowiedzianą na dzień następny w świetlicy Przystani Czterech Wiatrów.

- Nowy dzień puka do naszego okna. Ciekawa jestem, co nam z sobą przyniesie.

Panna Oliver lekko zadrżała. Nigdy nie witała dnia z takim entuzjazmem, jak to czyniła Rilla. Życie przekonało ją, że każdy dzień może przynieść najbardziej nieoczekiwane i niemiłe niespodzianki.

- Mam wrażenie, że najprzyjemniejszą rzeczą następujących dni jest nieświadomość tego, co przyniosą - ciągnęła dalej Rilla. - Przyjemnie jest obudzić się w taki cudowny złocisty poranek i być ciekawym, jaką to niespodziankę dzień nam zgotuje. Zazwyczaj myślę o tym przez dziesięć minut, nim wstanę, imaginując sobie najpiękniejsze rzeczy, które mogą się zdarzyć przed nocą.

- Lękam się, że coś bardzo nieoczekiwanego dzisiaj nas czeka - rzekła Gertruda. - Mam wrażenie, że poczta przyniesie wiadomość o wojnie między Niemcami i Francją.

- O... tak - rzekła Rilla niepewnie. - To byłoby straszne. Ale właściwie nas ta sprawa nie dotyczy, prawda? Sądzę, że wojna byłaby prawdziwą sensacją. Panno Gertrudo, czy mam włożyć dziś wieczór białą suknię, czy tę nową zieloną? Zielona jest o wiele ładniejsza, oczywiście, ale boję się ją włożyć na taką eskapadę, bo jeszcze mi się zniszczy. A uczesze mnie pani modnie? Wszystkie dziewczęta z Glen czeszą się strasznie po staroświecku, więc moja fryzura wywoła sensację.

- Jakim sposobem przekonałaś mamę, żeby ci pozwoliła iść na zabawę.

- O, Walter ją przekonał. Wiedział, że będę rozpaczona, jeśli nie pójdę. To jest właściwie mój pierwszy dorosły występ, panno Gertrudo, i już od tygodnia nie spałam myśląc wciąż o tym. Jak dzisiaj rano zobaczyłam słońce, to o mało nie fiknęłam koziołka z radości. Przecież to byłoby straszne, gdyby deszcz padał. Myślę jednak, że włożę tę zieloną sukienkę, zaryzykuję. Chcą wyglądać najładniej na mojej pierwszej zabawie, zresztą ona jest nieco dłuższa od białej. Włożę także moje srebrne pantofelki. Pani Ford przysłała mi je na gwiazdkę i do tej pory nie miałam okazji ich nosić. Są prześliczne. O, panno Gertrudo, mam nadzieję, że jacyś chłopcy zaproszą mnie do tańca. Naprawdę umarłabym z rozpaczy, gdyby

nikt mnie nie zaprosił i gdybym musiała przez cały wieczór podpierać ścianę. Oczywiście Karol i Jerry nie będą tańczyć, bo są synami pastora, więc nawet na nich liczyć nie mogę.

- Będziesz miała mnóstwo partnerów, wszyscy chłopcy z portu przyjdą. Będzie na pewno więcej chłopców niż dziewcząt.

- Strasznie się cieszę, że nie jestem córką pastora - zaśmiała się Rilla. - Biedna Flora wścieka się, że nie będzie mogła tańczyć dzisiaj, bo Una nie dba o to. Ona nigdy nie przepadała za tańcem. Ktoś powiedział Florze, że te panny, które nie tańczą, będą miały dość dużo roboty w kuchni. Powinna pani była widzieć jej minę! Na pewno większą część wieczoru przesiedzą z Jimem na skałach. Wie pani, że mamy wszyscy iść pieszo, aż do małego strumyka w pobliżu Wymarzonego Domku, a potem popłyniemy łodziami do latarni morskiej. Czy to nie będzie boskie?

- Gdy miałam lat piętnaście, tak samo wypowiadałam się zawsze w superlatywach - zauważyła panna Oliver z przekąsem. - Myślę, że zabawa zapowiada się przyjemnie dla młodzieży, bo ja osobiście przygotowana jestem na nudy. Żaden z tych chłopców nie będzie chciał tańczyć ze starą panną. Może Jim i Walter zatańczą ze mną raz dla przyzwoitości. Nie będę miała nawet z kim porozmawiać. Toteż nie dziw się, że nie mówię o zabawie z takim entuzjazmem, jak ty.

- A czy pani źle się bawiła na swoim pierwszym balu, panno Gertrudo?

- Przypominam sobie, że okropnie. Byłam onieśmielona i nikt nie poprosił mnie do tańca z wyjątkiem jednego chłopca, który był jeszcze bardziej nieśmiały ode mnie. Za tę nieśmiałość znienawidziłam go i prawdopodobnie dlatego drugi raz już mnie nie poprosił. Ja nie miałam prawdziwego dzieciństwa, Rillo. Wielka to strata w życiu i dlatego też chciałabym, abyś ty miała piękną i szczęśliwą młodość. Mam nadzieję, że pierwsza twoja zabawa będzie czymś takim, co wspominać będziesz z przyjemnością przez całe życie.

- Wczoraj śniło mi się, że byłam na balu i nagle zauważyłam, że jestem w szlafroku i w rannych pantoflach - westchnęła Rilla. - Obudziłam się z przerażeniem.

- Przypomina mi się mój straszny sen - szepnęła panna Oliver w zamyśleniu. - Był to jeden z tych snów, które miewam często. Są one tak wyraźne, jak rzeczywistość.

- A co się pani śniło?

- Stałam na stopniach werandy tutaj, na Złotym Brzegu, spoglądając na dalekie pola Glen. Nagle w dali ujrzałam długą, srebrzystą, połyskującą falę pokrywającą pola. Fala ta zbliżała się z każdą chwilą, jak fala morska, która czasami zalewa wybrzeże. Po pewnym czasie całe Glen zostało przez nią pochłonięte. Pomyślałam: „Chyba fale te nie zbliżą się do Złotego Brzegu, ale one szły bliżej i bliżej, tak szybko, że nim się zdołałam spostrzec, były

już u moich stóp i wszystko zabrały... nie było nic oprócz wzburzonej wody w miejscu, gdzie dawniej było Glen. Chciałam się w z tej wody wydostać, lecz nagle dostrzegłam, że brzeg mojej sukni jest splamiony krwią... Obudziłam się z drżeniem. Nie lubię takich snów. Sen ten był jakimś przykrym znakiem. Takie wyraźne sny zazwyczaj mi się sprawdzają.

- To chyba nie znaczy, że nadejdzie jakaś burza ze wschodu i dzięki niej bal się nie odbędzie - mruknęła Rilla z zaniepokojeniem.

- Niepoprawna piętnastolatka! - rzekła panna Oliver sucho. - Nie, Rillo-ma-Rillo, nie sądzę, aby groziło aż takie niebezpieczeństwo.

Na Złotym Brzegu od kilku dni panowała atmosfera naprężonego wyczekiwania. Tylko Rilla, zajęta własnym życiem, nie zdawała sobie z tego sprawy. Doktor Blythe ponuro spoglądał sponad gazety, prawie nic nie mówiąc. Jim i Walter interesowali się ogromnie nowinami, które gazety przynosiły. Jim z podnieceniem odszukał Waltera tego wieczoru.

- Chłopcze, Niemcy wypowiedziały wojnę Francji. To znaczy, że Anglia prawdopodobnie też będzie wojować, a jeżeli tak, to dawny twój wyimaginowany Srokaty Kobziarz zjawi się wreszcie.

- To nie była wcale imaginacja - odparł spokojnie Walter. - Było to raczej przeczucie... wizja... Jim, ja naprawdę widziałem go przez chwilę tego wieczoru przed laty. Myślisz, że Anglia będzie wojować?

- Wówczas wszyscy pójdziemy na pomoc! - zawołał Jim wesoło. - Nie pozwolimy chyba, aby „stara siwa matka północnych mórz” walczyła sama, nieprawdaż? Ty nie będziesz mógł pójść, bo po tym tyfusie jeszcze nie przyszedłeś do siebie. Wstydzisz się, co?

Walter nie odpowiedział, czy mu wstyd, czy nie, spoglądał tylko w milczeniu- w przestrzeń ciągnącą się ponad polami Glen, aż po błękitną przystań.

- Jesteśmy wilczętami... musimy ostrzyć zęby i gryźć, gdy wróg zawadzi o naszą rodzinną ziemię - ciągnął wesoło Jim, targając swe złote włosy drobną, opaloną dłonią, dłonią urodzonego chirurga, jak mawiał często jego ojciec. - Co to będą za przygody! Ale przypuszczam, że Grey czy któryś z tych ostrożnych, starych facetów będą debatowali do pięć przed dwunastą. Wstyd byłby doprawdy, żeby mieli wystawić Francję do wiatru. Ale jeśli tego nie robią, bidzie heca. No, najwyższa już pora wyruszyć na te zabawę do latarni.

Wyszedł, gwizdząc „Stu kobziarzy i ja”, a Walter stał przez dłuższy czas oniemiały na miejscu; Na czole jego uwidoczniła się głęboka zmarszczka. Wszystko to nastąpiło z szybkością gromu. Jeszcze kilka dni temu nikt nie pomyślałby o czymś podobnym. I teraz nie należało myśleć. Jakieś wyjście się znajdzie. Wojna była straszną, obrzydliwą rzeczą, zbyt straszną i zbyt ohydną, aby mogła się zdarzyć w dwudziestym wieku między cywilizowanymi

narodami. Sama myśl o tym była ohydna w porównaniu z pięknem życia. Walter nie będzie myślał o wojnie, stanowczo wyrzuci ją z pamięci. Jakie piękne było Glen w swej sierpniowej dojrzałości z łańcuchem cienistych, starych zaścianków, szmaragdowych łąk i kwiecistych ogrodów. Niebo w blasku zachodzącego słońca było jak wielka, złocista perła. Na horyzoncie, ponad przystanią srebrzyło się wschodzącym księżycem. Powietrze, przesiąknięte cichutkimi szmerami, senny gwizd raszki, cudowny, posępny, miękki podmuch wiatru w gałęziach drzew, to wszystko mieszało się z wesołym śmiechem, dochodzącym z okien pokojów, w których dziewczęta ubierały się na zabawę. Świat pograżył się w oszalałym cudzie dźwięku i barwy. Będzie myślał tylko o tym i o tej głębokiej, subtelnej radości, która mu to wszystko daje.

„W każdym razie nikt nie oczekuje, bym poszedł - przebiegło mu przez myśl. - Jak powiedział Jim, tyfus odbiera człowiekowi siły”.

Rilla wychyliła się przez okno swego pokoju, ubrana na zabawę. Żółty bratek wysunął się z jej włosów i upadł na trawę, niby złocista spadająca gwiazda. Chciała go podnieść, lecz pomyślała, że nie warto, bo przecież panna Oliver całe mnóstwo bratków wpięła w jej włosy.

- Jaki cudowny spokój! Będziemy mieli piękną noc. Wie pani, panno Gertrudo, zdaje mi się, że słyszę te stare dzwoneczki w Dolinie Tęczy. Wiszą już tam od dziesięciu lat.

- Dźwięk ich pod wpływem wiatru przypomina mi ową muzykę, którą Adam i Ewa słyszeli w „Raju Utraconym” Milтона - odparła panna Oliver.

- Świetnie bawiliśmy się w Dolinie Tęczy, gdy byliśmy jeszcze dziećmi - zauważyła Rilla marząco.

Obecnie nikt już w Dolinie Tęczy się nie bawił. Cisza tam panowała zupełna w pogodne letnie wieczory. Walter lubił tam czytać czasami, Jim i Flora umawiali się tam zazwyczaj, a Jerry i Nan przychodzili, by toczyć nie kończące się spory i dyskusje na poważne tematy, co stanowiło ich ulubioną formę zakochania. Rilla upodobała tam sobie leśną dolinkę, gdzie snuła swe dziewczęce marzenia.

- Muszę jeszcze przed wyjściem wpaść do kuchni i pokazać się Zuzannie. Nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym o niej zapomniała.

Pobiegła do zacienionej kuchni na Złotym Brzegu, gdzie Zuzanna zajęta była prozaicznym cerowaniem pończoch. Chciała starą piastunkę oczarować swym wyglądem. Miała na sobie zieloną sukienkę, przybraną różowymi wianuszkami ze stokrotek, na nogach jedwabne pończochy i srebrne pantofelki. We włosy wpięła jej panna Oliver złociste bratki, które opadały aż na szyję. Była tak piękna, młoda i powabna, że nawet kuzynka Zofia Crawford nie mogła powściągnąć swego zachwyty, a trzeba wiedzieć, że kuzynka Zofia

Crawford rzadko kiedy zachwycała się czymkolwiek. Kuzynka Zofia pogodziła się z Zuzanną albo też może starały się nie pamiętać o dawnych waśniach od chwili, gdy pani Crawford zamieszkała w Glen i przychodziła często wieczorami w odwiedziny do sąsiedztwa. Zuzanna nie zawsze witała ją z radością, bo kuzynka Zofia nie zaliczała się do najsympatyczniejszych towarzyszek. - Niektóre wizyty są wizytami, a niektóre wizytacjami, droga pani doktorowo - powiedziała raz Zuzanna, pragnąc zaznaczyć, że wizyty kuzynki Zofii należą do tej drugiej kategorii.

Kuzynka Zofia miała podłużną, bladą, pomarszczoną twarz, długi, cienki nos, długie, cienkie wargi i bardzo długie, chude, blade ręce, zazwyczaj skrzyżowane z rezygnacją na chudym biuście. Wszystko, co było jej własnością, wydawało się długie, cienkie i blade. Spojrzała ponuro na Rillę Blythe i rzekła ze smutkiem:

- Czy to pani własne włosy?

- Naturalnie! - zawołała Rilla oburzona.

- Ach, tak! - westchnęła kuzynka Zofia. - Byłoby lepiej, gdyby były sztuczne! Taka masa włosów odbiera człowiekowi siły. To znak suchot, jak słyszałam, ale mam nadzieję, że z panią nie jest tak groźnie. Zdaje się, że wszyscy będziecie tańczyć dzisiaj, nawet chłopcy pastora. Córki jego na pewno sobie na to nie pozwolą. Ja tam nigdy nie tańczyłam. Znałam jedną, co umarła podczas tańca. Nie wiem, jak można tańczyć znając taki wypadek.

- A czy ona potem tańczyła? - zapytała Rilla impertynencko.

- Mówię pani, że umarła. Oczywiście więcej biedaczka nie tańczyła. Pochodziła z Lowbridge. Nie powinna pani wychodzić z otwartą szyją.

- Przecież wieczór jest ciepły - zaprotestowała Rilla. - Włożę szalik, jak wsiądę na łódkę.

- Pamiętam, jak czterdzieści lat temu w taką właśnie noc, jak dzisiaj, naładowało się kilkoro młodych do łódki - mówiła kuzynka Zofia żałośnie - łódka nie wytrzymała i wszyscy zatonęli. Mam nadzieję, że dzisiaj nie będzie takiego wypadku. Próbowала pani kiedyś jakiegoś lekarstwa na piegi? Uważam, że zwykły sok owocowy dobrze robi.

- Ty jesteś specjalistką od piegów, Zofio - rzekła Zuzanna stając w obronie Rilli. - Byłaś cętkowana jak ropucha za czasów młodości. Rilla ma tylko piegi latem, ale pamiętam, że ty miałaś je i zimą, poza tym słynęłaś z brzydkiej cery. Wyglądasz naprawdę prześlicznie, Rillo, kochanie, a w uczesaniu tym bardzo ci do twarzy. Ale chyba nie pójdziesz do portu w tych pantofelkach, prawda?

- O, nie. Wszystkie idziemy w starych butach, a w porcie włożymy dopiero pantofle. Podoba ci się moja suknia, Zuzanno?

- Przypomina mi suknię, którą nosiłam będąc młodą dziewczyną- westchnęła znowu kuzynka Zofia, nim jeszcze Zuzanna zdążyła odpowiedzieć. - Była także zielona z pąsowymi bukietkami i miała falbany od talii do dołu. Wtedy nie nosiło się takich obcisłych sukienek, jak dzisiaj. Tak, czasy się zmieniły i nie powiem, żeby na lepsze. Pamiętam, że na pierwszej zabawie rozdarłam moją sukienkę, a potem ktoś wylał mi na nią całą filiżankę herbaty. Po prostu była do niczego. Mam nadzieję, że z pani suknią nic się złego nie stanie. Właściwie powinna być trochę dłuższa, bo ma pani strasznie długie i cienkie nogi.

- Pani doktorowa Blythe nie pozwala małym dziewczynkom ubierać się po dorosłemu - rzekła z godnością Zuzanna, okazując tym samym lekceważenie kuzynce Zofii.

Ale Rilla czuła się dotknięta. Mała dziewczynka, dobre sobie! Wybiegła z kuchni w najwyższym rozdrażnieniu. Na drugi raz nie będzie już pokazywała się Zuzannie, która ma wrażenie, że nikt nie może być dorosłym przed sześćdziesiątym rokiem życia! A ta okropna kuzynka Zofia ze swoimi docinkami na temat piegów i chudych nóg! Jakie prawo ma stara tyka od fasoli mówić o kimś, że jest długi i chudy? Rilla była tak uszczęśliwiona przedtem, a teraz cały wieczór miała zepsuty. Każdy nerw w niej drżał i najchętniej siadłaby i płakała.

Lecz potem dobry humor wrócił, gdy znalazła się w wesołym tłumie śpieszącym do latarni Czterech Wiatrów. Blythe'owie opuścili Złoty Brzeg przy akompaniamencie melancholijnego wycia Wtorka, który został zamknięty w komórcie w obawie, aby nie pobiegł do latarni za młodymi. Wstąpili po drodze do wsi po Meredithów, a z resztą towarzystwa spotkali się na gościńcu. Mary Vance, spowita w błękitną krepę i jedwabną narzutkę, wyszła z domu panny Kornelii i od razu przyczepiła się do Rilli i panny Oliver, które szły razem i niezbyt gorąco ją powitały. Rilla nie lubiła Mary Vance. Nie mogła zapomnieć owego nieszczęsnego dnia, kiedy Mary pędziła ją przez wieś, trzymając w ręku suszonego sztokfisa. Mówiąc prawdę, Mary Vance nie była zbyt popularna wśród miejscowej młodzieży. Ale lubiano jej towarzystwo - miała niezwykle ostry język i to było takie podniecające.

- Mary Vance ma w sobie coś takiego, że nie można się długo na nią gniewać - utrzymywała zazwyczaj Di Blythe.

Towarzystwo podzieliło się na pary. Jim siedł oczywiście z Florą Meredith, a Jerry Meredith z Nan Blythe. Di i Walter kroczyli razem, zajęci ożywioną rozmową, wzbudzając tym samym zazdrość Rilli.

Karol Meredith siedł przy boku Maniusi Pryor, raczej z ochoty dokuczenia Józiowi Milgrave niż z jakiegoś innego powodu. Wiadome było, że Józio ubiega się o względy Maniusi, której onieśmielenie powstrzymywało go od ironizowania przy każdej okazji. Na pewno Józio byłby odważniejszy i wywalczyłby sobie miejsce przy boku Maniusi, gdyby noc

była ciemniejsza, lecz przy blasku księżyca zazwyczaj tracił odwagę. Szedł więc biedak na samym końcu pochodu, darząc w myśli Karola Mereditha epitetami, które trudno byłoby na głos wypowiedzieć. Manusia była córką Księżycowego Brodacza. Cieszyła się wśród sąsiadów większą sympatią niż ojciec, chociaż powodzenia zbytniego nie miała, bo była blada i niepozorna, a przy tym dziwnie nerwowa. Miała płowe włosy i oczy o barwie porcelanowo niebieskiej, które sprawiały wrażenie, jak gdyby przestraszyła się czegoś w dzieciństwie. O wiele chętniej szłaby teraz z Józiem niż z Karolem, z którym czuła się zawsze dziwnie nieswojo, jednakże poczytywała sobie za pewien honor iść przy boku młodego studenta, i do tego syna miejscowego pastora.

Shirley Blythe towarzyszył Unie Meredith i obydwójce przeważnie milczeli, bo takie już były ich usposobienia. Shirley był chłopcem szesnastoletnim, statecznym, wrażliwym, myślącym, o dużym poczuciu spokojnego humoru. Zuzanna słusznie nazwała go „Murzynkiem”, bo miał ciemne włosy, ciemne oczy i „ciemną cerę. Lubił przebywać w towarzystwie Uny Meredith, gdyż Una nigdy nie zmuszała go do rozmowy. Una pozostała tą samą słodką, onieśmiałą dziewczynką, jaką była za czasów Doliny Tęczy, a jej wielkie szafirowe oczy były tak samo rozmarzone i pełne tajemnic. Tajemnicą tą, która odzwierciedlała się w szafirowych oczach Uny, było skryte uczucie dla Waltera Blythe, którego nikt oprócz Rilli nie podejrzewał. Z uczuciem Uny Rilla sympatyzowała i pragnęła, aby Walter takim samym uczuciem Unie się odwzajemnił. Rilla stanowczo wołała Unę od Flory, której uroda i zachowanie usuwały inne dziewczęta w cień, a Rilla nie lubiła pozostawać w cieniu.

Właściwie w danej chwili Rilla była najzupełniej szczęśliwa. Tak przyjemnie było iść wraz z przyjaciółmi szerokim gościńcem wysadzonym jodłami, których woń roztaczała się wokoło. Srebrzyste refleksy światła księżycowego pieściły szczyty pobliskich pagórków. Tuż przed nimi widniała przystań. W małym kościółku za portem dźwięczał dzwon, zamierając co chwilę i znów zanosząc hymn ku niebiosom. Gładka tafla zatoki była jeszcze srebrnobłękitna. Och, wszystko było takie piękne: czyste powietrze ze swym słonym posmakiem, balsamiczna woń jodeł, głośnie śmiechy przyjaciół. Rilla kochała życie, jego rozkwit i powab, kochała muzykę, kochała odgłosy wesołej rozmowy. Pragnęła tak iść wiecznie tą drogą, pełną srebrzystych cieni. Był to jej pierwszy bal i na pewno spędzi czas wyśmienicie. Nie istniały na świecie zmartwienia, nawet o piegach zapomniała i o długich, chudych nogach, nic, z wyjątkiem drobnego lęku, że nikt jej nie poprosi do tańca. Jakżeż przyjemnie było pomyśleć, że się żyje, że się ma piętnaście lat, że się jest ładną! Rilla odetchnęła głęboko i nagle poczęła przysłuchiwać się rozmowie. Jim opowiadał Florze jakąś historię z wojny bałkańskiej.

- Doktor stracił obydwie nogi, był zupełnie pogruchotany i pozostawiony na polu walki w oczekiwaniu śmierci. Począł się czołgać od człowieka do człowieka, a wszyscy byli ranni. Czołgał się, jak długo mu sił starczyło, i czynił wszystko możliwe, aby ulżyć cierpieniom nieszczęśliwych. Nie myślał zupełnie o sobie, bandażując połamane ręce i nogi. Znalaziono potem doktora martwego, trzymającego zastygłe ręce na bandażu jakiegoś nieszczęśliwca, któremu opatrunkiem życie uratował. Czyż nie był to bohater, Floro? Powiadam ci, jak to czytałem...

Jim i Flora przyspieszyli kroku i dalsze słowa opowiadania zamarły w przestrzeni. Gertruda Oliver nagle zadrżała. Rilla przytuliła się do niej.

- Czy to nie straszne, panno Gertrudo? Nie dziwię się, że pani drży. Nie pojmuję, dlaczego Jim opowiada takie okropne rzeczy właśnie teraz, kiedy wszyscy są przejęci bałem.

- Uważasz, że to straszne, Rillo? Ja bym to raczej nazwała piękne. Taka historia zawstydzą tych, którzy zwątpili w szlachetność ludzkiej natury. Czyn tego człowieka był czynem Boga. Ludzkość zdolna jest jeszcze do poświęceń! Nie wiem sama, dlaczego zadrżałam, bo wieczór jest dosyć ciepły. Może coś kroczy wśród tych ciemności, coś, co ma być moim grobem. Takie wytłumaczenie nazwałby ktoś przesądem. Istotnie, nie chcę o tym myśleć w tę cudowną noc. Wiesz, Rillo, że gdy noc nadchodzi, jestem szalenie zadowolona, że mieszkam na wsi. Tylko tutaj można poznać prawdziwy czar nocy, którego mieszkańcy miasta zupełnie odczuwają. Wszystkie noce na wsi są piękne, nawet burzliwe. Uwielbiam dziką nocną burzę nad brzegiem tej starej zatoki. Dzisiejsza noc jest prawie za piękna i powinna należeć do młodych, do marzycieli. Ja się jej dziwnie lękam.

- Czuję się tak, jakbym była nieodłączną częścią tej nocy - wyszeptała Rilla.

- O, tak, ty jesteś młoda i nie lękasz się wielu rzeczy. Doszliśmy wreszcie do Wymarzonego Domku. Wydaje się dziwnie opuszczony tego lata. Fordowie nie przyjechali?

- Nie, to znaczy państwo Ford i Polcia nie przyjadą. Przyjechał tylko Krzysztof, lecz mieszka u krewnych swej matki za portem. Mało go widzimy tego lata. Kuleje trochę-, więc nie może dużo chodzić.

- Kuleje? A co mu się stało?

- Złamał nogę przy grze w football zeszłej jesieni i prawie całą zimę przeleżał. Od tego czasu kuleje, ale już mu lepiej i jest nadzieja, że wkrótce będzie zupełnie zdrowy. Tylko dwa razy tego lata był na Złotym Brzegu.

- Elżunia Reese po prostu szaleje za nim - wtrąciła Mary Vance. - Straciła zupełnie rozum, jeśli o niego chodzi. Szedł z nią z kościoła po ostatnim kazaniu i to, co ona teraz

wyrabia, jest nie do zniesienia. Jak gdyby taki chłopak, jak Krzyś Ford, kiedykolwiek poważnie pomyślał o wiejskiej dziewczynie!

Rilla spłonęła rumieńcem. Nie obchodziło jej, ile razy Krzysztof Ford odprowadzał do domu Elżunię Reese! Nic jej nie obchodziło, co się tyczyło Krzysztofa. Był przecież od niej o wiele starszy. Przyjaźnił się z Nan, Di i Florą, a na nią, na Rillę, spoglądał z góry, traktując ją jak dziecko. Nie lubiła Elżuni Reese i Elżunia także jej nie cierpiał. Nie znosiła Elżuni od chwili, gdy Walter zrobił taki kawał z Danem za czasów Doliny Tęczy, ale dlaczego Krzysztof Ford nie miał zwrócić na nią uwagi? - bo była wiejską dziewczyną? Co do Mary Vance, to ta dziewczyna lubiła tylko plotki i interesowała się wyłącznie tym, kto kogo odprowadził do domu!

Na samym wybrzeżu, w pobliżu Wymarzonego Domku, wznosił się niewielki filar, do którego przymocowane były dwie łodzie. Jedną łodzią miał kierować Jim Blythe, drugą Józio Milgrave, który znał się świetnie na wiosłowaniu i bardzo pragnął, aby Maniusia Pryor podziwiała jego silne muskuły. Wszyscy pobiegli w dół przystani i łódka Józia ruszyła z miejsca. Jeszcze kilka łodzi przybyło z portu od strony zachodniej. Wszędzie słychać było wesołe śmiechy. Wielka, biała wieża latarni Czterech Wiatrów połyskiwała światłami i sprawiała wrażenie dużej, mrugającej gwiazdy. Krewni latarnika z Charlottetown przybyli tu na letnisko i wyprawiali bal, na który zaprosili całą młodzież z Czterech Wiatrów, Glen St. Mary i spoza portu. Gdy łódź Jima zatrzymała się w pobliżu latarni morskiej, Rilla ściągnęła z nóg buty i ukryta za plecami panny Oliver, pośpiesznie włożyła srebrne pantofelki. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się przekonać, że kamienne schody, prowadzące do latarni, przepełnione były chłopcami i oświetlone lampionami, postanowiła więc, że nie może pokazać się na tych schodach w ciężkich butach, w których odbyła całą drogę. Pantofle strasznie ją uwierały, lecz nikt nie domyślił się tego, patrząc na uśmiechniętą Rillę, wstępującą swobodnie na schody z błyszczącym wzrokiem i zarumienionymi policzkami. Gdy tylko stanęła na górze, natychmiast jakiś chłopiec zza portu poprosił ją do tańca i po chwili znajdowali się już w pawilonie wybudowanym tuż obok latarni i przeznaczonym specjalnie do tańców. Śliczny to był pawilon pokryty dachem z gałęzi jodłowych i obwieszony dokoła lampionami. U stóp szemrało morze, z lewej strony zaglądał księżyc, a z prawej przylegały do ściany pawilonu małe skałki wyżłobione niby fotele. Rilla i jej partner zniknęli w tłumie tancerzy. Rilla oddychała z rozkoszą, wsłuchana w melodię, którą Ned Burr z samego Glen wygrywał na swych skrzypcach. Melodia ta posiadała dźwięk jakiejś starej baśni, która musiała oczarować wszystkich tańczących. Jaki przyjemny był chłodny powiew

od strony zatoki, jaki srebrzysty księżyc tej nocy! To było życie - życie pełne czaru. Rilla chwilami miała wrażenie, że skrzydła wyrastają jej u ramion.

IV.

SROKATY KOBZIARZ GRA

Pierwszy bal Rilli był prawdziwym triumfem, a przynajmniej takim wydawał się na początku. Miała tylu chętnych do tańca, że musiała obdzielać ich sprawiedliwie. Jej srebrne pantofelki zdawały się tańczyć same i chociaż uwierały coraz bardziej i raniły jej stopy, to jednak dotkliwy ból nie pogorszył jej zupełnie humoru. Elżunia Reese oczywiście nie omieszkła dokuczyć Rilli, wywołując ją tajemniczo na chwilę z pawilonu i szepcząc z chytrym uśmieszkiem, że suknia Rilli podarła się z tyłu i miała wielką plamę na falbanie. Rilla pobiegła szybko do jednego z pokojów latarni morskiej, który został przeobrażony na damską garderobę, i przekonała się, że wielka plama była tylko maleńką, niedostrzegalną plamką, a owa dziura była całkiem niewidoczna. Irena Howard zaszyła naprędce rozdarcie i obdarzyła Rillę całym mnóstwem miłych komplementów. Rilla była zachwycona Ireną. Irena pochodziła z Górnego Glen i chociaż miała lat dziewiętnaście, to jednak najchętniej przebywała w towarzystwie młodszych od siebie dziewcząt, którym, jak mówili złośliwi przyjaciele, mogła matkować nie lękając się rywalizacji. Rilla uznała, że Irena jest nadzwyczajna, i z całą ochotą przyjęła jej opiekę. Irena była ładna i posiadała pewien styl, śpiewała bosko, a wszystkie zimy przepędzała w Charlottetown ucząc się muzyki. Miała ponadto ciotkę w Montrealu, która przysyłała jej całe mnóstwo pięknych rzeczy: opowiadano o niej, że przeżyła jakąś wielką, smutną miłość, o której nikt nic dokładnego nie wiedział, ale tajemnica ta dodawała jej jeszcze uroku. Rilla czuła, że komplementy Ireny są niejako dopełnieniem przyjemnego wieczoru. Pobiegła wesoło z powrotem do pawilonu i przez chwilę stała w blasku lampionów u wejścia, przyglądając się tańczącym. Nagle ujrzała Krzysztofa Forda stojącego po przeciwległej stronie.

Serce Rilli zamarło, a właściwie na pewno by bić przestało, gdyby to było fizjologiczną możliwością. Więc był jednak tutaj.” Była pewna, że nie przyjdzie. Czy widział ją? Czy zwróci na nią uwagę? Zupełnie oczywiste, że nie zaprosi jej do tańca, tego nie mogła się spodziewać. Uważał ją zawsze za dziecko. Jeszcze trzy tygodnie temu, gdy był na Złotym Brzegu, nazwał ją „Pajakiem”. Potem długo płakała z tej przyczyny w swoim pokoju i znienawidziła go. Lecz serce jej zamarło po raz drugi, gdy dostrzegła, że Krzysztof kieruje się w jej stronę. Szedł do niej? Czy to możliwe? Tak, wyraźnie szedł w jej kierunku! Patrzył na nią, był już tuż obok, patrzył na nią z dziwnym wyrazem w swych ciemnoszarych oczach, którego Rilla nigdy dotąd nie dostrzegła. Och, to było zbyt wiele, aby mogła zachować

spokój! A wszystko działo się jak przedtem: pary tańczyły, chłopcy, którzy nie mieli partnerek, stali pod ścianami pawilonu, flirtujące pary siedziały na skałkach i wszyscy zdawali się nie dostrzegać, że coś ważnego się stało. Krzysztof był wysokim chłopcem, dobrze się prezentującym, z pewną niedbałą elegancją, przy której inni chłopcy wydawali się dziwnie sztywni i niezgrabni. Twierdzono, że jest bardzo inteligentny i że posiada wielką dozę miejskiej ogłady. Miał również opinię uwodziciela kobiet. Opinia ta prawdopodobnie powstała dzięki sposobowi, w jaki się śmiał, i dzięki temu, że posiadał wyjątkowo piękny tembr głosu, którego żadna dziewczyna nie mogła słuchać bez bicia serca i którego słuchałaby chętnie przez całe życie.

- Czy to Rilla-ma-Rilla? - zapytał cicho.

- Tak, Kssysiu - odparła Rilla i nagle zapragnęła wybiec z pawilonu i w ogóle zapaść się pod ziemię.

Rilla sepleniała trochę w latach swego wczesnego dzieciństwa, lecz teraz prawie zupełnie wyrosła już z tego. Tylko w chwilach zmieszania seplenienie powracało na nowo. Od roku nie sepleniała zupełnie, a tu nagle w tej chwili, gdy powinna była odpowiedzieć z całą godnością, zasepleniała ni z tego, ni z owego jak małe dziecko! To było przerażające. Czuła, że łzy napływają jej do oczu. Gotowa za chwilę rozbeczeć się, najzwyczajniej się rozbeczeć. Pragnęła, aby Krzysztof odszedł i nigdy więcej nie wrócił. Cała zabawa była zepsuta. Wszystko obróciło się w popioły i zgliszcza.

A on nazwał ją „Rilla-ma-Rilla”, nie „Pajakiem” albo „małą”, albo „kociakiem”, jak zwykł ją być nazywać, ilekroć raczył zwrócić na nią uwagę. Nie miała pretensji, że użył przydomka nadanego jej przez Waltera. Przydomek ten brzmiał dziwnie pięknie w jego ustach, szczególnie gdy położył specjalny nacisk na słowo „ma”. I wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby ona nie była taka głupia. Nie śmiała spojrzeć w górę, lękała się bowiem, że dostrzeże śmiech w jego oczach. Spoglądała więc na dół, a ponieważ rzęsy miała długie i ciemne, efekt był nadzwyczajny i Krzysztof pomyślał, że Rilla Blythe stanie się wkrótce najpiękniejszą dziewczyną na Złotym Brzegu. Chciał, aby spojrzała nań, aby mógł pochwycić na chwilę to nieśmiałe, pytające spojrzenie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że była najładniejszą dziewczyną na zabawie. „Co on powiedział?” - Rilla po prostu nie wierzyła własnym uszom.

- Czy moglibyśmy zatańczyć?

- Tak, Krzysiu- rzekła Rilla. Powiedziała to w najwyższym lęku, aby nie seplenić, i zarumieniła się przy tym słowie. Po chwili odzyskała humor. Głos jej posiadał taką pewność siebie, był tak pełen zapachu, że zdawać się mogło, iż rzuci się na szyję Krzysztofowi! Co on

sobie o niej pomyślał? Ach, dlaczego zdarzają się takie straszne rzeczy wówczas, gdy dziewczyna pragnie okazać się w jak najlepszym świetle?

Krzysztof pociągnął ją w tłum tańczących.

- Sądę, że moja noga nie będzie mi zbytnio w tańcu przeszkadzać - rzekł.

- A jak twoja noga? - zapytała Rilla. Och, dlaczego nie mogła czegoś innego powiedzieć? Wiedziała, że dawno znudzony był zapytaniem o nogę. Słyszała, jak mówił o tym na Złotym Brzegu i jak śmiał się do Di, że chyba zawiesi sobie plakat na piersiach, odpowiadający na te wszystkie pytania. A teraz ona znowu z tym głupim zapytaniem...

Krzysztof istotnie znudzony był zapytaniem o nogę, lecz nieczęsto pytania te wychodziły z takich usteczek, usteczek stworzonych do pocałunków, jak te, które uśmiechały się do niego. Prawdopodobnie z tej przyczyny odpowiedział na pytanie z uśmiechem, twierdząc, że noga dokucza mu tylko wówczas, gdy zbyt dużo chodzi albo stoi w jednej pozycji.

- Lekarze twierdzą, że za kilka miesięcy będzie już zupełnie silna, ale tej jesieni nie będę mógł grać w football.

Tańczyli razem, a Rilla zdawała sobie sprawę, że wszystkie dziewczęta jej zazdroszczą. Po skończonym tańcu wyszli na kamienne schodki, a Krzysztof zaproponował, aby przeszli się kawałek wybrzeżem, potem jednak noga zaczęła mu dokuczać i usiedli na piaszczystym brzegu. Krzysztof mówił do Rilli, jakby rozmawiał z Nan lub Di. Rilla dziwnie onieśmielona, nie mogła dużo mówić i była pewna, że Krzysztof uważa ją za bardzo głupią, pozbawioną zupełnie inteligencji. Ale mimo to wszystko było cudowne. Przepiękna noc księżycowa, połyskująca tafla morza, bielutka piana rozbijająca się o piaszczyste wybrzeże, chłodny, orzeźwiający wiaterek i melodyjne dźwięki muzyki, dochodzące od strony pawilonu.

- „W poświacie księżyca rusalki produkują swe tańce” - zacytował Krzysztof wyjątek z poezji Waltera.

A teraz właśnie oni oboje razem w tej poświacie księżyca przy dźwięku dalekiej melodii! Żeby chociaż te pantofle tak nie uwierały! I żeby mogła z nim tak rozsądnie rozmawiać, jak panna Oliver, albo żeby chociaż tak mogła mówić do niego, jak do innych chłopców! Lecz słowa się jakoś nie wiązały, mogła tylko słuchać i potakiwać, nie rozumiejąc w gruncie rzeczy znaczenia wypowiedzianych przez niego zdań. Widocznie jednak jej rozmarzone oczy, karminowe wargi i promienna twarzyczka zastępować musiały słowa, bo Krzysztof nie śpieszył się z powrotem do pawilonu, i gdy wreszcie zdecydowali się porzucić swe przyjemne ustronie na wybrzeżu, goście z latarni morskiej zasiadali już do kolacji. Usadowił się przy jej boku pod oknem w obszernej jadalni i obserwował ją, gdy jadła lody i

ciastka. Rilla rozglądała się dookoła, myśląc o tym, że ta pierwsza jej zabawa była niezwykle przyjemna. Na pewno n i g d y jej nie zapomni. Jadalnia rozbrzmiewała wesołymi śmiechami i żartami. Oczy gości płonęły rozbawieniem. Z pawilonu dochodziła melodia wygrywana na skrzypcach i odgłos rytmicznych kroków tancerzy.

Nagle jakiś szmer rozległ się w gromadce chłopców, stojących przy drzwiach. Wysoki młodzieniec przedarł się przez tłum i stanął na progu, spoglądając dokoła z powagą. Był to Janek Elliot z za portu, student medycyny, chłopiec raczej spokojny i mało towarzyski. Został również zaproszony na zabawę, lecz sądzono, że nie przyjdzie, bo przez cały dzień przebywał w Charlottetown i miał wrócić stamtąd dopiero późnym wieczorem. Stanąwszy teraz u wejścia, powiewał ku gościom płachtą rozłożonej gazety.

Gertruda Oliver spojrzała nań ze swego kąta i zadrżała. Ona również spędzała całkiem nieźle czas tego wieczoru spotkawszy jednego ze swych dawnych znajomych z Charlottetown, który nie znał tu prawie nikogo i był o wiele starszy od reszty gości. Nic dziwnego, że ogromnie się ucieszył, mogąc porozmawiać z panną Oliver o ostatnich ciekawych wydarzeniach na świecie. Gertruda tak była pochłonięta rozmową, że na chwilę zapomniiała nawet o swych porannych złych przeczuciach. I nagle pamięć o nich wróciła znowu. Jakie wiadomości przyniósł Janek Elliot? W umyśle jej zamajaczyły strofki starego wiersza: „Dochodziły z oddali odgłosy nocnej hulanki. Hu! Hu! Odgłosy te wzmagaly się z każdą chwilą”. Dlaczego teraz właśnie pomyślała o tym? Dlaczego Janek Elliot nic nie mówił, jeżeli miał coś do powiedzenia? Dlaczego stał na progu z taką poważną miną?

- Niech pan go zapyta - wyszeptała zwracając się do Allana Daly. Lecz już ktoś inny zadał pytanie. W jadalni zaległa śmiertelna cisza. Nawet w pawilonie skrzypce umilkły. Słyszać było tylko głośny szum fal zatoki, które przypłynęły tu prawdopodobnie od strony Atlantyku. Od skał doszedł głośny śmiech dziewczęcy i zamarł w oddali, jakby zawstydzony panującą dokoła ciszą.

- Anglia wypowiedziała dzisiaj wojnę Niemcom - rzekł z wolna Janek Elliot. - Wiadomość o tym nadeszła drogą telegraficzną w chwili, gdy wyjeżdżałem z miasta.

- Boże, dopomóż nam! - wyszeptała Gertruda Oliver z zapartym tchem. - Mój sen... mój sen! Pierwsza fala nadeszła.

Spojrzała na Allana Daly, usiłując się uśmiechnąć.

- Czyżby to miała być walka dobra ze złem? - zapytała.

- Lękam się, że tak - odparł poważnie.

Chóralny okrzyk rozległ się po jadalni - lekkiego zdziwienia i pozornego zainteresowania. Niewielka tylko część gości zdawała sobie sprawę, jaką wagę miała ta

wiadomość, większość nie wiedziała, że będzie ona miała i dla nich jakieś znaczenie. Po chwili tańce rozpoczęły się znowu i wesoło było jak przedtem. Gertruda i Allan Daly rozprawiali o nowinach przyciszonymi głosami. Walter Blythe zbladł i opuścił pokój. Przed latarnią spotkał Jima, biegnącego spiesźnie w kierunku skał.

- Słyszałeś, Jim?

- Tak. Kobziarz nadchodzi. Hura! Wiedziałem, że Anglia nie zostawi Francji na lodzie. Prosiłem kapitana Josiaha, aby wywiesił flagą, lecz twierdzi, że uczyni to dopiero po wschodzie słońca. Janek mówił, że jutro będą werbować ochotników.

- Żeby robić taką historię z głupstwa! - zawołała z niechęcią Mary Vance, gdy Jim odszedł. Siedziała na kamiennych schodkach z Millerem Douglasem, a było to nie tylko niezbyt romantyczne, lecz i bardzo niewygodne miejsce odpoczynku. Lecz Mary i Miller byli „obydwoje w tej chwili bardzo szczęśliwi. Miller Douglas był wielkim, silnym, nieokrzesany chłopakiem, który uważał język Mary Vance za niezwykle cięty, a jej białe oczy za gwiazdy pierwszej wielkości. Żadne z nich nie miało pojęcia, dlaczego właściwie Jim Blythe pragnął, aby wywieszono flagę na latarni morskiej. - Co to nas obchodzi, że w Europie jest wojna? Jestem pewna, że nas to nie dotyczy.

Walter spojrzał na nią, jakby nawiedzony nagle prorocstwem.

- Nim ta wojna minie - rzekł cedząc słowa przez zaciśnięte zęby - każdy mężczyzna, kobieta, każde dziecko w Kanadzie będzie ją czuło. Nawet tobie, Mary, da się we znaki. Będiesz czuła ją każdym nerwem, każdą tkanką swego ciała. Będziesz płakała krwawymi łzami, przeklinając wojnę. Kobziarz przyszedł i grać będzie na swej kobzie, aż wszystkie najdalsze zakątki świata usłyszą jego straszną i niesamowitą melodię. Lata miną, nim skończy się ten straszliwy taniec śmierci, a podczas tych lat wojna napęlni rozpaczą miliony serc ludzkich.

- Też coś! - rzekła Mary, która zawsze tak mówiła, gdy nie mogła wymyślić nic mądrzejszego. Nie wiedziała, co Walter ma na myśli, lecz czuła się jakoś nieswojo. Walter Blythe zawsze wypowiadał jakieś dziwne słowa. Chociażby ten jego Kobziarz: nie słyszała nic o nim od czasu dawnych zabaw w Dolinie Tęczy, a teraz znowu o nim coś bredzi. Nie lubiła historii o Kobziarzu i nie miała zamiaru wysłuchiwać takich bredni.

- Czy nie komponujesz, Walterze? - zapytał nadchodzący właśnie w tej chwili Henryś Crawford. - Wojna ta nie będzie trwała lata, skończy się za dwa, trzy miesiące. Anglia zmiecie Niemcy z mapy świata w bardzo krótkim czasie.

- Masz wrażenie, że wojna, do której Niemcy przygotowywały się przez dwadzieścia lat, zakonny się w ciągu kilku tygodni? - wybuchnął Walter. - Przecież to nie jest jakaś tam

wojenka w zakątku Bałkanów, Heniu. Tym razem będzie to walka śmiertelna. Niemcy postanowiły zwyciężyć lub zginąć. A wiesz, co się stanie, jak zwyciężą? Kanada będzie kolonią niemiecką.

- Mam wrażenie, że wiele jeszcze rzeczy stanie się przedtem - rzekł Henryś wzruszając ramionami. - Flota angielska zrobi wkrótce porządek, a my z Millerem tylko kurz będziemy zmiatali, prawda, Miller? Niech lepiej Niemcy nas nie zaczepiają, co?

Henryś ze śmiechem zbiegł po schodach.

- Uważam, że wszyscy chłopcy powariowali! - zawołała Mary Vance. Wstała i pociągnęła Millera w stronę wybrzeża. Rzadko się zdarzało, aby rozmawiali ze sobą, więc Mary wolała, aby tej dzisiejszej rozmowy nie psuł im Walter Blythe ze swoją historią o Kobziarzu, Niemcach i innych głupich rzeczach. Zostawili Waltera na schodach, zapatrzonego w daleką Przystań Czterech Wiatrów, której zdawał się właściwie nie widzieć.

Dla Rilli cały czar tego wieczoru prysnął także. Od chwili gdy Janek Elliot przyniósł te dziwne wiadomości, Krzysztof nie zwracał już więcej na nią uwagi. Uczuła się nagle samotna i nieszczęśliwa. Gorzej było, niż gdyby zupełnie był się nią nie zajmował. Czyżby życie było czymś takim wspaniałym i imponującym, co się potem nagle wymyka z rąk? Rilla pomyślała z patosem, że czuje się teraz o kilka lat starsza niż w chwili, gdy wychodziła z domu dzisiejszego wieczoru. Może istotnie tak się czuła. Kto wie? Nie należy śmiać się z bolesnej udręki młodych. Udręka ta jest o wiele bardziej przykra, bo młodzież nie nauczyła się jeszcze pokonywać przeszkód, które życie nastrecza. Rilla z westchnieniem zapragnęła znaleźć się teraz w domu, w łóżku, i móc się wypłakać do syta z twarzą ukrytą w poduszkach.

- Zmęczona? - zagadnął Krzysztof łagodnie, lecz obco, och, jak obco.

Pomyślała, że właściwie absolutnie go nie obchodziło, czy była zmęczona, czy nie.

- Krzysiu - zwróciła się doń nagle - nie sądzisz chyba, że ta wojna wywrze jakiś wpływ na Kanadę?

- Wpływ? Wywrze ona wpływ tylko na tych szczęśliwców, którzy będą mogli przyłożyć do niej rękę. Ja, niestety, nie mogę, przez tę przeklętą nogę. Niech to lichy porwie!

- Nie rozumiem, dlaczego mamy walczyć w wojnie Anglii z Niemcami? - zawołała Rilla. - Przecież Anglia sama sobie doskonale da radę.

- Nie masz racji. Jesteśmy częścią Państwa Brytyjskiego. Powinniśmy wspierać naszą macierz. Najgorsze jest to, że wojna minie, zanim ze mnie będzie jakiś pożytek.

- Więc zaciągnąłbyś się jako ochotnik, gdyby nie twoja noga? - zapytała Rilla niedowierzająco. Sama myśl wydała jej się ogromnie dziwna.

- Naturalnie. Tysiące pójdą. Założę się, że Jim także się stawi, bo Walter nie jest jeszcze zupełnie zdrowy, i Jerry Meredith pójdzie, i inni chłopcy! A ja się martwiłem, że nie będę mógł grać w football w tym roku!

Rilla była zbyt przerażona, aby móc wypowiedzieć choć jedno słowo. Jim i Jerry! Zawracanie głowy! Przecież ani ojciec, ani pan Meredith nigdy by na to nie pozwolili. Przede wszystkim chłopcy muszą skończyć uniwersytet. Och, dlaczego Janek Elliot nie zatrzymał dla siebie tych strasznych wiadomości?

Zbliżył się Marek Warren i poprosił ją do tańca. Poszła wiedząc, że Krzysztof w tej chwili nie troszczy się o nią zupełnie. Jeszcze przed godziną na wybrzeżu patrzył tak na nią, jakby była jedyną istotą na świecie godną zainteresowania. A teraz była dla niego niczym. Myśli jego w zupełności zajęte były wojną, tą Wielką Grą pełną krwi i łez. Grą, w której kobiety nie miały brać żadnego udziału. Kobiety, pomyślała Rilla z rozczarowaniem, zostaną w domu i będą płakały. Ale to wszystko była głupota. Krzysztof nie mógł pójść, sam przyznawał. Walter również nie mógł, dzięki Bogu, a Jim i Jerry na pewno będą mieli więcej rozumu. Rilla nie będzie się martwić, trzeba się bawić, póki czas. Jaki straszny był ten Marek Warren! Jak dziwnie odmierzał kroki. Jak chłopcy mogą tańczyć, skoro nie mają nawet pojęcia o tańcu, a szczególnie Marek, który miał takie wielkie, niezgrabne nogi? Popchnął ją na jakąś tańczącą parę! Już nigdy z nim nie zatańczy.

Tańczyła jednak z innymi, choć dobry humor nie chciał jakoś powrócić, i zaczęła sobie zdawać sprawę, że pantofle uwierają ją coraz bardziej. Widocznie Krzysztof już poszedł, bo nigdzie go jakoś nie było widać. Jednym słowem, ten jej pierwszy bal był zupełnie zepsuty, chociaż z podatku zapowiadał się tak pięknie. Głowa ją bolała, stopy piekły. A najgorsze miało dopiero nastąpić. Wraz z kilku parami poszła na wybrzeże, gdzie postanowiono odpocząć po ostatnim tańcu. Było tu chłodno i przyjemnie, a wszyscy byli ogromnie zmęczeni. Rilla siedziała w milczeniu, nie biorąc udziału w wesołej rozmowie. Ucieszyła się, gdy ktoś zauważył, że łodzie odpływają od brzegu. Rozległy się głośne śmiechy od strony latarni morskiej. Jeszcze kilka par kręciło się w pawilonie, lecz tłoku już nie było. Rilla rozejrzała się za towarzystwem z Glen. Nikogo jakoś nie mogła dostrzec. Pobiegła do latarni. I tutaj ani śladu. W przerażeniu zbiegła na dół, gdzie stali jeszcze goście spoza portu. Szykowano łodzie. Gdzie była łódź Jima, a gdzie Józia?

- Rillo, myślałam, że już dawno pojechałeś do domu - rzekła Mary Vanee powiewając szalem w stronę odpływającej łodzi, sterowanej przez Millera Douglasa.

- Gdzie reszta towarzystwa? - zapytała Rilla.

- Jak to, dawno odpłynęli. Jim odpłynął godzinę temu, bo Unę ogromnie rozboleła głowa. Reszta popłynęła w łodzi Józia przed piętnastu minutami. Widzisz, mijają właśnie wielki filar. Nie wsiadłam do łodzi, bo się boję morskiej choroby. Postanowiłam pójść do domu piechotą. Niedaleka droga, zaledwie półtorej mili. Myślałam, żebyś razem z nimi poszła. Gdzie byłaś?

- Na skałach z Janka i Maniusią Crawford. Och, czemu mnie nie zawołali?

- Szukali cię, lecz nigdzie nie mogli cię znaleźć. Wreszcie doszli do wniosku, że pojechałaś inną łodzią. Ale się nie martw. Możesz zostać u mnie na noc, a na Złoty Brzeg zatelefonujemy, gdzie jesteś.

Rilla doszła do wniosku, że istotnie nie miała innego wyjścia. Wargi jej drżały i łzy napływały do oczu. Wstrzymywała się wszelkimi siłami, aby Mary Vance nie zauważyła, że płacze. Jak mogli o niej zapomnieć! Pomyśleć, że nikt nawet nie zadał sobie trudu, aby ją odnaleźć, nawet Walter. Nagle przypomniała sobie.

- Moje buty! - zawołała. - Zostawiłam je w łodzi.

- Dobra jesteś - mruknęła Mary. - Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam tak bezmyślnego stworzenia. Poproś Halinkę Lewison, żeby ci pożyczyła parę butów.

- Nie będę jej prosić! - zawołała Rilla, bo nie lubiła bardzo Halinki. - Pójdę boso.

Mary wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. Duma zawsze musi cierpieć. Naucz cię to rozumu. Zatem ruszamy.

Wyruszyły. Lecz „wyruszyć” nie było tak łatwo w srebrnych, przyciasnych nieco pantofelkach, na wysokich francuskich obcasach. Rilla szła kulejąc i jęcząc z bólu, aż wreszcie dotarły do drogi portowej. Nie mogła iść dalej w tych pantoflach. Ból stawał się coraz bardziej dotkliwy. Zdjęła pantofle i jedwabne pończoszki, po czym swobodniej już poczęła iść boso. Marsz na bosaka również nie był przyjemny. Rilla miała nogi bardzo wrażliwe i za każdym krokiem jęczała, stąpając po drobnych kamykach. Napuchnięte pięty piekły coraz bardziej. Fizyczny ból jednak był niczym w porównaniu z moralnym samopoczuciem. Ładna historia! Powinien ją teraz zobaczyć Krzysztof Ford, jak idzie kulejąc i fala krwi ustawicznie napływa jej do twarzy! Och, cóż za straszne zakończenie przyjemnej zabawy! Wstrzymywała się od płaczu, bo to przecież byłoby okropne. Nikt się o nią nie troszczył, nikogo nie obchodziła. Może wreszcie zmartwią się, jak się zaziębi i rozchoruje po tym marszu na bosaka. Ukradkiem ocierała łzy szalikiem, bo chusteczka zapodziała się gdzieś razem z butami. Nie mogła jednak powstrzymać pociągania nosem. Coraz gorzej i gorzej!

- Przeziębiałaś się chyba czy co? - zauważyła Mary. - Nie powinnaś była siedzieć tak długo na skałach. Matka już tak prędko nie wypuści cię z domu, możesz być pewna! Ale

przyjęcie było wspaniałe. Lewisonowie umieją urządzać zabawy, trzeba im to przyznać, chociaż nie powiem, żebym tak bardzo kochała Halinkę. Po prostu zzieleniała, jak ujrzała ciebie tańczącą z Krzysiem Fordem. Tak samo ta mała czarownica, Elżunia Reese! Cóż to za flirciarz!

- Nie uważam, żeby był takim flirciarzem - rzekła Rilla słabym głosem, pociągając nosem z rozpaczą.

- Inaczej będziesz mówić, jak poznasz lepiej mężczyzn - rzekła Mary tonem dorosłej osoby. - Pamiętaj, że nie należy im wierzyć. Krzyś Ford także potrafi blagować. Trzeba mieć więcej sprytu, moje dziecko.

To matkowanie i moralizatorski ton Mary Vance były nie do zniesienia! Nieznośny również był spacer po kamienistej drodze z pęcherzami na bosych stopach! A jeszcze bardziej nieznośne było uczucie, że nie ma chusteczki wówczas, gdy łzy napływają coraz bardziej do oczu!

- Nie myślę... - wybąkała - ...zupełnie o Krzysztofie...

- Nie masz się czego obrażać, mała. Zawsze trzeba przyjmować rady starszych osób. Widziałam, jak wyrwałaś się na wybrzeże z Krzysiem i dość długo tam siedziałaś. Matka twoja nie byłaby zadowolona, gdyby o tym wiedziała.

- Wszystko mamie opowiem... i pannie Olivyer... i Walterowi - wyszeptała Rilla łkając. - A tyś nie siedziała przez dwie godziny na schodkach z Millerem Douglassem, Mary? Co by pani Elliot na to powiedziała?

- Och, nie mam zamiaru się z tobą kłócić! - zawołała Mary rejterując nagle. - Muszę ci tylko powiedzieć, że mogłabyś z tym wszystkim poczekać, aż dorośniesz.

Rilla zrezygnowała z ukrywania przed Mary płynących po policzkach łez. Wszystko było popsute, nawet ta romantyczna godzina z Krzysztofem w poświęceniu księżycy na piaszczystym wybrzeżu - została sprofanowana. Czuła wstręt do Mary Vance.

- Co się znów stało? - zawołała zdziwiona Mary. - Czego płaczesz?

- Nogi... tak mnie bolą... - szlochała Rilla rezygnując ze swej dotychczasowej dumy. Lepiej już było złożyć wszystko na karb pokaleczonych nóg niż przyznać się do tego, że się cierpi moralnie, że cierpienie to zrodziło się z prostej niechęci do kogoś lub z tej przyczyny, że przyjaciele przestali się troszczyć o nią.

- Ja myślę, że bolą - rzekła Mary nieco łagodniej. - Uspokój się. Jak przyjdziemy do domu, dam ci trochę gęsiego smalcu, który Kornelia przechowuje w spiżarni. Taki smalec lepiej robi niż wazelina. Musisz wysmarować nim nogi przed pójściem do łóżka.

Gęsi smalec zamiast wazeliny! Więc takie miało być zakończenie pierwszego balu, wspomnienie pierwszego adoratora i pierwszego flirtu przy księżycu!

Rilla postanowiła więcej nie płakać i otarłszy łzy, z najwyższą niechęcią zdecydowała się położyć do łóżka Mary Vance. Na dworze wstawał szarawy świt. Kapitan Josiah dotrzymał słowa i na latarni Czterech Wiatrów o wschodzie słońca powiewała już wielka, brytyjska kolorowa flaga.

V. „ODGŁOSY PRZYJŚCIA”

Rilla zbiegła poprzez rozslonecznione łąki, ciągnące się za Złotym Brzegiem, do swego ulubionego ustronia w Dolinie Tęczy. Usiadła na omszałym kamieniu wśród paproci, wsparła podbródek na rękach i zawisa wzrokiem na błękitnym nieboskłonie sierpniowego popołudnia, tak błękitnym, tak pełnym spokoju, tak niezmiennym, jakiego nie pamiętała nawet za dawnych lat dzieciństwa.

Pragnęła być sama, podumać, przystosować się, o ile możliwe, do nowego świata, do którego została przeniesiona tak nagle, że nie zdołała się nawet opamiętać. Czy mogła to być ta sama Rilla Blythe, która przed sześciu dniami tańczyła w Latarni Czterech Wiatrów, zaledwie przed sześciu dniami? Rilla zdawało się, że przez te sześć dni przeżyła i przemyślała więcej niż w całym swoim poprzednim życiu. Ów wieczór, pełen nadziei i lęku, pełen triumfu i rozczarowania, wydawał się jej teraz historią zamierzchłych czasów. Czy to było możliwe, że płakała dlatego, że zapomniano o niej i że musiała iść do domu z Mary Vance? Ach, myślała Rilla ze smutkiem, jakie głupie i bezsensowne były te Izy, a przynajmniej takimi teraz jej się wydawały. Mogłaby płakać z ważniejszych przyczyn, ale nie zapłacz, nie trzeba. Co to było, co powiedziała matka, gdy pobladłe usta jej drżały, a oczy płonęły jakimś niesamowitym ogniem, jakiego Rilla jeszcze nigdy u mej nie widziała?

„Gdy nasze kobiety tracą odwagę, Czyż mężczyźni mają również wyzbyć się lęku?” Tak, to było to. Rilla musi być odważna jak matka, jak Nan, Flora, która zawołała z blaskiem w oczach: „Och, gdybym tylko była mężczyzną, poszłabym na pewno!” Tylko gdy oczy zaczynają boleć, gdy w gardle zaczyna coś dławić, Rilla ucieka z domu i kryje się w Dolinie Tęczy na chwilę, aby pomyśleć trochę, aby przypomnieć sobie, że nie jest już więcej dzieckiem, że jest dorosłą kobietą, a kobiety powinny patrzeć niebezpieczeństwu śmiało w oczy. Jak przyjemnie było zostać samej, kiedy nikt nie może tego zauważyć, kiedy nie czuje się wokół ludzi, którzy uważają ją za tchórza, gdy dostrzegą w jej oczach mimowolne łzy.

Jak słodko i upojnie pachną paprocie! Jak miękko i tajemniczo falują konary sosen i szemrzą nad nią! Jak przyjemnie dźwięczą dzwoneczki na Trójce Kochanków, poruszone lekkim wiatrem! Jak pięknie lśni szmaragdowa łąka, przystrojona różnobarwnym kwieciami. Wszystko było takie samo, jak widziała już tysiące razy, a jednak cały świat uległ jakiejś zmianie.

„Jakże byłam podła, pragnąc, aby stało się coś dramatycznego! - myślała. - Och, gdyby wróciły te drogie, monotonne, przyjemne dni! Nigdy już, nigdy nie będę na nie narzekała!”

Świat Rilli rozpadł się na drobne cząsteczki. Zaraz nazajutrz po zabawie. Gdy zebrali się wszyscy przy obiedzie na Złotym Brzegu i rozmawiali o wojnie, nagle zadzwieczał telefon. Telefonował ktoś z Charlottetown do Jima. Gdy skończył rozmowę i zawiesił słuchawkę, wrócił do pokoju z rozgorzałą twarzą i błyszczącymi oczami. Zanim jeszcze zdążył wypowiedzieć słowo, twarze matki, Nan i Di pobladły. Co do Rilli - to po raz pierwszy w życiu słyszała wyraźnie bicie własnego serca i uczuła dziwne dławienie w gardle.

- Ojczy, zaciągają ochotników w mieście - rzekł Jim. - Dwudziestu już się zaciągnęło. Dziś wieczorem i ja się zapiszę.

- Och, mały Jim! - zawołała pani Blythe z rozpaczą. Nie nazywała go tak od wielu lat, od owego dnia, kiedy zapowiedział jej, że przestał być dzieckiem. - Och... nie... nie... mały Jim.

- Muszę, mateczko. Marii rację, prawda, ojczy? - zapytał Jim. Doktor Blythe wstał. Twarz jego była również blada, a głos ochrypły. Lecz doktor Blythe się nie wahał.

- Tak, Jim, tak, jeżeli tak czujesz...

Pani Blythe ukryła twarz w dłoniach. Walter spoglądał ponuro na swój talerz. Nan i Di ścisnęły się za ręce. Shirley usiłował zachować spokój. Zuzanna siedziała oniemiała nad kawałkiem nie dojedzonego pasztetu, leżącego na talerzu. Pasztetu tego nie zjadła już potem, chociaż zdaniem Zuzanny niezjedzenie wszystkiego, co się ma na talerzu, byłoby obrazą dla reszty towarzystwa. Tym razem Zuzanna nie zdawała sobie sprawy z tego, co czyni.

Jim skierował się znowu do telefonu.

- Muszę zadzwonić na plebanię. Jerry na pewno także będzie chciał pójść.

Na te słowa Nan wydała głośny okrzyk: „Och!”, jakby ktoś nóż zatopił w jej sercu, i pędem wybiegła z pokoju. Di pośpieszyła za nią. Rilla zwróciła się do Waltera z niemą prośbą o pomoc, bo on jeden jej pozostał podczas tej ogólnej konsternacji.

- Dobrze - mówił Jim, tak spokojnie, jakby aranżował jakiś piknik. - Wiedziałem, że zechcesz... Tak, dzisiaj wieczorem... o siódmej. Spotkamy się na stacji. Bądź zdrów.

- Droga pani doktorowo - rzekła Zuzanna odsuwając na bok swój talerz z pasztetem - niech mnie pani obudzi. Nie wiem, czy śnię, czy to wszystko jest prawdą? Czy ten chłopak uczyni lak, jak mówi! Czy naprawdę ma zamiar zaciągnąć się do wojska? Nie wmówicie mi, że w wojsku potrzebne są takie dzieci! To przecież podłość. Chyba pan doktor i pani doktorowa nie pozwolą na to.

- Nie możemy go zatrzymywać - rzekła pani Blythe zdławionym głosem.- Och, Gilbert!

Doktor Blythe stanął za krzesłem żony i ujął łagodnie jej rękę, spoglądając w szare oczy, które raz tylko jeden widział tak smutne, jak teraz. Obydwojgu przyszła na myśl ta dawna chwila przed laty, w Wymarzonym Domku, gdy mała Joyce umarła.

- Mogłabyś go zatrzymywać, Aniu, gdy inni idą i gdy on uważa, że to jest jego obowiązkiem? Chciałabyś, żeby był taki małoduszny i egoistyczny?

- Nie... nie! Ale... och... nasz najstarszy syn... Przecież jest jeszcze taki młody... Gilbertcie... Będę się starała być dzielną... teraz nie mogę. To wszystko przyszło tak nagle. Daj mi trochę czasu.

Doktor wraz z żoną wyszli z pokoju. Wyszedł Jim, wyszedł Walter, a Shirley zabierał się do wyjścia. Rilla i Zuzanna zostały spoglądając na siebie przez stół. Rilla jeszcze nie płakała, była zbyt ogłuszona, aby móc płakać. Potem nagle ujrzała, że Zuzanna płacze, Zuzanna, w której oczach nigdy nie widziała łez.

- Ach, Zuzanno, czy on naprawdę pójdzie? - zapytała.

- To... to jest takie straszne - wyszeptała Zuzanna. Wytarła łzy, poprawiła fartuch i podniosła się.

- Muszę umyć naczynia. Takie rzeczy należy robić codziennie, chociażby ktoś nawet szalał z rozpacz. Ty nie płacz, maleńka. Jim pójdzie prawdopodobnie, lecz wojna minie, zanim go wyślą na front. Bądź dzielna i nie przysparzaj zmartwienia twojej biednej matce.

- W dzisiejszych „Przedsięwzięciach” pisali, że Lord Kitchener twierdzi, iż wojna potrwa trzy lata - rzekła Rilla niepewnie.

- Nie znam Lorda Kitchenera - odparła Zuzanna ze spokojem - lecz sądzę, że tak samo jest omylny, jak inni ludzie. Ojciec twój mówi, że wojna minie za kilka miesięcy, a ja bardziej jemu wierzę niż jakiemuś tam lordowi. Bądźmy więc spokojni i ufajmy Wszechmocnemu.

Jim i Jerry wyjechali tego wieczoru do Charlottetown, a w dwa dni później wrócili w mundurach. Całe Glen było podniecone z tego powodu. Życie na Złotym Brzegu stało się nagle nerwowe, pełne podnieceniami niepokoju. Pani Blythe i Nan zachowały niespodziewany spokój i uśmiechały się nawet. Pani Blythe z panną Kornelią zaczęły organizować Czerwony Krzyż. Doktor i pan Meredith werbowali mężczyzn do Komitetu Patriotycznego. Rilla po pierwszym szoku otrząsnęła się, chociaż w głębi serca czuła dotkliwy ból. Jim imponująco wyglądał w mundurze. Przyjemnie było pomyśleć, że młodzież kanadyjska tak spieszenie odpowiedziała na zew swojej ojczyzny. Rilla nosiła głowę wysoko i

z góry spoglądała na dziewczęta, których bracia do wojska się nie zaciągnęli. W pamiętniku swoim zapisała:

Uczył to, co i ja bym uczyniła, gdybym była chłopcem.

Na pewno myślała tak, jak pisała. Gdyby była chłopcem, poszłaby również! Na ten temat nie miała żadnych wątpliwości.

Zastanawiała się nad tym, czy bardzo podle było z jej strony uczucie radości, że Walter nie jest jeszcze zupełnie zdrow i nie może pójść do wojska.

Nie przeżyłabym tego, gdyby Walter się zaciągnął - pisała: - Bardzo kocham Jima, ale Walter jest dla mnie czymś więcej, najukochańszą istotą na świecie i na pewno umarłabym, gdyby poszedł. Zdaje się być taki zmieniony w ostatnich dniach: Prawie że nie rozmawia ze mną. Sądzę, że chciałby pójść i boleje nad tym, że to jest niemożliwe. Nie odprowadził nawet Jima i Jerry'ego. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Zuzanny, gdy Jim przyjechał do domu w mundurze. Skrzywiła się dziwnie i uczyniła taki grymas, jakby miała płakać. „Wyglądasz prawie jak dorosły mężczyzna, Jim” - powiedziała tylko. Jim zaśmiał się. O n nie przejmuję się tym, że Zuzanna wciąż traktuje go jak dziecko. Wszyscy są zajęci, oprócz mnie, a chciałabym mieć coś do roboty, chociaż nie wiem, co to by być mogło. Mama, Nan i Di są ciągle zajęte, a ja spaceruję po domu jak samotny duch. Najbardziej boli mnie, że mama i Nan uśmiechają się, choć w gruncie rzeczy w oczach mają łzy. W oczach mamy nie widać już tych dawnych ogników. Mam wrażenie, że i ja nie powinnam teraz śmiać się, że mój śmiech jest okrucieństwem. A tak trudno wstrzymać mi się od śmiechu, chociaż Jim idzie do wojska. Ale wówczas nawet, gdy śmieję się, nie jestem wesółą, jak byłam dawniej. Istnieje coś, co mnie boli, szczególnie wówczas gdy budzę się w nocy. Wtedy płaczę, bo lękam się, że Lord Kitchener ma słuszność, że wojna potrwa kilka lat i że może Jim... ale nie, nie napiszę tego. Gdybym napisała, to jeszcze mogłoby się stać naprawdę. Któregoś dnia Nan powiedziała: „Nie może być u nas tak, jak było przedtem”. Uczułam dziwny bunt. Dlaczego nie może być tak samo znowu, gdy wszystko minie i Jim i Jerry wrócą z wojska? Będziemy szczęśliwi i weseli, a te dni straszne wydadzą nam się tylko koszmarnym snem.

Przybycie poczty jest najważniejszą chwilą dnia. Ojciec chwyta gazetę, czego nigdy przedtem nie robił, a cała rodzina otacza go, czytając z daleka nagłówki podawanych wiadomości. Zuzanna twierdzi, że nie wierzy gazetom, lecz zawsze podchodzi do drzwi kuchni, przysłuchuje się, a potem odchodzi kiwając głową. Jest strasznie zagniewana ostatnio, lecz gotuje wszystkie potrawy, które Jim lubi najbardziej, i nie czyni awantur, gdy zastaje Wtorka na swoim łóżku w alkowie, na kołdrze haftowanej jeszcze przez panią Małgorzatę Linde. „Wszechmocny tylko wie, gdzie twój pan będzie spoczywał, ty biedne, nieme stworzenie” -

mówiła zdejmując go delikatnie z łóżka. Nigdy w ten sposób nie zwracała się do Doca. Mówi, że gdy zobaczył Jima w mundurze, Doc od razu zmienił się w Mr Hyde'a i dopiero wówczas okazał się takim, jakim jest w istocie. Zuzanna jest strasznie zabawna, ale pocziwa z niej staruszka. Shirley powiada, że jest ona półaniołem, a ta druga połowa to dobra kucharka. Ale Shirley jest jedynym z nas wszystkich, którego Zuzanna nie łaje.

Flora Meredith jest nadzwyczajna. Mam wrażenie, że ona i Jim są naprawdę zaręczeni. Flora chodzi po domu z błyszczącymi oczami, lecz uśmiech jej jest jakiś dziwny, taki sam, jak uśmiech mamy. Wątpię, czy ja potrafiłabym być taka dzielna, gdybym miała narzeczonego, który poszedł na wojnę. Dosyć, jeżeli się ma na wojnie brata. Bertie Meredith płacze całymi nocami, jak mówi pani Meredith, gdy słyszy, że Jim i Jerry poszli do wojska. Chciałby wiedzieć, czy „KK” to znaczy „Król Królów”. Strasznie miły z niego dzieciak. Przepadam za nim, chociaż na ogół dzieci nie lubię. Wcale nie lubię dzieci, a jak przyznaję się do tego, to ludzie patrzą na mnie, jakbym powiedziała coś bardzo szokującego. Nie lubię i koniec, jestem szczerą. Mogę patrzeć na ładne, czyste dziecko siedzące u kogoś na ręku, ale wolę go nie dotykać, bo nie mam do tego żadnego pociągu. Gertruda Oliver powiada, że ona czuje to samo. (Gertruda jest najbardziej szczerą osobą, jaką znam. Ona n i g d y nie udaje). Twierdzi, że dzieci męczą ją, a gdy są już takie duże, że umieją mówić, to przecież przestają być dziećmi. Mama, Nan i Di szalenie lubią dzieci i uważają mnie za anormalną dlatego, że ich nie lubię.

Krzysztofa nie widziałam od owej nocy podczas balu. Był tutaj pewnego wieczoru po powrocie Jima, ale mnie wtedy w domu nie było. Wątpię, czy wspominał o mnie w ogóle, bo nikt mi o tym nic nie mówił, a ja oczywiście nie pytałam. Wcale nie dbam o niego. To wszystko w tej chwili nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Najważniejsze jest to, że Jim zapisał się na ochotnika do służby czynnej i za kilka dni ma pojechać do Valcartier. Mój duży, wspaniały brat Jim! Och, jaka ja jestem z niego dumna!

Przypuszczam, że Krzysztof też by się zapisał, gdyby nie jego noga. Sądzę, że to jest przeznaczenie. Przecież Krzysztof jest jedynakiem i matka zamartwiłaby się, gdyby poszedł. Jedynacy nigdy nie powinni myśleć o wojsku!

Walter wolnym krokiem szedł doliną z głową opuszczoną i założonymi w tył rękami. Ujrzawszy Rillę cofnął się, lecz po chwili skierował się w jej stronę.

- Rillo-ma-Rillo, o czym myślisz?

- Wszystko się tak zmieniło, Walterze - rzekła Rilla w zadumie. - Nawet ty... ty także jesteś zmieniony. Tydzień temu wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi... a... a teraz po prostu zupełnie nie mogę się odnaleźć. Ginę w tym chaosie.

Walter usiadł na pobliskim kamieniu i ujął małą, delikatną rączkę Rilli.

- Obawiam się, że nasz stary świat się skończył, Rillo. Stanęliśmy w obliczu tego faktu.

- Tak strasznie jest myśleć o Jimie - szepnęła Rilla. - Czasami zapominam na krótką chwilę, co to wszystko znaczy, i czuję się dziwnie dumna... a potem przychodzi to na mnie znowu, jak zimny wiatr.

- Zazdrościsz Jimowi - rzekł Walter ponuro.

- Zazdrościsz! Och, Walterze, ty... ty nie chciałbyś iść?

- Nie - rzekł Walter patrząc przed siebie na pobliską ukwieconą łąkę - nie, nie chciałbym iść. W tym właśnie całe zmartwienie. Rillo, ja się boję pójść. Jestem tchórzem.

- Nieprawda! - wybuchnęła Rilla z gniewem. - Każdy by się lękał. Mógłbyś przecież... mógłbyś zostać zabity.

- Nie zważałbym na to, gdyby to nie bolało - wymamrotał Walter. - Wątpię, czy boję się śmierci samej... Boję się bólu, który jest przedtem... Umrzeć nie byłoby tak strasznie, ale cierpieć! Rillo, zawsze się bałem cierpienia, wiesz o tym. Nie mogę tego opanować... drzę na samą myśl, że jakaś kula mogłaby mnie zranić... że mógłbym stracić wzrok. Rillo, nie mogę myśleć o tym. Być ślepym... nie widzieć świata... nie widzieć księżyca nad Przystanią Czterech Wiatrów... gwiazd, mrugających spoza drzew... połysku wody w zatoce... Powinienem pójść... powinienem mieć tę ochotę, lecz nie mam. Nienawidzę myśli o tym i wstydzę się... strasznie się wstydzę.

- Ale przecież i tak nie mógłbyś pójść - rzekła Rilla żałośnie. Przejęta była nowym strachem, że Walter jednak zdecyduje się zaciągnąć do wojska. - Nie jesteś jeszcze zupełnie zdrowy.

- Owszem, jestem. Czuję się zupełnie dobrze. Wiem doskonale, że przeszedłbym przez każdą komisję. Wszyscy myślą, że nie jestem jeszcze dość silny, a ja się osłaniam tym mniemaniem. Powinienem... powinienem być dziewczyną! - zakończył Walter z wybuchem namiętnej goryczy.

- Nawet gdybyś był zupełnie zdrowy, to i tak byś nie poszedł - szlochała Rilla. - Co by mama zrobiła? Ona i tak strasznie się martwi o Jima. Nie przeżyłaby tego, gdybyście obydwaj poszli.

- Och, nie martw się, nie pójdę. Powiadam ci, że się boję... boję. Sam nie chcę myśleć o tym. Tobie jednej o tym mówię, nikomu bym się nie zwierzył. Nawet Nan i Di na pewno by mnie nie zrozumiały. Nienawidzę tego wszystkiego, strachu, bólu i okrucieństwa. Wojna nie jest paradą pięknych uniformów. Wszystko, co czytałem o wojnie, przejmowało mnie

wstrętem. Leżę w nocy z otwartymi oczami i widzę te wszystkie okropności, widzę krew, walkę i całą ohydę tego wszystkiego. Jestem po prostu chory, myśląc o tym, myśląc, że mógłbym na przykład zanurzyć bagniet w piersi innego żołnierza. - Walter zadrżał przy tych słowach. - Myślę o tych wszystkich rzeczach i jestem pewien, że Jim i Jerry nigdy o nich nie myślą. Śmieją się i mówią o „zniszczeniu Hunów”! Po prostu szaleję patrząc na ich mundury. A oni myślą, że przykro mi jest dlatego, że pójść nie mogę.

Zaśmiał się z goryczą. Nie jest rzeczą przyjemną czuć się samemu tchórzem. Rilla otoczyła ramieniem jego szyję. Była taka szczęśliwa, że on nie pójdzie, bo jeszcze przed sekundą myśl o tym przejmowała ją lękiem. I tak przyjemnie było posiadać zupełne zaufanie Waltera, który opowiadał jej o rzeczach, o jakich nigdy by nie mówił nawet Di. Nie czuła się już teraz taka samotna i nikomu niepotrzebna.

- Nie gardzisz mną, Rillo-ma-Rillo? - zapytał Walter w zamyśleniu. Widocznie zależało mu na tym, aby Rilla nim nie pogardzała, może zależało mu nawet więcej, niż gdyby gardziła nim Di. Dopiero teraz zorientował się, jak bardzo kochał swą siostrzyczkę, jak bardzo lubił jej rozumne oczy i smutną dziewczęcą twarz.

- Nie, przecież setki ludzi myśli tak samo, jak ty. Znasz ten wiersz Szekspira: „Odważnym człowiekiem nie jest ten, kto nie odczuwa strachu”.

- Nie, ale jest ten, „którego szlachetna dusza swój strach pokonuje”. Ja nie czynię tego. Nie możemy pochwalać tego, Rillo. Jestem tchórzem.

- Nieprawda. Pamiętasz, jak dzielnie walczyłeś przed paru laty z Danem Reese?

- Jeden dowód odwagi nie starczy na całe życie.

- Słyszałam raz, jak ojciec mówił, że najbardziej się martwi o to, iż masz taką wrażliwą naturę i żywą wyobraźnię. Teraz dopiero rozumiem, co miał na myśli. Otóż ty w y c z u w a s z rzeczy, zanim jeszcze one przychodzą, wyczuwasz je sam, jeżeli nie możesz im się oprzeć, schodzisz im z drogi. Nie potrafię wytłumaczyć tego; dokładnie, ale doskonale rozumiem samo znaczenie. W każdym razie nie jest to nic takiego, czego by należało się wstydzić. Gdy ty i Jim poparzyliście sobie ręce, jak zapaliła się trawa na pagórku, dwa lata temu, to Jim więcej narzekał na ból niż ty. A na tę obrzydliwą wojnę to i bez ciebie dosyć chłopców pójdzie, zresztą ona nie będzie trwała długo.

- Chciałbym w to wierzyć. Ale nadeszła pora kolacji, Rillo. Idź już lepiej. Ja i tak nic jeść nie będę.

- Ja także nic do ust nie wezmę. Pozwól mi tu z tobą zostać, Walterze. Tak przyjemnie z kimś pogadać o tym wszystkim. Oni wszyscy myślą, że ja jeszcze jestem dzieckiem i nic nie rozumiem.

Siedzieli więc tak we dwoje w starej dolinie do chwili, kiedy zabłysła pierwsza gwiazda na niebie i gdy zmrok począł otaczać wszystko wokoło. Był to jeden z tych wieczorów, które Rilli na zawsze utkwili w pamięci. Po raz pierwszy wówczas Walter rozmawiał z nią nie jak z dzieckiem, tylko jak z kobietą dorosłą. Uspokajali i wspomagali się wzajemnie. Walter przy końcu tego wieczoru doszedł do wniosku, że wojna nie była tak straszna, a Rilla odczuwała niezwykle zadowolenie mogąc go pocieszyć. Była jednak komuś potrzebna na świecie.

Gdy wrócili na Złoty Brzeg, zastali gości siedzących na werandzie. Z plebanii przyszli państwo Meredith, a z odległej farmy państwo Douglas. Kuzynka Zofia była również i siedziała w drzwiach jadalni razem z Zuzanną. Pani Blythe, Nan i Di nie było w domu, lecz był za to doktor Blythe i Dr Jekyll, który zajął swe zwykłe miejsce na górnym stopniu werandy. Oczywiście wszyscy rozmawiali o wojnie z wyjątkiem Dr Jekylla, który posiadał własne zmartwienia i spoglądał w przestrzeń z taką zadumą, jak tylko koty to potrafią. W ostatnich dniach, gdy się zebrało dwoje ludzi, musieli koniecznie rozmawiać o wojnie, a stary Hieronim Sandy zza portu mówił o niej nawet sam ze sobą, nie pozostawiając suchej nitki na Kaiserze. Walter wymknął się szybko, nie chcąc, aby go dostrzeżono, Rilla zaś siadła na schodkach werandy, wdychając capach kwiatów, płynący z ogrodu. Wieczór był chłodny, księżycowy i spokojny. Czuła się dzisiaj o wiele szczęśliwsza niż podczas ostatnich dni. Nie męczyła jej już myśl, że Walter zaciągnie się do wojska.

- Sam bym poszedł, gdybym był o dwadzieścia lat młodszy! - krzyczał Norman Douglas. Norman zawsze krzyczał w chwilach podniecenia. - Dopiero pokazałbym Kaiserowi! Czy nie mówiłem zawsze, że to jest piekło? Oczywiście, że piekło, tuzin piekieł, setki piekieł, wszędzie gdzie dosięgnie ręka Kaisera.

- Wiedziałam, że ta wojna wybuchnie - rzekła Helena Douglas z triumfem. - Wiedziałam, że szybko nastąpi. Mogłabym powiedzieć tym wszystkim głupim Anglikom, co ich czeka. Mówiłam ci, Johnie Meredith, jeszcze kilka lat temu, co nam szykuje Kaiser, a tyś nie chciał wierzyć. Twierdziłeś, że wojny nie będzie. I kto miał rację? Ty czy ja? Powiedz!

- Miałaś rację, przyznaję - rzekł pan Meredith.

- Teraz za późno jest przyznawać! - zawołała pani Helena potrząsając głową, jakby chciała pouczyć Johna Mereditha, że gdyby przyznał jej słuszność wcześniej, to na pewno by wojny wcale nie było.

- Dzięki Bogu, flota angielska jest przygotowana - wtrącił doktor.

- Całe szczęście - potaknęła pani Helena. - Anglicy przygotowywali się od dawna.

- A jednak znaleźli się w bardzo przykłej sytuacji - dorzuciła kuzynka Zofia ze smutkiem. - Nie chcę prorokować, ale bardzo się boję.

- Ktoś mógłby przypuścić, że Anglia przegrała już wojnę, moja Zofio! - zawołała Zuzanna. - Poglądy twoje nigdy nie zgadzają się z moimi. Według mnie, flota angielska pobije Niemcy na kwaśne jabłko i wyjdziemy z tej całej wojny bez szwanku.

Zuzanna wypowiedziała te słowa, jakby chciała raczej siebie niż innych przekonać. Posiadała własny zapas domowej filozofii, którą kierowała się w życiu, lecz nie przejmowała się specjalnie opowiadaniem o zdarzeniach dni ostatnich. Bo cóż przyzwoita, ciężko pracująca, prezbiteriańska stara panna z Glen St. Mary mogła mieć wspólnego z wojną, która się toczyła w odległości tysiąca mil? Zuzanna czuła, że wojna ta nie może pod żadnym Względem zaważyć na jej losach.

- Armia angielska usadzi Niemców! - wrzeszczał Norman. - Zaczekajmy tylko aż wyjdzie do pierwszej linii frontu, wówczas Kaiser zrozumie, że wojna jest czymś innym od galowej parady w Berlinie.

- Anglia nie ma wielkiej armii - rzekła pani Helena z patosem. - Nie patrz tak na mnie, Norman. Twoje spojrzenie nie stworzy żołnierzy. Sto tysięcy ludzi jest niczym w porównaniu z milionami Niemców. To będzie dla nich po prostu jeden łyk.

- Ale, jak będą chcieli ich połknąć, -to się udławia! - zawołał Norman ze złośliwym uśmiechem. - Niemcy połamią sobie na nich zęby. Przyznasz chyba, że jeden żołnierz angielski starczy za dziesięciu cudzoziemców. Sam dałbym sobie radę z tuzinem wrogów, gdyby nawet ręce mi związane.

- Słyszałam - wtrąciła znów Zuzanna - że pan Pryor nie wierzy w tę wojnę. Podobno twierdzi, że Anglia przystąpiła do wojny tylko dlatego, że zazdrościła Niemcom, ale w gruncie rzeczy wcale się nie troszczy o to, co się z Belgią stanie.

- Nie do uwierzenia, żeby dorosły człowiek mógł wypowiadać takie brednie! - zawołał Norman. - Nie słyszałem co prawda, jak mówił o tym, ale gdybym słyszał, Księżycowy Brodacz popamiętałby mnie na całe życie. Moja sympatyczna krewna, Kitty, także coś mówiła na ten temat. Całe szczęście, że nie do mnie. Ludzie wiedzą, że w mojej obecności nie można prowadzić takich idiotycznych rozmów. Na pewno kości ucierpiałyby na tym bardzo, gdybym podobne słowa usłyszał.

- Lękam się, że ta wojna zesłana została jako kara za nasze grzechy - rzekła kuzynka Zofia załamując ręce, a potem rozpościerając je uroczyście na brzuchu. - Świat jest podły, a czasy coraz gorsze.

- Siedzący tutaj pastor jest, zdaje się, tego samego zdania - ironizował Norman. - Prawda, pastorze? Zdaje się, że ten mniej więcej temat poruszyłeś w swoim ostatnim kazaniu: „Bez przelewu krwi nie istnieje odpuszczenie grzechów”. Ja tam nie zgadzam się z tobą i chciałem wbiec na ambonę, aby ci zaprzeczyć, tylko że Helena mnie powstrzymała. Nie przeszkadzam już pastorom w kazaniu od chwili, gdy się ożeniłem.

- Bez przelewu krwi nie może zajść żadna zmiana - rzekł pan Meredith swoim łagodnym sennym głosem, który tak ujmował jego słuchaczy. - Wszystko, jak mi się zdaje, ponieść musi jakieś poświęcenie. Nasza rasa znaczyła każdy swój krok dotkliwym bólem i krwią, a teraz cały potok tej krwi zaleje świat. Nie, pani Crawford, nie sądzę, żeby wojna była zesłana jako kara za nasze grzechy. Jest ona raczej podatkiem, który musi spłacić ludzkość, podatkiem za lepsze czasy, których my może nie dożyjemy, ale dożyją tych czasów nasze dzieci.

- A gdyby Jerry został zabity, czy mówiłbyś tak samo? - indagował Norman, który zazwyczaj nie owijał niczego w bawełnę i nie liczył się z uczuciami ludzkimi. Nie gniewaj się na mnie, Heleno. Chciałem się tylko przekonać, czy pastor istotnie tak myśli, jak mówi.

Twarz pana Mereditha zasępiła się. Przeżywał straszne męki owej nocy, gdy Jim i Jerry pojechali do miasta. Mimo to jednak odpowiedział spokojnie:

- Cokolwiek bym czuł wtedy, nie zmieni to mojej wiary, mojej pewności, że kraj, którego synowie gotowi są poświęcić własne życie, zdobędzie nowe szczęście dzięki ich poświęceniu.

- Istotnie w to wierzysz, pastorze. Ja zawsze poznam, kiedy ktoś mówi to, co myśli. Posiadam już taki dar od urodzenia. Dlatego pewnie zawsze toczyłem wojnę z wszystkimi pastorami! Co do ciebie, to nigdy mi się nie zdarzyło zauważyć, abyś mówił to, czego nie myślisz. I dlatego chodzę znowu do kościoła. Ale teraz wpadnę na chwilę do Adolfa Crawforda. Niech wam bogi sprzyjają.

- Stary poganin! - mruknęła Zuzanna, gdy Norman wyszedł. Nie troszczyła się o to, czy Helena Douglas słyszała jej słowa. Zuzanna częstokroć zastanawiała się nad tym, dlaczego jakiś piorun z nieba nie trafi Normana Douglasa wówczas, gdy napastuje on księży. Najdziwniejszą rzeczą było to, że pan Meredith naprawdę szczerze lubił swego szwagra.

Rilla wolałaby, aby mówiono o czymś innym, nie o wojnie. Od tygodnia nie słyszała innego tematu i ciągłymi rozmowami o wojnie była już nieco zmęczona. Teraz, kiedy opuścił ją lęk, że Walter zechce zaciągnąć się do wojska, rozmowa o wojnie zaczynała ją naprawdę niecierpliwzić. Z głębokim westchnieniem pocieszała się w duchu, że rozmowy te potrwać jeszcze najwyżej trzy, cztery miesiące.

VI.

ZUZANNA, RILLA I PIES WTOREK

Obszerny salon na Złotym Brzegu zarzucony był gazą i szarpami. Przyszła wiadomość z Głównego Zarządu Czerwonego Krzyża o zapotrzebowaniu na bandażę i materiały opatrunkowe. Nan, Di i Rilla pracowały gorączkowo. Pani Blythe z Zuzanną zajęte były na górze w pokoju chłopców pakowaniem drobiazgów Jima. Nazajutrz rano miał wyjechać do Valcartier, więc, musiał mieć wszystko przygotowane..

Rilla po raz pierwszy w życiu dała szarpie. Gdy nadeszła wiadomość, że Jim musi wyjechać, Rilla pobiegła do Doliny Tęczy, aby się wypłakać, po czym wróciła do domu i weszła do pokoju matki.

- Mateczko, chciałabym coś robić. Jestem tylko dziewczyną i nie mogę pójść na wojnę, lecz muszę coś robić, aby pomóc chociaż w domu.

- Przysłali płótno na szarpie - rzekła pani Blythe. - Mogłabyś pomóc Nan i Di. A poza tym, Rillo, nie uważasz, że mogłabyś zorganizować Młody Czerwony Krzyż wśród swoich rówieśniczek? Sądzę, że chętniej będą pracować same niż w towarzystwie starszych pań.

- Ależ, mateczko, ja nigdy takich spraw nie załatwiałam.

- Dużo jeszcze będzie takich rzeczy w najbliższych miesiącach, których nikt z nas nigdy nie załatwiał, Rillo.

- Dobrze - zamyśliła się Rilla - postaram się, mateczko, ale musisz mi powiedzieć, jak mam zacząć. Myślałam nad tym długo i doszłam do wniosku, że powinnam być dzielna, bohaterska i poświęcająca się jak wy wszystkie.

Pani Blythe nie wyśmiała patetycznej wypowiedzi Rilli. Możliwe, że trudno jej było zdobyć się na uśmiech albo też uważała, że i Rilla mogłaby zdziałać coś pożytecznego. Tak więc Rilla dała szarpie i w myśli organizowała Młody Czerwony Krzyż. Radowała się tym, że i ona będzie się mogła na coś przydać. Taka organizacja mogła być całkiem ciekawa, ale kto będzie prezeską? W każdym razie nie ona. Starsze dziewczęta nie będą się chciały zgodzić. Może Irena Howard? Ale Irena na ogół nie była lubiana, chociaż zasługiwała na to. Maniusia Drew? Nie, Maniusia nie miała kośca. Za bardzo zgadzała się we wszystkim z ostatnim przedmówcą. Najlepsza będzie Basia Meade, spokojna, taktowna, ona jest stanowczo wymarzoną typem na prezeskę! Una Meredith mogłaby być skarbniczką, a jeżeli zechcą, to wybiorą Rillę na sekretarkę. Trzeba będzie zebrać pokaźną ilość członkiń. Zebrania będą się odbywać bez jakichkolwiek poczęstunków. Rilla wiedziała, że na ten temat będzie

musiała stoczyć walkę z Olą Kirk. Książeczka rachunkowa Rilli opatrzona będzie na wierzchu czerwonym krzyżem, a jak byłoby pięknie, gdyby każda z członkiń miała odpowiedni mundur, skromny, ale gustowny, i oczywiście wszystkie ukazywałyby się w mundurach na wszelkiego rodzaju zebraniach, koncertach i przyjęciach towarzyskich.

- Przyszyj ten kawałek bandaża, aby był dłuższy - rzekła Di. Rilla sięgnęła po igłę i przyszło jej na myśl, że strasznie nie lubi szyć. Organizowanie Młodego Czerwonego Krzyża stanowczo było czymś o wiele ciekawszym.

Pani Blythe mówiła na gorze w pokoju chłopców:

- Zuzanno, czy pamiętasz ten dzień, kiedy Jim po raz pierwszy podniósł maleńkie rączki i zawołał na mnie „mama”, było to pierwsze słowo, jakie w swoim życiu wypowiedział?

- Wszystko, co nasze kochane maleństwo mówiło, pamiętać będę do śmierci - odparła Zuzanna ponuro.

- Zuzanno, przypominam sobie wyraźnie tę noc, kiedy płakał wzywając mnie do siebie. Miał wtedy zaledwie kilka miesięcy. Gilbert prosił, abym nie podchodziła do kołyski i nie rozpieszczała dziecka. Ja jednak poszłam, wzięłam go na ręce, a on opasał moją szyję swymi małymi rączkami. Zuzanno, gdybym wtedy tego nie uczyniła, owej nocy przed dwudziestu laty, gdybym nie utuliła mego dziecka, z pewnością nie mogłabym tak odważnie oczekiwać jutra.

- Nie wiem, czy tak odważnie to jutro zniesiemy, droga pani doktorowo, ale to nie będzie przecież ostateczne pożegnanie. Z pewnością wróci na urlop przed wyjazdem za morze, prawda?

- Mam nadzieję, ale nie jestem pewna. Wolę sobie wmówić, że urlopu nie dostanie, aby później nie mieć rozczarowań. Zuzanno, jestem gotowa pożegnać mego chłopca z uśmiechem. Niechaj nie zabiera ze sobą wspomnienia, że ma słabą matkę, która nie posiada ani odrobiny odwagi i która jemu odwagę odbiera. Mam nadzieję, że nikt z nas nie będzie płakał.

- Ja nie będę płakać, droga pani doktorowo, może pani być pewna, ale czy zdobędę się na uśmiech - nie wiem, to zależy od Wszechmocnego. Znajdzie się miejsce na ten placek z owocami? Przecież nasz kochany chłopak nie może umrzeć z głodu, a kto wie, czy w tym Quebecu będą mieli co do jedzenia. Wszystko się jakoś zmieniło tak od razu, nieprawdaż? Nawet stary kot na plebanii zdechł wczoraj. Wyzionął ducha o dziesiątej wieczorem, a opowiadano mi, że Bertie jest zrozpaczony.

- Już najwyższy czas, żeby życie zakończył. Musiał mieć najmniej piętnaście lat. Od śmierci ciotki Marty był dziwnie osowiały.

- Nie rozpaczałabym tak bardzo, droga pani doktorowo, gdyby ta bestia Hyde zdechła. Od czasu jak Jim przyjechał do domu w mundurze, kocisko było stale Mr Hyde'em, to nie jest dobry znak. Ale co biedny Wtorek zrobi, jak Jim wyjedzie? Biedactwo patrzy za Jimem jak człowiek. Helena West zawsze straszyla Kaiserem, a my uważaliśmy ją za pomyłoną, ale teraz przyznaję, że była metoda w jej szaleństwie. Ta walizka jest już zapakowana, droga pani doktorowo, więc teraz pójdę na dół, aby przygotować kolację. Chciałabym wiedzieć, kiedy znów będę gotowała coś dla Jima, ale niestety, nikt z nas tego powiedzieć nie może.

Jim Blythe i Jerry Meredith wyjechali nazajutrz rano. Był to ponury dzień deszczowy i ciężkie chmury wisiały ołowiem na niebie. Mimo to jednak wszyscy mieszkańcy Glen, Czterech Wiatrów, portu i Górnego Glen, z wyjątkiem Księżycowego Brodacza, odprowadzali chłopców. Rodziny Blythe'ów i Meredithów utrzymywały się jakoś w nastroju. Nawet na twarzy Zuzanny, co widocznie działał Wszechmogący, jaśniał uśmiech, który prawdopodobnie był bardziej bolesny od łez. Flora i Nan były bardzo blade, ale ogromnie spokojne. Rilla myślała w duszy, że byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to dziwne dławienie w gardle i drżenie ust. Pies Wtorek był także na dworcu. Jim chciał się pożegnać z nim na Złotym Brzegu, lecz Wtorek patrzył nań tak wymownie, że wreszcie Jim pozwolił mu pójść na dworzec. Kręcił się wciąż koło nóg Jima i obserwował każdy ruch swego ukochanego pana.

- Nie mogę znieść spojrzenia tego psa - powiedziała pani Meredith.

- Ten zwierzak ma więcej rozsądku niż większość ludzi - odezwała się Mary Vance. - Czyśmy kiedy przypuszczali, że przeżywać będziemy taki dzień? Przez całą noc myślałam o wyjeździe Jima i Jerry'ego. Mam wrażenie, że obydwaj są pomyleni. Miller też wbił sobie w głowę, że musi pójść, ale szybko wytłumaczyłam mu ten zamiar, jak zresztą zrobiła jego ciotka. Przynajmniej raz w życiu zgadzamy się z Kitty Alec. To cud, który nieprędko się powtórzy. Rillo, idzie Krzysztof.

Rilla wiedziała, że Krzysztof był na dworcu. Widziała go już w owej chwili, kiedy wyskakiwał z powoziku Leona Westa. Teraz podszedł do niej z uśmiechem.

- Widzę, że pozujesz na dzielną siostrę. Cóż za tłumy na stacji! Ja także wyjeżdżam za parę dni.

Powiało na Rillę dziwne uczucie nagłego osamotnienia, którego nie odczuwała nawet wówczas, gdy dowiedziała się o wyjeździe Jima.

- Jak to? Przecież masz jeszcze miesiąc wakacji.

- Tak, ale nie mogę sterczeć w Czterech Wiatrach i bawić się wówczas, gdy na świecie dzieją się takie rzeczy. Pojadę do Toronto, mogę coś robić mimo tej przeklętej nogi. Gdy patrzę na Jima i Jerry'ego, zazdrość we mnie wzbiera. Wy, dziewczęta, odważne jesteście, nie płaczecie, nie okazujecie swej rozpacz. Dzięki temu chłopcy wyjadą z dobrym wrażeniem. Mam nadzieję, że Połcia z matką tak samo się zachowają, jak przyjdzie na mnie kolej.

- Och, Ks-sysiu, nim twoja kolej przyjdzie, wojna już dawno minie.

O! Znowu zasepleniła. Druga ważna chwila w jej życiu zepsuta! Taki już był jej los. Chociaż w gruncie rzeczy nie miało to wielkiego znaczenia. Krzysztof już odszedł i rozmawiał teraz z Elżunią Reese, która o siódmej rano miała na sobie suknię, którą nosiła na zabawie, i płakała jak małe dziecko. Czego właściwie Elżunia płacze? Przecież nikt z Reese'ów nie poszedł na wojnę. Rilli także zbierało się na płacz, ale wiedziała, że nie powinna. Co ta obrzydliwa stara pani Drew mówiła mamie?

- Nie pojmuję, jak pani może to przeżyć, pani Blythe. Ja bym nie przeżyła tego, gdyby chodziło o mego biednego chłopca.

A mama, och, na mamie zawsze można było polegać! Jakże pięknie błyszczały jej szare oczy na tle bladej twarzy.

- Byłoby jeszcze gorzej, pani Drew, gdybym musiała go nakłaniać do wyjazdu.

Pani Drew nie zrozumiała, lecz Rilla wiedziała, o co mamie chodzi. Podniosła w górę głowę. Jej brata nie trzeba było nakłaniać do wyjazdu.

Rilla znalazła się nagle sama i mimo woli poczęła się przysłuchiwać rozmowom ludzi spacerujących na peronie.

- Mówiłam Markowi, żeby zaczekał, aż będą powoływali starszych mężczyzn. Gdyby werbowali ten rocznik, na pewno pozwoliłabym mu iść - mówiła pani Pawiowa Burr.

- Myślę, że najlepiej będzie obramować górę aksamitem - zastanawiała się Basia Clow.

- Lękam się spojrzeć na mego męża, bo z twarzy jego mogę wyczytać, że także pragnie się zaciągnąć do wojska - szeptała młoda mężatka zza portu.

- Jestem przerażona - rzekła bojaźliwie pani Jamesowa Howard - jestem przerażona, że Jim zechce się zaciągnąć, i boję się, z drugiej strony, że może stracić do tego ochotę.

- Wojna zakończy się na Boże Narodzenie - mówił Joe Vickers.

- Niechaj narody europejskie same ze sobą walczą - zaperzał się Adam Reese.

- Jak był małym chłopcem, nieraz dostawał ode mnie baty! - wrzeszczał Norman Douglas, mając prawdopodobnie na myśli kogoś z wyższych wojskowych w Charlottetown. - Tak, panie, biłem go, ile sił starczyło, a teraz jaki zuch z niego.

- Egzystencja Imperium Brytyjskiego znajduje się w bardzo ryzykownej sytuacji - dowodził pastor metodystów.

- Jednakże mundury mają specjalny urok - wzdychała Irena Howard.

- To wojna ekonomiczna i nie warto, ażeby Kanadyjczycy przelewali swoją młodą krew - twierdził jakiś nieznajomy z hotelu.

- Blythe'owie przyjmują to wyjątkowo spokojnie - uśmiechała się Kasia Drew.

- Młodzież żadna jest przygód - charkotał Natan Crawford.

- Mam bezwzględne zaufanie do Kitchenera - mówił doktor zza portu.

- „Daleka droga jest do Tipperary” - mruczał Ryszard MacAllister.

W ciągu tych dziesięciu minut Rilla przechodziła uczucia gniewu, wesołości, smutku, rozpacz i zadowolenia. Och, jacy ludzie są zabawni! Jak mało rozumieją. „Przyjmują to wyjątkowo spokojnie”, istotnie, bo nawet Zuzanna przez całą noc oka nie zmrużyła! Kasia Drew zawsze była wiedźmą.

Rilla miała wrażenie, że męczy ją jakaś senna zmora. Czy to ci sami ludzie, którzy jeszcze przed trzema tygodniami mówili o urodzaju, cenach i miejscowych plotkach?

Nadszedł pociąg... Matka ścisnęła rękę Jima... Pies Wtorek lizał ją... Wszyscy się żegnali... Pociąg stanął na stacji! Jim przy wszystkich ucałował Florę... Stara pani Drew zaczęła histerycznie szlochać... Chłopcy, pod wodzą Krzysztofa, wiwatowali... Rilla uczuła, że Jim ścisnął jej dłoń... „Bądź zdrowa, Pajaku”... Ktoś pocałował ją w policzek.. Zdawało jej się, że to Jerry, ale nie była pewna... Wsiedli do przedziału... Pociąg ruszył... Jim i Jerry powiewali z daleka chustkami... Wszyscy zebrani cofnęli się... Mama i Nan uśmiechały się jeszcze, jakby zapomniały odegnać uśmiech z twarzy... Wtorek wył przeraźliwie i pastor metodystów musiał go siłą oderwać od pociągu... Zuzanna powiewała swym najlepszym czepek, krzycząc „hura” jak mężczyźni. Czy ona oszalała? Pociąg zniknął na zakręcie toru. Pojechali.

Rilla powoli przychodziła do siebie. Dookoła nagle zapanowała cisza. Trzeba tylko wrócić do domu i czekać. Państwo Blythe poszli razem... tak samo Nan i Flora oraz John Meredith i Rozalia. Walter, Una, Shirley, Di, Karol i Rilla szli gromadką. Zuzanna włożyła nieco krzywo czepek na głowę i ruszyła w drogę samotnie. Nikt w pierwszej chwili nie zauważył nieobecności Wtorka. Wreszcie zaczęto się za nim rozglądać i Shirley po niego wrócił. Znalazł Wtorka zwiniętego w kłębek w jednej z budek przy stacji i usiłował nakłonić go do powrotu do domu. Wtorek się nie ruszał. Merdał ogonem, chcąc okazać, że nie jest zły, lecz wszelkie próśby nie pomagały.

- Jestem pewny, że Wtorek postanowił czekać tam powrotu Jima - rzekł Shirley siląc się na uśmiech, gdy połączył się z resztą towarzystwa.

Widocznie Wtorek miał istotnie ten zamiar. Jego ukochany pan wyjechał, a on, Wtorek, musiał pozostać, zatrzymany przez pastora metodystów. Dlatego też postanowił czekać, aż zobaczy znowu tę dymiącą i parszającą maszynę, która przewiezie z powrotem jego uwielbianego bohatera.

Czekaj, mały, przywiązany piesku o łagodnych, mądrych oczach! Jeszcze dużo minie dni, pełnych goryczy, zanim twój przyjaciel wróci do ciebie.

Doktor Blythe tego wieczoru został wezwany do chorego, a Zuzanna wstąpiła do pokoju pani Blythe, aby się przekonać, czy droga pani doktorowa nie potrzebuje czegoś. Przystanęła w pobliżu łóżka i oznajmiła uroczyście:

- Droga pani doktorowo, postanowiłam zostać bohaterką.

„Droga pani doktorowa” uczuła nagle ochotę do śmiechu, co byłoby bardzo niestosowne z jej strony, gdyż nawet nie śmiała się wówczas, kiedy Rilla zwierzyła się przed nią ze swych bohaterskich postanowień. Co prawda Rilla była młodą dziewczyną w białej sukience, o kwitnącej twarzyczce i błyszczących oczach, podczas gdy Zuzanna otulona była w tej chwili w szarą flanelową nocną koszulę, a siwe jej włosy przewiązane były czerwoną wełnianą tasiemką, stanowiącą talizman przeciwko newralgii. Ale właściwie nie było między nimi żadnej wyraźnej różnicy. Czyż wygląd zewnętrzny mógł zaważyć na szali? Pani Blythe siłą powstrzymywała się od śmiechu.

- Nie mam zamiaru lamentować - mówiła dalej Zuzanna - ani narzekać, ani też udawać się o pomoc do Wszechmocnego, jak czyniłam to dotychczas. Narzekanie i rozpacz nie doprowadzą do niczego. Trzeba wziąć się za bary i wtedy dopiero możemy coś-zdziałać. Właśnie ja biorę się za bary. Ci kochani chłopcy poszli na wojnę, a my, kobiety, droga pani doktorowo, musimy znosić to mężnie, musimy podnieść w górę głowy!

VII.

WOJENNE DZIECKO W WAZIE OD ZUPY

Liège, Namur, a teraz znów Bruksela! - doktor po trząś głową. - To mi się nie podoba.

- Nie trzeba tracić nadziei, drogi panie doktorze. Mają ciągle do czynienia z cudzoziemcami - mówiła Zuzanna z przekonaniem. Zaczekajmy, aż Niemcy pójdą przeciwko Anglii. Wtedy będzie zupełnie coś innego, mogę panu zaręczyć.

. Doktor znowu potrząsnął głową, lecz już z mniejszym smutkiem. Może wiara Zuzanny była słuszna, że linii granicznej Anglii nie zdołają przerwać nawet na razie zwycięskie wojska Niemiec, rekrutujące się z dziesiątków milionów. W każdym razie, gdy nastał ten straszny dzień, a raczej pierwszy z szeregu strasznych dni, gdy nadeszła wiadomość, że armia angielska została wypchnięta z pierwszej linii frontu, na Złotym Brzegu wszyscy spoglądali na siebie z rozpaczą.

- To... to chyba nieprawda - szepnęła Nan odkładając gazetę.

- Czułam, że dzisiaj nadejdą złe wiadomości - wtrąciła Zuzanna - kocisko przemieniło się znowu dziś rano w Mr Hyde'a bez żadnego powodu, a to jest bardzo niedobry znak.

- „Odparta, pobita, lecz niezniechęcona armia” - mruczał doktor odczytując raz jeszcze komunikat londyński. - Czyż to może być armia angielska, o której się mówi w ten sposób.

- Jeszcze dużo czasu minie, zanim wojna się skończy - wtrąciła pani Blythe z rozpaczą.

Wiara Zuzanny, która na chwilę przygasła, wybuchnęła znowu z triumfem.

- Należy pamiętać, droga pani doktorowo, że armia angielska to nie jest flota angielska. Nie można o tym zapominać. I są jeszcze Rosjanie, chociaż Rosjan nie znam bliżej i nigdy bym za nich nie ręczyła.

- Rosjanie nie zdążą na czas, aby uratować Paryż - rzekł Walter ponuro. - Paryż jest sercem Francji, a droga do niego stoi otworem. Och, jakże bym chciał... - urwał nagle i wyszedł. Po strasznym dniu mieszkańcy Złotego Brzegu postanowili otrząsnąć się jednak ze złych wiadomości. Zuzanna pracowała gorączkowo w kuchni, doktor wyszedł do chorych, Nan i Di wróciły do zajęć w Czerwonym Krzyżu, a pani Blythe pojechała do Charlottetown na posiedzenie Głównej Rady Czerwonego Krzyża. Rilla po ulżeniu sobie i wypłakaniu się w Dolinie Tęczy oraz zapisaniu kilku uwag w pamiętniku, przypomniawszy sobie, że powinna być dzielna i bohaterska. Uznała istotnie za bohaterski wyczyn objazd w ciągu jednego dnia na

siwym koniu Adama Crawforda całego Glen i Przystani Czterech Wiatrów, zbierając przyrzeczone dary na Czerwony Krzyż. Jeden koń na Złotym Brzegu był kulawy, a drugim wyjechał doktor, nie było więc innej rady, tylko pożyczyć od pana Crawforda szkapę, która znana była z tego, że przystaje co kilka metrów i utyka na jedną nogę. W połączeniu z wiadomością o tym, że Niemcy znajdowali się o kilka mil od Paryża, jazda była trudna do zniesienia. Ale Rilla stawiała jej mężnie czoło, byleby odnieść jakieś rezultaty.

Przed wieczorem Rilla znalazła się obładowana paczkami i pakunczkami przy końcu ścieżki prowadzącej na wybrzeże i poczęła zastanawiać się nad tym, czy powinna wstąpić do domu Andersona. Andersonowie byli bardzo biedni i prawdopodobnie pani Anderson nie mogłaby się zdobyć na najdrobniejszy nawet datek. Z drugiej znów strony, mąż jej, rodowity Anglik, który do wybuchu wojny pracował w Kingsport, pojechał do Anglii, aby tam wstąpić do wojska i od tej pory nie dawał o sobie znaku życia. Pani Anderson mogłaby się czuć dotknięta, gdyby Rilla jej dom ominęła. Postanowiła więc wstąpić. Później niejednokrotnie żałowała, że to uczyniła, ale były i takie chwile, kiedy samej sobie była wdzięczna za to.

Dom Andersonów był raczej małą, zapadłą chatką, wznoszącą się na samym wybrzeżu i jakby ze wstydem kryjącą się między drzewami. Rilla przywiązała konia do sztachet i weszła do wnętrza. Drzwi były otwarte, a widok, jaki się jej oczom ukazał, po prostu zatamował dech w piersi dziewczyny.

Przez otwarte drzwi do małej sypialni, znajdującej się naprzeciw, Rilla ujrzała panią Anderson, leżącą na nie posłanym łóżku. Pani Anderson była martwa, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Nie trzeba się było również zastanawiać nad tym, że opasła kobieta o czerwonej twarzy, siedząca u drzwi i paląca ze spokojem fajkę, była żywa i zdrowa. Siedziała oparta o ścianę patrząc obojętnym wzrokiem na porozrzucane w pokoju drobiazgi i na nieład panujący dokoła.

Rilla знаła kobietę ze słyszenia i widzenia. Nazywała się pani Conover i mieszkała w wiosce rybackiej. Była cioteczną babką pani Anderson i piła tak samo dużo, jak paliła.

Wiedzioną pierwszym impulsem, Rilla chciała się cofnąć. Ale przyszło jej na myśl, że nie powinna tego czynić. Może ta kobieta potrzebowała jakiejś pomocy, chociaż wyraz jej twarzy świadczył o zupełnym zadowoleniu.

- Proszę wejść - rzekła pani Conover wyjmując z ust fajkę i spoglądając na Rillę swymi małymi szczurzymi oczami.

- Czy... czy pani Anderson naprawdę umarła? - zapytała Rilla nieśmiało, przechodząc przez próg.

- Nie żyje, jak Bożę kocham - odparła pani Conover wesoło. - Wyciągnęła nogi przed pół godziną. Posłałam Jana Conovera do telefonu i może sprowadzi jakąś pomoc z wybrzeża. Pani jest doktorówna, co? Może krzeselko?

Rilla nie mogła dostrzec ani jednego krzesła, na którym nie leżałyby jakiś przedmioty. Postanowiła więc nie siadać.

- Czy śmierć nastąpiła nagle?

- Umierała już tak od czasu, gdy ten przeklęty Jim wyjechał do Anglii. Szkoda nawet takiego wspominać. Uważam, że umarła z powodu ostatnich wiadomości. To małe urodziło się czternaście dni temu i od tego czasu ona umierała, aż wreszcie dzisiaj umarła. Nikt by się nie spodziewał.

- Czy mogłabym w czymś... pomóc? - zawahała się Rilla.

- Może tak, ale pani także nie ma dzieci. Ja też nie mam. To małe wrzeszczy dniami i nocami. Już teraz nawet nie zwracam na to uwagi.

Rilla na palcach podeszła do kołyski i ostrożnie uniosła brudną kołdrę. Nie miała ochoty dotknąć dziecka, bo przecież do dzieci „nie miała najmniejszego pociągu”. Ujrzała brzydkie, małe stworzonko o czerwonej, pomarszczonej twarzyczce, owinięte w kawałek starego, brudnego barchanu. Nigdy jeszcze w życiu nie widziała brzydszego dziecka. Jednakże uczucie litości i myśl o tej małej sierotce owładnęła nią całą.

- A co się stanie z dzieckiem? – zapytała.

- Pan Bóg wie! - odparła obojętnie pani Conover. - Min martwiła się bardzo o smarkacza, nim umarła. Mówiła ciągle; „Ach, co się stanie z moim biednym dzieckiem?”, aż wreszcie grało mi to na nerwach. Ja tam nie mam zamiaru brać takiego kłopotu na głowę. Stara już jestem i chcę mieć spokój. Mówiłam Min, że bachora trzeba odesłać do przytułku dla sierot. Niech tam zostanie, dopóki Jim nie wróci i nie zajmie się nim. Myśli pani, że zgodziła się na to? Ot i wszystko.

- Ale kto się zajmie dzieckiem do czasu, kiedy będzie je można oddać do przytułku? - niepokoila się Rilla. Jakoś dziwnie los dziecka bardzo ją obchodził.

- Ja także o to pytam - mruknęła pani Conover. Wyjęła znowu z ust fajkę i pociągnęła z dużej butelki, która stała przy niej. - W ogóle uważam, że dziecko nie będzie długo żyło. Jest chorowite. Min nigdy nie miała zdrowia i ono też nie będzie miało. Ale to i lepiej, nie pożyje długo.

Rilla odchyliła nieco dalej kołdrę.

- Przecież dziecko jest wcale nie ubrane! - zawołała z przerażeniem.

- A kto miał je ubrać, chciałabym wiedzieć? - oburzyła się pani Conover. - Ja nie miałam czasu, bo musiałam się zająć Min. Zresztą, jak pani już powiedziałam, nie znam się zupełnie na dzieciach. Stara pani Crawford była tutaj, jak się urodziło, wykapała je i zawinęła w ten barchan, i tak sobie leży.

Rilla w milczeniu spoglądała na płaczące dziecko. Nigdy dotychczas nie widziała z bliska prawdziwej tragedii życiowej, nic więc dziwnego, że ta przemówiła do jej serca. Myśl o biednej matce, która odeszła do doliny cieniów, martwiąc się o swe dziecko, bolała ją dotkliwie. Żeby chociaż przyszła tu nieco wcześniej! Ale co by mogła zrobić, w czym mogłaby pomóc? Sama nie wiedziała, lecz coś na pewno musi zrobić. Nie lubiła dzieci, lecz czyż mogła to maleństwo zostawić pod opieką pani Conover, która zaglądała co chwilę do wielkiej butelki i za parę godzin będzie zupełnie pijana.

„Nie mogę tu zostać - myślała Rilla. - Pan Crawford kazał mi przyjechać jeszcze przed kolacją, bo dziś wieczorem potrzebny mu jest koń. Och, co mam począć?”

Uczyniła nagle, rozpaczliwe postanowienie.

- Zabiorę dziecko ze sobą do domu - rzekła. - Czy mogę?

- Naturalnie, jeżeli pani tylko chce - odparła pani Conover przyjaźnie. - Ja nie stawiam żadnych przeszkód. Niech je pani weźmie i wychowa.

- Trudno mi je zabrać - martwiła się Rilla. - Jadę konno i mogę dziecko upuścić. Czy jest „tu jakiś koszyk, do którego mogłabym je położyć?”

- Żadnego koszyka nie widziałam. W ogóle nic takiego nie ma. Min była biedna i tak samo lekkomyślna, jak Jim. Niech pani otworzy tę szafę, to znajdzie pani ubranie dla dziecka. Lepiej te łaszki zabrać ze sobą.

Rilla wyjęła ubranko, tandetne, skromne szmatki, które biedna matka sama uszyła swemu dziecięciu. Ale to jeszcze nie rozwiązywało problemu przetransportowania dziecka. Rilla poczęła się bezradnie rozglądać dokoła. Ach, żeby tu była mama albo Zuzanna! Wzrok jej spoczął na wielkiej, niebieskiej wazie, stojącej na komodzie.

- Czy mogę to wziąć i włożyć tutaj dziecko? - zapytała.

- A bo to moje? Tylko niech pani nie stłucze, bo Jim gotów zrobić awanturę, jak wróci. Przywiózł tę starą wazę z Anglii i powiada, że kilkadziesiąt lat jest ona w rodzinie. Obydwoje z Min nigdy jej nie używali, bo nie mieli co w nią nalać, ale Jim strzeże tej skorupy jak oka w głowie. Ja tam nie mam żadnego przywiązania do skorup, z chwilą gdy nie ma co w nie włożyć.

Po raz pierwszy w swym życiu Rilla Blythe dotknęła dziecka, podniosła je, owinęła w kołderkę i drżąc z obawy, żeby maleństwa nie upuścić czy nie złamać, ułożyła je w wielkiej wazie.

- Czy jest obawa, że może się zadusić? - zapytała niespokojnie.

- Nic mu nie będzie - odparła pani Conover.

Rilla troskliwie owinęła kołderką twarzyczkę dziecka. Maleństwo przestało płakać i spoglądało na nią dwoje wielkich, czarnych oczu w małej, brzydkiej twarzyczce.

- Ale niech go pani tak nie opatula - doradzała pani Conover. - Przecież smarkacz musi oddychać.

Znalezioną grubą tasiemką Rilla przewiązała wazę.

- Poda mi to pani, jak wsiadę na konia?

- Bardzo chętnie - zgodziła się pani Conover wstając z trudem ze stołka.

I tak Rilla Blythe, która wszedłszy do domu Andersonów mogłaby przysiąc, że nienawidzi dzieci, odjechała stamtąd, trzymając ostrożnie wielką, niebieską wazę!

Myślała biedaczka, że nigdy już chyba nie dojedzie do Złotego Brzegu. Szkapą przystawała co kilka kroków. W niebieskiej wazie panowała zupełna cisza. Z jednej strony Rilla była uradowana, że dziecko nie płacze, z drugiej - pragnęła, aby dało jakikolwiek znak życia. Może się zadusiło! Rilla nie śmiała odwinąć kołderki, lękając się wiatru, który dał teraz ze wzmożoną siłą. Z westchnieniem ulgi przybyła wreszcie na Złoty Brzeg.

Zaniosła wazę do kuchni, postawiła ją na stole tuż przed Zuzanną i odchyliła kołderkę. Zuzanna zajrzała do wazy i po raz pierwszy w swym życiu skamieniała, nie mogąc słowa wymówić.

- Na miłość boską, co to jest? - zapytał doktor, który wszedł do kuchni w tej samej chwili.

Rilla opowiedziała mu całą historię.

- I przywiozłam je tutaj, tatusiu - kończyła. - Nie mogłam przecież maleństwa tam zostawić.

- I co masz zamiar z nim zrobić? - zapytał doktor chłodno. Rilla nie spodziewała się takiego zapytania.-

- Możemy... możemy przecież je tutaj zatrzymać trochę... nieprawdaż... dopóki wszystkiego się nie załatwi? - wybąkała zażenowana.

Doktor Blythe spacerował po kuchni przez chwilę, podczas gdy dziecko wpatrywało się w białe ściany wazy, a Zuzanna zdradzała objawy wzmożonego podniecenia.

Nagle doktor podszedł do Rilli.

- Małe dziecko wymaga troskliwej opieki i sprawia dużo kłopotu w gospodarstwie, moja Rilla. Nan i Di w przyszłym tygodniu wyjeżdżają do Redmond, a mama i Zuzanna nie mają czasu na żadne dodatkowe zajęcia. Jeżeli chcesz zatrzymać to dziecko, musisz sama się nim zająć.

- Ja?! - zawołała Rilla z przerażeniem. - Tatusiu, przecież ja bym nie mogła!

- Młodsze od ciebie dziewczęta opiekują się dziećmi. Zarówno ja, jak i Zuzanna możemy ci służyć radą. Jeżeli nie możesz się tego podjąć, trzeba dziecko odesłać z powrotem do pani Conover. Prawdopodobnie nie będzie żyło długo pod taką opieką, bo zdaje się, że jest bardzo wątłe i delikatne. Wątpię nawet, czy można by się odważyć odesłać je do domu dla sierot, ale przecież trudno przemęczać matkę i Zuzannę.

Doktor wyszedł z kuchni z poważnym wyrazem twarzy. W głębi duszy był przekonany, że mały mieszkaniec niebieskiej wazy pozostanie z pewnością na Złotym Brzegu, lecz chciał się przekonać, czy Rilla zdolna jest do jakichkolwiek poświęceń.

Rilla usiadła, spoglądając z rozpaczą na dziecko. Niedorzecznością było myśleć, że o n a się nim zajmie. Ale ta biedna, nieszczęśliwa matka, która umierając martwiła się o niemowlę... Ta straszna pijaczka Conover!

- Zuzanno, co trzeba robić z takim dzieckiem? - zapytała żałośnie.

- Trzeba je trzymać w cieple, kąpać codziennie, zważać na to, żeby woda nie była ani za zimna, ani za gorąca, i karmić co dwie godziny. Jak jest chore, to trzeba przykładac gorące kompresy na brzuszki - mówiła Zuzanna, przejęta ważnością chwili.

Dziecko zaczęło znowu płakać.

- Musi być głodne, trzeba je w każdym razie nakarmić! - zawołała Rilla z rozpaczą. - Powiedz, co przygotować, to się nim zajmę.

Pod kierunkiem Zuzanny przygotowana została porcja mleka z wodą, a odpowiednia butelka znalazła się w gabinecie doktora. Wówczas Rilla wyjęła dziecko z wazy i nakarmiła je. Przyniosła ze strychu stary koszyk i ułożyła w nim uspione maleństwo. Niebieską wazę odstawiła do spiżarni. Uczyniwszy to wszystko, usiadła i poczęła rozmyślać.

Rezultatem tych rozmyślań było, że gdy dziecko zbudziło się, pobiegła natychmiast do Zuzanny.

- Postaram się nim zaopiekować, Zuzanno. Nie mogę przecież pozwolić, aby je odesłano z powrotem do pani Conover. Powiedz mi, jak je wykąpać i ubrać.

Znowu pod kierunkiem Zuzanny Rilla wykąpała dziecko. Zuzanna nie śmiała zaofiarować swej pomocy, bo doktor siedział w salonie i w każdej chwili mógł wejść tutaj. Nauczona doświadczeniem, Zuzanna wiedziała, że jeżeli doktor Blythe czegoś zabroni, to

lepiej z nim nie zaczynać. Rilla zacisnęła zęby i w milczeniu spełniała swe obowiązki. Boże święty, ileż takie małe dziecko ma dołeczków i fałdeczek na ciele! Zanurzyć je w wodzie to znów nie jest takie trudne, ale żeby choć na chwilę przestało wrzeszczeć! Że też takie małe stworzenie może narobić tyle hałasu. Wrzaski dziecka słychać było na całym Złotym Brzegu od piwnicy do strychu.

- Zuzanno, może uczyniłam mu jakąś krzywdę, jak przypuszczasz? - pytała Rilla z niepokojem.

- Nie, kochanie. Małe dzieci boją się kąpieli jak ognia. Każdy początek jest trudny. Kąpiąc maleństwo trzymaj je ręką pod plecami i bądź zupełnie spokojna.

Bądź spokojna! Rilla oblana była zimnym potem od stóp do głowy.

Gdy dziecko zostało wytarte, ubrane i nakarmione nową butelką mleka, Rilla odczuła dopiero prawdziwe zmęczenie.

- A co mam z nim zrobić w nocy, Zuzanno?

Dziecko we dzień było dostatecznie straszne, a w nocy było wręcz nie do pomyślenia.

- Postaw koszyk na krzeselku przy łóżku i okryj maleństwo mocno kołderką. Będziesz musiała karmić je dwa razy przez noc, więc od razu naszykuj sobie maszynkę spirytusową, która leży na strychu. Jak nie będziesz sobie mogła dać rady, to zawołaj mnie, przyjdę natychmiast, choć doktor na pewno mnie zwymyśla. - Zuzanno, a jeśli ono będzie płakało?

Jednakże dziecko nie płakało. Było to godne podziwu, lecz prawdopodobnie nie płakało dlatego, bo miało pełny żołądek. Spało spokojnie prawie przez całą noc, ale za to Rilla nie zmrużyła oka. Nie mogła zasnąć z obawy, aby dziecku się coś nie stało. O trzeciej w nocy zagrzała mleko z głębokim postanowieniem niewzywania Zuzanny. Ach, czyż ona śniła? Czy to była naprawdę ona, Rilla Blythe, zajmująca się tak pieczołowicie niemowlęciem? Nie troszczyła się o to, czy Niemcy zbliżali się do Paryża, nie troszczyła się nawet o to, czy byli już w Paryżu, byleby tylko dziecko nie płakało, byleby się nie zachłysnęło, nie zaziębiło i nie dostało konwulsji. Niemowlęta bardzo często miewają konwulsje, nieprawdaż? Och, dlaczego zapomniała zapytać Zuzanny, co ma uczynić, jeżeli dziecko dostanie konwulsji? Z goryczą myślała, że ojciec bardzo dbał o zdrowie mamy i Zuzanny, a o jej zdrowie? Czyż sądzi, że będzie tak mogła dłużej nie sypiać? Ale obecnie cofnąć się przecież nie wypada. Ona, Rilla, nigdy by tego nie uczyniła. Będzie się opiekowała tym wstrętnym małym stworzeniem, choćby to miała nawet przypłacić własnym życiem. Przystudiuje książkę o higienie dziecka i niepotrzebne jej już będą niczyje rady. Nie zwróci się z niczym do ojca, nie będzie dręczyć matki, tylko od czasu do czasu zapyta o coś Zuzannę. Wtedy dopiero zobaczą!

Tak było do chwili przyjazdu pani Blythe w dwa dni potem, która zaraz na wstępie zapytała Zuzannę, gdzie jest Rilla. Zuzanna odpowiedziała z najpoważniejszą miną:

- Jest na górze, droga pani doktorowo, kładzie swoje dziecko do łóżeczka.

VIII.

RILLA POSTANAWIA

Zarówno całe rodziny, jak i pojedyncze jednostki szybko przyzwyczajają się do warunków i przyjmują je bez pytania. Po tygodniu zdawać by się mogło, że dziecko Andersonów od Bóg wie ilu lat przebywało na Złotym Brzegu i stało się ono niejako niezastąpionym członkiem rodziny. Po trzech nieprzyjemnych nocach Rilla zasypiała już spokojnie, budząc się tylko automatycznie dla spełnienia swych obowiązków przy karmieniu i przewijaniu dziecka. Kapała je, karmiła i ubierała z taką zręcznością, jakby niczym innym nie zajmowała się przez całe życie. Jednakże ani tej pracy, ani dziecka nie polubiła. Spoglądała na maleństwo jak na delikatną jaszczurkę, która przy każdym niezręcznym ruchu mogła się przełamać. Spełniała jednak swe obowiązki sumiennie i chyba w całym Glen St. Mary nie było czystsze i lepiej utrzymanego dziecka. Ważyła je nawet codziennie i każdy świeżo nabyty gram zapisywała w swym pamiętniku. Czasami jednak zapytywała samą siebie, jaki to nieszczęśliwy los sprowadził ją owego fatalnego dnia do mieszkania Andersonów? Shirley, Nan i Di nie dokuczali jej tak, jak się tego spodziewała. Zdawali się być raczej zaskoczeni faktem, że Rilla opiekowała się „wojennym” dzieckiem. Możliwe, że zachowywali się tak na polecenie doktora. Walter zresztą nigdy jej niczym nie dokuczał, a pewnego dnia powiedział, że jest „morową dziewczyną”.

- Potrzebowałaś więcej odwagi, aby przynieść tu te pięć funtów dziecka, Rillo-ma-Rillo, niż Jim na przykład, gdy wyruszał na front niemiecki. Chciałbym mieć połowę twego hartu ducha - dorzucił żałośnie.

Mimo że Rilla była ogromnie dumna z pochwał Waltera, to jednak tego wieczoru ze smutkiem zapisała w swym pamiętniku:

Chciałabym polubić trochę to dziecko. Wówczas byłoby mi o wiele łatwiej, ale nie mogę. Słyszałam kiedyś, że jak się opiekować nawet obcym dzieckiem, to mimo woli przywiązuje się do niego. Ale ja nie mogę. Po prostu jest okropną zawadą, we wszystkim mi przeszkadza. Krępuje mnie na każdym kroku - i teraz właśnie kiedy organizuję Młody Czerwony Krzyż. Wczoraj wieczorem także nie mogłam pójść na przyjęcie do Alinki Clow, chociaż bardzo tego chciałam. Oczywiście ojciec nie jest znowu taki bezwzględny i czasem mogę wyjść wieczorem na- jakieś dwie godziny, ale wiem, że byłby bardzo niezadowolony, gdybym wyszła na cały wieczór i pozostawiła dziecko mamie albo Zuzannie. Zresztą dobrze uczyniłam, że wczoraj zostałam w domu, bo dziecko dostało boleść około pierwszej w nocy. Kierując się

podręcznikiem Morgana poczęłam się zastanawiać, czy nie było przypadkiem głodne, lecz gdy posiniało na twarzy z płaczu, zagrzałam wody i przyłożyłam mu do brzuszka gorącą butelkę. Wtedy zaczęło krzyczeć jeszcze głośniejszymi i wywijać swymi małymi nóżkami. Złęklam się, że oparzyłam maleństwo, ale nie przypuszczam. Potem wzięłam je na ręce i zaczęłam chodzić po pokoju, chociaż Morgan twierdzi, że tego czynić nie wolno. Spacerowałam tak chyba przez godzinę i byłam już nieludzko zmęczona. Ojca akurat nie było, mama miała migrenę, a Zuzanna spała, lecz nie chciałam jej budzić, bo ona nigdy nie zgadza się z teorią Morgana.

Wreszcie w pewnej chwili weszła panna Oliver. Mieszka teraz nie ze mną, tylko z Nan ze względu na dziecko, a mnie jest ogromnie przykro z tego powodu. Nie mogę już z nią prowadzić tych długich rozmów przed zaśnięciem. To były jedyne chwile, kiedy miałam pannę Gertrudę wyłącznie dla siebie. Przestraszyłam się, sądząc, że krzyk dziecka ją obudził, a przecież ona i tak ostatnio tyle przeżywała. Pan Grant również został wysłany do Valcartier i panna Oliver okropnie się przejęła, chociaż na pozór udawała spokój. Przypuszcza, że on nigdy już nie wróci, a gdy patrzy na mnie swymi tragicznymi oczami, to mi się po prostu serce kraje. Uspokoiła mnie, że to nie dziecko ją obudziło, twierdząc, że nie może spać z tej przyczyny, że Niemcy stoją pod Paryżem. Podniosła wrzeszczące stworzenie, położyła je na brzuszku na swych kolanach i dała mu kilka lekkich klapsów, tak że uspokoilo się i natychmiast zasnęło, a potem spało już przez całą noc. Ja zasnąć nie mogłam, bo byłam strasznie zmęczona. Nazajutrz czułam się tak, jakby mnie „kot wypluł”, jak mawia Zuzanna.

Miałam straszliwe przejścia przy organizowaniu Młodego Czerwonego Krzyża. Udało mi się wreszcie doprowadzić do tego, aby wybrano Basie Meade prezeską, ja zaś zostałam sekretarką, lecz Joasię Vickers obrano skarbniczką, a ja nią gardzę. Jest to ten typ dziewczyny, która nazywa wszystkich mądrych i znakomitych ludzi po imieniu, oczywiście za ich plecami. Poza tym jest zabójczo fałszywa. Unie oczywiście jest to obojętne. Chętnie robi, co jej każą, i nie zależy jej na godnościach. Prawdziwy z niej anioł, jeżeli idzie o charakter. Chciałabym, żeby Walter się w niej zakochał, ale on wcale o tym nie myśli, chociaż kiedyś słyszałam, jak mówił, że Una jest podobna do herbacianej róży. Ma rację. Imponuje ona wszystkim swą słodyczą i uprzejmością, ale mnie tam niełatwo zaimponować, „mogę ręczyć”, jak mówi Zuzanna.

Jak przypuszczałam, Ola twierdzi, że na naszych zebraniach powinien być poczęstunek. Stoczyłyśmy na ten temat zaciętą walkę. Większość członkiń była temu przeciwna, więc teraz mniejszość jest wściekła. Irena Howard stanowczo była za poczęstunkami i od tego czasu jest dla mnie bardzo chłodna. Ciekawa jestem, czy mama i pani Elliot mają również takie scysje na swoich zebraniach. Prawdopodobnie mają, ale szybko

przechodzą nad takimi drobnostkami do porządku dziennego. Ja również przechodzę, tylko nie z takim chłodem, muszę się wypłakać, a potem wszystkie żale zapisuję w pamiętniku. Nigdy nie obnoszę się ze złym humorem. Nienawidzę tego. Jednakże mimo wszystko Młody Czerwony Krzyż został zorganizowany i zebrania naznaczone są co tydzień. Wszystkie mamy się uczyć robót na drutach. Tyle do tej pory załatwiłyśmy.

Obydwoje z Shirleyem poszliśmy na dworzec, aby nakłonić Wtorka do powrotu do domu, ale i nam się to nie udało. Cała rodzina już próbowała i bez skutku. W trzy dni po wyjeździe Jima poszedł tam Walter i siłą zapakował Wtorka do powozika, po czym zamknął go na trzy dni. Po wypuszczeniu Wtorek wyglądał jak szkielet, trzeba go więc było uwolnić, bo biedak zagłodziłby się na śmierć.

Postanowiliśmy dać mu zupełną swobodę, a ojciec umówił się z rzeźnikiem, który ma sklep w pobliżu dworca, aby dawał Wtorkowi odpadki mięsa i kości. Poza tym ktoś z nas chodzi tam prawie codziennie, aby mu zanieść coś do jedzenia. Biedaczek leży zwinięty w kłębek w małej budce i kiedykolwiek jaki pociąg zatrzymuje się na stacji, wybiega stamtąd, przeglądając wnętrza wszystkich wagonów. Później, gdy pociąg rusza, a Wtorek dochodzi do przekonania, że Jim nie przyjechał, wraca rozczarowany do swej budy i czeka znowu cierpliwie nadejścia następnego pociągu. Pan Gray, zawiadowca stacji, powiada, że często płakać mu się chce, gdy patrzy na biednego psa. Któregoś dnia jacyś chłopcy zaczęli obrzucać kamieniami Wtorka, ale stary Józef Meade, który uważany jest za człowieka bez sentymentów, pogonił chłopaków, wygrażając im siekierą. Nikt jeszcze dotychczas Wtorkowi krzywdy nie zrobił.

Krzysztof Ford wyjechał do Toronto. Był tu u nas dwa dni temu, aby się pożegnać. Nie zastał mnie, bo pani Meredith ofiarowała mi swoją pomoc przy szyciu bielizny dla dziecka, więc musiałam iść na plebanie i nie widziałam Krzysztofa. Właściwie wcale mnie to nie obchodzi. Prosił Nan, aby pożegnała „Pająka” w jego imieniu i powiedziała, żebym nie zapomniła o nim, choć jestem zaabsorbowana swoimi macierzyńskimi obowiązkami. Jeżeli pozostawił dla mnie taką pełną ironii wiadomość, to znaczy, że owa godzina spędzona ze mną na wybrzeżu jest dla niego niczym, a ja również nie mam zamiaru się tym przejmować.

Fred Arnold był na plebanii i odprowadził mnie do domu. Jest on synem nowego pastora metodystów i jest przy tym bardzo miły i dobry, a byłby nawet zupełnie ładny, gdyby nie jego nos. Naprawdę ma nos okropny. Jak mówi o codziennych rzeczach, to jeszcze nic strasznego, ale jak zaczyna mówić o poezji i ideałach, to nos mu się jakoś dziwnie wydłuża i można wówczas umrzeć ze śmiechu. Właściwie to nie jest ładne z mojej strony, bo wszystko, co mówił, było ogromnie miłe i gdyby na przykład Krzysztof poruszał taki temat, z

pewnością byłabym oczarowana. Jak go słucham z oczami spuszczoneymi, słowa jego porywają mnie, lecz gdy tylko spojrzę na jego nos, cały urok mija. Fred chce się także zaciągnąć do wojska, lecz nie może, bo ma dopiero siedemnaście lat. Pani Elliot spotkała nas, gdy szliśmy przez wieś, i na pewno nie byłaby bardziej przerażona, gdyby mnie ujrzała spacerującą z samym Kaiserem. Pani Elliot nienawidzi metodystów i nie znosi wszystkiego, co oni robią. Ojciec powiada, że to już obsesja.

Około pierwszego września nastąpił masowy wyjazd ze Złotego Brzegu i z plebanii. Flora, Nan, Di i Walter wyjechali do Redmond. Karol przeniósł się do swej szkoły, za portem, a Shirley do Akademii Królewskiej. Na Złotym Brzegu została tylko Rilla i odczuwałaaby bardzo swą samotność, gdyby miała na to dość czasu. Brak jej ogromnie było Waltera. Od pamiętnej ich rozmowy w Dolinie Tęczy zbliżyli się do siebie jeszcze więcej i Rilla niejednokrotnie opowiadała bratu o takich rzeczach, o jakich nie odważyłaby się wspomnieć nikomu. Była jednak tak zajęta Młodym Czerwonym Krzyżem i dzieckiem, że rzadko kiedy miała wolną chwilę, podczas której mogłaby odczuwać swą samotność. Czasami, gdy kładła się do łóżka, płakała przez chwilę z tęsknoty za Walterem i Jimem oraz z powodu pozostawionej przez Krzysztofa wiadomości, tak nieromantycznej, lecz wkrótce zasypiała i łązy mimo woli obsychały na jej twarzyczce.

- Czy mam załatwiać sprawę wysłania dziecka do Hopetown? - zapytał doktor pewnego dnia.

W pierwszej chwili Rilla była skłonna odpowiedzieć „tak”. Można by dziecko odesłać do Hopetown, przecież tam będzie miało również opiekę, a ona tymczasem odzyska wreszcie swą wolność. Ale... ale biedna matka nie chciała wszakże oddać maleństwa do przytułku! Rilla nie mogła tego zapomnieć. Przy tym tego samego ranka przekonała się, że dziecku przybyło pół funta na wadze od chwili, gdy zaczęła się nim opiekować. Rilla była ogromnie dumna z tego odkrycia.

- Powiedziałeś, tatusiu, że długo nie pożyje, gdy się je odda do Hopetown - wyszeptała.

- Najprawdopodobniej. Nie będzie ono tam miało takiej opieki, a jest przecież bardzo delikatne. Ale wiesz, jakie obowiązki na siebie nakładasz, gdy je zatrzymasz nadal przy sobie, Rillo!

- Opiekuję się nim od dwóch tygodni i przekonałam się, że przybyło mu pół funta! - zawołała Rilla. - Sądzę, że lepiej będzie poczekać na jakąś wiadomość od jego ojca. Może on nie chciałby, aby jego dziecko było w przytułku dla sierot, gdy on walczy za ojczyznę.

Doktor i pani Blythe zamienili ze sobą rozbawione spojrzenia tuż za plecami Rilli. Już nic więcej nie mówiło się o przytułku w Hopetown.

W kilka dni później uśmiech zniknął z twarzy doktora. Niemcy znajdowali się w odległości dwudziestu mil od Paryża. Gazety przynosiły straszliwe wieści o czynach Niemców w Belgii. Na Złotym Brzegu mieszkańców opanowała dziwna gorączka.

- Pożeramy po prostu wiadomości z wojny - mówiła Gertruda Oliver do pani Meredith, siląc się na uśmiech. - Studiujemy mapę i śledzimy każdy strategiczny ruch Hunów. Ojciec Joffre nie skorzystał widocznie z naszych rad i Paryż... musi się... poddać.

- Czy zdobędą go, czy dłoń Wszechmogącego nie powstrzyma ich w ostatniej chwili? - szeptał John Meredith.

- Wykładałam w szkole, jakbym tonęła we śnie - ciągnęła dalej Gertruda. - Potem przychodzę do domu, zamykam się w swoim pokoju i chodzę po nim, aż do zmęczenia. Wydeptałam już ścieżkę na dywanie Nan. Jesteśmy jakoś tak dziwnie bliscy tej wojnie. Posiada ona dla nas takie ogromne znaczenie!

- Niemcy są już u brzegów Sekwany. Trudno będzie uratować Paryż- krakała kuzynka Zofia. Kuzynka Zofia wzięła się ostatnio do czytania gazet i nauczyła się z nich doskonale geografii północnej Francji. Nie nauczyła się tylko wymawiania francuskich nazw w swoim siedemdziesiątym pierwszym roku życia.

- Ja nie mam takiej złej opinii o Wszechmogącym i o Kitchenerze - mówiła przekornie Zuzanna. - Wiem, że taki Bernstoff w Stanach Zjednoczonych twierdzi, że wojna minęła i Niemcy wygrały. Mówiono mi również, że Księżycowy Brodacz ma takie samo zdanie: ogromnie jest z tego zadowolony. Ja jednak mogłabym powiedzieć tym panom, że nie należy liczyć kurcząt, dopóki się nie wylęgną' z jajek, jak również nie należy sprzedawać skóry niedźwiedzia, dopóki niedźwiedź jeszcze żyje.

- Dlaczego flota angielska nic nie robi? - oburzała się kuzynka Zofia.

- Przecież nawet angielska flota nie może płynąć po suchym lądzie, moja Zofio. Panie doktorze, czy może pan mi powiedzieć, jak się to mówi: Rheims, Rajms, Rims czy Rems?

- Myślę, że „Res”, Zuzanno.

- Ach, te francuskie nazwy! - narzekała Zuzanna.

- Słyszałam, że Niemcy zrujnowali zupełnie tamtejszy kościół - wzdychała kuzynka Zofia - a ja zawsze sądziłam, że Niemcy są chrześcijanami.

- Z tym kościołem to straszne, ale w Belgii było o wiele gorzej - wtrąciła Zuzanna ponuro. - Jak pan doktor czytał o tym, że przebijali dzieci bagnetami, droga pani doktorowo, to pomyślałam sobie: „Ach, co by to było, gdyby tam znajdował się nasz mały Jim!”

Przypaliłam wówczas zupe, jak o tym myślałam, i chętnie wylałabym całą wazę gotującej zupy na tego podłego Kaisera, żeby niepotrzebnie nie żył na świecie.

- Jutro... jutro... nadejdą wiadomości o tym, że Niemcy są w Paryżu - wyszeptała Gertruda Oliver drżącymi wargami. Posiadała ona duszę, która ustawicznie cierpi, która płonie cierpieniem całego świata. Niezależnie od osobistego zainteresowania wojną Gertruda przejęta była myślą o upadku Paryża, o dostaniu się tego miasta w ręce barbarzyńców, którzy spalili Louvain i zbombardowali cudowną katedrę w Reims.

Lecz nazajutrz wczesnym rankiem nadeszły wiadomości o cudzie nad Marną. Rilla jak oszalała biegła ze stacji, powiewając gazetą opatrzoną wielkim, radosnym tytułem. Zuzanna pośpieszyła, aby drżącymi rękami wywiesić przed domem flagę. Doktor padł na krzesło, szepcząc:

- Dzięki Bogu!

Pani Blythe śmiała się i płakała na przemian.

- Bóg wyciągnął dłoń i dotknął nią barbarzyńców - rzekł pan Meredith tego wieczoru.

Rilla śpiewała na górze, układając dziecko do łóżeczka. Paryż był uratowany, wojna się skończyła. Niemcy przegrali, teraz już na pewno będzie koniec. Jim i Jerry wrócą. Czarne chmury przeszły bokiem.

- Żebyś mi się nie ważył mieć dzisiaj w nocy boleści - mówiła Rilla do dziecka. - Jak mi będziesz wrzeszczeć, to cię wpakuję w twoją niebieską wazę i odeślę do Hopetown pierwszym pociągami. Masz teraz jakieś ładne oczy i nie jesteś już taki czerwony, jak byłeś. Ale włosów jeszcze nie masz i ręce masz dziwnie pomarszczone. I ani trochę cię nie polubiłam. Ale mam nadzieję, że twoja biedna matka wie o tym, iż leżysz teraz w miękkim koszyczku z butelką mleka i nie jesteś pod opieką tej starej wiedźmy Conover. Mam również nadzieję, że nie wie o tym, iż owego pierwszego ranka utonąłbyś w wanience, gdyby nie Zuzanna. Po prostu wysliznąłeś mi się z rąk. Dlaczego byłeś taki śliski? Nie, nie lubię cię i nigdy się chyba do ciebie nie przywiążę. Ale zamierzam z ciebie zrobić przyzwoite, szanujące się dziecko. Będziesz takim tłusciochem, jak się tylko da, żeby ludzie nie mówili: „Jakiż to cherlak z tego maleństwa Rilli Blythe”, jak powiedziała wczoraj stara pani Drew na zebraniu Czerwonego Krzyża starszych. Jeżeli nie mogę cię kochać, to chciałabym być chociaż dumna z ciebie.

IX.

NIEPRZYJEMNA PRZYGODA DOCA

Wojna nie skończy się przed wiosną - mówił doktor Blythe, gdy okazało się, że uciążliwa walka nad Aisne nie dała żadnych specjalnych rezultatów.

Rilla nuciła półgłosem: „Bądź krzepki za czterech, bierz przeszkody sam”, i jedną nogą poruszała kołyskę niemowlęcia. Morgan potępiał kołyski dla niemowląt, lecz Zuzanna była innego zdania, a warto było odstąpić odrobinę od pewnych zasad, aby tylko nie psuć humoru Zuzanny. Tak więc kołyska zastąpiła stary koszyk, w którym niegdyś spało niemowlę. Rilla odłożyła na chwilę robotę i rzekła:

- Och, jak długo jeszcze wytrzymamy? - po czym na nowo wzięła się do robienia skarpetki. Dawna Rilla, z okresu przed dwoma miesiącami, pobiegłaby na pewno do Doliny Tęczy, gdzie wypłakałaby swój ból.

Panna Oliver westchnęła, a pani Blythe załamała na chwilę ręce. Zuzanna odezwała się żwawo:

- Musimy teraz ostro wziąć się do roboty. Taką dewizą podobno kierują się Anglicy, droga pani doktorowo, i ja postanowiłam również się nią kierować. Zrobię taki sam pudding dzisiaj, jak robię zawsze w sobotę. Może przy kręceniu żółtek zapomnę na chwilę o tych wszystkich okrucieństwach. Pamiętać będę tylko, że Kitchener jest u steru, a Joffre spisuje się bardzo dobrze jak na Francuza. Zapakuję paczkę dla naszego małego Jima i skończę wreszcie tę parę skarpetek. Powinnam stanowczo robić chociaż jedną skarpetkę dziennie. Pani Albertowa Meade zza portu robi przez dzień półtorej pary, ale ona poza skarpetkami niczym się nie zajmuje. Wie pani przecież, droga pani doktorowo, że ta biedaczka od lat była przykuta do łóżka i okropnie rozpaczała, że jest tylko ciężarem dla rodziny. Opowiadano mi niedawno, że teraz zapełnia sobie życie robiąc na drutach rozmaite rzeczy dla żołnierzy od świtu do nocy. Nawet kuzynka Zofia wzięła się do szydełkowania, droga pani doktorowo, i całe szczęście, bo nie ma czasu na długie przemowy, gdy ręce ma zajęte, zamiast je krzyżować na piersiach. Twierdzi ciągle, że wszyscy staniemy się za rok Niemcami, ale powiedziałam jej, że potrzeba więcej niż roku, aby zrobić ze mnie Niemkę. Czy wie pani, że Ryszard MacAllister zaciągnął się do wojska, droga pani doktorowo? Powiadają, że Józio Milgrave także ma zamiar to uczynić, tylko boi się, że wówczas Księżycowy Brodacz nie pozwoli mu ożenić się z Maniusią. Brodacz nie wierzy w te wszystkie okrutne historie, które opowiadają o Niemcach. Uważa, że bardzo dobrze się stało, iż Niemcy zniszczyli katedrę w

Reims, bo przecież katedra było kościołem katolickim. Ja wszakże też nie jestem katoliczką, droga pani doktorowo; jestem urodzoną prezbiterianką i na pewno taką umrę, lecz uważam, że katolicy mają takie same prawa do swego kościoła, jak my, i że Niemcy popełnili zbrodnię niszcząc świątynię. Proszę pomyśleć, droga pani doktorowo - kończyła Zuzanna z patosem - jak my byśmy się czuli, gdyby Niemcy zbombardowali nasz kościół w Glen i gdyby zaczęli znęcać się nad naszymi dziećmi?

Tymczasem cała młodzież świata, bogaci i biedni, wykształceni i prostacy, biali i brunatni, wszyscy szli za głosem Srokiego Kobziarza.

- Nawet chłopak Andrewsów już poszedł i jedynak Janki, i Diany mały Jacek - mówiła pani Blythe. - Syn Priscilli zaciągnął się w Japonii, a syn Stelli wyjechał z Vancouver. Iza pisze, że jej dwaj chłopcy poszli nie zważając zupełnie na jej łzy i rozpacz.

- Jim pisze, że prawdopodobnie wkrótce już wyjadą i że nie uda mu się chyba uzyskać przed wyjazdem urlopu, bo otrzymają rozkaz na parę godzin przedtem - rzekł doktor kładąc list przed żoną.

- To bardzo nieładnie! - zawołała Zuzanna oburzona. - Czyż Sir Samuel Hughes nie liczy się zupełnie z naszymi uczuciami? Też pomyśl, żeby wysyłać kochanego chłopca do Europy i nie pozwolić mu przedtem zobaczyć się z najbliższymi! Gdybym była na pańskim miejscu, drogi panie doktorze, napisałabym o tym do gazet.

- Może tak i lepiej - wtrąciła rozczarowana pani Blythe. - Wątpię, czy mogłabym przeżyć drugie rozstanie, teraz kiedy jestem pewna, że wojna nie minie tak szybko. Och, gdyby tylko - nie, nie chcę tego wymówić! Tak samo, jak Zuzanna i Rilla - dorzuciła z uśmiechem - postanowiłam być bohaterką.

- Wszystkie jesteście dzielne - rzekł doktor. - Dumny jestem z moich niewiast. Nawet Rilla, moja „lilia polna”, zajęła się zorganizowaniem Czerwonego Krzyża i wychowuje przyszłego żołnierza Kanady. W każdym razie stała się pożytecznym członkiem społeczeństwa. Rilla, prawowita córko Ani, jakie zamierzasz nadać imię swemu wojennemu niemowlęciu?

- Czekam na wiadomość od Jima Andersona - odparła Rilla. - Może on sam będzie chciał nadać imię swemu dziecku.

Lecz chociaż jesień minęła, ani słowo wiadomości nie przyszło od Jima Andersona, o którym nic nie słyszano od chwili, gdy wyruszył z Halifaxu i dla którego widocznie los żony i dziecka był rzeczą zupełnie obojętną. Wreszcie Rilla zdecydowała się nadać dziecku imię Jan, a Zuzanna zaopiniowała, że na drugie imię trzeba mu dopisać „Kitchener”. Tak więc wśród mieszkańców Złotego Trzęgu wyrastał Jan Kitchener Anderson, którego imiona były

bardziej imponujące niż własna jego wątła osobka. Postanowiono skrócić to imię i nazwano dziecko „Jasiem”, lecz Zuzanna po kryjomu nie nazywała go inaczej, tylko „Mały Kitchener”.

- Jaś nie jest odpowiednim imieniem dla chrześcijańskiego dziecka, droga pani doktorowo - mówiła z niezadowoleniem. - Kuzynka Zofia twierdzi, że imię to jest za figlarne, i po raz pierwszy w życiu muszę jej przyznać słuszność. Co do maleństwa, to uważam, że nareszcie przybrało wygląd normalnego dziecka, i przyznać trzeba, że Rilla wychowuje je doskonale, chociaż nie należy jej wbijać w dumę. Nigdy nie zapomnę, droga pani doktorowo, tej chwili, kiedy ujrzałam maleństwo leżące w niebieskiej wazie, owinięte w jakieś brudne flanelowe szmaty. Wszyscy wiedzą, że Zuzanna Baker rzadko kiedy zapomina języka w ustach, ale wówczas naprawdę języka zapomniałam, może mi pani wierzyć. Zdawało mi się, że śnię. Natychmiast pomyślałam: „Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby się komuś śniło niemowlę w wazie od zupy, więc to jednak musi być rzeczywistość”. Gdy usłyszałam, jak doktor zwrócił się do Rilli, że będzie musiała sama zajmować się dzieckiem, myślałam, że to są żarty, bo ani na chwilę nie wierzyłam, że ona będzie do tego zdolna. Widzi pani jednak, jak się dziewczynka wyrobiła i stała się prawdziwą kobietą. Tak już jest, droga pani doktorowo, że gdy się do czegoś przymusimy, to spełniamy to zazwyczaj jak najlepiej.

Zuzanna potwierdziła swoje słowa przykładem, który nadarzył się pewnego październikowego dnia. Doktor i doktorowa byli nieobecni. Rilla rezydowała po południu przy kołysce Jasia, śpiewając, kołysząc go i robiąc jednocześnie skarpetki. Zuzanna siedziała na bocznej werandzie, łuskając groch, w czym dopomagała jej kuzynka Zofia. Spokój i cisza panowały w całym Glen. Niebo pokryte było drobniutkimi, srebrzystymi obłoczkami. Dolina Tęczy spoczywała również w ciszy, przystrojona szatą jesiennych pożółkłych liści. Zuzanna zatoneła na chwilę w zapomnieniu, chociaż poprzedniej nocy nie mogła zasnąć, dowiedziawszy się, że „mały kochany Jim” wyruszył na Atlantyk okrętem kanadyjskim. Nawet kuzynka Zofia wyglądała mniej melancholijnie niż zwykle, nie mogąc nic zarzucić temu pięknemu dniowi, choć niewątpliwie zwiastował on burzę.

- Jest chyba za wielka cisza, aby miało to trwać długo - mówiła.

Jakby dla potwierdzenia jej słów piekielny trzask rozległ się tuż za nimi. Trudno opisać hałas, brzęk tłuczonego szkła i porcelany oraz dziki skowyt, który dobiegł od strony kuchni. Zuzanna i kuzynka Zofia spojrzały na siebie z przerażeniem.

- Co, u licha, tam się stało? - wyszeptała kuzynka Zofia.

- Na pewno to przekłete kocisko do reszty zwariowało - mruknęła Zuzanna. - Zawsze oczekiwałam tego.

Rilla zbiegła na dół, również przerażona.

- Co się stało? - zawołała.

- Sama nie mam pojęcia, lecz to na pewno ten wasz dziki kocur wyprawia harce - odparła Zuzanna. - Lepiej się do niego nie zbliżać. Uchyłę drzwi i zajrzę do kuchni. Zawsze mówiłam, że diabeł siedzi w tej bestii, i miałam rację.

- Według mnie ten kot musi mieć wściekliznę - odparła uroczyście kuzynka Zofia. - Opowiadano mi raz o kocie, który oszalał i pogryzł troje ludzi. Wszyscy oni umarli w okropnych męczarniach, a po śmierci byli czarni jak atrament.

Mimo tych ostrzeżeń Zuzanna uchyliła drzwi i zajrzała. Podłoga była zasypana, skorupami potłuczonych talerzy, bo widocznie rozegrała się tu straszna tragedia zapoczątkowana na wysokim kredensie, gdzie Zuzanna ustawiała zawsze umyte i wytarte naczynia. Dokoła kuchni biegał oszalały kot z głową uwieczoną w czerwonej blaszanej puszcze po konserwie z łososia. Na oślep tarzał się po podłodze z głośnym miauczeniem, usiłując uwolnić się ze szponów puszek, lecz na próżno wierzgał uzbrojonymi w pazury łapami.

Widok ten był taki zabawny, że Rilla mimo woli wybuchnęła śmiechem. Zuzanna spojrzała na nią wzrokiem pełnym nagany.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. Bestia potłukła wielki, błękitny wazon pani doktorowej przywieziony jeszcze z Zielonego Wzgórza. Niemala to strata, ale najgorsze to, w jaki sposób wyswobodzić kocisko z tej puszek.

- Nie waż się go dotykać! - zawołała kuzynka Zofia gorączkowo. - Możesz się pożegnać z życiem. Zamknij drzwi i poślij po Alberta.

- Nie zwykłam posyłać po Alberta przy byle głupstwie - odparła z dumą Zuzanna. - Biedne kocisko, musi bardzo cierpieć, a ja nie mogę patrzeć na czyjś ból. Nie oszalał przecież, a przynajmniej nie jest bardziej szalony, niż był dotychczas. Idź, Rillo, do swego Małego Kitchenera, ja już tu sama sobie poradzę.

Zuzanna wsunęła się ostrożnie do kuchni, ściągnęła z gwoźdźca deszczowy płaszcz doktora i po pewnych trudach udało jej się przykryć tym płaszczem kota i nieszczęsną puszkę. Po czym nożem do otwierania konserw powiększyła otwór puszek, gdy tymczasem Rilla trzymała wyrywające się zwierzę, owinięte płaszczem. Podobnych wrzasków, jakie wydawał Doc przy tej operacji, nie słyszano jeszcze nigdy w całym Glen. Zuzanna przeraziła się, że Albert Crawford może je dosłyszeć i gotów pomyśleć, że ona torturuje zwierzę. Po uwolnieniu się z puszek Doc przycichł nagle. Obrzucił Zuzannę pełnym wdzięczności spojrzeniem i wyskoczył oknem do lasu, skąd już nie wyszedł przez cały dzień. Zuzanna poczęła zbierać potłuczone skorupy z podłogi.

- Nawet Niemcy nie dokonali by gorszego zniszczenia - mruczała z goryczą - Ale jeżeli ludzie, mimo wszelkich ostrzeżeń, trzymają taką diabelską bestię, to muszą być przygotowani na wszystko. Ładne czasy nastały, że nie wolno ani na kilka chwil zostawić kuchni, bo pierwsze lepsze kocisko obróci wszystko w gruzy.

X.

KŁOPOTY RILLI

Minął październik i nadeszły ponure dni listopada i grudnia. Świat trząsł się od nowych wyczynów walczących z sobą armii. Antwerpia padła, Turcja wypowiedziała wojnę, a maleńka dzielna Serbia wzięła się w kupę i mężnie stawiała czoło wrogowi. W dalekim, przycupniętym w górach Glen St. Mary, w odległości tysięcy mil od frontu, serca mieszkańców biły trwogą o życie tych, którzy na wojnę wyruszyli.

- Kilka miesięcy temu - mówiła panna Oliver - myśleliśmy i mówiliśmy tylko o sprawach Glen St. Mary. Teraz myślimy i mówimy o ruchach wojsk i dyplomatycznych intrygach.

Największym zdarzeniem dnia było nadejście poczty. Nawet Zuzanna przyznawała, że od chwili pojawienia się wózka pocztowego na małym mostku między stacją i wsią aż do przyniesienia i przeczytania gazet nie była w stanie pracować normalnie.

- Muszę brać się do szydełkowania, dopóki gazety nie nadejdą, droga pani doktorowo. Szydełkowanie jest jeszcze jedyną pracą," którą się można zająć wtedy, gdy serce mocno bije i coś ściska w gardle. Wówczas wszystkie myśli się zatracają. Gdy widzę wielkie nagłówki wiadomości i dowiem się wreszcie, co one zawierają, mogę spokojnie wrócić do swoich zajęć. Całe nieszczęście, że poczta przybywa właśnie o' takiej porze, kiedy trzeba gotować obiad, i sędzę, że rząd powinien to jakoś zmienić. Jestem w każdym razie pewna, że Kaiser nie będzie jadł kolacji wigilijnej w Londynie w tym roku. Wie pani, droga pani doktorowo - Zuzanna zniżyła głos, jakby udzielała jakichś poufnych informacji - słyszałam z wiarogodnego źródła, bo inaczej nie powtarzałabym tego, szczególnie gdy to ma związek z proboszczem, że wielbny Mr Arnold co tydzień wyjeżdża do Charlottetown, gdzie bierze tureckie kąpiele na swój reumatyzm. Uważam, że nieładnie z jego strony, bo przecież walczymy teraz z Turkami. Jeden z jego wikarych zawsze twierdził, że Mr Arnold nie jest prawowitym księdzem, i zaczynam teraz wierzyć w prawdziwość tych słów. Muszę dzisiaj koniecznie upiec ciasto i posłać małemu Jimowi na święta. Ucieszy się nasz kochany chłopak, jeżeli do tej pory nie zatonie w błocie.

Jim przebywał w obozie Salisbury i pisał wesołe listy, mimo błota. Walter przysyłał z Redmond listy do Rilli, lecz te pozbawione były wszelkich wesołości.

Rilla otwierała je zawsze z drzeniem w obawie, czy brat nie donosi jej, iż zaciągnął się do wojska. Smutny jego nastrój i jej się udzielał. Jakże by chciała otoczyć go ramieniem i

przytulić do siebie, jak czyniła to niegdyś w Dolinie Tęczy. Nienawidziła tych wszystkich, na których spadała odpowiedzialność za przygnębiecie Waltera.

- Na pewno pójdzie - szeptała bezradnie pewnego popołudnia, siedząc samotnie w Dolinie Tęczy i odczytując jeden z jego listów - na pewno pójdzie, a ja chyba nie przeżyję tego.

Walter pisał, że ktoś anonimowo przysłał mu kopertę, w której znalazł białe piórko.

Zasłużyłem na to, Rillo. Czuję, że powinienem nosić to piórko w klapie, demonstrując w całym Redmond swoje tchórzostwo. Wszyscy chłopcy w moim wieku poszli. Codziennie zaciąga się kilku. Prawdopodobnie kiedyś i ja się zdecyduję. Wyobrażam już sobie tą chwilę, kiedy z wyciągniętym bagnietem napadę na człowieka, na wroga, który jest prawdopodobnie czyimś mężem czy synem, a może ojcem drobnych dzieci. Widzą siebie leżącego w błocie, spragnionego kropli wody, otoczonego rannymi i dochodzą do wniosku, że nie mogą się na to zdobyć. Nie mogą nawet myśleć o tym. Jakże będą mógł stanąć w obliczu rzeczywistości? Przychodzą na mnie takie chwile, kiedy wolałbym, żebym się wcale nie urodził. Życie wydawało mi się tak piękną rzeczą, a obecnie jest wstrętne. Rillo-ma-Rillo, gdyby nie twoje kochane, szczere, wesołe i beztroskie listy, na pewno utraciłbym resztą równowagi. A listy Uny! Una jest naprawdę kochaną dziewczyną, nieprawdaż? Posiada tyle prostoty i szczerości w swoim postępowaniu. Nie potrafi pisać tak wesoło jak ty, lecz w listach jej jest coś takiego, co by mnie skłoniło nawet do pójścia na front. Nie myśl, że Una kiedykolwiek wspomina o tym, że czyni mi jakieś wymówki na ten temat, nie leży to w jej usposobieniu. Jednakże nie mogą się na ten krok zdecydować. Ty masz brata, a Una przyjaciela, który jest tchórzem.

- Och, jakbym chciała, żeby Walter nie pisał takich rzeczy! - westchnęła Rilla. - To mnie boli. On nie jest tchórzem, stanowczo nie jest!

Spojrzała w zamyśleniu dokoła, na małą zalesioną dolinkę i szarą ścieżkę poniżej. Jak to wszystko przypominało jej Waltera! Pożółkłe liście trzymały się jeszcze na gałęziach drzew, które z obydwu stron okalały strumyk. Połyskiwały na nich niby perły delikatne krople deszczu, który dopiero niedawno przestał padać. Walter w jednym ze swoich wierszy opisał ten widok. Wiatr wzdychał i zawodził wśród огоłoconych konarów tuż nad źródłem. Walter powiedział kiedyś, że kocha tę melancholię jesiennego wiatru podczas dni listopadowych. Trójka Kochanków trzymała się namiętnie w objęciach, a Biała Dama, obecnie огоłocona z liści, zdawała się wpatrywać w szare, zasnucone chmurami niebo. Walter dawno nadał tym drzewom owe imiona, a w zeszłym roku w listopadzie, gdy spacerował wraz z Rillą i panną Oliver po dolinie, spoglądając na odartą z liści Białą Damę i srebrzystą tarczę księżycy zawisłą nad jej konarami, rzekł: „Biała brzoza jest niby piękna pogańska

dziewoja, która nigdy nie poznała tajemnicy raju”. A panna Oliver na to: „Napisz o tym w którymś ze swoich wierszy, Walterze”. Walter usłuchał rady i nazajutrz odczytał im króciutki poemat, przesiąknięty liryzmem. Och, jacy szczęśliwi byli wówczas!

Tak - Rilla zerwała się na równe nogi, czas upływał. Jaś na pewno zbudzi się wkrótce, więc trzeba mu przygotować śniadanie. Poza tym dziś wieczorem miało się odbyć zebranie Młodego Czerwonego Krzyża, a jeszcze worek należało wykończyć. Będzie to najładniejszy worek w całym Czerwonym Krzyżu, ładniejszy nawet niż ten, który zrobiła Irena Howard. Trzeba iść do domu i zająć się pracą. Zajęta była ostatnimi dniami od rana do wieczora. To małe małpiątko Jaś zabierał mnóstwo czasu. Ale rósł, naprawdę rósł. Chwilami Rilla czuła, że nie było to tylko jej pobożne życzenie, lecz że naprawdę wyglądał z każdym dniem lepiej. Po prostu była dumna z niego i klepała go od czasu do czasu, lecz pocałować go nigdy nie miała ochoty.

- Niemcy dzisiaj zajęli Łódź - rzekła panna Oliver pewnego grudniowego wieczoru, gdy razem z panią Blythe i Zuzanną zajęte były szydełkowaniem w przytulnej bawialni. - Dzięki tej wojnie nabieram trochę pojęcia o geografii. Chociaż jestem nauczycielką, to jeszcze trzy miesiące temu nie miałam pojęcia, w jakiej części świata znajduje się takie miasto jak Łódź. Gdybym nawet słyszała o nim, nie interesowałabym się tą sprawą. Obecnie wiem o Łodzi wszystko - jaki jest obszar tego miasta, położenie i znaczenie pod względem strategicznym. Wczorajsze wiadomości, że Niemcy zamierzają zaatakować Warszawę, sprawiły, że serce zabiło mi z przelżenia. Obudziłam się w nocy i wciąż myślałam o tym. Nie dziwię się teraz, że dzieci zawsze płaczą, gdy się budzą w nocy. Wszystko razem przytłoczyło z szaloną siłą mą duszę, a żadna chmurka na niebie nie miała wyglądu srebrnego obłoczka.

- Ja tam, jak się budzę w nocy i nie mogę zasnąć - zauważyła Zuzanna, która szydełkowała i czytała jednocześnie - wymyślam rozmaite sposoby, jakimi można by zameczyć Kaisera na śmierć. Ostatniej nocy postanowiłam usmażyć go w gorącym oleju i sama myśl o tym sprawiła mi ogromną przyjemność, szczególnie gdy przypominałam sobie te biedne belgijskie niemowlęta.

- Gdyby Kaiser był tutaj i gdyby znosił takie cierpienia, na pewno Zuzanna pierwsza okładałaby go wapienną wodą - zaśmiała się panna Oliver.

- Ja? - zawołała z oburzeniem Zuzanna. - Ja, panno Oliver? Sama bym go wepchnęła do rozpalonego oleju i patrzyłabym, jak puchnie. Na pewno bym to uczyniła, mogę pani zaręczyć. Nie mogłabym patrzeć na jego cierpienia, rzeczywiście! Mógłby umrzeć w bólach, zanim bym kiwnęła palcem, aby go ratować.

- Pismo święte mówi, że powinniśmy kochać naszych wrogów, Zuzanno - wtrącił doktor uroczyście.

- Tak, naszych wrogów, ale nie wrogów króla Jerzego, drogi panie doktorze - odparła Zuzanna rezolutnie. Była tak zadowolona z siebie, że nawet uśmiechała się, wycierając szklanki. Do tej chwili Zuzanna nie myślała nawet o umyciu szklanek, bo musiała przedtem odczytać komunikaty wojenne. - Czy może pani mi powiedzieć, panno Oliver, jak się wymawia Mława, Bzurą i Przemyśl?

- Są to wyrazy, których nikt u nas wymówić prawidłowo nie potrafi, Zuzanno. Ja także tylko zgaduję.

- Moim zdaniem, te cudzoziemskie wyrazy stanowczo nie mają sensu - orzekła Zuzanna z niechęcią.

- Mam wrażenie, że Austriacy, Rosjanie i Polacy twierdzą tak samo o nazwach angielskich - uśmiechnęła się panna Oliver. - Ale Serbowie doskonale się spisali. Zdobyli Belgrad.

- I wysłali Austriaków na grzybki - dorzuciła Zuzanna zabierając się do studiowania mapy wschodniej Europy. - Jeszcze niedawno kuzynka Zofia uważała, że Serbia nic nie zdoła zrobić. Powiedziałam jej wówczas, że należy tylko wierzyć w Opatrzność. Podobno bitwy tamtejsze były okropne. Chociaż to są cudzoziemcy, ale przykro jest pomyśleć o tylu zabitych ludziach, droga pani doktorowo.

W tym samym czasie Rilla na górze dawała upust swym uczuciom, spisując swój pamiętnik.

W ostatnim tygodniu wszystko jest jakieś zatracone, jak powiada Zuzanna. Częściowo jest to moja własna wina, a częściowo tak się składa, ale czuję się okropnie.

Któregoś dnia pojechałam do miasta, aby kupić sobie nowy kapelusz na zimę. Po raz pierwszy nikt ze mną nie pojechał i musiałam wybierać sama, widocznie mama przestała mnie już uważać za dziecko. Wybrałam najdroższy kapelusz, ale był prześliczny. Zrobiony z aksamitu w odcieniu zielonym i było mi w nim bardzo do twarzy. Zielony odcień harmonizuje z moją cerą i podkreśla jeszcze wyraz oczu. Tylko raz w życiu miałam kapelusz zielony, ale był o wiele brzydszy od tego. Gdy tylko zobaczyłam ten kapelusz, postanowiłam go kupić i oczywiście zdecydowałam się bardzo prędko. Cena była wysoka. Nie napiszę tu, ile kosztował, bo nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że w czasie wojny, kiedy należy oszczędzać, ja ni z tego, ni z owego wydaję tyle pieniędzy.

Gdy wróciłam do domu i przymierzyłam kapelusz w swoim pokoju, zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Oczywiście, kapelusz był piękny, ale nieco za elegancki i

wyzywający, aby pójść w nim do kościoła lub spacerować po Glen, jednym słowem - nieodpowiedni: Jakoś całkiem inaczej wyglądał w sklepie, a inaczej w moim białym, skromnym pokoiku. I ta okropnie wysoka cena! A tam biedni Belgowie umierają z głodu! Gdy mama zobaczyła kapelusz i dowiedziała się, ile kosztuje, spojrzała tylko na mnie. Mama jest specjalistką w patrzeniu. Ojciec twierdzi, że zajrzała mu do serca przed laty, jeszcze w szkole w Avonlea, a ja w to wierzę, chociaż nasłuchiwałam się opowiadań o tym, jak rzuciła mu w głowę tabliczką na samym początku ich znajomości. Urwis był z naszej mateczki, gdy była jeszcze dziewczynką, a nawet do czasu kiedy Jim się zaciągnął, była pełna werwy. Ale wracajmy do rzeczy, to znaczy do mego zielonego aksamitnego kapelusza.

„Czy sądzisz, Rillo - zapytała mama spokojnie, za spokojnie nawet - że słusznie uczyniłaś płacąc tak drogo za kapelusz, szczególnie teraz, gdy cały świat cierpi nędzę?”

„Kupiłam ten kapelusz z własnych oszczędności, mamo!” - wykrzyknęłam.

„To nie jest tłumaczenie. Oszczędności swoje, mogłaś wydać na jakiś cel rozsądniejszy. Skoro płacisz za jedną rzecz tak dużo, to mimo woli musisz zaoszczędzić na innej i z pewnością ci to nie daje zadowolenia. Jeżeli jednak uważasz, że uczyniłaś słusznie, nie mam już nic więcej do powiedzenia. Pozostawiam to w zupełności twemu własnemu uznaniu”.

Wolałabym, żeby mama nie zostawiła tego memu uznaniu! Ale co było robić? Nie mogłam przecież zwrócić kapelusza, bo byłam w nim na koncercie w mieście, więc rada nierada musiałam go zatrzymać! Było mi jakoś nieswojo i wpadłam nagle w zły humor, w paskudny, zły, nieprzyjemny humor.

„Mamo - rzekłam wyniośle - bardzo mi przykro, że ci się mój kapelusz nie podoba...”

„Nie idzie tu o kapelusz - odparła mama - chociaż uważam, że nie pasuje on dla takiej młodej dziewczyny jak ty, idzie mi tu głównie o cenę”.

Nie poprawiło to mego humoru i stałam się jeszcze bardziej zimna, obojętna i dumna, chociaż bardzo mnie dotknęły słowa matki.

„Muszę go jednak zatrzymać. W każdym razie obiecuję ci, że przez trzy lata albo przez cały czas trwania wojny nie kupię innego kapelusza. Nawet ty - wyraz ty był nasiąknięty pełną goryczy ironią - nie możesz powiedzieć, że wydałam za dużo, jeżeli ten kapelusz ma mi starczyć na trzy lata”.

„Jeszcze przed upływem trzech lat znudzi ci się z pewnością ten kapelusz, Rillo” - rzekła mama z prowokacyjnym uśmiechem, który oznaczał mniej więcej podejrzenie, że z pewnością za tydzień rzucę mój kapelusz do kąta.

„Czy mi się znudzi, czy nie, to jednak będę go nosić” - odparłam, po czym pobiegłam na górę i wyplakałam się w moim pokoju ze złości na samą siebie, że z taką ironią zwracałam się do mamy.

Już teraz nie mogę znieść tego kapelusza. Ale skoro powiedziałam, że musi mi służyć trzy lata albo do końca wojny, to słowa dotrzymam. Powinnam ponieść zasłużoną karę.

Właśnie to jest jedna z tych „zatraconych” rzeczy. Druga znowu to to, że pokłóciłam się z Ireną Howard, czyli ona się ze mną pokłóciła, a właściwie pokłóciliśmy się obydwie.

Młody Czerwony Krzyż miał się wczoraj zebrać na posiedzenie. Oznaczono godziną wpół do trzeciej, lecz Irena przyszła o wpół do drugiej, bo musiała jechać do Górnego Glen. Irena ostatnio od chwili organizacji naszego Czerwonego -Krzyża nie była ze mną w dobrej komitywie, bo prawdopodobnie Uczyła na urząd prezeski. Myślałam jednak, że wszystko się wygładzi, i nigdy nie zaważałam o ten temat. Gdy zjawiała się wczoraj u mnie, była od pierwszej chwili miła i uprzejma, tak że zaczęłam już wierzyć, iż zaprzyjaźnimy się na nowo.

Lecz gdy tylko usiadłyśmy, Irena zaczęła mi dokuczać. Widziałam, jak z niechęcią patrzyła na mój nowy szydełkowy worek. Dziewczeta niejednokrotnie mi mówiły, że Irena jest zazdrosna, a ja nigdy w to nie wierzyłam. Teraz widzę, że miały słuszość.

Przede wszystkim przyczepiła się do Jana. Twierdząc, że strasznie lubi dzieci, wyjęła go z kołyski i zaczęła obcałowywać po t w a r z y. Prawdopodobnie wiedziała, że nie lubię, gdy ktoś w ten sposób całuje Jasia. To stanowczo jest niehigienicznie. Tak go długo męczyła, że biedak zaczął płakać, wówczas roześmiała się głośno i zwróciła się do mnie z udaną słodyczą:

„Rillo, k o c h a n i e , wyglądasz tak, jakbyś sądziła, że zatrulałam pocałunkami dziecko”.

„O, nie, Ireno - odparłam z taką samą słodyczą - ale Morgan twierdzi, że dziecko należy tylko całować w czoło, aby nie zarazić go zarodkami jakiejś choroby. Uważam, że to samo dotyczy Jasia”.

„Moja droga, czyż mam jakieś zarodki?” - zawołała Irena z oburzeniem. Wiedziałam, że kpi ze mnie i że w gruncie rzeczy wszystko się w niej gotuje, ale na zewnątrz ani cienia złości. Zaczęłam się już nawet zastanawiać, czy nie posądzam fałszywie Ireny.

Potem zaczęła podrzucać Jasia w górę. Morgan twierdzi, że najbardziej niewskazaną rzeczą jest podrzucanie dziecka. Nigdy nie pozwalałam, aby Jasia w górę podrzucano. Lecz Irena podrzucała go i temu wstrętnemu bachorowi widocznie to się podobało. Uśmiechnął się po raz pierwszy. Skończył już cztery miesiące, a nigdy dotychczas jeszcze się nie uśmiechał. Nawet mama i Zuzanna nie mogły wywołać uśmiechu na jego

twarzyczce. A teraz smarkacz śmieje się, bo Irena Howard podrzuca go w górę! I mówić tu o wdzięczności!

Muszę przyznać, że wskutek uśmiechu zaszła w nim ogromna zmiana. Dwa maleńkie dołeczki na policzkach pogłębiły się, a ciemne oczka poczęły błyszczeć rozradowaniem. Irena zaczęła w idiotyczny sposób bredzić na temat tych dołeczków, można by pomyśleć, że to jej dzieło. Udawałam, że jestem zajęta szyciem i nie zwracam zupełnie na nią uwagi. Irenie zaś wkrótce znudziło się to podrzucanie i położyła Jasia z powrotem do kołyski. Smarkacz niezadowolony był z tego, że zabawa się przerwała, zaczął płakać i był już rozkapryszony przez całe popołudnie, chociaż z chwilą gdy Irena go ułożyła do kołyski, nic mu się przecież złego nie działo. Irena spojrzała na Jasia i zapytała:

„Czy on tak często płacze?” - jakby nigdy nie słyszała przedtem płaczącego dziecka.

Tłumaczyłam jej cierpliwie, że dzieci powinny płakać pewną oznaczoną ilość minut dziennie, aby tym samym trenować swe płuca. Morgan też tak twierdzi.

„Gdyby Jaś wcale nie płakał, pobudzałabym go do płaczu” - rzekłam.

„Czyżby?” - zawołała Irena śmiejąc się, jakby słowom moim nie wierzyła. „Wychowanie dziecka” Morgana znajdowało się na górze, więc w danej chwili nie mogłam jej przekonać. Potem, zauważyła, że Jaś ma bardzo mało włosów, i orzekła, że nigdy jeszcze nie widziała, aby czteromiesięczne dziecko było tak łyse.

Wiem, że Jaś nie ma dużo włosów, lecz Irena powiedziała to takim tonem, jakbym ja była temu winna. Odrzekłam jej na to, że widziałam już dużo dzieci tak samo łysych jak Jaś, a Irena zaraz, że nie chciała mnie obrazić, choć wiedziała, że wcale nie czuję się obrażona.

Tak już było dalej przez następne pół godziny, że Irena ciągle mi czymś dokuczała. Dziewczęta miały słuszość, mówiąc, że jest złośliwa, ale ja nigdy w to nie wierzyłam. Uważałam zawsze Irenę za dobrą i szlachetną dziewczynę i bolało mnie teraz, że okazało się inaczej. Postanowiłam jednak nie brać tego sobie do serca i szłam dalej nocną koszulę dla jakiegoś belgijskiego dziecka.

Wówczas Irena powiedziała mi coś strasznie podłego i obraźliwego, co podobno ktoś miał powiedzieć o Walterze. Nie chcę teraz tego powtarzać - nie mogę. Oczywiście zaznaczyła, że zdenerwowała się, słysząc to, lecz lepiej byłoby, żeby się nie tłumaczyła przede mną. Wiem, że powtórzyła mi tę rzecz, aby mnie dotknąć.

Wówczas wybuchnęłam.

„Jak śmiesz przychodzić tu i powtarzać takie rzeczy o moim bracie, Ireno Howard? - zawołałam. - Nigdy ci tego nie zapomnę, nigdy! Twój brat także się do wojska nie zaciągnął - nie ma nawet najmniejszego zamiaru”.

„Rillo, kochanie, przecież ja tego nie powiedziałam - rzekła Irena. - To były słowa pani Grzegorzowej Burr. Powiedziałam jej nawet”...

„Nie chcę słyszeć, coś jej powiedziała. Bądź łaskawa więcej nie rozmawiać ze mną, Ireno Howard”.

Oczywiście, tego mogłam nie mówić, ale tak się jakoś samo wymknęło. Potem zjawily się inne dziewczęta, a ja na pozór spokojnie grałam rolę gospodyni. Irena przez całą resztę popołudnia siedziała z Olą Kirk i wyszła, nie spojrzawszy na mnie. Widocznie przyjęła poważnie moje słowa, ale ja się o to wcale nie martwię, bo nie mogę przecież uważać za przyjaciółkę tej dziewczyny, która powtarza nieprzyjemne rzeczy o Walterze. Mimo to jednak czuję się ogromnie nieswojo po tym wszystkim. Byłyśmy zawsze bardzo zaprzyjaźnione z sobą i do niedawna Irena okazywała mi wiele serdeczności. Odarto mnie z jeszcze jednej iluzji i czuję się tak, jakby na świecie nie istniała prawdziwa, szczerą przyjaźń.

Ojciec kazał Józefowi Meade'owi wybudować małą budę dla Wtorka, tuż przy budzie stacyjnej. Myśleliśmy, że gdy nastaną chłody, Wtorek zdecyduje się wreszcie wrócić do domu. Ale żadna siła ludzka nie może skłonić Wtorka do oddalenia się na pięć minut od stacji. Siedzi tam i obserwuje każdy przybywający pociąg. Postanowiliśmy więc uczynić coś, aby mu było ciepło i wygodnie. Józef wybudował budę w ten sposób, że Wtorek może leżeć w niej i obserwować peron, co jest głównym jego zajęciem.

Wtorek stał się sławną osobistością. Przybył reporter z „Przedsięwzięć” z miasta, fotografował go i opisał całą historię jego wiernego czuwania. Historia ta została wydrukowana w „Przedsięwzięciach” i przedrukowana przez wszystkie gazety kanadyjskie. Dla Wtorka jednak nie posiada to żadnego znaczenia. Jim wyjechał, Wtorek nie wie dokąd i dlaczego, lecz czekać będzie cierpliwie jego powrotu. Czasami to wyczekiwanie Wtorka sprawia mi dziwną przyjemność. Może to głupie z mojej strony, lecz mimo woli mam wrażenie, że Jim wróci jednak, bo inaczej Wtorek na niego nie czekałby.

Za moimi plecami Jaś kicha w kołysce. Prawdopodobnie przeziębził się. Irena była wczoraj przeziębiona i jestem pewna, że zaraziła katarem dziecko. Jaś nie jest już taką zawadą, jak był. Kosteczki mu stwardniały i może siedzieć całkiem przyzwoicie. Lubi nawet kąpiel i pluszcze się w wodzie bez grymasów i wrzasków.

Och, nigdy chyba nie zapomnę tych pierwszych dwóch miesięcy. Naprawdę nie wiem, jak ja je przeżyłam. Jednakże żyję i Jaś żyje i obydwójce jakoś to wszystko „przeżyliśmy”. Połechtalam go dzisiaj wieczorem przy rozbieraniu, Morgan nie zabrania łechtania, ot, tak, aby się przekonać, czy się uśmiechnie, jak wczoraj do Ireny. I uśmiechnął się, ukazując swoje śliczne dołeczki. Jaka szkoda, że jego matka nie może tego zobaczyć!

Dzisiaj skończyłam szóstą parę skarpetek. Przy pierwszych trzech parach Zuzanna mi pomagała, ale potem zawstydziłam się i nauczyłam się robić skarpetki sama. Nienawidzę tej roboty, lecz tylu rzeczy nienawidzę, które muszę spełniać od czwartego sierpnia, że jeszcze jedna znienawidzona robota może się nie liczyć. Myślę teraz o Jimie, który żartując, pisze o błotach w obozie Salisbury, i dochodzę do wniosku, że w porównaniu z tym robienie skarpetek jest rzeczą całkiem, przyjemną.

XI.

BLASKI I CIENIE

Na święta Bożego Narodzenia przyjechali do domu dziewczęta i chłopcy z Redmond i na Złotym Brzegu zapanowała znowu na pewien czas atmosfera wesela. Lecz nie wszyscy byli w komplecie, po raz pierwszy brakowało przy stole wigilijnym Jima, który był bardzo daleko, i Rilla czuła, że nie zajęte jego miejsce przejmuje jej serce dotkliwym bólem. Zuzanna uparła się, aby zostawić jak zwykle miejsce dla Jima, i położyła na stole rzeźbione kółko do serwetki, które używał jeszcze za czasów chłopięcych, oraz wysoki kubek z Zielonego Wzgórza, który podarowała mu niegdyś ciotka Maryla i z którego zawsze najchętniej pijał.

- Kochany nasz chłopiec powinien mieć swoje miejsce, droga pani doktorowo - twierdziła Zuzanna - jestem pewna, że duszą przebywa wciąż z nami, a w przyszłym roku na święta będzie już tutaj i ciałem. Zaczekajmy do wielkiej ofensywy, która nastąpi na wiosnę, wówczas na pewno wojna prędko się skończy.

Wszyscy usiłowali tak myśleć, lecz dziwny jakiś cień zasnuwał ich dusze, które zmuszały się do wesołego nastroju. Walter również był cichy i milczący przez cały czas ferii świątecznych. Pokazał Rilli okrutny anonimowy list, otrzymany w Redmond - list zdradzający bardziej okrucieństwo niż patriotyczne zapędy.

- Właściwie to wszystko jest prawdą, Rillo.

Rilla wyrwała mu list i wrzuciła do ognia.

- Nie ma w tym ani słowa prawdy - oznajmiła z zapalem. - Walter, wpadasz w obsesję, jak powiada panna Oliver, gdy zbyt długo zastanawia się nad jedną i tą samą rzeczą.

- Nie mogę wyzbyć się tej myśli w Redmond. Cały uniwersytet zainteresowany jest wojną. Każdy student w wieku poborowym, który nie zapisał się jeszcze na ochotnika, traktowany jest jako tchórz. Profesor angielskiego, doktor Milne, który mnie zawsze wyróżniał spośród wszystkich, ma już dwóch synów na wojnie. Zauważyłem, że w stosunku do mnie zmienił się bardzo.

- To nieładnie z jego strony, jesteś niezdolny do wojska.

- Fizycznie jestem zupełnie zdolny. Czuję tę niezdolność w duszy i dziwny wstręt. Nie martw się, Rillo. Nie pójdę, możesz być spokojna. Melodia Srokatego Kobziarza dźwięczy mi w uszach w dzień i w nocy, lecz nie mogę pójść za tą melodią.

- Złamałbyś serce matce i mnie, gdybyś poszedł! - szlochała Rilla. - Wystarczy jednego w rodzinie.

Ferie nie były przyjemnym okresem dla Rilli. Przeżyła je jakoś możliwie dzięki temu, że w domu przebywali Nan i Di, Walter i Shirley. Któregoś dnia nadszedł list i książka od Krzysztofa Forda. Kilka zdań listu wywołało rumieniec na twarzy Rilli i pośpieszniejsze bicie serca. Trwało to do ostatniego ustępu, który przejął ją lodowatym dreszczem.

Z nogą moją jest zupełnie dobrze. Za kilka miesięcy będę się mógł zaciągnąć do wojska, Rillo-ma-Rillo. Przyjemnie będzie, gdy ubiorą mnie w mundur. Mały Krzys będzie mógł wreszcie rozejrzeć się po szerokim świecie i stanąć oko w oko z niebezpieczeństwem. Przykro mi było, szczególnie ostatnio, kiedy chodziłem swobodnie po mieście, wcale nie kulejąc. Ludzie, którzy mnie nie znali, spoglądali na mnie z pogardą, jakby mi chcieli rzucić w twarz: „Łazik!” Nie mogłbym znieść dłużej podobnych milczących obelg.

- Nienawidzę wojny - mówiła z goryczą Rilla, spoglądając na lasek klonowy, tonący teraz w złocistych promieniach zimowego zachodzącego słońca. Czerwony odbłask na śniegu nasuwał jej myśl o krwawych okopach, w których będą Jim i Jerry, a potem Krzysztof, a także Walter.

- Rok dziewięćset czternasty minął - rzekł doktor Blythe w dzień noworoczny. - Słońce, które weszło pogodnie, zachodziło wczoraj krwią. Co przyniesie nam dziewięćset piętnasty?

- Zwycięstwo! - zawołała Zuzanna.

- Czy Zuzanna naprawdę wierzy, że tę wojnę wygramy? - zagadnęła sucho panna Oliver. Przybyła dzisiaj z Lowbridge, aby zobaczyć Waltera i dziewczęta przed ich powrotem do Redmond. Była w dziwnie cynicznym nastroju i patrzyła na wszystko ze strony najbardziej ponurej.

- Czy wierzę, że wygramy wojnę! - zawołała Zuzanna. - Nie, panno Oliver kochana, ja nie wierzę - jestem tego pewna. Nie to mnie martwi. Martwi mnie jedynie, że tyle zdrowia i pieniędzy to zwycięstwo kosztuje. Ale przecież nie można zrobić omletu, nie rozbijając jajek, więc musimy ufać Bogu i fabrykować wielkie działa.

- Czasami myślę, że raczej trzeba ufać wielkim działom, nie Bogu - zauważyła panna Oliver zaczepnie.

- Nie, niech pani tego nie mówi. Niemcy mieli wielkie działa nad Marną, nieprawdaż? Lecz Opatrzność nie chciała ich zwycięstwa. Proszę nie zapominać o tym. Należy zawsze wierzyć w to, co nie ulega żadnej wątpliwości. Należy twardo obstawać przy swoim i powtarzać: „Wielkie działa są dobre, lecz Wszechmocny jest lepszy i opiekuje się nami bez względu na to, co Kaiser powie”. Dawno dostałabym pomieszaną zmysłów, kochana panno Oliver, gdybym się nie trzymała tej dewizy. Moja kuzynka Zofia, równie jak pani, częstokroć

ma skłonności do niewiary. „Ach, moja droga, co pocniemy, jak Niemcy tutaj przyjdą?” - zapytała mnie wczoraj. „Pogrzebiemy ich - odparłam z miejsca. - Mamy takie mnóstwo ziemi, w której doskonale można kopać mogiły”. Kuzynka Zofia mówi, że jestem impertynentką, ale to wcale nieprawda. Panno Oliver, musimy ufać flocie angielskiej i naszym kanadyjskim chłopcom, jak pan William Pollock z za portu. Jest już bardzo stary i od dłuższego czasu choruje. W zeszłym tygodniu którejś nocy tak było z nim źle, że synowa jego była pewna, że już nie żyje. Powiedziała o tym komuś czuwającemu przy łóżku. „Do licha, żyję jeszcze - zawołał chory - i nie mam zamiaru umierać, dopóki Kaiser nie otrzyma zasłużonej kary!” Tylko takich ludzi podziwiam, kochana panno Oliver - zakończyła Zuzanna.

- Ja podziwiam ich również, lecz nie umiem ich naśladować - westchnęła Gertruda. - Dawniej potrafiłam uciekać od przykrych rzeczy, przenosząc się choć na chwilę do krainy marzeń, a gdy wracałam stamtąd, byłam na nowo silna i trzeźwa. Teraz już mi się to nie udaje.

- Ani mnie - dorzuciła pani Blythe. - Nie cierpię wieczorem kłaść się do łóżka. Przez całe życie lubiłam zawsze pół godzinki spędzić w łóżku na rozmyślaniach i wyobrażaniu sobie różnych rzeczy. Teraz też sobie wyobrażam. Ale to straszne! Widzę okopy i ślady krwi na śniegu, i trupy, i Jima.

- Ja tam lubię porę wieczorową - odparła panna Oliver. - Lubię ciemności, bo wśród nich jestem sobą, nie potrzebuję się uśmiechać i grać komedii. Lecz czasami ponosi mnie wyobraźnia, bo widzę przed sobą rzeczy straszne, straszne lata, które nadchodzą. - Jestem szczęśliwa, że nigdy nie miałam bujnej wyobraźni - zauważyła Zuzanna. - Pan Bóg oszczędził mi tego. Sądząc z wiadomości w gazetach, widocznie Kronprinz znowu został zabity. Czy można mieć nadzieję, że to prawda? Domyślam się również, że Woodrow Wilson zamierza „zredagować nową notę. Ciekawa jestem - kończyła Zuzanna z gorzką ironią, której zawsze używała, gdy chodziło o biednego prezydenta - ciekawa jestem, czego ten człowiek nauczył się w szkole.

W styczniu Jaś skończył pięć miesięcy i Rilla postanowiła go zważyć.

- Waży czternaście funtów - oznajmiła z triumfem. - Akurat tyle, ile pięciomiesięczne dziecko powinno ważyć według Morgana.

Już teraz nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Jaś z każdym dniem staje się ładniejszy. Policzki zaokrągliły mu się i zarumieniły, oczka stały się większe i jaśniejsze, a małe łapki nabrały rozkosznych kształtów. Włosy mu nawet zaczęły odrastać ku wielkiej radości Rilli. Cała główka pokryła się złocistym puszkim, widocznym tylko przy specjalnym

oświeceniu. Jaś był niezwykle dobrym dzieckiem, jadał i sypiał stosownie do rozkazów Morgana. Od czasu do czasu uśmiechał się, ale nie śmiał się głośno nigdy, pomimo zabiegów czynionych w tym kierunku. Martwiło to ogromnie Rillę, bo Morgan przecież twierdzi, że dzieci zazwyczaj śmieją się głośno między trzecim i piątym miesiącem życia. Jaś tymczasem skończył już pięć miesięcy, a nie roześmiał się na głos ani razu. Dlaczego się nie śmiał? Czyżby był nienormalny?

Pewnego wieczoru Rilla wróciła późno do domu z zebrania w Glen, gdzie recytowała patriotyczne wiersze. Rilla nigdy chętnie nie recytowała na zebraniach publicznych. Lękała się zawsze swej skłonności do seplenienia, które najbardziej jej dokuczało wówczas, gdy była zdenerwowana. Gdy po raz pierwszy proszono ją, aby recytowała na zebraniu w Górnym Glen, stanowczo odmówiła. Później martwiła się swoją odmową. Czy to było tchórzostwo? Co by Jim powiedział, gdyby wiedział o tym? Po dwóch dniach głębokich rozmyślań Rilla zatelefonowała do prezesa Stowarzyszenia Patriotycznego, że zdecydowała się na recytację. Recytowała i sepleniła kilka razy, a potem długo w nocy zasnąć nie mogła w rozpacz zranionej próżności. W dwa dni potem recytowała znowu w porcie. Od tego czasu brała już kilka razy czynny udział w zebraniach w Lowbridge i za portem, sepleniąc oczywiście w chwilach największego podniecenia. Nikt oprócz niej nie zdawał się tego zauważyć. Sepleniła swą misję z powagą, przejęciem i błyszczącymi oczami! Pod wpływem pięknie wypowiedzianych wierszy Rilli i pod wpływem jej płomiennego spojrzenia zaciągali się ochotnicy, a ona mówiła im wciąż o tym, jak to ludzie umierali na polu chwały, jak synowie walczyli za prochy ojców i za świątynie swych bogów, przejmując swą publiczność uczuciem najwyższego podniecenia w tej godzinie, kiedy życie jednego człowieka nie posiada żadnej wartości. Nawet stateczny Miller Douglas zapalił się tak pewnego wieczoru, że Mary Vance musiała dołożyć wiele trudu, aby odwieść go od zamiaru zaciągnięcia się do armii. Mary Vance powiedziała z goryczą, że jeżeli Rilla Blythe istotnie tak bardzo rozpaczala, gdy jej brat Jim szedł na front, jak twierdziła, to nie powinna nakłaniać braci i przyjaciół innych dziewcząt do brania udziału w wojnie.

Tego wieczora Rilla była bardzo zmęczona i z prawdziwą rozkoszą wsunęła się pod ciepłą kołdrę, chociaż ani na chwilę nie opuszczała jej myśl o tym, co się teraz działo z Jimem i Jerryem. Rozgrzała się już porządnie i zaczynała zasypiać, gdy nagle mały Jaś wybuchnął głośnym płaczem.

Rilla postanowiła pozwolić mu się wypłakać. Kierowała się zresztą metodą Morgana. Wszakże Jasiowi było ciepło, fizycznie czuł się dobrze i był najedzony. W takich

okolicznościach nie należało go psuć pieścizotami i stanowczo zdecydowała, że tym razem nie wstanie. Niech sobie popłacze, aż się zmęczy i zaśnie wreszcie.

Lecz wyobraźnia poczęła dręczyć Rillę. „Przypuśćmy - pomyślała - że ja jestem takim małym, bezradnym stworzeniem pięciomiesięcznym, mam ojca gdzieś daleko we Francji, a matkę, która by się tak o mnie troszczyła, głęboko w grobie na cmentarzu. Przypuśćmy, że leżę w kołysce w dużym, ciemnym pokoju i nikogo nie ma, kto by się o mnie zatroszczył. Przypuśćmy, że nie ma ani jednej ludzkiej duszy na świecie, która by mnie kochała, bo ojciec nie może mnie kochać, gdyż mnie nigdy w życiu nie widział i nikt mu o moim przyjeździe na świat nie doniósł. Czy ja bym w takiej sytuacji także nie płakała? Czy nie czułabym się opuszczona i pozostawiona bez opieki?”

Wyskoczyła z łóżka. Wyjęła Jasia z kołyski i położyła go na łóżku przy sobie. Rączki jego były zupełnie zimne. Lecz nagle przestał płakać. I wówczas, gdy przytuliła go do siebie w ciemnościach, Jaś nagle zaśmiał się głośnym, prawdziwym, szczerym, wesołym, pełnym zachwyty śmiechem!

- Ach, ty kochane maleństwo! - zawołała Rilla. - Taki jesteś uradowany, że masz kogoś przy sobie, że nie pozostawiono cię w samotności w wielkim, ciemnym pokoju? - W tej chwili dopiero zorientowała się, że ma ochotę go pocałować, i natychmiast to uczyniła. Całowała jego gładką, pachnącą główkę, jego puchowate-policzki i małe, zimne rączki. Pragnęła uściskać go, przytulić, jak ścisłała i tuliła niegdyś w dzieciństwie małe kociaki. Jakaś szalona radość i duma ośwładnęła całą jej istotę. Nigdy jeszcze nie zaznała takiego uczucia.

W kilka minut potem Jaś spał już spokojnie, a gdy Rilla przysłuchiwała się jego cichemu, regularnemu oddechowi i czuła ciepłe, maleńkie ciało przytulone do niej, zorientowała się wreszcie, że pokochała to wojenne dziecko.

„On jest przecież taki rozkoszny” - pomyślała sennie, zapadając powoli w głęboką drzemkę.

W lutym Jim, Jerry i Robert Grant znaleźli się w okopach i atmosfera jeszcze większego napięcia i smutku zapanowała na Żółtym Brzegu. W marcu bitwa pod Ypres nabrała groźnego symbolu. Zaczęły pojawiać się w gazetach codzienne listy poległych i nikt z mieszkańców Żółtego Brzegu nie chciał przyjmować telefonów w obawie, że naczelnik stacji zawiadamia o przybyłej depeszy zza morza. Nikt na Żółtym Brzegu nie wstawał rano bez przeszywającego lęku, co też ten dzień przyniesie.

„A tak dawniej lubiłam wiosenne poranki” - myślała Rilla.

Lecz codzienne troski i obowiązki szły swoim trybem i coraz więcej chłopców w wojskowych mundurach wyjeżdżało z Glen, tych chłopców, którzy jeszcze wczoraj byli uczniami miejscowej szkoły.

- Strasznie zimną mamy dzisiaj noc, droga pani doktorowo - mówiła Zuzanna wchodząc z podwórza i zacierając dłonie. - Ciekawa jestem, czy naszym chłopcom w okopach jest ciepło?

- Jakże każdy temat naprowadza nas myśli o wojnie! - zawołała Gertruda Oliver. - Nie możemy się wyzbyć tej myśli nawet wówczas, gdy mówimy o pogodzie. Podczas tych zimnych nocy ani na chwilę nie przestaję myśleć o naszych chłopcach przebywających w okopach, a właściwie nie tylko naszych, lecz ó wszystkich tych biedakach. Miałabym to samo uczucie, gdybym nawet nie знаła nikogo z tych, którzy przebywają na froncie. Gdy kładę się do mego wygodnego łóżka, zawstydzona jestem ciepłem, które odczuwam. Wydaje mi się okrucieństwem korzystać z wygód wówczas, gdy tamci od tych wygód już się dawno odzwyczaili. - Spotkałam dzisiaj w sklepie panią Meredith - wtrąciła Zuzanna. - Mówiła mi, że mają okropne zmartwienie z Bertie'em, bo ten chłopak wszystko bierze strasznie do serca. Płakał kiedyś przez całą noc nad głodnymi Belgami. „Ach, mamó - wołał chcąc się sam uspokoić - przecież dzieci nie mogą być nigdy głodne, bo wówczas nie byłyby dziećmi! Powiedz, mamó, że dzieci nie są głodne”. Pani Meredith nie mogła tego powiedzieć, bo przecież musiałyby skłamać. Wszyscy na plebanii usiłują kryć przed nim takie wiadomości, lecz on zawsze jakoś je wyszpera i później nie można go uspokoić. Mnie samej kraje się serce, gdy czytam o tym, droga pani doktorowo, i staram się wmówić w siebie, że te historie są nieprawdziwe. Jak czytam powieść, która mnie doprowadza do płaczu, zawsze przemawiam do siebie z całą surowością: „Zuzanno Baker, przecież wiesz, że to wszystko jest kłamstwem”. Ale trzeba i to przeżyć. Jacek Crawford -powiada, że dlatego idzie na wojnę, bo mu się znudziło gospodarowanie. Mam nadzieję, że będzie miał przyjemną odmianę. Pani Ryszardowa Elliot z za portu martwi się' teraz, że zawsze łajała swego męża za to, iż palił w salonie i brudził jej firanki. Teraz, kiedy zaciągnął się do wojska, wołałaby nie czynić mu nigdy tych wyrzutów. Zna pani Józefa Coopera i Williama Daleya, droga pani doktorowo? Byli niegdyś serdecznymi przyjaciółmi, lecz przed dwudziestu laty pokłócili się i odtąd nie rozmawiali już z sobą. Otóż niedawno Józef przyszedł do Williama i rzekł: „Bądźmy przyjaciółmi. Nie czas teraz na wspominanie dawnych uraz”. William z radością wyciągnął do niego rękę i zasiedli do przyjacielskiej pogawędki. Po pół godzinie pokłócili się znowu na temat wojny. Józef utrzymywał, że wyprawa dardaneńska była nonsensem, a William twierdził, że to jedyne mądre posunięcie ze strony aliantów. Teraz są jeszcze bardziej

zaciętymi wrogami niż niegdyś, a William powiada, że Józef jest takim samym germanofilem, jak Księżycowy Brodac. Księżycowy Brodac nie uważa się za germanofila, tylko za pacyfistę, droga pani doktorowo. Ja tam nie bardzo wierzę mu. Mówił któregoś dnia, że wielkie zwycięstwo Anglików pod New Chapelle kosztowało więcej, niż było warte. Zabronił jednocześnie Józiovi Milgrave zbliżania się do swego domu, bo podobno Józio na wiadomość o zwycięstwie wywiesił ojcowską flagę. Jan Vickers mówił mi dziś w sklepie, że widział jakiś dziwny przedmiot na niebie w nocy nad Lowbridge. Czy sądzi pani, że to mógł być Zeppelin, droga pani doktorowo?

- Wydaje mi się to bardzo nieprawdopodobne, Zuzanno.

- Byłabym o wiele spokojniejsza, gdyby Księżycowy Brodac nie mieszkał w Glen. Podobno widziano go pewnej nocy, jak chodził po swym podwórzu z wielką latarnią. Niektórzy ludzie twierdzą, że dawał sygnały.

- Jakie sygnały i komu?

- To jest właśnie tajemnica, droga pani doktorowo. W moim pojęciu władze powinny mieć na oku tego człowieka, jeżeli nie chcą, abyśmy której nocy zostali wszyscy wymordowani. Muszę jeszcze przejrzeć gazety, a potem napisać list do naszego małego Jima. Dwóch rzeczy nigdy nie robiłam, pani doktorowo: nie pisałam nigdy listów i nie czytałam wiadomości o polityce. Teraz jednak robię jedno i drugie regularnie i dochodzę do wniosku, że jednak polityka jest rzeczą ważną. Nie rozumiem tylko, co zamyśla Woodrow Wilson, ale mam nadzieję, że pojmę to wreszcie.

W swej przemowie na temat Wilsona i polityki Zuzanna zeszła na całkiem inną kwestię, która przejmowała ją zawsze goryczą.

- Niech diabli wezmą tego przeklętego Kaisera!

- Nie przeklinaj, Zuzanno - zganił ją doktor Blythe.

- „Niech diabli wezmą” to nie jest przecież przekleństwo, drogi panie doktorze. Według mnie przekleństwem jest używanie imienia Wszechmogącego nadaremnie.

- Tego także nie można nazwać błogosławieństwem - rzekł doktor spoglądając wymownie na pannę Oliver.

- Nie, panie doktorze, diabeł z Kaiserem zawsze się jakoś pogodzą. Nie trzeba się między nich wtrącać. Zauważył chyba pan doktor, że nigdy nie używam tego rodzaju wyrażenia w obecności Rilli. Chciałam tylko zaznaczyć, że gazety nie mają prawa pisać, że Kaiser ma zapalenie płuc, i wywoływać płonne nadzieje, a potem okazuje się, że to tylko czyrak. W samej rzeczy życzę mu, żeby miał ich więcej!

Z niewzruszoną miną Zuzanna wyszła do kuchni z zamiarem napisania listu do Jima. Z wczorajszego jego listu domyśliła się, że chłopak łaknie jakiegoś serdeczniejszego słowa.

Znajdujemy się dzisiaj w starej piwnicy po winie, ojciec - pisał Jim. - Wody mamy po kolana. Wszędzie szczury - ogień przycichł - deszcz pada ustawicznie. Ale mogło być jeszcze gorzej. Otrzymałem dzisiaj paczkę Zuzanny, wszystko było w najlepszym porządku i oczywiście wyprawiliśmy sobie ucztę. Jerry jest w pierwszej linii okopów i twierdzi, że tamtejsze porcje są jeszcze mniejsze niż dawne porcje wydzielane przez ciotkę Martę. Tutaj nie jest tak źle, tylko strasznie nudno. Powiedz Zuzannie, że oddałbym chętnie całoroczny żołd za to, żeby móc usłyszeć porcję jej dosadnych powiedzonek.

Pozostawaliśmy pod ogniem do ostatniego tygodnia lutego. Jeden z chłopców - pochodził z Nowej Szkocji - został zabity wczoraj tuż przy mnie. Szrapnel wybuchł w pobliżu, a gdy dym się rozszedł, on już leżał martwy u moich nóg. Po raz pierwszy od czasu pobytu na froncie widziałem śmierć z tak bliskiej odległości. Ale człowiek tutaj do wszystkiego się przyzwyczaja. Znajdujemy się w zupełnie innym świecie. Jediną rzeczą, która jest taka sama jak u was, to gwiazdy, ale też się nam wydaje, że nie są na swych zwykłych miejscach.

Powiedz mamie, żeby się nie martwiła - czuję się zupełnie dobrze - zdrow jestem i zadowolony. Zdajemy sobie sprawę, że zło, które zatruloby nasze życie na zawsze, musi być zmiecione z powierzchni ziemi, choćby to miało nie wiem ile kosztować. Powiedz o tym mieszkańcom Glen, ojciec. Oni jeszcze nie orientują się w tych wszystkich stratach, które dotychczas ponieśli, ja też nie orientowałem się wyjeżdżając z domu. Uważałem to wszystko za zabawę. W rzeczywistości tak nie jest! Ale dochodzę do wniosku, że miejsce moje jest jednak tutaj, stanowczo się nie mylę. Gdy przekonałem się, co tu pozostało z domów, ogrodów i ludzi, to zdawało mi się, że widzę przemarsz Hunów przez Dolinę Tęczy i Glen oraz ogród na Złotym Brzegu. Wszędzie były ogrody, piękne ogrody, założone jeszcze przed wiekami, a co jest teraz? Wszystko zniszczone, zrujnowane! My, chłopcy, walczyliśmy, aby te drogie stare zakątki, gdzie bawiliśmy się jako dzieci, zachować dla innych chłopców i dziewcząt - walczyliśmy za bezpieczeństwo wszystkich zakątków, które nam przypominają nasze dzieciństwo.

Jeżeli ktoś z was pójdzie na stację, to niech pogłaszcze ode mnie Wtorka. Trudno sobie wyobrazić, że to biedne stworzenie czeka na mnie tak długo! Naprawdę, ojciec, częstokroć podczas ciemnych, mroźnych nocy w okopach myślę o tym, że w odległości tysięcy mil na małej stacji w Glen kudłaty pies wciąż czeka na mnie.

Powiedz Rilli, iż bardzo mnie ucieszyła wiadomość, że jej wojenne dziecko ma się dobrze. Zuzannie powiedz, że walczę zwycięsko przeciwko Hunom i wszom.

- Droga pani doktorowo - szepnęła Zuzanna uroczyście - dlaczego wszom?

Pani Blythe spojrzała na Zuzannę i szepnęła:

- Zawsze tak jest w okopach, Zuzanno.

Zuzanna pokiwała głową i w ponurym milczeniu wyszła do kuchni, gdzie odwinęła raz jeszcze paczkę przeznaczoną dla Jima i wsunęła do niej gęsty grzebień.

XII.

LISTA POLEGŁYCH

Jak może nadejść wiosna i jak może być piękna podczas dni takiego okrucieństwa? - pisała Rilla w swym pamiętniku. - Gdy słońce świeci i delikatne pączki rozwijają się na drzewach nad strumykiem, a ogród zaczyna się powoli zielenić, nie mogę sobie wyobrazić, że tak straszne rzeczy dzieją się we Flandrii. A jednak tak jest!

Ostatni tydzień był okropny dla wszystkich, od chwili gdy nadeszły wiadomości o bitwach w okolicy Ypres i walkach pod Langemarck i St. Julien. Nasi kanadyjscy chłopcy spisali się wyśmienicie. Francuzi twierdzą, że „uratowali sytuację”, gdy Niemcy zgotowali nową ofensywę. Ja osobiście nie odczuwam jednak dumy ani radości, bo dręczy mnie wciąż niepokój o Jima, Jerry’ego i pana Granta. Codziennie odczytujemy w gazetach listy poległych, a listy te są coraz obszerniejsze. Nie mogę ich czytać z obawy, że znajdę tam nazwisko Jima, zdarzały się bowiem już takie wypadki, że ludzie z tych list dowiadawali się o śmierci swych najbliższych, zanim jeszcze nadeszły oficjalne depesze. Od kilku dni wolę nie podchodzić do telefonu, gdyż sądzę, że nie przeżyłabym tej chwili od wypowiedzianego przeze mnie samą „halo” do odpowiedzi czyjegoś głosu. Chwila ta wydawałaby mi się wiekiem i byłabym pewna, że usłyszę odpowiedź: „Jest depesza dla doktora Blythe”. Po głębszym zastanowieniu się jednak doszłam do wniosku, że nie mam prawa narażać na tę przykrość mamy czy Zuzanny, i wolę już teraz sama przyjmować telefon. Za każdym jednak razem przychodzi mi to z wielką trudnością. Gertruda wyklada w szkole, przegląda wypracowania, podpisuje arkusze egzaminacyjne, jak zwykle, lecz jestem pewna, że myślami wciąż przebywa we Flandrii. Mówią mi o tym jej pełne tragizmu oczy.

Krzysztof jest już także w mundurze. Został przyjęty na komisji i przewiduje, że go wyślą za morze latem, tak mi pisał. Nic więcej nie było w tym liście, widocznie o niczym innym nie myśli. Nie zobaczę go już przed wyruszeniem na front, a może nigdy go nie zobaczę. Czasami zapytuję sama siebie, czy ów wieczór w Przystani Czterech Wiatrów był tylko snem. Prawdopodobnie. Zdawać się może, że to wszystko działo się w jakimś innym życiu, które istniało przed laty. Wszyscy już o tym zapomnieli oprócz mnie.

Walter, Nan i Di przyjechali wczoraj do domu z Redmond. Gdy Walter wysiadał z pociągu, Wtorek wybiegł mu na spotkanie z szaloną radością. Przypuszczam, że miał wrażenie, iż Jim też wraca. Potem nie zwracał już uwagi na Waltera, tylko stał przed nim i kręcił nerwowo ogonem. Spoglądał wciąż na innych wysiadających ludzi wzrokiem pełnym

nadziei, a mnie wtedy przyszło na myśl, że może biedne psisko nigdy już nie zobaczy Jima wysiadającego z pociągu. Gdy wszyscy pasażerowie wysiedli, Wtorek spojrzał na Waltera, polizał jego rękę, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, że to nie twoja wina, że nie przyjechał. Wybacz mi, iż odczuwam rozczarowanie”. Potem wrócił wolnym krokiem do swej budy i ułożył się na zwykłym swym miejscu.

Chcieliśmy zabrać go do domu - Di nawet pocałowała go między oczy i rzekła: „Wtorek, stary przyjacielu, czy nie zechciałbyś pójść z' nami choć na dzisiejszy wieczór?” A Wtorek spoglądał na nią i zdawał się mówić: „Bardzo mi przykro, ale nie mogę. Umówiłem, się, że tutaj będę czekać na Jima. Przecież o ósmej przyjedzie następny pociąg”.

Przyjemnie jest mieć znowu Waltera w domu, chociaż jest on dziwnie milczący i smutny,, mniej więcej tak samo, jak podczas świąt Bożego Narodzenia. Zdaje mi się, że z każdym dniem kocham go więcej i postaram się go rozweselić, aby śmiał się tak szczerze, jak niegdyś. Wydaje mi się, że Walter coraz większą rolę odgrywa w moim życiu.

Któregoś wieczoru Zuzanna zakomunikowała, że w Dolinie Tęczy rozkwitły już pierwiosnki. Spojrzałam wówczas na mamę. Twarz jej zmieniła się nagle i zasnęła mgłą smutku. Ostatnimi czasy mama przeważnie na pozór jest wesoła i nikt nie odgadłby, co się dzieje w jej sercu. Teraz jednak nie zdołała już ukryć swojej rozpacz. „Pierwiosnki! - wyszeptała. - Jim zeszłego roku narwał mi pierwszych pierwiosnków!” Wstała zaraz i wyszła z pokoju. Chętnie pobiegłabym do Doliny Tęczy i przyniosłabym jej pierwiosnków, lecz wiedziałam, że nie tego pragnęła. Gdy Walter wczoraj wrócił do domu, wymknął się natychmiast do Doliny i przyniósł mamie wszystkie pierwiosnki, jakie tylko tam znalazł. Nikt mu o tym nawet słowem nie szepnął. Sam sobie przypominał, że Jim przynosił mamie pierwsze pierwiosnki, więc postanowił w tym roku zastąpić Jima. Najlepszy dowód, jaki on jest uczuciowy i uważający. A mimo to są jeszcze ludzie, którzy ośmielają się przysyłać mu okrutne listy!

Dziwnym może się wydawać, że życie płynie' swoim utartym trybem, jakby tam za morzami nic się nie działo i jakby każdego dnia nie oczekiwało się strasznych wiadomości. Jednak żyjemy i nawet śmiejemy się od czasu do czasu. Zuzanna pracuje w ogrodzie, obydwie z mamą sprzątają w domu, a my, członkinie Młodego Czerwonego Krzyża, urządzamy koncerty na cel nieszczęśliwych Belgów. Odbywamy już próby od miesiąca, a jeszcze wciąż końca nie widać kłopotom i grymasom. Maniusia Pryor przyrzekła udział w przedstawieniu i gdy się już doskonale wyuczyła roli, ojciec stanowczo jej tego zabronił. Nie mam pretensji do Maniusi, ale uważam, że mogłaby od czasu do czasu wykazać więcej energii. Powinna wpłynąć na ojca, wszakże ona jest w domu całą gospodynią i cóż by jej zrobił, gdyby się

postawiła sztorcem? Gdybym była na miejscu Maniusi, znalazłabym już jakiś sposób na Księżycowego Brodacza, zbiłabym go albo pogryzła, gdybym nie znalazła innej rady. Lecz Maniusia jest potulną i grzeczną córką, która znosi wszystko.

Nie mogłam znaleźć nikogo na jej miejsce, więc wreszcie postanowiłam przyjąć na siebie tę rolę. Ola Kirk jest członkiem komitetu koncertowego i w najdrobniejszych szczegółach występuje przeciwko mnie. Ale udało mi się zaprosić z miasta panią Channing, aby na koncercie śpiewała. Jest doskonałą śpiewaczką i na pewno ściągnie takie tłumy słuchaczy, że warto jej będzie zapłacić nawet najwyższe honorarium. Ola Kirk uważa, że zupełnie powinni nam wystarczyć „miejscowe talenty”, a Mina Clow postanowiła nie śpiewać nawet w chórze, twierdząc, że ma tremę przed panią Channing. Mina jest jedynym dobrym altem, jaki posiadamy! Chwilami jestem tak zniechęcona do tego wszystkiego, że z radością wycofałabym się z całej imprezy, lecz gdy pochodzę trochę po moim pokoju i ochłonę z pierwszego wrażenia, zaczynam myśleć nieco rozsądniej. Zmartwiona teraz jestem: Ignas Reese dostał kaszlu. Wszyscy oni przeziębili się okropnie, a jest ich aż pięcioro biorących udział w programie. Jeżeli wszyscy zawiodą, to co my wtedy pocniemy? Solowa gra na skrzypcach Dicka Reese miała być jednym z głównych numerów. Kasia Reese ma tańczyć wraz z trzema młodszymi siostrzyczkami. Odbywałam z nimi próby od dłuższego czasu i teraz widzę, że wszystkie moje trudy pójdą na marne.

Jasiowi wyklął się dzisiaj pierwszy ząbek. Ogromnie się cieszę, bo skończył już prawie dziewięć miesięcy, a Mary Vance ciągle utrzymywała, że stanowczo za mało jest rozwinięty. Zaczął już trochę chodzić, lecz nie czołga się po ziemi, jak inne dzieci. Chodzi przeważnie na czworakach, nosząc po pokoju w buzi różne przedmioty, niby mały psiak. Jest taki rozkoszny, że szkoda, iż go własny ojciec nigdy nie widział. Włoski mu także ślicznie odrastają. Mam nawet nadzieję, że będą trochę kędzierzawe.

Podczas tych kilku chwil, kiedy pisałam o Jasiu i koncercie, zapomniałam chociaż o Ypres, gazach trujących i listach poległych żołnierzy. Teraz znowu wspomnienie to wróciło ze zdwojoną siłą.

Och, żebyśmy wiedzieli chociaż, że Jim jest zdrowy! Zawsze wpadałam w pasję, gdy nazywał mnie „Pająkiem”, a teraz gdybym usłyszała ciche gwizdnięcie z hallu i wołanie: „Halo, Pająk!”, jak to zwykle czynił, uważałabym ten przydomek za najpiękniejszy na świecie.

Rilla odłożyła pamiętnik i wyszła do ogrodu. Wieczór wiosenny był prześliczny. Chłodnawe morskie powietrze pachniało świeżą zielenią, a w dali zachodziło słońce. Tafla morza gdzieniegdzie była purpurowa, gdzieniegdzie błękitna, gdzieniegdzie przybierała

opałowe barwy. W lasku klonowym ukazywała się już młodziutka trawka. Rilla rozglądała się dokoła zadumanym wzrokiem. Kto powiedział, że wiosna jest najradośniejszą porą roku? Była ona raczej najsmutniejszą. Te chłodnawe poranki, rozkwitające kwiaty i wiatr szemrzący w starych sosnach, wszystko to sprawiało dziwny ból w sercu. Czy życie kiedyś znowu będzie spokojne i pogodne?

- Przyjemnie jest patrzeć na zmrok zapadający nad Wyspą Księcia Edwarda - odezwał się Walter zbliżając się do niej. - Naprawdę nie pamiętam, żeby kiedykolwiek morze było tak błękitne, ścieżki tak białe, a lasy tak zielone i tajemnicze. Tak, czar na nowo owładnął naszą wyspę. Założę się, że znalazłbym mnóstwo dawnych duszków leśnych w Dolinie Tęczy.

Rilla przez chwilę była zupełnie szczęśliwa. Słowa te przypominały jej dawnego Waltera. Miała nadzieję, że zapomniał wreszcie o pewnych rzeczach, które go dręczyły.

- A czy niebo nie jest błękitne nad Doliną Tęczy? - wyszeptała przyłączając się do jego nastroju. - Błękitne, błękitne, musiałbyś ze sto razy powtórzyć to słowo, żeby określić ten prawdziwy błękit.

Podeszła do nich Zuzanna z głową owiniętą szalem i rękami pełnymi ogrodowych chwastów. Doc dzikim wzrokiem obserwował jej kroki spoza krzewów puszczających pąki.

- Niebo może i jest błękitne - rzekła - lecz to kocisko znowu przez cały dzień jest Mr Hyde'em i prawdopodobnie w nocy będzie padał deszcz, bo reumatyzm okropnie mi dokucza.

- Może będzie padał, ale nie myśl o swoim reumatyzmie, Zuzanno, myśl raczej o fiołkach! - zawołał Walter wesoło, nawet jakoś za wesoło, jak pomyślała Rilla.

Zuzanna spojrzała nań z dziwną niechęcią.

- Naprawdę, Walter, nie wiem, co chcesz powiedzieć, każąc mi myśleć o fiołkach - rzekła chłodno. - A reumatyzm nie jest rzeczą, z której się można śmiać, jak sam zresztą przekonasz się kiedyś, gdy będziesz starszy. Nie należę do tych ludzi, którzy wmawiają sobie choroby, szczególnie teraz, kiedy wiadomości z wojny przychodzą coraz straszniejsze. Reumatyzm jest rzeczą nieprzyjemną, ale jednocześnie jest niczym w porównaniu z trującymi gazami Hunów.

- Och, mój Boże, na pewno! - zawołał Walter, odwrócił się i poszedł w stronę domu.

Zuzanna pokiwała głową, nie lubiła u Waltera takiego zachowania. „Mam nadzieję, że swej matce nie będzie bredził o takich rzeczach” - pomyślała odchodząc wolnym krokiem.

Rilla stała wśród rozkwitających narcyzów ze łzami w oczach. Cały wieczór miała zepsuty. Nienawidziła Zuzanny za te słowa zwrócone do Waltera. Czy Jim też został zatruty? Czy umierał w męczarniach?

- Dłużej chyba nie zniosę tej niepewności - wyszeptała Rilla z rozpaczą.

Lecz zniosła ją, jak zresztą i inni znosili przez cały następny tydzień. Potem nadszedł list od Jima. Był zdrowy.

Udało mi się wyjść z tej opresji, ojcze. Sam nie wiem, jak to się stało. Dowiedzie się wszystkiego z gazet, ja pisać nie mogę. Niemcom jednak się nie udało - i nie uda się. Jerry był porażony szrapnelem, ale okazało się, że to tylko szok. Po kilku dniach czuł się już zupełnie dobrze. Grant także ocalał. Nan otrzymała list od Jerry'ego Mereditha.

Wróciłem do przytomności o świcie - pisał. - Nie umiem opowiedzieć, co się ze mną działo. Byłem zupełnie sam i straszny lęk mnie ogarnął. Dookoła mnie były trupy, leżące na szarym, opuszczonym polu. Czulem szalone pragnienie i myślałem o Dawidzie i wodzie betlejemskiej, a także o starym źródleku w Dolinie Tęczy. Zdawało mi się, że widzę je przed sobą i widzę ciebie stojącą po przeciwnej stronie, a w chwili owej byłem pewny, że już jest po mnie. Nie martwiłem się. Uczciwie, nie martwiłem się. Bałem się tylko po dziecinnemu samotności i tych wszystkich trupów leżących dokoła, a potem zacząłem się zastanawiać, co się właściwie ze mną działo. Znaleźli mnie wreszcie i zabrali z pola, później dopiero przekonałem się, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Jutro wracam do okopów. Każdy oddzielny żołnierz może przynieść pożytek.

- Śmiech zniknął z powierzchni świata - mówiła Flora Meredith, która przyszła na Złoty Brzeg, aby poinformować się o otrzymanych listach. - Pamiętam, jak niegdyś stara pani Taylor powiedziała, że świat był światem śmiechu. Teraz już taki nie jest.

- Jest jednym wielkim okrzykiem cierpienia - odparła Gertruda Oliver.

- Musimy zachować odrobinę śmiechu, dziewczynki - rzekła pani Blythe. - Szczery śmiech jest czasami równie dobry, jak modlitwy - dorzuciła z zapartym oddechem i ona przekonała się, jaką trudną rzeczą jest śmiech, podczas ostatnich trzech tygodni, które przeżywała ona, Ania Blythe, dla której śmiech był zawsze rzeczą tak łatwą i ożywczą. A jak ją bolało, że i Rilla śmiała się tak rzadko, Rilla, która dawniej nie była do niczego innego zdolna, tylko do śmiechu. Czyż młodość tego dziecka aż do tego stopnia zasnuły ołowiane chmury? Jednakże na jaką silną i rozumną dziewczynę wyrosła! Jak cierpliwie szyła, szydełkowała i opiekowała się Czerwonym Krzyżem! Jak nadzwyczajnie wychowywała małego Jasia!

- Nawet rodzona matka nie robiłaby tego zręcznie, droga pani doktorowo - chwaliła Zuzanna uroczyście. - Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy wylądowała tutaj z tą wielką niebieską wazą.

XIII. GORZKA PIGUŁKA

Bardzo jestem niespokojna, droga pani doktorowo - mówiła Zuzanna po powrocie ze stacji, dokąd zaniósła trochę kości dla Wtorka - musiało się stać coś niedobrego. Księżycowy Brodacz wysiadł z pociągu z Charlottetown z rozpromienioną twarzą. Nie pamiętam, kiedy go widziałam uśmiechniętego. Możliwe, że otrzymał od kogoś list tak radosny, ale podejrzewam, że widocznie Hunowie znowu coś przeszkrobali i dlatego stary się tak cieszy.

Może Zuzanna niesprawiedliwie połączyła uśmiech pana Pryora z zatonięciem „Lusitanii”, o czym wiadomości przybyły w godzinę później. Lecz tej nocy chłopcy w Glen zbuntowali się i wybili Księżycowemu Brodaczowi wszystkie okna w nagrodę za to, co uczyniły wojska Kaisera.

- Nie mogę przyznać im słuszności i nie mogę ich ganić ;- rzekła Zuzanna dowiedziawszy się o tym. - Muszę przyznać, że i ja własnoręcznie rzuciłabym kilka kamieni. Jedno jest pewne: Księżycowy Brodacz oświadczył na pocztce owego dnia, kiedy przybyły wiadomości o zatonięciu „Lusitanii”, a mówił to przy świadkach, że ludzie, którzy „mimo ostrzeżeń nie mogą siedzieć spokojnie w domu, nie zasłużyli na lepszy los. I taki człowiek, droga pani doktorowo, jest członkiem naszego kościoła! Gdybym umarła i gdyby on przyszedł na mój pogrzeb, gotowa byłabym wstać z trumny i przepędzić go na cztery wiatry. Norman Douglas ma świętą rację. „Jeżeli diabeł nie porwie tych, którzy zatopili «Lusitanie», to stanowczo nie powinien być diabłem!” - krzyczał wczoraj wieczorem w sklepie Cartera. Norman Douglas zawsze wierzył w to, że każdy człowiek, który się z nim nie zgadza, zaprzedał swą duszę diabłu, lecz człowiek taki czasami może się też przydać. Bertie Meredith martwi się o dzieci, które zatonęły. Zdaje się, że odmawiał specjalną modlitwę w piątek i był szalenie przygnębiony wiadomościami. Ale gdy usłyszał o zatonięciu „Lusitanii”, wyznał matce, że rozumie teraz, dlaczego Bóg nie wysłuchał jego modlitwy. Widocznie był zajęty duszami tych, którzy znajdowali się na pokładzie „Lusitanii”. Umysł tego dzieciaka jest o sto lat starszy od jego ciała, droga pani doktorowo. Co do tej „Lusitanii” - to strasza katastrofa, z której strony by się na nią patrzyło. Ale Woodrow Wilson ma znowu pisać jakąś notę, więc po co się martwić? Ładny z niego prezydent! - Zuzanna zatrzęsała się z oburzenia. Prezydent Wilson stał się obiektem przekleństw w kuchni Zuzanny.

Mary Vance wpadła pewnego wieczora, aby zakomunikować mieszkańcom Złotego Brzegu, że zaniechała wszelkich sprzeciwów w kwestii zaciągnięcia się do wojska Millera Douglasa.

- Ta historia z „Lusitanią” przeszła już wszelkie granice -mówiła porywczo. - Jeżeli Kaiser topi niewinne dzieci, to trzeba mu na to dać jakąś odpowiedź. Trzeba stanowczo walczyć do ostatniej kropli krwi. Byłam przeciwniczką wojny, lecz teraz zmieniałam zdanie. Powiedziałam Millerowi, że jeżeli o mnie chodzi, może pójść do wojska. Tylko stara Kitty Alec nie zmieniła się. Choćby wszystkie okręty na świecie zatoniły, a na nich wszystkie dzieci, Kitty nie zmieni swego zdania. Pochlebiam sobie, że to ja powstrzymywałam Millera od wojny, a nie Kitty. Mogłam się mylić, przekonamy się.

Przekonali się. Następnego niedzieli w kościele w Glen przy boku Mary Vance zjawił się Miller Douglas w mundurze wojskowym. A Mary była tak dumna z niego, że jej białe oczy zabłysły niesamowitym blaskiem. Józio Milgrave, stojąc pod chórem, spoglądał na Millera, na Mary, to znów na Maniusię Pryor i wzdychał tak głośno, że wszyscy słyszeli te westchnienia i wiedzieli, co go dręczyło. Walter Blythe nie wzdychał. Lecz Rilla, dostrzegłszy jego twarz pełną niepokoju, sama ten niepokój odczuła. W ciągu ostatniego tygodnia niepokój coraz większy rodził się w jej duszy, aczkolwiek miała dużo zajęcia z mającym nastąpić wkrótce koncertem Czerwonego Krzyża. Wprawdzie Reese’owie wyleczyli się ze swego zaziębienia i mieli brać udział w koncercie, lecz inna sprawa wyłoniła się całkiem nieoczekiwanie. Na dzień przed koncertem nadszedł list od pani Channing zawiadamiający, że nie będzie mogła śpiewać, Syn jej, który stacjonował ze swym pułkiem w Kingsport, zachorował poważnie na zapalenie płuc i pani Channing musiała przy nim pozostać.

Członkinie komitetu koncertowego spoglądały na siebie bezradnie. Co począć?

- Nie można liczyć na żadną pomoc z zewnątrz - rzekła Ola Kirk niechętnie.

- Musimy coś zrobić - upierała się Rilla zbyt zdenerwowana, aby zwracać uwagę na Olę. - Zareklamowaliśmy już koncert wszędzie, przybędą tłumy publiczności, nawet jakieś towarzystwo z miasta, a właściwie nie mamy zupełnie numerów śpiewanych. Musimy znaleźć kogoś, kto by śpiewał zamiast pani Channing.

- Ciekawa jestem, kogo znajdziesz w ostatniej chwili - ironizowała Ola. - Irena Howard mogłaby śpiewać, ale na pewno nie zechce po tej historii, kiedy została obrażona przez nasze towarzystwo.

- W jaki sposób towarzystwo ją obraziło? - zapytała Rilla swoim „zimno-bładym” tonem. Ten chłód i obojętność nie dotknęły wcale Oli.

- Tyś ją obraziła - odparła porywczo. - Irena wszystko mi opowiedziała, czuła się kompletnie załamana. Powiedziałaś jej, aby więcej nie odzywała się do ciebie. Twierdziła, że nie może sobie wyobrazić, co takiego uczyniła, aby zasłużyć na podobne traktowanie. Z tego powodu nie zjawiała się już więcej na naszych zebraniach, lecz zapisała się do Czerwonego Krzyża w Lowbridge. Muszę jej przyznać rację. Na pewno nie proponowałabym jej, aby się zniżyła do tego stopnia, żeby nam pomóc w tak ciężkiej sytuacji.

- Po mnie chyba również nie spodziewasz się, że ją będę prosić? - zachichotała Amelka MacAllister, druga członkini komitetu. - Od wieków nie rozmawiamy z Ireną. Ona zawsze musi być przez kogoś „obrażona”. Ale jest doskonałą śpiewaczką, to jej trzeba przyznać, i publiczność równie chętnie słuchałaby jej śpiewu, jak pani Channing.

- I tak by się na nic nie zdało, gdybyś ją nawet zechciała prosić - rzekła Ola z naciskiem. - Wkrótce po zaaranżowaniu tego koncertu, jeszcze w kwietniu, spotkałam pewnego dnia Irenę w mieście i pytałam, czy zechce nam pomóc. Odpowiedziała, że uczyniłaby to chętnie, lecz nie może, skoro Rilla Blythe układa program, a przecież Rilla ją obraziła. Tak się sprawa przedstawia i jestem pewna, że nasz koncert zrobi klapę.

Rilla poszła do domu i zamknęła się w swym pokoju z udręką w duszy. Nie zdobył się na to, aby przeproszać Irenę Howard! Irena stanowczo postąpiła podle. Przy tym rozповідаła tak obszernie o ich sprzeczce, że trudno było teraz całą rzecz naprawić. Tym bardziej że wmieszana w to była osoba Waltera. Tyle ludzi twierdziło, że Irena jest złą dziewczyną, ale Rilla nigdy w to nie wierzyła. Zawsze stawiała po stronie Ireny i miała pretensje do tych, którzy złośliwe pogłoski o niej rozsiewali. A jednak koncert, nad którym tyle pracowała, miał zrobić klapę. Cztery solowe pieśni pani Channing były przecież ozdobą całego programu.

- Panno Gertrudo, jak się pani na to zapatruje? - pytała Rilla z rozpaczą.

- Myślę, że Irena jest jedyną osobą, która mogłaby wypełnić tę lukę - rzekła panna Oliver. - Lecz moje zdanie nie uratuje waszego programu.

- Jeżelibym poszła i przeprosiła Irenę, jestem pewna, że zgodziłaby się śpiewać - westchnęła Rilla. - Strasznie lubi występować publicznie. Wiem jednak, że będzie nieprzyjemna dla mnie, i nie mam najmniejszej ochoty pójść. Mimo to sądzę, że powinnam pójść. Skoro Jim i Jerry z taką odwagą stają w obliczu Hunów, to ja mogę stanąć w obliczu Ireny Howard, zapomnieć o swej dumie i prosić, aby wzięła udział w koncercie urządzanym na cel biednych Belgów. W tej chwili czuję, że nie jestem w stanie tego uczynić, lecz możliwe, że zobaczy mnie pani biegnącą po kolacji przez Dolinę Tęczy w kierunku Górnego Glen.

Przecucia Rilli były słuszne. Po kolacji ubrała się w swą błękitną krepową sukienkę, bo próżność jest silniejsza od dumy, a Irena tak zawsze zwraca uwagę na zewnętrzny wygląd. Zresztą Rilla pewnego razu, gdy miała lat dziewięć, powiedziała swej matce, że „łatwiej jest zachowywać się grzecznie, gdy się jest dobrze ubraną”. Istotnie było łatwiej i dlatego włożyła swą błękitną sukienkę.

Przeczesała gładko włosy i narzuciła na siebie gumowy płaszcz na wszelki wypadek. Lecz myśli jej wciąż zajęte były nieprzyjemną wizytą i odbywała w fantazji kompletną próbę swego wystąpienia. Jakżeby pragnęła, żeby to już wszystko było za nią, jakżeby pragnęła w ogóle nie urządzać tego koncertu! Pragnęłaby nawet nie kłócić się wcale z Ireną. Może byłoby lepiej zbyć milczeniem te wszystkie plotki wypowiedziane przez Irenę o Walterze. Postąpiła dziecinnie, oburzając się. W przyszłości będzie mądrzejsza, lecz tymczasem należało połknąć gorzką pigułkę, a Rilla Blythe pigułki niechętnie połykała.

O zachodzie słońca znalazła się przed domem Howardów. Pani Howard, otyła, stateczna jejmość, powitała Rillę wylewnie i poprosiła ją do salonu, obiecując natychmiast przywołać Irenę. Rilla zrzuciła z siebie gumowy płaszcz i przejrzała się w lustrze, wiszącym nad kominkiem. Włosy, kapelusz i suknia nie pozostawiały J nic do życzenia, nawet panna Irena nie będzie miała powodu do drwin. Rilla przypomniawszy sobie, jak złośliwie Irena krytykowała strój innych dziewcząt. Teraz chyba nie będzie miała nic do zarzucenia.

Po chwili weszła Irena, elegancko ubrana, uczesana modnie i roztaczająca wokoło upajającą woń perfum.

- Ach, jak się mamy, panno Blythe? - rzekła słodko. - Cóż za nieoczekiwana przyjemność.

Rilla wstała, aby uścisnąć końce palców Ireny, i gdy usiadła J na powrót, dostrzegła coś, co nagle odjęło jej mowę. Irena również to dostrzegła, uśmiechnęła się impertynencko i ciągle spoglądała w jednym kierunku przez cały czas trwania wizyty.

Na jednej nodze Rilla nosiła piękny pantofelek z klamerką oraz błękitną jedwabną pończoszkę. Na drugiej widniał zwykły ciężki but i czarna pończocha z grubej przędzy.

Biedna Rilla! Zaczęła zmieniać obuwie i pończochy, gdy już miała na sobie swoją suknię. Taki był rezultat, gdy się coś innego robiło rękami, a o czymś innym myślało. Och, cóż za straszna sytuacja, i do tego w obecności Ireny Howard, Ireny-, która patrzyła wciąż na nogi Rilli, jakby dotychczas nigdy nóg ludzkich nie widziała! Wszystko, co przygotowała w myślach, zatarło się nagle w pamięci. Na próżno usiłowała ukryć swą nieszczęsną nogę pod krzesłem, na próżno dobierała najodpowiedniejszych słów.

- Przyszłam, żeby cię prosić o grzeczność, Ireno.

Znowu sepleni! Była przygotowana na wszystko, ale na to nigdy! Stanowczo jakiś pech ją prześladował!

- Tak? - Zauważyła Irena chłodno, podnosząc oczy na zarumienioną twarz Rilli, potem zaś opuszczając je znowu ku jej nogom.

Rilla odzyskiwała powoli równowagę. Nie będzie seplenić, będzie chłodna i opanowana.

- Pani Channing nie może przyjechać, bo syn jej zachorował, przyszedł więc w imieniu komitetu prosić cię, abys zechciała śpiewać na naszym koncercie. - Rilla zaokrąglą tak każde słowo, jakby recytowała wyuczoną lekcję.

- Rade nierade musiałyście mnie zaprosić, prawda? - rzekła Irena z jednym ze swych nieprzyjemnych uśmieszków.

- Ola Kirk prosiła cię już dawniej, aleś ty podobno odmówiła - odparła Rilla.

- Czyż mogłam przyjąć zaproszenie? - zapytała Irena z oburzeniem. - Po tej całej historii, kiedy zabroniłaś mi do siebie mówić? Byłoby to niewygodne dla nas obu, nie sądzisz?

A teraz ta gorzka pigułka.

- Chciałam cię przeprosić za to, Ireno - rzekła Rilla z powagą. - Nie powinnam była tego mówić i później ogromnie się tym martwiłam. Będziesz mogła mi przebaczyć?

- I śpiewać na waszym koncercie? - dorzuciła Irena ze słodką ironią.

- Jeżeli sądzisz - rzekła Rilla złamanym głosem - że nie przeprosiłabym cię, gdyby nie chodziło o koncert, to może masz słuszość. Lecz prawdą jest również, że przykro mi było przez całą zimę i żałowałam, że cię obraziłam. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Jeżeli uważasz, że nie jesteś w stanie mi przebaczyć, to sądzę, że możemy więcej nie mówić o tym.

- Ach, Rillo, kochanie, nie oburzaj się tak na mnie! - zawołała Irena. - Oczywiście, że ci przebaczam, choć nie masz pojęcia, jak mi było przykro. Długie tygodnie płakałam z tego powodu. Tym bardziej że nie powiedziałam ani nie uczyniłam nic złego!

Rilla połknęła nieprzyjemną odpowiedź. Nie miało sensu sprzeczać się z Ireną wówczas, gdy biedni Belgowie umierali z głodu.

- Więc uważasz, że będziesz nam mogła pomóc? - zmusiła się do zapytania. Och, żeby tylko Irena przestała patrzeć na te jej nogi! Rilla wyobrażała już sobie, jak obrazowo Irena opowie o tym Oli Kirk.

- Nie wiem, czy będę mogła tak na ostatnią chwilę - zaprotestowała Irena. - Przecież mam zbyt mało czasu, aby się czegoś nowego nauczyć.

- Och, umiesz tyle pięknych pieśni, których jeszcze nikt w Glen nie słyszał - rzekła Rilla wiedząc o tym, że Irena jeździła przez całą zimę do miasta na lekcje śpiewu i że chciała tylko teraz znaleźć jakiś pretekst. - Tutaj u nas te wszystkie pieśni będą zupełnie nowe.

- Ale nie mam akompaniatora - tłumaczyła się znowu Irena.

- Una Meredith może ci śmiało akompaniować - rzekła Rilla.

- Ach, nie mogłabym jej prosić o to - westchnęła Irena. - Nie mówimy ze sobą od zeszłej jesieni. Znienawidziła mnie podczas koncertu w szkole niedzielnej i zupełnie się do mnie nie odzywa.

Boże, Boże, czyż Irena miała samych wrogów? Nienawiść Uny Meredith do kogokolwiek trudno było sobie wyobrazić. Rilla z trudem powstrzymała się, aby nie parsknąć śmiechem prosto w twarz Irenie.

- Panna Oliver jest doskonałą pianistką i może ci akompaniować bez próby - zaproponowała Rilla głosem pełnym rozpaczy. - Chętnie się na to zgodzi, możesz zresztą jutro wieczorem wpaść na Złoty Brzeg przed koncertem i wypróbować z nią swoje pieśni.

- Ale nie mam w co się ubrać. Moja nowa suknia wieczorowa została jeszcze w Charlottetown, a przecież nie włożę na taką uroczystość zeszłorocznej sukni. Jest stanowczo za skromna i wyszła już zupełnie z mody.

- Koncert nasz - odparła Rilla wolno - urządzany jest na cel biednych dzieci belgijskich, które umierają z głodu. Nie uważasz, Ireno, że mogłabyś wystąpić dla ich dobra w skromniejszej sukience?

- Nie sądzisz, że te wszystkie historie o Belgach są nieco przesadzone? - zawołała Irena. - Jestem pewna, że w dwudziestym wieku z głodu umrzeć nie można. Gazety zawsze koloryzują.

Rilla doszła do wniosku, że zrobiła już wszystko, co było w jej mocy. Należało przecież zachować odrobinę własnej godności. Nie wolno poniżać się bardziej, choćby chodziło nawet o koncert. Podniosła się z miejsca, nie zważając już nawet na swoje nogi.

- Bardzo mi przykro, że nie chcesz nam pomóc, Ireno, postaramy się jakoś dopełnić koncert własnymi siłami.

Nie było to po myśli Ireny. Bardzo pragnęła śpiewać na koncercie i wszystkie jej wahania nagle -w tej chwili pierzchły. Zresztą chciała bardzo zawrzeć na nowo przyjaźń z Rillą. Miała jakąś słabość do tej dziewczyny. Poza tym dom na Złotym Brzegu był bardzo miłym miejscem odwiedzin, szczególnie wówczas gdy Walter wracał z uniwersytetu. Przestała nawet patrzeć na nogi Rilli.

- Rillo, kochanie, nie bądź tak porywcza. Naprawdę chciałabym wam pomóc, gdybym mogła tylko to wszystko jakoś urządzić. Siadaj, obgadamy jeszcze tę sprawę.

- Bardzo mi przykro, ale nie mam już czasu. Muszę wracać do domu, aby położyć Jasia i nakarmić go przed snem.

- Ach, tak, to dziecko, które wychowujesz podług książki. Naprawdę ładnie to z twojej strony, szczególnie że ty dzieci nie znosisz. Jaka zła byłeś na mnie za to, że go wtedy całowałam! Ale zapomnijmy o tym wszystkim i bądźmy znowu przyjaciółkami, dobrze? A teraz wracajmy do koncertu. Sądzę, że będę mogła pojechać do miasta rano po suknię, a po południu będę miała dość czasu, aby wypróbować z panną Oliver moje pieśni. Może ty ją poprosisz, żeby mi akompaniowała, bo Gertruda jest tak dumna i wyniosła, że po prostu paraliżuje mnie swym spojrzeniem.

Rilla nie chciała tracić czasu na to, aby bronić w tej chwili panny Oliver. Chłodno podziękowała Irenie, która stała się bardzo serdeczna i wylewna, żegnając Rillę. Dzięki Bogu, że wizyta się skończyła. Rilla była przekonana, że nigdy już nie będzie przyjaźni między nią i Ireną. Przyjazne sobie będą - ale przyjaciółkami - nigdy. Zresztą wcale tego nie pragnęła. Przez całą zimę miała tyle ważniejszych spraw na głowie, więc strata przyjaciółki stała się rzeczą prawie obojętną. Sentyment, jakim darzyła Irenę, wygasł w niej dawno. Irena nie należała do tych, którzy „znają Józefa”, jak by powiedziała pani Elliot. Rilli nawet na myśl nie przyszło, że dawno powagą i umysłem przerosła Irenę. Uważałaby taki domysł za absurd, bo przecież ona miała lat siedemnaście, a Irena skończyła dwadzieścia. Jednakże to było prawdą. Irena była taka sama, jak przed rokiem, i zawsze taką zostanie. Usposobienie Rilli Blythe w ciągu ostatniego roku zmieniło się, umysł dojrzał i patrzyła całkiem inaczej na wszystko. Jednym słowem, Irena na zawsze utraciła swą zaprzysiężoną wielbicielek, jaką miała niegdyś w Rilli.

Rilla odzyskała dopiero zupełną równowagę, gdy znalazła się w oświetlonej promieniami księżycy Dolinie Tęczy. Stała pod wysoką dziką śliwą, która teraz była śnieżnobiała w krasie wiosennego kwiecia, i zaśmiała się głośno.

- Teraz jest tylko jedna rzecz ważna, aby koalicja wygrała wojnę - rzekła do siebie. - To, że poszłam do Ireny Howard w jednym pantoflu, a w drugim bucie, jest kwestią o wiele mniejszej wagi. W każdym razie ja, Berta Maryla Blythe, przysięgam uroczyście, mając księżyc za świadka - Rilla podniosła prawą ręką ku górze - że nigdy już więcej nie wyjdę ze swego pokoju, póki nie obejrzę uważnie o b y d w u swoich nóg.

XIV. DOLINA POSTANOWIEŃ

Zuzanna wywiesiła następnego dnia flagę na Złotym Brzegu i flaga ta powiewała przez cały dzień z okazji przystąpienia Włoch do wojny.'

- I w samą porę, droga pani doktorowo, nim jeszcze zacięte walki rozpoczęły się na rosyjskim froncie. Mówmy, co chcemy, ale ci Rosjanie nie w ciemną bicia, a wielki księżę Mikołaj potrafi, stanąć wszystkim okoniem. Szczęśliwie się złożyło dla Włoch, że wypowiedziały się po odpowiedniej stronie, lecz czy, dla koalicji jest to wielką zdobyczą, orzeknę dopiero wtedy, gdy bliżej poznam Włochów. W każdym razie Włochy zalały sadła za skórę Franciszkowi Józefowi. Ładny z niego cesarz, jedną nogą stoi już w grobie, a jeszcze morduje ludzi. - I Zuzanna zagniała chleb z taką energią, jakby gniotła w tej chwili samego Franciszka Józefa, który dziwnym zbiegiem okoliczności wpadł w jej ręce.

Walter wczesnym pociągiem wyjechał do miasta, a Nan zaofiarowała się doglądać przez cały dzień Jasia, aby Rilla miała więcej swobody. Bo też była nieludzko zajęta tego dnia, pomagając przy dekorowaniu sali koncertowej i doglądając tysiąca innych rzeczy. Wieczór był prześliczny mimo to, że pan Pryon oświadczył, iż „ma nadzieję, że będzie łało strumieniami”, kopiąc przy tym ukochanego psa Manusi ze złością. Skończywszy dekorowanie sali, Rilla pobiegła do domu, aby się przebrać pośpiesznie. Całkiem nieoczekiwanie wszystko do ostatniej chwili układało się jak najlepiej. Irena na dole odbywała próbę przy akompaniamencie panny Oliver, a Rilla była tak podniecona i szczęśliwa, że nie pamiętała przez cały dzień o zachodnim froncie. Powodem tej radości było uczucie, że jednak usiłowania całych tygodni doprowadziły do najbardziej upragnionych rezultatów. Wiedziała, że znajdują się tacy ludzie, którzy myślą, że Rilla Blythe nie ma dość cierpliwości i taktu, by zorganizować program koncertowy. Pokazała jednak, co umie! Melodia jakiejś piosenki drżała na jej wargach podczas ubierania. Przyszło jej na myśl, że wygląda bardzo dobrze. Podniecenie wywołało lekki rumieniec na twarzyczce, pokrywający zupełnie nieliczne piegi, a włosy połyskiwały kasztanowatym odcieniem. Czy miała wpiąć w nie kwiat jabłoni, czy też maleńki diademik z pereł? Po chwili zastanowienia zdecydowała się na kwiat jabłoni i wpięła cały pęczek ponad lewym uchem. Teraz ostatnie spojrzenie na nogi. W porządku, miała dzisiaj obydwie pantofle. Pocałowała śpiącego Jasia - jakąż ciepłą, różową, delikatną twarzyczkę miał ten chłopak - i spieszenie pobiegła przez wzgórze. Było już

mnóstwo publiczności, wkrótce, sala będzie pełna. Koncert Rilli stanowczo miał odnieść sukces.

Trzy pierwsze numery odbyły się doskonale. Rilla znajdowała się w małej garderobie tuż za estradą, spoglądając przez okno i powtarzając jeszcze raz przygotowane do recytacji wiersze. Była zupełnie sama, reszta artystów znajdowała się w obszernym pokoju po drugiej stronie. Nagle uczuła dwoje miękkich nagich ramion opasujących jej talię. Irena Howard złożyła lekki pocałunek na jej policzku.

- Rillo, kochanie, wyglądasz dzisiaj jak prawdziwy anioł. Dzielna jesteś. Myślałam, że zaciągnięcie się do wojska' Waltera tak źle na ciebie podziało, że nie będziesz zdolna do niczego, a tymczasem jesteś całkiem opanowana. Chciałabym mieć twoje usposobienie.

Rilla stała jak oniemiała. Nie czuła nawet w tej chwili podniecenia, nie czuła nic. Świat uczuć zasunął się gęstą mgłą.

- Walter... się zaciągnął... - usłyszała własny głos, a potem afektowany śmiech Ireny.

- Jak to, nie wiedziałas? Byłam pewna, że wiesz, bo inaczej nie wspomniałabym o tym. Zawsze muszę wtrącić swoje trzy grosze, prawda? Po to przecież dzisiaj jechał do miasta. Zwierzył mi się, wysiadając z pociągu wieczorem. Byłam pierwszą osobą, której to powiedział. Nie jest jeszcze w mundurze, bo mundurów zabrakło, ale za kilka dni mundur dostanie. Zawsze mówiłam, że Walter ma więcej odwagi niż wszyscy. Zapewniam cię, że byłam dumna z niego, gdy mi powiedział, po co jechał do miasta. Ach, kończy się już numer Ryśka MacAllistera. Muszę uciekać. Obiecałam, że będę także śpiewała w chórze. Ala Clow ma straszny ból głowy.

Poszła - och, dzięki Bogu, że poszła! Rilla była znowu sama z wzrokiem utkwionym w dalekiej Przystani Czterech Wiatrów. Cucie wróciło, ból dotkliwy odczuwała gdzieś w okolicy serca.

- Nie zniosę tego - rzekła. Potem przyszła straszna myśl, że może jednak potrafi to znieść i że jeszcze czekają ją całe lata straszliwych cierpień.

Musi stąd odejść - musi biec do domu - musi być sarna. Nie mogłaby wyjść na estradę, nie mogłaby recytować, nie mogłaby brać udziału w dialogach. Swoją nieobecnością może zepsuć cały koncert, ale mniejsza o to, niech się dzieje, co chce. Czy to była ona, Rilla Blythe, ta przygnębiona dziewczynka, która jeszcze przed kilku minutami była najzupełniej szczęśliwa? Na estradzie chór złożony z czterech głosów śpiewał: „Nie oddamy nigdy starej chorągwi!” - muzyka zdawała się docierać z dalekiej odległości. Dlaczego nie może płakać, jak płakała wówczas, gdy Jim oświadczył, że pójść musi? Gdyby mogła płakać, może by jej

było źle. Ale ły się nie zjawiały! Gdzie się podział szal i płaszcz? Musi uciec stąd i ukryć się, jak zwierzę śmiertelnie ranione.

Czy taka ucieczka była tchórzostwem? Pytanie to pojawiło się nagle, jakby zadał je ktoś inny. Pomyślała o bitwach we Flandrii, o bracie i przyjacielu, siedzących w okopach. Co by oni o niej pomyśleli, gdyby nie spełniła swych obowiązków, obowiązków doprowadzenia do końca koncertu, który przecież sama urządziła w imieniu Czerwonego Krzyża? Ale nie będzie mogła zostać, niemożliwe - co to takiego mama powiedziała, gdy Jim wyjeżdżał? „Gdy kobiety tracą odwagę, mężczyźni odczuwają lęk”. Ale to... to było nie do zniesienia.

Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi, po czym wróciła znowu do okna. Teraz na estradzie śpiewała Irena, a jej piękny głos, jedyna prawdopodobnie zaleta, dźwięczał słodko wśród murów budynku. Rilla wiedziała, że teraz na nią miała przyjść kolej. Czy będzie mogła wyjść tam i odegrać swoją rolę? Głowa ją strasznie bolała, w gardle paliło. Ach, dlaczego Irena powiedziała jej właśnie wtedy, kiedy to powiedzenie nie mogło uczynić nic dobrego? Irena była naprawdę okrutna.

Rilla przypomniła sobie teraz, że kilka razy podczas dnia dostrzegała dziwne spojrzenie matki, błakające się po jej twarzy. Była zbyt zajęta, aby się zastanowić nad tym. Teraz dopiero zrozumiała. Matka wiedziała, dlaczego Walter wyjechał do miasta, lecz nie chciała jej powiedzieć, dopóki koncert nie minął. Jakaż matka jest delikatna i subtelna!

- Muszę tu zostać i przetrwać do końca - rzekła Rilla zacierając skostniałe dłonie.

Reszta wieczoru wydała jej się snem. Ciało jej otoczone było ludźmi, lecz dusza pozostała samotna, torturowana bólem. Odegrała jednak z powagą swą rolę i wypowiedziała recytacje bez zająknięcia. Włożyła nawet na siebie śmieszny kostium starej Irlandki i zastąpiła w jednej z komedijek Maniusię Pryor. W tym wszystkim jednak, co zrobiła, nie dawała nic z siebie, w recytacjach nie była tego zapału i entuzjazmu. Gdy stała tak przed publicznością, widziała tylko jedną twarz - tę piękną twarz ciemnowłosego chłopca, siedzącego przy boku matki, i widziała tę samą twarz w okopach, widziała tysiące strasznych rzeczy, stojąc na estradzie sali koncertowej, pobladała, z przekrzywionym kwiatem jabłoni za uchem. Między jednym numerem a drugim biegała niespokojnie tam i z powrotem po małej garderobie. Czyż ten koncert nigdy się nie skończy?

Skończył się wreszcie. Ola Kirk przybiegła i oznajmiła z radością, że w kasie było sto dolarów.

- To dobrze - rzekła Rilla automatycznie. Potem uciekła od nich wszystkich - o, dzięki Bogu, że wreszcie uciekła, Walter oczekiwał jej przy drzwiach. Wsunął jej rękę pod ramię i w milczeniu wyszli na drogę. Żaby kumkały, pola tonęły w srebrzystej mgle. Wiosenna noc była

piękna i pełna czaru. Rilla czuła, że piękno to podwaja jeszcze jej ból. Gotowa była znienawidzić księżyc na zawsze.

- Wiesz już? - zapytał Walter.

- Tak. Irena mi powiedziała - odparła Rilla bezdźwięcznie.

- Nie chcieliśmy ci powiedzieć przed końcem koncertu. Gdyś wyszła na estradę, domyśliłem się, że już wiesz. Tak, siostrzyczko, uczyniłem to. Nie mogłem żyć nadal w takich warunkach od chwili, gdy „Lusitania” zatonała. Gdy wyobraziłem sobie te martwe kobiety i dzieci, zatopione gdzieś w otchłaniach morskich, nie mogłem dłużej siedzieć spokojnie. Zapragnąłem otrząsnąć na zawsze pył tchórzostwa ze swoich stóp. Wiedziałem, że muszę to uczynić.

- Tam jest i tak mnóstwo żołnierzy bez ciebie.

- To nie jest argument, Rillo-ma-Rillo. Idę dla własnego dobra, dla zbawienia własnej duszy. Uczułbym dla siebie samego pogardę, gdybym nie zdobył się na to. To byłoby gorsze niż ślepotą, niż wieczne kalectwo, którego się tak lękam.

- Możesz... zostać... zabity. - Rilla czuła wstręt do samej siebie za te słowa, wiedziała, że takie powiedzenie z jej strony było tchórzostwem, ale była całkowicie rozbita po napięciu dzisiejszego wieczoru.

- „Prędzej czy później i tak na nas wszystkich przyjdzie śmierć” - zacytował Walter. - Nie śmierci się boję, powiedziałem ci to już dawno. Można czasami zbyt wielką cenę zapłacić za życie, siostrzyczko. W wojnie tej jest tyle okropności, że pragnę pomóc, aby to wszystko jak najprędzej zmieść z powierzchni ziemi. Będę walczył za piękne życie, Rillo-ma-Rillo, to jest moim obowiązkiem. Może są obowiązki jeszcze wznioślejsze, możliwe, lecz ten do mnie należy. Życiu i Kanadzie jestem to winien i muszę ten dług spłacić. Rillo, dzisiaj po raz pierwszy od wyjazdu Jima czuję dla samego siebie szacunek. Mógłbym nawet pisać poezję - zaśmiał się. - Nie mogłem pisać ani jednego słowa od sierpnia zeszłego roku. Dzisiaj mam serce przepełnione poezją. Siostrzyczko, bądź dzielna, byłaś taka spokojna, jak Jim wyjeżdżał.

- Jest... pewna... różnica - Rilla przystawała po każdym słowie, aby powstrzymać głuchy szloch. - Kocham Jima oczywiście, ale gdy on odjechał... myśleliśmy... że wojna... wkrótce się skończy, a ty... jesteś dla mnie wszystkim, Walterze.

- Musisz być dzielna, aby mi pomóc, Rillo-ma-Rillo. Jestem dzisiaj podniecony, upojony nadzieją zwycięstwa nad samym sobą, lecz przyjdzie może dzień, kiedy będę potrzebował twojej pomocy.

- Kiedy... wyjeżdżasz? - musiała wiedzieć zaraz to, co najgorsze.

- Dopiero za tydzień. Jedziemy do Kingsport na wyszkolenie. Przypuszczam, że na front wyruszymy około połowy lipca, nie wiadomo jeszcze.

Za tydzień - tylko jeden tydzień z Walterem! Sama nie wiedziała, jak tę chwilę rozstania przeżyje.

Gdy stanęli przed bramą na Złotym Brzegu, Walter zatrzymał się w cieniu starej sosny i przyciągnął Rillę do siebie.

- Rillo-ma-Rillo, w Belgii i Flandrii były takie same czyste i słodkie, jak ty, dziewczęta. Ty - nawet ty - wiesz, jaki je los spotkał. Musimy zapobiec takim okrucieństwom, gdy świat ma trwać dłużej... Pomożesz mi, prawda?

- Postaram się - wyszeptała. - Och, będę się starała.

Gdy przyłgnęła doń z twarzą przytuloną do jego ramienia, wiedziała już, że tak będzie. Pogodziła się z tym faktem. On musi iść - jej cudowny Walter, ze swą piękną duszą, marzeniami i ideałami. Wiedziała, że nastąpi to prędzej czy później. Widziała, jak to następowało, jak widzi się cień chmury, zasłaniającej coraz bardziej słoneczne pole, nieświadome zbliżającej się burzy. Mimo dotkliwego bólu w sercu czuwała jednak dziwną ulgę, czuwała pocieszenie, które ją samą drażniło. Nikt teraz - nikt wreszcie nie będzie miał prawa nazwać Waltera łazikiem.

Rilla nie spała tej nocy. Możliwe, że nikt nie spał na Złotym Brzegu z wyjątkiem Jasia. Ciało dojrzewa z wolna, lecz dusza rośnie wielkimi skokami. Może dojrzeć w ciągu godziny. Od tej nocy dusza Rilli Blythe stała się duszą dojrzałej kobiety, zdolnej do cierpień, do zniesienia wszystkiego, co najokropniejsze.

Gdy wstał błyśnięcie świtu, podniosła się i podeszła do okna. Tuż pod nim rosła wielka jabłoń, okryta wiosennym kwieciem. Walter zasadził ją przed laty, gdy był jeszcze małym chłopcem. Ponad Doliną Tęczy płynęły jasne obłoczki ozłoczone wschodzącym słońcem. Nieco dalej błyszczała zimnym światłem jakaś spóźniona gwiazda. Dlaczego na tym świecie w taki cudowny wiosenny poranek kogoś serce boli?

Rilla czuła czyjeś pieszczotliwe ramiona opasujące jej szyję. Była to matka, matka o bladej twarzy i dużych, szarych oczach.

- Ach, mateczko, jak ty to możesz znieść! - wybuchnęła Rilla głośnym płaczem.

- Rillo, kochanie, od dawna wiedziałam, że Walter to uczyni. Miałam dość czasu, aby się buntować... i przyzwycząić do tej myśli. Nie możemy mu stawiać żadnych przeszkód. Ten zew jest potężniejszy i bardziej namiętny od zewu naszej miłości - musiał go usłuchać. Nie wolno nam dolewać goryczy do czary jego poświęcenia.

- Nasze poświęcenie jest większe niż jego - szlochała Rilla. - Chłopcy nasi dają tylko siebie, my ich dajemy.

Nim pani Blythe zdążyła odpowiedzieć, Zuzanna wsunęła głowę przez uchylone drzwi, nie troszcząc się nigdy o to, że należy zapukać. Oczy miała czerwone, lecz wypowiedziała tylko zdawkowe zapytanie:

- Czy mam tutaj przynieść śniadanie, droga pani doktorowo?

- Nie, nie, Zuzanno. Zaraz wszyscy zejdziemy na dół. Czy wiesz, że Walter się zaciągnął?

- Wiem, droga pani doktorowo. Pan doktor mi wczoraj o tym powiedział. Sądzę, że Wszechmogący ma swoje powody, skoro pozwala na takie rzeczy. Musimy na to patrzeć z najjaśniejszej strony. Może to go wyleczy wreszcie z tej poezji. - Zuzanna ciągle jeszcze zaliczała poetów i włóczęgów do jednej i tej samej kategorii - a to też by była pewna wygrana. Dzięki Bogu - mruknęła przyciszonym głosem - że Shirley jest jeszcze trochę za młody.

- Czyż to nie wszystko jedno, jeżeli syn jakiejś kobiety pójdzie zamiast Shirleya? - zagadnął doktor przystając na progu.

- Oczywiście, że nie, drogi panie doktorze - rzekła Zuzanna z naciskiem, unosząc w górę Jasia, który z błyszczącymi oczkami wyciągał do niej małe, pulchne łapki. - Niech pan mnie nie zmusza do tego, abym wypowiedziała słowa, których zawsze się lękałam. Jestem prostą kobietą i nie potrafię dyskutować z panem, ale wcale nie jestem wdzięczna Bogu za to, że ktoś idzie na wojnę. Wiem tylko, że lepiej, że idą, niżbyśmy wszyscy mieli dostać się pod opiekę Kaisera, tym bardziej kiedy mamy po swojej stronie takiego prezydenta, jak Woodrow Wilson. Hunów, drogi panie doktorze, nie pokonają żadne jego noty. A teraz - kończyła Zuzanna tuląc Jasia w ramionach i idąc wolno w stronę schodów - powiedziałam, co miałam powiedzieć, i muszę być dzielna. A jeżeli nie mogę mieć przyjemnej miny, to przynajmniej muszę ją mieć taką, na jaką mnie stać.

XV. AŻ DO ŚWITU

Niemcy znowu zajęli Przemyśl - biadała Zuzanna z rozpaczą, spoglądając znad rozłożonej gazety - i teraz pewno znowu zaczną to nieszczęśliwe miasto nazywać po niemiecku. Była u mnie kuzynka Zofia, gdy nadeszła poczta, i jak usłyszała te nowiny, westchnęła z głębi żołądka, droga pani doktorowo, i powiedziała: „Tak, jestem pewną, że teraz pójda na Petrograd”. A ja na to: „Nie posiadam tak wielkiej znajomości geografii, ale mam wrażenie, że z Przemyśla do Petrogradu jest parę ładnych mil”. Kuzynka Zofia znowu westchnęła, mówiąc: „Wielki książę Mikołaj nie jest jednak takim człowiekiem, jakim go sobie wyobrażałam”. „Broń Boże nie mów mu o tym - odparłam. - Mogłoby go to dotknąć boleśnie, a biedak i tak ma dosyć zmartwień”. Kuzynka Zofia jest tak ponura, że nie rozumie się nawet na najbardziej gryzącej ironii, droga pani, doktorowo. Westchnęła po raz trzeci i zawołała: „Ale Rosjanie szybko ustępują!” Nie mogłam już dłużej wytrzymać. „To co z tego? Mają dosyć miejsca do ucieczki, nieprawdaż?” Chociaż nigdy w życiu nie przyznam racji kuzynce Zofii, droga pani doktorowo, to jednak muszę powiedzieć szczerze, że nie jestem zachwycona sytuacją na wschodnim froncie.

Nikt tą sytuacją nie był zachwycony. Przez całe lato Rosjanie ustępowali, nie czyniąc już żadnych wysiłków.

- Wątpię, czy kiedyś jeszcze będę oczekiwała przybycia poczty z uczuciem spokoju - mówiła Gertruda Oliver. - Nocą i dniem prześladowe mnie jedna myśl, czy Niemcy zniweczą Rosję zupełnie i czy przypadkiem nie przerzucą wszystkich swych wojsk z frontu wschodniego na front zachodni?

- Tego nie zrobią, kochana panno Oliver - odparła Zuzanna tonem prorokini. - Przede wszystkim Wszechmocny by na to nie pozwolił, a po drugie, wielki książę Mikołaj, chociaż pod niektórymi względami rozczarowaliśmy się do niego, wie dobrze, co czyni, i poradzi sobie z Niemcami. Norman Douglas oświadczył, że należałoby z zimną krwią zabijać dziesięciu Niemców za jednego naszego żołnierza. Ja jednak jestem zdania, że oświadczyń takie niewiele pomogą, bo cóż można zrobić siedząc w domu? Niech się pani tak strasznie nie martwi, kochana panno Oliver, nasi chłopcy dadzą sobie radę.

Pierwszego czerwca Walter wyjechał do Kingsport. Nan, Di i Flora podczas wakacji pracowały również w Czerwonym Krzyżu. W połowie lipca Walter przyjechał do domu na tygodniowy urlop, po którym miał być wysłany na front. Podczas dni jego nieobecności Rilla

żyła tylko nadzieją przepędzenia z nim owego tygodnia, a teraz, kiedy ten tydzień nadszedł, z nienawiścią patrzyła na przesuwającą się wskazówkę zegara, dzięki której czas tak szybko upływał, skracając pobyt Waltera w domu. Mimo ogólnego smutku tydzień ten spędzono przyjemnie, szczególnie Rilla, która odbywała z Walterem długie spacerory i prowadziła nie kończące się serdeczne rozmowy. Należał on w zupełności do niej i wiedziała, że wszystkie niemal siły czerpie patrząc na nią, uradowany jej zrozumieniem i serdecznością. Przyjemnie było pomyśleć, że tak wiele znaczy dla niego, świadomość ta pomagała jej w chwilach największego smutku i dodawała siły do uśmiechu, a czasem nawet do wesołości. Gdy Walter wyjedzie, Rilla pozwoli sobie na łzy. Nie wolno jej płakać, dopóki on jest tutaj. Nie płakała nawet w nocy, lękając się, że rankiem brat może zauważyć zaczerwienione oczy. Ostatniego wieczoru jego pobytu w domu poszli razem do Doliny Tęczy i usiedli na ławce pod Białą Damą, gdzie tyle spędzili przyjemnych chwil w dawnych dobrych czasach. Dolina Tęczy ozłocona była tego wieczoru blaskiem zachodzącego słońca. Szary zmierzch rzucał gdzieś tam błękitnawe cienie, a potem zjawił się księżyc, pogodny, srebrzysty, wnikający swymi promieniami w najdrobniejszą szczelinę i pozostawiający jedną część doliny w szarym aksamitnym mroku.

- Gdy będę „gdzieś we Francji” - rzekł Walter rozglądając się dokoła płonącym wzrokiem - zawsze będę pamiętał ten cichy, kochany zakątek. Będę pamiętał upojną woń sosen, poświętę księżycy i dumnie sterczące wierzchołki pagórków, Rillo! Spójrz na te góry dokoła, na te góry, na które patrzyliśmy będąc dziećmi i zastanawialiśmy się, co się mogło znajdować za nimi. Teraz są one spokojne i potężne, cierpliwe i bez zmiany, jak serce szlachetnej, dzielnej kobiety. Rillo-ma-Rillo, czy wiesz, czym byłaś dla mnie w ciągu ostatniego roku? Chciałem ci o tym powiedzieć przed wyjazdem. Nie przeżyłbym tego czasu na pewno, gdybym nie żył z myślą o tobie, droga, mała siostrzyczko.

Rilla nie mogła się zdobyć na słowa. Wsunęła rękę w dłoń Waltera i uścisnęła ją mocno.

- A gdy pojedę do tego piekła na ziemi, gdzie ludzie już dawno zapomnieli o Bogu, również myśl o tobie dodawać mi będzie otuchy. Wiem, że będziesz tak samo dzielna i cierpliwa, jak byłaś podczas ostatniego roku. Nie lękam się o ciebie. Wiem, że cokolwiek by się stało, ty zawsze będziesz Rillą-ma-Rillą, choćby się stać miało coś najgorszego.

Rilla powstrzymywała łzy i westchnienia, lecz nie mogła powstrzymać przenikającego ją dreszczu i Walter zrozumiał, że powiedział dosyć. Po chwili milczenia, podczas której każde z nich czyniło w duszy niewypowiedziane obietnice, Walter rzekł:

- Teraz nie będziemy się smucić już więcej. Będziemy spoglądać w przyszłość aż do tej chwili, gdy wojna się skończy i Jim, Jerry oraz ja wrócimy zwycięskim marszem do domu i wszyscy będziemy na nowo szczęśliwi.

- Nie będziemy już szczęśliwi... jak dawniej - szepnęła Rilla.

- Nie, nie w ten sposób. Wszyscy ci, których wojna dotknęła, nie będą już umieli, jak dawniej, cieszyć się szczęściem. Lecz to szczęście będzie lepsze, siostrzyczko, szczęście, na które zasłużyliśmy. Byliśmy bardzo szczęśliwi przed wojną, nieprawdaż? Z naszym domem na Złotym Brzegu, z naszym ojcem i z naszą matką, musieliśmy zdawać sobie sprawę ze szczęścia. Lecz to szczęście było darem życia i miłości. Nie było ono naszą własnością, życie mogło nam je odebrać w każdej chwili. Nie będzie ono mogło odebrać nam szczęścia, które zdobędziemy sami wysiłkiem spełnionego obowiązku. Zrozumiałem to od chwili, gdy włożyłem na siebie mundur. Doszedłem do wniosku, że właściwie prawdziwie szczęśliwy byłem do owej pamiętnej nocy w maju. Rillo, pamiętaj o matce, jak mnie nie będzie. Okropna jest rola matki podczas tej wojny. Matki, siostry, żony i kochanki przechodzą straszną próbę. Rillo, siostrzyczko moja, a ty nikomu nie oddałaś serduszka? Jeżeli tak, to powiedz mi przed wyjazdem.

- Nie - odparła Rilla. Potem nagle przyszło jej na myśl, że powinna być z Walterem zupełnie szczerą podczas tej rozmowy, która może jest ostatnią w ich życiu. Dodała więc, rumieniąc się mocno: -Ale gdyby... Krzysztof Ford... chciał...

- Rozumiem - odparł Walter. - Krzyś jest także w mundurze. Biedna mała dziewczynko, to wszystko, co cię otacza, jest ponad twoje siły. Ja na szczęście nie pozostawiam żadnego złamanego serca dziewczęcego, dzięki Bogu za to.

Rilla spojrzała w stronę plebanii, wznoszącej się na pagórku. Widziała światło w oknie Uny Meredith. Chciała coś powiedzieć, lecz doszła do wniosku, że nie powinna. To nie była przecież jej tajemnica, a poza tym nie wiedziała na pewno, tylko się domyślała. Walter rozejrzał się znowu dokoła wolno i uważnie. Zakątek ten był dla niego zawsze tak drogi. Ile wesołych chwil przeżyli tu za czasów dzieciństwa! Czas wspomnienia zdawał się snuć po zarosłych ścieżkach i maleńkich polankach. Jim i Jerry na bosaka, mali chłopcy, łowiący ryby w strumieniu, smażyli je potem na rozpalonym ognisku. Nan, Di i Flora biegające po dolinie z rumianymi dziecięcymi twarzyczkami. Una ze swoją słodyczą i zawstydzeniem. Karolek zbierający żaby i ślimaki. Rubaszna, złośliwa, lecz dobra w gruncie rzeczy Mary Vance i dawny Walter, leżący godzinami na trawie i czytający poezję lub błądzący po krainie fantazji. Wszyscy oni w tej chwili, przywołani wspomnieniem, otoczyli go, widział ich prawie tak dokładnie, jak widział Rillę, tak dokładnie, jak niegdyś ujrzał Srokatego Kobziarza, grającego

na swej kobzie w godzinie zachodzącego słońca. I przemawiały do niego te wesołe małe duszki dawnych dni. „Jesteśmy dziećmi dnia wczorajszego. Walterze, walcz zwycięsko za dzieci dzisiejsze i za dzieci przyszłości”.

- Gdzie jesteś, Walter? - zawołała Rilla ze śmiechem. - Wróć do rzeczywistości.

Walter ocknął się, wzdychając głęboko. Wstał, spojrzął na piękną dolinę, tonącą w poświacie księżyca, jakby chciał wchłonąć w siebie cały jej urok, spojrzął na wielkie stare śliwy, na sosny, znaczące się wyraźnym konturem na tle pogodnego nieba, na stateczną Białą Damę, na stary strumyk, na przywiązaną Trójkę Kochanków i na zarośnięte mchem ścieżki.

- Muszę to wszystko widzieć tak w moich snach - rzekł ruszając z miejsca.

Poszli z powrotem na Złoty Brzeg. Zastali tam państwa Meredith i Gertrudę Oliver, która przyjechała z Lowbridge, aby się pożegnać z Walterem. Wszyscy byli zupełnie weseli i pogodni, lecz nikt nie mówił o tym, że wojna skończy się prędko, jak mówili wówczas, gdy Jim odjeżdżał. W ogóle nikt nie mówił o wojnie, chociaż każdy o niej myślał. Wreszcie wszyscy zebrali się przy pianinie i zaśpiewali stary potężny hymn.

- Zwracam się ciągle do Boga podczas tych dni upadku na duchu - rzekła Gertruda do Johna Meredith. - Ostatnio były takie chwile, kiedy przestawałam wierzyć w Boga, nie jako w Boga, tylko jako w wyższą siłę. Obecnie znów w Niego wierzę, doszłam do wniosku, że tylko ta wiara nam pozostała.

- „Od wieków jesteś naszą ostoją”, „to samo wczoraj, dzisiaj i na zawrże” - rzekł pastor łagodnie. - Gdy my o Bogu zapominamy, On o nas pamięta.

Nie było zbyt tłoczno nazajutrz rano na stacji w Glen, gdy Walter wyjeżdżał. Przyzwyczajono się już do widoku, że niemal codziennie rano wsiadał do pociągu jakiś młodzienc w wojskowym mundurze. Oprócz najbliższej rodziny zjawili się tylko mieszkańcy plebanii i Mary Vance. Mary pożegnała swego Millera przed tygodniem z jasnym uśmiechem i teraz jako osoba doświadczona wypowiadała swe zdanie o tym, w jakim nastroju pożegnania powinny się odbywać.

- Najważniejszą rzeczą jest uśmiechać się i zachowywać tak, jakby się właściwie nic nie działo - pouczała gromadkę mieszkańców Złotego Brzegu. - Chłopcy nie znoszą płaczu jak zarazy. Miller powiedział mi, że nie pozwoliłby mi nigdy pójść na stację, gdyby wiedział, że nie zdobędę się na spokój. Wyplakałam się więc przedtem, a w ostatniej chwili powiedziałam mu: „Życzę ci szczęścia, Miller, a jak wrócisz, przekonasz się, że się nie zmieniłam, jeśli zaś nie wrócisz, będę zawsze dumna z ciebie. W każdym razie nie zakochaj się w jakiejś Francuzce”. Miller przysiągł, że się nie zakocha, ale czy można ręczyć za te zagraniczne wydry. Było nie było, w ostatniej chwili widział mnie uśmiechniętą i wesołą.

Potem przez cały dzień nie mogłam żadną miarą zrzucić z twarzy tego wymuszonego uśmiechu, w którym jakbym odrętwiała.

Mimo rad Mary i jej żywych przykładów - pani Blythe, która żegnała Jima z uśmiechem, nie mogła zdobyć się na uśmiech przy pożegnaniu Waltera. Nikt jednak nie płakał. Wtorek wyszedł ze swej budy i przysiadł u nóg Waltera, kręcąc zawzięcie ogonem. Spoglądał na odjeżdżającego ufnym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, że odnajdziesz Jima i przywieziesz go do mnie”.

- Bądź zdrow, stary - rzekł Karol Meredith wesoło, gdy się już zaczęto żegnać. - Powiedz im wszystkim, aby byli mocni na duchu, wkrótce i ja się tam zjawię.

- Ja także - dorzucił Shirley lakonicznie, wyciągając opaloną dłoń. Zuzanna słyszała te słowa i twarz jej, stała się nagle ziemista.

Una spokojnie uścisnęła dłoń Waltera, patrząc nań ze smutkiem swymi szafirowymi oczami. Ale oczy Uny zawsze były smutne. Walter pochylił swą piękną, ciemną głowę w zielonej furazerce i złożył na twarzy dziewczyny serdeczny, braterski pocałunek. Nigdy nie całował jej dotychczas i przez jedną chwilę Una zaniepokoiła się, czy ktoś to widział. Nikt nie widział jednakże. Konduktor zawołał głośno: „Wsiadać” Wszyscy zmusili się do uśmiechu. Walter zwrócił się do Rilli. Trzymała jego dłonie i spoglądała nań z powagą. Nie zobaczy go, dopóki świt nie nastanie, dopóki mroki nie pierzchną. Nie była pewna, czy świt ów zastanie go w mogile, czy przy życiu i humorze.

- Do widzenia! - rzekła.

Z ust jej zniknęła gorycz wszelka i pozostała słodycz uczuć wszystkich kobiet, które kiedykolwiek kochały i modliły się za ukochanych.

- Pisz często i wychowuj Jasia stosownie do rad Morgana - rzekł Walter wesoło, bo przecież już wszystko powiedział poprzedniego wieczoru w Dolinie Tęczy. Lecz w ostatniej chwili ujął jej głowę w obydwie swe dłonie i spojrzał głęboko w oczy. - Niech Bóg nad tobą czuwa, Rillo-ma-Rillo - rzekł miękko i czule. Właściwie niestraszna była walka za kraj, w którym rodziły się takie dziewczęta.

Stał na tylnej platformie i powiewał jeszcze do nich ręką, gdy pociąg się oddalał. Rilla stała samotnie, lecz Una Meredith zbliżyła się do niej i obydwie dziewczynki, najbardziej kochające Waltera, stały razem, trzymając w uścisku swe zimne ręce, gdy pociąg zniknął na zakręcie toru.

Rilla przesiedziała długą godzinę w Dolinie Tęczy, lecz nigdy nikomu o tym nie wspomniała ani słowem. Nie zapisała nawet owej godziny w swym pamiętniku. Później

wróciła do domu i przez całą resztę dnia zajęta była zabawą z Jasiem. Wieczorem poszła na posiedzenie Młodego Czerwonego Krzyża, gdzie była już zupełnie pogodna i spokojna.

- Nikt by nie przypuszczał - mówiła potem Irena Howard do Oli Kirk - że dopiero dzisiaj rano Walter wyjechał na front. Istnieją ludzie, którzy nie posiadają głębi uczuć. Takim ludziom jest najlepiej. Chciałabym brać wszystko tak powierzchownie, jak Rilla Blythe.

XVI. RZECZYWISTOŚĆ I ROMANTYZM

Warszawa się poddała - rzekł doktor Blythe z rezygnacją, przynosząc do domu pocztę pewnego gorącego dnia sierpniowego.

Gertruda i pani Blythe spojrzały na siebie ze smutkiem, a Rilla, która karmiła właśnie Jasia sterylizowaną łyżeczką, położyła tę łyżeczkę na tacy mimo woli i westchnęła: „O mój Boże”, takim tragicznym tonem, jakby wiadomość spadła niby piorun z jasnego nieba, a nie była rezultatem niepokojących wiadomości ostatniego tygodnia. Byli przecież wszyscy przygotowani na to, że Niemcy zajmą Warszawę, lecz teraz dopiero zorientowali się, że mieli nadzieję, chociaż powinna ona być już dawno zagasnąć.

- Teraz bądźmy silni - rzekła Zuzanna. - To nie jest jeszcze rzecz najstraszniejsza, jakiej można się spodziewać. Czytałam wczoraj długi artykuł w „Montreal Herald”, który dowodzi, że Warszawa nie była najważniejszym odcinkiem z punktu widzenia strategicznego. Patrzmy teraz na wszystko strategicznie, drogi panie doktorze.

- Ja również czytałam ten artykuł i niezmiernie mnie zbudował - wtrąciła Gertruda. - Od razu się domyśliłam, że to wszystko jest kłamstwem od początku do końca. Jestem obecnie w takim nastroju, kiedy nawet kłamstwo sprawia mi ulgę, gdy chwilowo mogę się nim przejąć i radować.

- W takim razie, kochana panno Oliver, niemieckie komunikaty na pewno by pani tę ulgę przyniosły - rzekła Zuzanna z ironią. - Nigdy ich nie czytam teraz, bo później nie mogę zebrać myśli i zająć się jakąś uczciwą pracą. Nawet te wiadomości o Warszawie zepsuły mi całe popołudnie. Nieszczęście nigdy nie przychodzi pojedynczo. Rano chleb mi się spalił w piecu, teraz dowiedziałam się o zajęciu Warszawy, a na dodatek Mały Kitchener, gotów udławić się na śmierć.

Istotnie Jaś usiłował połknąć w tej chwili łyżeczkę. Rilla odebrała mu ją automatycznie, zamierzając kontynuować nadal ceremonię karmienia go, gdy nagle uwaga ojca przejęła ją takim dreszczem, że po raz drugi upuściła łyżeczkę już napełnioną kaszą.

- Krzysztof Ford jest u Marcina Westa za portem - mówił doktor. - Pułk jego był już w drodze na front, lecz dla jakichś powodów został zatrzymany w Kingsport, Krzysztof więc dostał urlop kilkudniowy.

- . Sądzę, że wstąpi tu do nas! - zawołała pani Blythe.

- Wątpię, czy zdąży, ma dwa czy trzy dni urlopu - odparł doktor w zamyśleniu.

Nikt nie dostrzegł zarumienionej twarzy Rilli i jej drżących rąk. Nawet najrozumniejsi rodzice nie dostrzegają tego, co się dzieje tuż obok nich. Rilla po raz trzeci uczyniła wysiłek, aby nakarmić głodnego Jasia, lecz zadawała sobie ciągle w myśli jedno i to samo pytanie: Czy Krzyś przed wyjazdem wstąpi tu, aby ją zobaczyć? Od dłuższego czasu nie miała od niego wiadomości. Czyżby zupełnie o niej zapomniał? Jeżeli nie wstąpi, to będzie chociaż wiedziała, że zapomniał. Może miał jakąś inną dziewczynę w Toronto? Na pewno miał. Głupia była, że w ogóle myślała o nim. Nie powinna myśleć. Jak się zjawi, to dobrze, zresztą jeżeli to uczyni, to ze zwykłej uprzejmości, bo przecież dawniej bywał dość częstym gościem na Złotym Brzegu. Jeśli nie przyjdzie, także się trzeba z tym pogodzić. Sprawa ta nie jest znowu tak ważna. Nikt z tego powodu nie umrze. Siliła się na obojętność, a tymczasem karmiła-Jasia tak pośpiesznie i z taką dziwną energią, że Morgan na pewno by się przeraził. Jasiowi też się to nie podobało, bo był dzieckiem wychowywanym według metody, przyzwyczajonym do miarowego połykania kaszki z mlekiem. Protestował nawet, lecz te protesty na nic się nie zdały. Rilla po prostu szalała z pośpiechu.

Nagle zadzwonił telefon. Nie było przecież nic nadzwyczajnego w tym dzwonku. Na Złotym Brzegu telefon dzwonił bardzo często.. Lecz Rilla upuściła znowu” łyżeczkę Jasia - tym razem na dywan - i pobiegła pędem do telefonu, jakby życie zależało od tego, aby ona właśnie telefon odebrała. Jaś, straciwszy resztę cierpliwości, zachłysnął się i począł płakać.

- Halo, czy to Złoty Brzeg?

- Tak.

- Czy to Rilla?

- Tak... tak... - och, dlaczego nikt nie może uciszyć Jasia choć na chwilę? Dlaczego nikt o to się nie troszczy?

- Wiesz, kto mówi?

Ach, miałyby nie wiedzieć? Czyż nie rozpoznałaby tego głosu wszędzie o każdym czasie?

- To Krzyś, prawda?

- Naturalnie. Przyjechałem na dwa dni. Czy można wpaść dzisiaj wieczorem na Złoty Brzeg, aby cię zobaczyć?

- Oczywiście.

Mówił „cię”, co to miało znaczyć? Chętnie skreśliłaby teraz kark Jasiowi. Och, co Krzysztof mówił?

- Słuchaj, Rillo, czy mogłabyś tak jakoś urządzić, żeby nie było więcej jak pół tuzina ludzi dookoła? Rozumiesz? Nie mogę wytłumaczyć ci dokładniej przez telefon. Mogłby nas ktoś podsłuchać.

Rozumiała! O, tak, rozumiała.

- Postaram się - odrzekła drżącym głosem.

- Będę koło ósmej. Do widzenia.

Rilla powiesiła słuchawkę i pobiegła do Jasia. Ale nie skrzyła karku temu niesformemu dzieciakowi. Wprost przeciwnie, porwała go z wysokiego krzeselka, przytuliła do twarzy i poczęła całować jego zamorusaną mlekiem buzię. Potem trzymając go w ramionach, zaprodukowała jakiś dziki taniec. Nie uszło uwagi Jasia, że opiekunka jego zaczęła go karmić wolniej i w ogóle stała się całkiem normalna. Po południu szyła koszule w Czerwonym Krzyżu, a w myślach budowała zamki na lodzie. Krzyś chciał ją widzieć, chciał ją widzieć samą. Łatwo to było urządzić. Shirley nie będzie im przeszkadzał, rodzice wybierali się na plebanie, panna Oliver nigdy się do niczego nie wtrącała, a Jaś zawsze sypiał od siódmej wieczorem do siódmej rano. Rilla mogłaby przyjąć Krzysia na werandzie - będzie dzisiaj pełnia księżyca - włoży na tę cześć białą żorżetową suknię i zaczesze włosy do góry. Tak, bezwarunkowo, zaczesze włosy i zwinie węzeł na karku. Matka na pewno nie będzie się sprzeciwiać. Och, jakie to będzie cudowne i romantyczne! Krzyś na pewno coś powie, miał przecież coś na myśli, bo inaczej nie zależałoby mu, aby była sama. A jeżeli deszcz będzie padał! Zuzanna przepowiada deszcz od rana, bo Doc znowu stał się Mr Hyde'em. A jeśli Czerwony Krzyż urządzi jakieś zebranie w sprawie koszul dla Belgów? Najgorsze byłoby, gdyby Fred Arnold wpadł nieoczekiwanie. On często to robi.

Wreszcie nadszedł wieczór i był tak piękny, że trudno było sobie piękniejszy wymarzyć. Doktor z żoną poszli na plebanie, Shirley i panna Oliver gdzieś się zapodzieli, Zuzanna poszła do sklepu po prowianty, a Jaś usnął wcześniej niż zwykle. Rilla włożyła żorżetową suknię, uczesała włosy i włożyła perły na szyję. Potem niewielki bukietik małych różyczek zatknęła za pasek. Czy Krzyś poprosi ją o jedną różę na pamiątkę? Wiedziała, że Jim zabrał do okopów we Flandrii zwiędłą różę, którą Flora Meredith ucałowała i dała mu ostatniego wieczoru.

Rilla wyglądała naprawdę uroczo, gdy powitała Krzysia na oświetlonej księżycem, obszernej werandzie. Ręka, którą mu podała, była zimna, a ona sama tak się obawiała, że będzie seplenić, iż przywitała go prawie w milczeniu. Jak wspaniale wyglądał Krzysztof w mundurze porucznika! Dodawał mu ten mundur powagi i Rilla spoglądała nań prawie z przerażeniem. Czyż nie było absurdem przypuszczać, że ten przystojny młody oficer ma coś

specjalnego do powiedzenia małej Rilli Blythe z Glen St. Mary? Może w ogóle go nie zrozumiała, może po prostu nie chciał, aby mu się przyglądano i mówiono jak zwykle o wojnie. Tak, na pewno to miał na myśli, a ona, mały głuptasek, wyimaginowała sobie, że pragnie tylko z nią się widzieć. Gotów jeszcze posądzić, że specjalnie wysłała wszystkich z domu, aby być z nim sam na sam, i gotów wyśmiewać się z niej potem.

- Lepiej się złożyło, niż przypuszczałem - rzekł siadając na fotelu i spoglądając na nią z wyraźnym zachwytem. - Byłem pewny, że ktoś będzie sterczał przy nas, a właściwie chciałem tylko ciebie zobaczyć, Rillo-ma-Rillo.

W wyobraźni Rilli zamki na lodzie stały się wyrazistsze. Sytuacja nie ulegała już najmniejszej wątpliwości.

- Nie ma nas przecież znowu w domu tak dużo, jak dawniej - zauważyła miękko.

- Tak, to prawda - przyznał Krzys. - Jim, Walter i dziewczęta wyjechali. Stanowi to wielką lukę, nieprawdaż? Ale - nachylił się naprzód tak, że jego ciemne kędziory musnęły jej włosy - czyż Fred Arnold nie zapełnia tej luki? Tak mi przynajmniej mówiono.

W tej samej chwili, nim Rilla jeszcze zdołała odpowiedzieć, Jaś zaczął płakać rozdzierającym głosem na górze w pokoju, którego okno otwarte mieściło się tuż nad werandą. Jaś, który prawie nigdy nie płakał wieczorem. Na domiar wszystkiego płakał z taką energią, że nie można było mieć nadziei, że wkrótce się uspokoi. Rilla wiedziała, że nie było sensu siedzieć spokojnie i udawać, że i się płaczu nie słyszy. Jaś z pewnością płakać będzie bez ustanku, a rozmowa w takich warunkach również- nie była przyjemna. Poza tym lękała się, że Krzysztof gotów ją posądzić o brak serca, gdyby siedziała dalej spokojnie i nie przejmowała się płaczem dziecka. Przecież Krzysztof nie znał zupełnie metody Morgana.

Rilla podniosła się.

- Widocznie Jasia dręczą jakieś sny. Od czasu do czasu to mu się zdarza, a wtedy ogarnia go straszny lęk. Przepraszam na chwilę.

Pobiegła na górę, przeklinając w duchu ową niebieską wazę, która kiedyś wpadła jej w oko. Lecz gdy Jaś na jej widok wyciągnął swe maleńkie ramionka z radością i usiłował powstrzymać szloch, a łzy płynęły mu po policzkach, serce Rilli zmiękło. Biedactwo, taki był przerażony! Wyjęła go z kołyski i trzymała w ramionach, dopóki nie uspokoił się i nie przymknął oczu. Potem położyła go na nowo. Lecz nagle Jaś otworzył oczka i wyraził gorący protest. Przedstawienie to powtórzyło się dwukrotnie. Rillę ogarniała rozpacz. Nie mogła przecież zostawić dłużej Krzysia samego na dole i tak już przebywała na górze od pół godziny. Z rezygnacją zeszła na dół, niosąc Jasia na ręku, i z westchnieniem usadowiła się wraz z nim na werandzie. Śmieszne musiało się wydawać trzymanie na kolanach obcego

wojennego dziecka, gdy najmilszy człowiek składał pożegnalną wizytę, ale nie było innej rady.

Jaś okazywał prawdziwe zadowolenie. Wystawił nagle maleńką nóżkę spod kołderki i zaśmiał się głośno, co czynił bardzo rzadko. Z każdym dniem stawał się ładniejszym dzieckiem, złociste jego włosy zawijały się w loczki, a oczy błyszczały radośnie.

- Bardzo dekoracyjny malec - zauważył Krzyś'.

- Owszem, wygląda ładnie - odparła Rilla z goryczą, jakby chcąc położyć nacisk na to, że zachowanie Jasia było trochę gorsze od jego wyglądu. Jaś widocznie zorientował się, że w tej sytuacji był tylko intruzem, i chciał udobruchać swą opiekunkę, bo w pewnej chwili spojrzał na Rillę, uśmiechnął się rozbijając i zaszczebiotał coś wesołym głosikiem.

Był to pierwszy jego występ pod tym względem. Rilla była tak zachwycona tym szczebiotem, że zapomniała o gniewie. Przebaczyła mu w jednej chwili, darząc go gorącym pocałunkiem. Jaś, rozumiejąc, że wrócił do dawnych łask, przytulił się do Rilli i spokojnie zamknął oczki.

Krzysztof siedział w milczeniu, spoglądając na Rillę, na jej powiekną dziewczęcą sylwetkę, długie rzęsy, kształtne wargi i pięknie wykrojony podbródek. Gdy siedziała tak w poświacie księżyca, pochylona nieco nad Jasiem, Krzysztofowi przyszło na myśl, że wygląda jak Madonna, ta, która wisiała nad biurkiem jego matki w domu. Zachował w sercu ten obrazek, by mu towarzyszył na polu walki. Często myślał o Rilli Blythe od owego wieczoru w Przystani Czterech Wiatrów, lecz teraz, kiedy ujrzał ją trzymającą na kolanach małego Jasia, doszedł do wniosku, że ją kocha. I przez cały ten czas biedna Rilla siedziała zła i rozczarowana, z uczuciem, że ostatni jej wieczór z Krzysiem był zupełnie zepsuty. Zastanawiała się przy tym, dlaczego nie odbył się tak, jak opisywano podobne wieczory w książkach. Widocznie Krzyś również był niezadowolony, bo siedział przez cały czas w milczeniu.

Nadzieja wstąpiła w duszę Rilli, gdy Jaś wreszcie zasnął i ostrożnie przeniosła go na kanapę do jadalni. Lecz gdy wróciła po chwili, na werandzie siedziała już Zuzanna, zdejmująca czepek, z miną człowieka, który zamierza dłuższy czas pozostać na miejscu.

- Położyłaś już spać swoje dziecko? - spytała dobroliwie. Swoje dziecko! Naprawdę ta Zuzanna mogłaby mieć trochę więcej taktu.

- Tak - odparła panna Rilla krótko.

Zuzanna położyła paczki na stole, jak ktoś mający zamiar spełnić swój obowiązek. Była bardzo zmęczona, ale musi przecież pomóc Rilli. Był wszakże Krzysztof Ford, który często odwiedzał rodzinę i na nieszczęście nikogo w domu nie było; cały więc obowiązek

podtrzymywania z nim rozmowy spadał na „to biedne dziecko”. Lecz Zuzanna musi ją uratować, posiedzi tutaj, chociaż jest bardzo zmęczona.

- Mój Boże, jak pan urósł - rzekła spoglądając na Krzysia w khaki uniformie. Zuzanna przyzwyczajona była ostatnio do mundurów i nawet mundur porucznika nie wywarł na niej specjalnego wrażenia. - Zadziwiające naprawdę, jak te dzieci ostatnio szybko rosną. Na przykład Rilla ma już piętnaście lat.

- Niedługo kończę siedemnaście, Zuzanno! - zawołała Rilla niemal ze złością. Przed miesiącem skończyła” szesnaście. Stanowczo Zuzanna była niemożliwa.

- A dopiero niedawno się zdawało, że wszyscy jeszcze jesteście dziećmi - rzekła Zuzanna udając, że nie słyszy gorącego protestu Rilli. - Pan istotnie był najpiękniejszym dzieckiem, jakie w swoim życiu widziałam, chociaż matka pańska miała dużo kłopotu z pańskim wychowaniem. Pamięta pan ten dzień, kiedy pana zbiłam?

- Nie - odparł Krzyś.

- No tak, był pan wtedy bardzo młody. Miał pan mniej więcej cztery lata i przebywał pan wówczas u nas ze swoją matką. Ugryzł pan wtedy Nan tak, że aż biedaczka płakała. Próbowałam różnych sposobów i doszłam do wniosku, że klapsy są jedyną radą na to. Położyłam więc pana na kolanach i „wsoliłam” kilka klapsów. Ryczał pan wniebogłosy, ale wreszcie zostawił pan biedną Nan w spokoju.

Rilla szalała ze złości. Czyż ta Zuzanna nie orientuje się, że przemawia do oficera armii kanadyjskiej? Widocznie nie zdaje sobie z tego sprawy. Och, co ten Krzyś pomyśli?

- Sądzę, że nie pamięta pan również, jak pańska matka pana zbiła - ciągnęła dalej Zuzanna, którą na nieszczęście dzisiejszego wieczoru opanowały wspomnienia. - Ja tam nigdy tego nie zapomnę. Pewnego wieczoru była tu z panem, miał pan wtedy może ze trzy lata i obydwaj z Walterem bawiliście się z małym kociakiem na podwórzu kuchennym. Nałapałam wielki szaflik deszczowej wody, w którym miałam rozrobić mydliny. Zaczęliście się kłócić z Walterem o kociaka. Walter stał po jednej stronie szaflika na krześle, trzymając kociaka na ręku, a pan stał również na krześle po drugiej stronie. Pochylił się pan nad szaflikiem, chcąc odebrać Walterowi kota. Był pan zawsze zaborczy i usiłował zagrabić wszystko, co tylko panu wpadło w oko. Walter trzymał kociaka mocno, a biedne stworzenie piszczało z bólu. Wydzierając tak sobie kota, straciliście obydwaj równowagę i wraz z kociakiem wpadliście do szaflika pełnego deszczówki. Gdybym nie była w owej chwili na podwórzu, na pewno obydwaj utonęlibyście. Pobiegłam na ratunek i wyciągnęłam całą trójkę, nim jeszcze woda zdołała wam uczynić jakąś krzywdę, a matka pańska, która widziała

wszystko z górnego okna, zbiegła na dół i sprawiła panu porządne lanie. Ach - dodała Zuzanna z westchnieniem - to były dobre czasy na Złotym Brzegu.

- Prawdopodobnie były - rzekł Krzyś. Głos jego brzmiał dziwnie nieswojo. Rilla pomyślała, że musiał być wściekły. W gruncie rzeczy Krzysztof dlatego miał głos zmieniony, bo siłą powstrzymywał się od głośnego śmiechu.

- Rilla, na przykład - mówiła Zuzanna patrząc z czułością na nieszczęśliwą dziewczynę - nigdy nie otrzymywała zbyt srogiej kary. Dobre z niej było dziecko. Ojciec raz jeden sprawił jej lanie. Zabrała kiedyś z gabinetu dwa słoiczki pigułek i założyła się z Aliną Clow, która z nich więcej pigułek połknie. Gdyby nie pan doktor, obydwie umarłyby w strasznych boleściach. I tak później ciężko się rozchorowały. Ale doktor zbił potem Rillę porządnie i od tej pory nigdy już więcej nie zaglądała do jego gabinetu. W dzisiejszych czasach słyszymy coraz więcej o tym, że dzieciom należy „perswadować”. Ja tam uważam, że porządne baty są najlepszym lekarstwem dla niesfornych dzieci.

Rilla była już pewna, że Zuzanna wymieni każdego z członków rodziny i przypomni sobie, przy jakiej okazji biedak dostał baty. Lecz Zuzanna skończyła z tym tematem i podjęła inny, weselszy.

- Pamiętam, jak mały Tadzio MacAllister zza portu otrul się zjadłszy całe pudełko pigułek, bo myślał, że to cukierki. Bardzo to smutna była historia. Jeszcze takiego chudego trupka nigdy w życiu nie widziałam. Winę trzeba było przypisać matce, która postawiła pigułki w otwartym miejscu, ale ona zawsze była strasznie roztrzępana. Pewnego razu idąc do kościoła dostrzegła gniazdko z pięciu jajkami na polu, a miała wtedy na sobie nową jedwabną błękitną suknię. Włożyła jajeczka do kieszeni płaszczyka i gdy przyszła do kościoła, zapomniała o nich zupełnie i najzwyczajniej w świecie usiadła. Suknię oczywiście zniszczyła doszczętnie, nie mówiąc już o płaszczu. Zaraz, zaraz, czy Tadzio nie był przypadkiem pańskim krewnym? Pańska prababka West była z domu MacAllister. Jej brat Adam ożenił się z MacDonaldówną. Mówiono mi, że od wczesnej młodości cierpiał na kurcze w żołądku. Ale pan właściwie bardziej jest podobny do swego pradziadka Westa niż do MacAllisterów. Pradziadek pański umarł na atak paralityczny jeszcze w bardzo młodym wieku.

- Widziałas kogoś w sklepie? - zapytała Rilla z rozpaczą, usiłując skierować rozmowę Zuzanny na jakieś inne, przyjemniejsze tory.

- Nikogo oprócz Mary Vance - odparła Zuzanna. - Ona też wpadła z pośpiechem, jak mucha irlandzka.

Cóż za strasznych porównań ta Zuzanna używa! Krzysztof golów pomyśleć, że nauczyła się tego w rodzinie Blythe'ów!

- Gdy się słyszy, jak Mary mówi o Millerze Douglasie, to człowiek mógłby pomyśleć, że jest on jedynym chłopcem z Glen, który poszedł na wojnę - ciągnęła dalej Zuzanna. - Oczywiście ona zawsze była przesadna. A złośliwa przy tym okropnie. Kto nie pamięta, jak goniła Rillę przez wieś, straszając ją suszonymi sztokfiszami, aż biedne dziecko upadło przed sklepem Cartera Flagga.

Rilla uczuła zimny dreszcz z oburzenia i wstydu. Czy jeszcze były jakieś nieprzyjemne sceny w jej życiu, które by Zuzanna mogła tu przytoczyć? Co do Krzysztofa, to chętnie ryczałby ze śmiechu, słuchając przemowy Zuzanny, nie mógł jednak obrażać duenii swej damy, więc siedział z pozornie uroczystą miną, która Rilli wydawała się wyniosłą i obrażoną.

- Zapłaciłam dzisiaj jedenaście centów za buteleczkę atramentu - oznajmiła Zuzanna. - Od zeszłego roku atrament podróżował już dwukrotnie. Może dlatego, że Woodrow Wilson pisze ciągle te swoje noty. To musi przecież kosztować.. Moja kuzynka Zofia powiada, że Woodrow Wilson nie jest takim człowiekiem, jakim go sobie wyobrażała, ale żaden mężczyzna nim nie był. Sama jestem starą panną i nigdy nie znałam się dokładnie na mężczyznach, ale moja kuzynka Zofia zna ich doskonale, przecież była aż dwa razy zamężna. Komin Alberta Crawforda zleciał z dachu w zeszłym tygodniu, podczas tego wielkiego huraganu, a Zofia słysząc rozsypujące się cegły sądziła, że to Zeppelin, i wpadła w histerię. Pani Albertowa Crawford powiada, że z dwojga złego wolałaby już Zeppelin.

Rilla siedziała w swym fotelu jak zahipnotyzowana. Wiedziała, że Zuzanna 'dopiero wtedy przestanie mówić, kiedy sama zechce, a żadna siła na ziemi nie potrafi jej przerwać wcześniej. W gruncie rzeczy bardzo lubiła Zuzannę, ale teraz po prostu czuła do niej nienawiść. Dochodziła dziesiąta. Krzyś na pewno wkrótce pójdzie, tamci wrócą do domu, a ona nawet nie miała sposobności wytłumaczyć mu, że Fred Arnold nie odgrywał żadnej roli w jej życiu. Jej cudowne zamki na lodzie leżały teraz w gruzach.

Krzysztof podniósł się wreszcie. Zrozumiał, że Zuzanna będzie siedziała tak długo, jak on, a miał jeszcze trzy mile drogi do domu Marcina Westa za portem. Zastanawiał się, czy to nie Rilla specjalnie zaprosiła tu Zuzannę, nie chcąc być sama potem, gdy wspomniał o Fredzie Arnoldzie. Rilla wstała także i w milczeniu przeszła z nim do końca werandy. Przystanęli tam na chwilę. Krzysztof na niższym stopniu. Stopień ten zarył się już prawie w ziemię i porośnięty był gęsto mchem. Dokoła nich roznosiła się upojna woń rozwiniętych już kwiatów. Krzysztof spoglądał na Rillę, której włosy połyskiwały w świetle księżyca, a oczy błyszczały smutkiem. W tej jednej chwili upewnił się, że plotki o Fredzie Arnoldzie wyssane były z palca.

- Rillo - rzekł namiętym szeptem - jesteś najśłodszym stworzeniem na świecie.

Rilla zarumieniała się i spojrzała na Zuzannę. Krzys spojrzał także i przekonał się, że Zuzanna była odwrócona do nich plecami. Otoczył Rillę ramieniem i pocałował ją. Był to pierwszy raz, kiedy Rillę w ogóle ktoś pocałował w usta. Pomyślała, że może powinna się była oburzyć, ale nie uczyniła tego. Spojrzała za to prosto w oczy Krzysztofowi, a w spojrzeniu tym był namiętny pocałunek.

- Rillo-ma-Rillo - rzekł Krzys - czy możesz mi obiecać, że nie pozwolisz nikomu pocałować się, dopóki ja nie wrócę?

- Tak - odparła Rilla drżącym głosem.

Zuzanna odwróciła się. Krzys cofnął rękę i zszedł z ostatniego stopnia.

- Do widzenia! - rzekł prawie obojętnie. Rilla usłyszała swój głos równie- obojętny. Stała i patrzyła za nim, jak szedł ogrodem, mijał bramę i wychodził na drogę. Gdy gęste sosny przysłoniły go, wydała nagle przyciszony okrzyk: „Och”, i pobiegła do bramy, szeleszcząc szeroką sukienką. Przechyliwszy się przez bramę, widziała Krzysztofa idącego żwawo drogą, widziała jego wysoką, zgrabną postać migającą między drzewami. Gdy doszedł do zakrętu drogi, przystanął, obejrzał się i dostrzegłszy ją, skinął jeszcze raz ku niej ręką. Ona również skinęła w odpowiedzi - i zniknął jej sprzed oczu na zakręcie.

Rilla stała jeszcze przez chwilę przy bramie, spoglądając na osrebrzone księżycem pole. Przypomniała sobie, jak kiedyś matka mówiła, że ogromnie lubi zakręty na drogach, bo są dziwnie prowokujące i dają duże pole' wyobraźni. Rilla pomyślała, że nie cierpi zakrętów. Widziała znikających na zakręcie drogi Jima i Jerry'ego, potem Waltera, a teraz Krzysia. Bracia, towarzysz zabaw i ukochany, wszyscy odeszli i może nigdy już nie wrócą. Wciąż jeszcze Srokaty Kobziarz gra na kobzie, ciągle przygrywa swą melodię do tańca śmierci.

Gdy Rilla wolnym krokiem wróciła do domu, Zuzanna ciągle jeszcze siedziała na werandzie przy stole, tonąc w głębokiej zadumie.

- Myślałam teraz, kochanie, o tych dawnych latach w Wymarzonym Domku, gdy przyjeżdżali z wizytą rodzice Krzysztofa. Jim był niemowlęciem, a ciebie jeszcze w ogóle nie było na świecie. Romantyczna to była historia to narzeczeństwo państwa Ford. Ona i twoja matka były serdecznymi przyjaciółkami. Kto by pomyślał, że dożyję tej chwili, kiedy zobaczę jej syna wyruszającego na front. Jakby biedaczka nie miała dosyć zmartwień w życiu i bez tego! Ale trzeba się zdobyć na odwagę i wszystko przetrwać.

Cała złość Rilli na Zuzannę pierzchła gdzieś bez śladu. Czując jeszcze pocałunek Krzysia na rozpalonych wargach i pamiętając obietnicę, która skłoniła jej serce do żywego bicia, nie mogła być zła na nikogo. Wsunęła swą rękę w spracowaną dłoń Zuzanny i ucisnęła

ją serdecznie. Zuzanna była poczciwą staruszką i chętnie oddałaby życie za każde z dzieci państwa Blythe'ów.

- Jesteś zmęczona, kochanie, i najlepiej będzie, jak się położysz do łóżka - rzekła Zuzanna głaszcząc rękę Rilli. - Zauważyłam, że byłaś zbyt zmęczona, aby móc podtrzymać rozmowę. Całe szczęście, że wróciłam w samą porę do domu i mogłam ci przyjść z pomocą. Nie taką łatwą rzeczą jest przyjmowanie młodych ludzi, gdy się jest do tego nie przyzwyczajoną.

Rilla zanosła na górę Jasia i sama położyła się do łóżka, przedtem jednak dość długo siedziała przy oknie, ustawiając na nowo swe zaniki na lodzie.

- Właściwie nie wiem - rzekła w pewnej chwili do siebie - czy jestem, czy też nie jestem zaręczona z Krzysztofem Fordem.

XVII. TYGODNIE MIJAJĄ

Rilla czytała swój pierwszy miłosny list w ustronnym zakątku Doliny Tęczy, a dla dziewczyny, cokolwiek zblazowani starsi ludzie o tym sądzą, pierwszy list miłosny jest zdarzeniem niezwykle ważnym. Gdy pułk Krzysztofa opuścił Kingsport, nastały tygodnie bolesnego oczekiwania i niepokoju wówczas, gdy co niedzielę wieczorem w kościele śpiewano:

„O, usłysz nas, gdy wzdychamy do Ciebie
Za tych, co wyjechali za morze”.

Rilli głos zawsze przycichał przy tej zwrotce, bo wraz z nią widziała oczami wyobraźni zatopione w falach morskich okręty, słyszała jęki i płacze tonących ludzi. Potem przyszła wiadomość, że pułk Krzysztofa szczęśliwie wylądował w Anglii, a teraz wreszcie był list od niego samego. Zaczynał się czymś takim, co Rillę niezwykle uradowało, a kończył się zdaniem, które wywołało rumieniec na jej policzki i przejęło ją całą dziwnym drżeniem. Między początkiem i zakończeniem list był utrzymany w tonie wesołym, w jakim Krzysztof mógł napisać do kogokolwiek. Lecz ze względu na ten początek i koniec Rilla wsunęła list pod poduszkę, gdzie leżał w ciągu długich tygodni, i czasami budząc się w nocy dotykała go drżącymi palcami, myśląc, że chyba niewiele dziewcząt otrzymywało tak piękne i poetyczne listy. Krzysztof nie na próżno był synem sławnego nowelisty. Posiadał „specjalny sposób” wyrażania swych myśli, ubierania ich w słowa i wszystko razem brzmiało jak najczystsza poezja. Rilla wracała do domu z Doliny Tęczy, biegnąc raczej niż idąc.

Lecz takie chwile radości rzadko zdarzały się tej jesieni. Co prawda pewnego dnia wrześniowego nadeszła wieść o wielkim zwycięstwie koalicji na Zachodzie i Zuzanna wywiesiła flagę, po raz pierwszy od czasu, kiedy rosyjski front został przerwany.

- Widocznie wreszcie wielka ofensywa się rozpoczęła, droga pani doktorowo - wołała z radością - rychło ujrzymy smutny koniec Hunów! Na Boże Narodzenie nasi chłopcy będą już w domu. Hura!

Zawstydzila się sama tego okrzyku i zaczęła się zaraz tłumaczyć, dlaczego ogarnął ją taki wybuch radości.

- Istotnie, droga pani doktorowo, te dobre wieści uderzyły mi do głowy po tym strasznym lecie, po niepowodzeniu Rosjan i odwecie w Gallipoli.

- Dobre wieści! - uśmiechnęła się z goryczą panna Oliver. - Wątpię, czy kobiety, których mężowie zostali zabici w tej walce, będą uważały to za dobre wieści. Ponieważ nasi żołnierze nie przebywają w tej części frontu, nie zastanawiamy się, ile żyć ludzkich kosztowało to zwycięstwo.

- Nie wolno się tak na to zapatrywać, kochana panno Oliver - zganiała ją Zuzanna. - Nie cieszyliśmy się ostatnimi wypadkami, a przecież podczas nich ludzie również byli zabijani. Nie należy tak upadać na duchu, jak biedna kuzynka Zofia. Gdy usłyszała o zwycięstwie, zaraz znalazła na to wykręt: „Ach, to jest tylko chwilowe rozjaśnienie chmurnego nieba. Dziś jesteśmy na wozie, jutro będziemy pod wozem”. „Widzisz, Zofio Crawford - powiedziałam, bo nie mogę już znieść jej ustawicznego biadania - sam Bóg nie mógł stworzyć dwóch gór, aby ich nie oddzielić przepaścią. Z chwilą gdyśmy się znaleźli na szczycie góry, niekoniecznie musimy wpaść w przepaść”. Lecz kuzynka Zofia dalej mruczała: „Tutaj najwięcej nieszczęścia przyniosła ta wyprawa do Gallipoli i posunięcia wielkiego księcia Mikołaja. Wszyscy wiedzą, że car rosyjski jest germanofilem, że koalicja nie ma amunicji i że Bułgaria występuje przeciwko nam. Nie koniec na tym, bo Anglia i Francja muszą ponieść karę za swoje śmiertelne grzechy, a karą będzie dopiero to, gdy się te kraje obrócą w popiół”. „Ja tam myślę - rzekłam - że wystarczającą karę ponoszą siedząc w błotnistych okopach, a mam wrażenie, że Hunów również byłoby za co ukarać”. „Są oni tylko narzędziem w rękach Wszechmocnego” - oświadczyła kuzynka Zofia. Dłużej już nie wytrzymałam, droga pani doktorowo, i powiedziałam jej, że nigdy w to nie uwierzę, żeby Wszechmocny posługiwał się takim brudnym narzędziem, i że uważam, iż grzechem jest cytowanie Pisma świętego w zwykłej rozmowie. Zaznaczyłam jej, że nie jest ani pastorem, ani żadną osobą ze starszyny. Wiem, że ją tym obraziłam, droga pani doktorowo. Kuzynka Zofia nie ma poczucia humoru. Jest całkiem inna niż jej siostrzenica, Danielowa Crawford z portu. Wie pani, że Crawfordowie mają pięciu chłopców i to niemowlę, które się teraz urodziło, też jest chłopcem. Daniel Crawford był bardzo tym rozczarowany, bo strasznie chciał mieć córeczkę, ale Danielowa na widok syna zaśmiała się i rzekła: „Tego lata wszędzie widziałam napisy: »Mężczyźni potrzebni«. Czy sądzisz, że w takich okolicznościach miałam prawo urodzić córkę?” To się nazywa humor, droga pani doktorowo. Kuzynka Zofia na pewno powiedziałaaby, że dziecko będzie nowym żerem dla armii.

Pewnego chmurnego wietrznego wieczoru w październiku Karol Meredith wyjechał z Glen. Zaciągnął się do wojska w osiemnastą rocznicę swych urodzin. John Meredith żegnał go ze skamieniałą twarzą. Obydwaj synowie już poszli, pozostał tylko mały Bertie. John Meredith kochał bardzo Bertie’ego i jego matkę, lecz Jeny i Karol byli synami z pierwszej

żony i Karol był jedynym ze wszystkich dzieci, który posiadał oczy nieboszczki Cecylii. Patrząc na jego wojskowy mundur, pastor przypomniawszy sobie ów dzień, kiedy po raz pierwszy i ostatni chciał zabić Karola. Wówczas po raz pierwszy zorientował się, że Karol posiadał takie same oczy, jak Cecylia. Teraz przyszło mu to na myśl po raz drugi. Czyż kiedyś jeszcze w życiu zobaczy oczy swej żony, spoglądające nań z twarzy syna? Trudno mu było patrzeć, jak chłopak wyjeżdżał. Jednakże John Meredith nie wypowiedział ani słowa, nie przeszkodził, gdy Karol oświadczył, że musi pójść.

Rilla ciężko odczuła wyjazd Karola. Byli zawsze serdecznymi druhmami i kompanami, wspomniała wszystkie zabawy i eskapady, kiedy z wolna wracała do domu. Rozpaczliwie pragnęła coś robić innego niż czekać, kiedy codziennie wszyscy znajomi chłopcy wyruszali z Glen na front. Gdybyż była chłopcem! U boku Karola wyruszyłaby teraz na front.

Była to pierwsza Wigilia, kiedy Waltera nie było w domu - pisała Rilla nazajutrz w swym pamiętniku. - Jim od czasu do czasu wyjeżdżał na Boże Narodzenie do Avonlea, lecz Walter był zawsze z nami. Miałam dzisiaj listy od niego i od Krzysia. Obydwaj są jeszcze w Anglii, lecz spodziewają się, że niedługo zostaną wysłani do okopów. A wtedy... mam wrażenie, że i to się przetrzyma. Najstraszniejsza dla mnie jest myśl, że jakoś mimo ciągłych trosk i zmartwień żyje się przecież, i to prawie całkiem normalnie. Wiem, że Jim i Jerry są w okopach, że Krzys i Walter wkrótce tam będą i że jeżeli któryś z nich więcej nie wróci, serce mi pęknie, a jednak żyję, pracuję, tak, i nawet od czasu do czasu jestem wesoła. Są chwile zupełnie wesołe, chwile, podczas których nie pamięta się o tych strasznych rzeczach, lecz przypomnienie jest jeszcze gorsze.

Tegoroczne Boże Narodzenie absolutnie się nie udało. W Wigilię Nan miała ból zębów, Zuzanna czerwone oczy, a Jaś był tak zaziębiony, że obawiałam się krupu. Od października dwa razy przechodził krup. Pierwszy raz byłam śmiertelnie przerażona, bo ojca i mamy nie było - ojca nigdy nie ma, gdy ktoś w domu choruje. Lecz Zuzanna zachowała spokój i dzięki niej nazajutrz rano Jaś był już prawie zupełnie zdrow. Ma już smyk rok i cztery miesiące, biega świetnie i wypowiada kilka słów. Nazywa mnie strasznie śmiesznie: „Lilia”. Przypomina mi to zawsze ten straszny, dziwny, a jednocześnie cudowny wieczór, gdy Krzys przyszedł się pożegnać, a ja byłam taka zła i szczęśliwa jednocześnie. Jaś jest różowy i biały, ma duże oczy i wijące się włosy. Codziennie odkrywam w nim jakąś nową zaletę. Trudno mi po prostu uwierzyć, że jest to to samo stworzenie, poźółkłe i wychudzone, które przywiozłam do domu w niebieskiej wazie. Dotychczas nikt nie miał wiadomości od Jima Andersona. Jeśli nie wróci, zatrzymam Jasia przy sobie na zawsze. Wszyscy go tu kochają i psują, a właściwie zepsuliby go zupełnie, gdyby nie Morgan i ja i gdyby nie nasza wspólna metoda. Zuzanna

twierdzi, że Jaś jest najmądrzejszym dzieckiem na świecie, prawdopodobnie dlatego, że któregoś dnia wyrzucił przez okno biednego Doca. Doc przemienił się od razu w Mr Hyde'a i wylądował szczęśliwie na krzaku agrestu. Chciałam go udobruchać spodkiem mleka, lecz on nie przyjął zaproszenia i pozostał nadal Mr Hyde'em. Ostatnim wyczynem Jasia było pomalowanie melasą poduszek na wielkim fotelu w salonie. Nim zdążył to ktoś zauważyć, pani Fredowa Clow przyszła w jakiejś sprawie Czerwonego Krzyża i właśnie tam usiadła. Jej nowa jedwabna suknia uległa zupełnemu zniszczeniu i nikt nie mógł mieć do niej o to żalu, że wpadła we wściekłość. Nie omieszkała być złośliwą i zwróciła się do mnie z kilku nieprzyjemnymi uwagami na temat „zepsucia” Jasia. Wtedy wszystko się we mnie zagotowało. Trzymałam się jednak mężnie, dopóki nie wyszła, a później dopiero wybuchnęłam.

„Przebrzydła stara idiotka”! - zawołałam i odczułam prawdziwą satysfakcję po tych słowach.

„Ma aż trzech synów na wojnie” - próbowała jej bronić mama.

„To jej nie usprawiedliwia” - odparłam. Ale jednocześnie byłam zawstydzona, bo prawdą jest, iż wszyscy jej chłopcy poszli i ona przez cały czas zachowywała się bardzo dzielnie. Poza tym jest opoką Czerwonego Krzyża. Ale trudno przecież stale pamiętać o wszystkich bohaterkach. Niech sobie wariatka sprawi drugą jedwabną suknię.

Wyciągnęłam mój zielony kapelusz i postanowiłam go nosić znowu. Jakże ja strasznie tego kapelusza nienawidzę. Nie wyobrażani sobie, jak mi się kiedyś mógł podobać. Ale ślubowałam go nosić i będę go nosić.

Dzisiaj rano poszliśmy z Shirleyem na stację, aby zanieść Wtorkowi wczorajszą kolację wigilijną. Wtorek czeka i wypatruje jeszcze z taką samą nadzieją i ufnością. Czasami biega po stacji i łąsi się do ludzi. Przeważną część dnia jednak spędza w swej budzie, spoglądając wciąż na tor. Zaprzestaliśmy go już zmuszać do powrotu do domu. Wiemy, że to nie odniesie żadnego skutku. Gdy Jim wróci, Wtorek wtedy do domu z nim przyjdzie, a jeżeli Jim nie wróci nigdy, Wtorek będzie czekał na stacji do ostatniego bicia swego psiego przywiązanego serca.

Wczoraj wieczorem był u nas Fred Arnold. W listopadzie skończył osiemnaście lat i ma zamiar wstąpić do wojska, gdy tylko matka jego poprawi się po operacji, którą ma przejść. Ostatnio Fred przychodzi do nas często i chociaż lubię go bardzo, odwiedziny jego są mi dziwnie niewygodne, bo lękam się, że gotów pomyśleć, iż specjalnie jestem nim zajęta. Mogłabym mu wprowadzić powiedzieć o Krzysiu, ale właściwie, co mu mam do powiedzenia? Nie lubię być zimna i daleka dla kogoś, kto wkrótce ma pojechać na wojnę. Strasznie męcząca

jest taka sytuacja. Kiedyś pamiętam, myślałam, że przyjemnie jest mieć tuzin wielbicieli, a teraz martwię się, że dwóch jest za wiele.

Uczę się teraz gotować. Zuzanna już dawniej próbowała mi wpoić wiadomości kulinarne, ale nic mi się nie udawało. Odkąd chłopcy odeszli, postanowiłam upiec dla nich ciasteczka i teraz wszystko nadspodziewanie mi się udaje.

Przed kilku dniami spędziła u mnie całe popołudnie Manusia Fryor, pomagając mi przy krojeniu pewnych części bielizny dla Czerwonego Krzyża znanych pod czarującą nazwą „robaczywe koszule”. Manusia nabrała szczerości podczas tego zajęcia i zwierzyła mi się ze wszystkich swych zmartwień. Biedactwo jest strasznie nieszczęśliwa. Zaręczona jest z Józiem Milgrape, a Józio wstąpił do wojska w październiku i od tego czasu przebywa na przeszkoleniu w Charlottetown. Ojciec Maniasi był wściekły, gdy Józio wstąpił do wojska, i zabronił Maniasi komunikować się z nim. Biednego Józia mają wysłać w tych dniach na front i pragnie przed wyjazdem wziąć ślub z Manusią, czyli „komunikować” się z nią mimo zastrzeżeń Księżycowego Brodacza. Manusia także chce go poślubić, ale nie może i twierdzi, że serce jej pęknie.

„Dlaczego nie uciekniesz i nie weźmiesz z nim ślubu?” - zapytałam. Właściwie nie powinnam jej może dawać takich rad, ale Józio Milgrave jest porządnym chłopcem, a pan Pryor czuje do niego jakąś nienawiść od wybuchu wojny, wiem jednak, że pan Pryor przebaczyłby Maniasi szybko, gdyby już było po fakcie, bo chce przecież mieć w domu gospodynię. Manusia jednak na moją radę potrząsnęła swą jasną główką.

„Józio też tego pragnie, ale ja nie mogę. Ostatnie słowa matki, gdy leżała na łożu śmierci, były takie: «Nigdy nie uciekaj z domu, Maniusiu». I ja przyrzekłam”.

Matka Maniasi umarła przed dwoma laty, a podobno także uciekła kiedyś z domu, aby wyjść za mąż za Manusi ojca. Trudno mi sobie wyobrazić Księżycowego Brodacza w roli bohatera romantycznego. Tak jednak podobno było i pani Pryor srodze odpokutowała swój grzech. Ciężkie miała życie z Księżycowym Brodaczem i prawdopodobnie uważała to za karę, która jej zesłana została od Boga za to, że uciekła niegdyś z domu. Dlatego widocznie w ostatniej chwili wzięła taką przysięgę od Maniasi.

Oczywiście nie powinnam nakłaniać dziewczyny do łamania przyrzeczenia, które dała umierającej matce, a jednak nie widzę innej rady, skoro Księżycowy Brodacz nie pozwala jej na ślub z Józiem.

„Nie, muszę pozwolić, żeby pojechał, a jestem pewna, że zostanie zabity, wówczas pęknie mi serce” - mówiła Manusia, a łzy spływały po jej policzkach i spadały na „robaczywe koszule”!

Nie piszę tego ze względu na brak sympatii dla biednej Maniusi. Po prostu nauczyłam się patrzeć na wszystko z komicznej strony, bo pisuję często do Jima, Waltera i Krzysia, pragnąc, aby listy moje ich rozweselały. Naprawdę żal mi Maniusi, która jest bardzo zakochana w swoim Józiu i bardzo zawstydzona tym, że ojciec jej darzy serdecznym sentymentem Niemców. Przypuszczam, że ona mnie rozumie, bo powiedziała, że pragnie mi powiedzieć wszystko, gdyż uważa, że w ciągu ostatniego roku stałam się „poważna i sympatyzująca”. Nie wiem, czy tak jest w istocie. Byłam samolubna i bezmyślna, tak samolubna, że wstydę się nawet te czasy wspominać.

Chciałabym pomóc Maniusi. Ogromnie romantyczne byłoby przeprowadzenie takiego wojennego ślubu i zadziwienie nim Księżycowego Brodacza. Tymczasem jednak nie ma o tym jeszcze mowy.

XVIII. WOJENNE MAŁŻEŃSTWO

Powiadam pani, droga pani doktorowo - mówiła Zuzanna blada ze złości - że ci Niemcy naprawdę są strasznie zabawni. Wszyscy siedzieli w obszernej kuchni na Złotym Brzegu. Zuzanna robiła ciasteczka na kolację. Pani Blythe przygotowywała placek dla Jima, Rilla zawijała cukierki dla Krzysia i Waltera - dawniej zawsze mówiła o nich „Walter i Krzys”, teraz mimo woli Krzys był na pierwszym planie.

Kuzynka Zofia także tam była, zajęta wykańczaniem skarpetek. Wszyscy chłopcy i tak na pewno zostaną zabici, kuzynka Zofia wyraźnie czuła to każdym nerwem, ale niech lepiej umierają w cieple, więc na wszelki wypadek kuzynka Zofia fabrykowała dla nich całe mnóstwo skarpetek.

Sielankowy spokój panujący w kuchni przerwało wejście doktora wzburzonego i podnieconego ostatnimi wiadomościami o tym, że budynek Parlamentu w Ottawie spłonął. Zuzanna automatycznie stała się wzburzona i podniecona.

- Co teraz ci Hunowie wymyślą? - zapytała. - Przychodzić tutaj i palić nasze parlamenty! Czy ktoś kiedy słyszał o takich łajdactwach?

- Nie wiemy, czy Niemcy są za to odpowiedzialni - rzekł doktor takim tonem, jakby sam był przekonany, że to jednak jest robota Niemców. - Częstokroć pożar wybucha, choć nie biorą oni w tym udziału. Na przykład w zeszłym tygodniu spłonęła doszczętnie stodoła wuja Marka MacAllistera. Trudno chyba posądzić o to Niemców; Zuzanno.

- Naprawdę nie mam pojęcia, drogi pani doktorze - Zuzanna pokiwała z wolną głową. - Księżycowy Brodacz był tam tego dnia. Pożar wybuchł w pół godziny po jego odejściu. Jest to fakt dowiedziony, ale nie chcę posądzać członka prezbiteriańskiej starszyny o podpalenie czyjejś stodoły, z chwilą gdy nie mam dowodów. W każdym razie wszyscy wiedzą, drogi panie doktorze, że obydwaj chłopcy wuja Marka zaciągnęli się do wojska i że sam wuj Marek na zebraniach parafialnych zachęcał młodzież do wstąpienia do armii. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy musieli zwrócić na to uwagę.

- Nigdy bym nie mogła zachęcać nikogo do wstąpienia do wojska - wtrąciła kuzynka Zofia uroczyście. - Nie miałabym sumienia namawiać młodzieży do tego, aby mordowała ludzi i aby ją mordowano.

- Nie mogłabyś? - z ironią zagadnęła Zuzanna. - Ja tam, Zofio Crawford, czuję, że każdego bym namówiła po przeczytaniu wczorajszych wiadomości o tym, że w Rosji

powymierały wszystkie dzieci do lat ośmiu. Pomyśl tylko, Zofio Crawford - Zuzanna podniosła w górę wskazujący palec prawej ręki - wszystkie - dzieci - do - lat - ośmiu!

- Sądę, że Niemcy pozabijali je na kielbasy - westchnęła kuzynka Zofia.

- Nie, skądże! - oburzyła się Zuzanna, chociaż z niechęcią broniła znienawidzonych Hunów. - Jeszcze dotychczas Niemcy nie są ludożercami, o ile mi wiadomo. Dzieci powymierały z głodu i nędzy, biedne maleństwa. Ty byś tylko wszystkich posądzała o morderstwo, kuzynko Zofio. Twoje posądenia po prostu zatruwają mi życie.

- Podobno Fred Carson z Lowbridge został odznaczony Orderem Waleczności - oznajmił doktor sponad gazety.

- Słyszałam o tym w zeszłym tygodniu - rzekła Zuzanna. - Jest on zwiadowcą pułkowym i podobno odznaczył się jakimś bohaterskim czynem. List, w którym rodzinie swej donosi o odznaczeniu, przybył właśnie w tej chwili, kiedy babka Carson leżała już na łożu śmierci. Konała prawie biedaczka, gdy pastor, który był przy niej, zapytał, czy chciałaby, aby się za nią pomodlił. „O tak, tak, niech się ksiądz modli - rzekła niecierpliwie. - Może się ksiądz modlić, tylko po cichu, żeby mi nie przeszkadzać. Muszę się zastanowić nad listem mego wnuka, a mało mi już czasu pozostało”. Taką dzielną niewiastą była Almira Carson. Fred był jej oczkiem w głowie. Miała siedemdziesiąt pięć lat i ani jednego siwego włosa, jak mi opowiadano.

- A propos, przypomniało mi się, że dziś rano znalazłam na swej głowie pierwszy siwy włos - rzekła pani Blythe.

- Ja już ten włos widziałam od dawna, droga pani doktorowo, tylko nic nie chciałam pani mówić. Pomyślałam sobie: „Biedaczka i tak ma dosyć zmartwień”. Teraz, kiedy i pani go już zauważyła, muszę powiedzieć, że siwe włosy są rzeczą bardzo zaszczynną.

- Widocznie starzeję się, Gilberte - zaśmiała się pani Blythe. - Ludzie zaczynają mi mówić, że młodo wyglądam. Młodym kobietom nikt nie prawi podobnych komplementów. Ale nie martwię się moimi siwymi włosami. Nigdy nie lubiłam rudych. Gilberte, czy opowiadałam ci kiedyś, jak przed laty, na Zielonym Wzgórzu, ufarbowałam włosy? Nikt, oprócz mnie i Maryli, nie wiedział o tym.

- To pewno z tej przyczyny ogoliłaś potem włosy do skóry?

- Tak. Kupiłam butelkę farby od pewnego niemieckiego Żyda. Przypuszczałam, że po farbowaniu włosy będą czarne, tymczasem okazało się, że mi zupełnie zzieleniały. Nie było innej rady, tylko je ostrzec.

- Przykry to był wybór! - współczująco zawołała Zuzanna. - Oczywiście była pani wtedy za młoda, aby znać Niemców. Całe szczęście, że ta farba była tylko zielona, że nie okazała się jakąś trucizną.

- Wydaje mi się, że to już sto lat minęło od owych dni na Zielonym Wzgórzu - westchnęła pani Blythe. - Czasy te jakby należały do innego świata. Wojna podzieliła nasze życie na dwie części. Co nas jeszcze czeka, nie wiem, ale chyba dawne szczęśliwe lata już nie wrócą. Wątpię, czy ci, którzy przetrwali pół życia za dawnych czasów, będą się teraz dobrze czuli w nowych warunkach.

- Zauważyła pani - zagadnęła panna Oliver spoglądając znad książki - że to wszystko, co było pisane przed wojną, wydaje się nam strasznie dawne i nieaktualne? Czytając ter rzeczy, człowiek ma wrażenie, że czyta starożytną Iliadę. Chociażby poezje Wordswortha - przerabiają je w najwyższej klasie. Jego klasyczny spokój i pogoda oraz cudowny styl zdają się pochodzić z jakiejś innej planety i nie mają nic wspólnego z obecnym życiem.

- Jedyną książką, którą mogę teraz czytać spokojnie, jest Biblia - zauważyła Zuzanna wsuwając ciasteczka do pieca. - Jest tam tyle ustępów, które można zastosować do wyczynów przebrzydłych Hunów. Stary Sandy twierdzi, iż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Kaiser zawarł przymierze z Antychrystem, ale ja w to nie bardzo wierzę. Uważam, droga pani doktorowo, że nawet to byłoby dla niego zbyt wielkim zaszczytem.

W kilka dni potem wczesnym rankiem wpadła na Złoty Brzeg Manusia Pryor, pod pretekstem wykończenia bielizny dla Czerwonego Krzyża, w rzeczywistości jednak, aby pomówić o swych troskach z „sympatyzującą” Rillą. Przyprowadziła ze sobą swego psa, opasłe, krótkonożne zwierzę, bardzo bliskie jej sercu, gdyż był to upominek Józia Milgrave, jak jeszcze pies był małym szczenięciem. Pan Pryor w ogóle nie znosił psów, lecz w owych czasach patrzył jeszcze łaskawie na Józia, jako kandydata do ręki Maniusi, więc pozwolił jej, aby wychowywała szczenię. Manusia była tak wdzięczna ojcu za to pozwolenie, że chcąc mu się przypodobać nadała mu imię przywódcy partii liberałów, Sir Wilfrida Lauriera, skracając je na Wilfy. Sir Wilfrid rósł, rozkwitał i stawał się coraz grubszy. Manusia psuła go do tego stopnia, że nikt, oprócz niej, psiaka nie lubił. Rilla szczególnie nie znosiła go za to, że przewracał się zawsze na grzbiet i kopał wszystkich zabrudzonymi łapami. Gdy zobaczyła Manusię o zaczerwienionych oczach, które świadczyły, że musiała przepłakać całą noc, zaprosiła ją na górę do swego pokoju, domyślając się, że Manusia pragnie z nią pomówić. Poleciała jednak, aby Sir Wilfrid został na dole.

- Och, czy nie mógłby także pójść z nami? - szepnęła błagalnie Manusia. - Biedny Wilfrid nie będzie nam przeszkadzał, a przed domem wytarłam mu dokładnie łapki. On się

tak zawsze czuje samotnie w obcym miejscu beze mnie, a jest to jedyna istota żywa, która mi przypomina Józia.

Rilla zgodziła się wreszcie i Sir Wilfrid, machając uroczyście ogonem, wkroczył triumfalnie na schody.

- Ach, Rillo! - zaszlochała Maniusia, gdy znalazły się w pokoju. - Jestem taka nieszczęśliwa! Nie mogę ci wcale powiedzieć, jaka nieszczęśliwa jestem. Serce mi chyba pęknie z rozpacz.

Rilla usiadła przy niej na kanapie. Sir Wilfrid przysiadł na ziemi przed nimi z impertynencko wysuniętym językiem i słuchał.

- Co się znowu stało, Maniusiu?

- Józio przyjeżdża dzisiaj na ostatni urlop. W sobotę miałam od niego list, przysła listy na adres Boba Crawforda, ze względu na ojca. Wyobraź sobie, Rillo, że będzie tutaj tylko cztery dni. Musi wyjechać w piątek rano, a ja może nigdy go więcej nie zobaczę.

- Czy jeszcze ma ochotę się z tobą ożenić? - zapytała Rilla.

- Ach, tak. Błaga mnie w liście, abym uciekła z domu i wzięła z nim ślub. Ja jednak nie mogę tego zrobić, Rillo, nawet dla Józia. Jediną pociechą jest, że będę się z nim mogła zobaczyć jutro po południu. Ojciec wyjeżdża do Charlottetown za interesami. Będziemy mogli porozmawiać swobodnie. Ale później... Rillo, jestem pewna, że ojciec nie pozwoli mi nawet odprowadzić Józia w piątek na stację.

- Dlaczego, u licha, nie mielibyście właśnie jutro po południu wziąć ślubu? - wpadła na pomysł Rilla.

Maniusia zaszlochała tak głośno, że o mało się nie udławiła.

- Rillo, przecież to niemożliwe.

- Dlaczego? - zapytała krótko organizatorka Młodego Czerwonego Krzyża i transporterka niemowląt w niebieskiej wazie.

- Bo... bo... nigdy nam to na myśl nie wpadło... Józio nie ma metryki... Ja nie mam sukni... Nie mogę przecież brać ślubu w czarnej. Ja... my..., ty...

Maniusia zupełnie się zatraciła, a Sir Wilfrid, widząc jej rozpacz, odchylił w tył głowę i wydał żaloszny skowyt. Przez kilka minut Rilla tonęła w zamyśleniu, po czym rzekła:

- Maniusiu, jeżeli złożysz wszystko w moje ręce, doprowadzę do tego, że Jutro po południu przed czwartą zostaniesz żoną Józia.

- Och, nie będziesz mogła tego przeprowadzić.

- Będę mogła i przeprowadzę. Ale musisz tak postępować, jak ci powiem.

- Och... nie wiem... och, ojciec mnie zabije...

- Głupstwa pleciesz. Przypuszczam, że będzie bardzo się gniewał. Ale czy więcej lękasz się gniewu ojca niż tego, że możesz nie zobaczyć już nigdy Józia?

- Nie - odparła Manusia z nagłym postanowieniem - oczywiście że nie.

- Więc postąpisz tak, jak ci powiem?

- Tak, postąpię.

- Zatelefonuj do Józia natychmiast i powiedz mu, żeby przywiózł ze sobą metrykę i obrączki.

- Och, nie mogę - wyszeptała Manusia - to byłoby... byłoby... strasznie niedelikatne. Rilla zagryzła wargi.

- Boże, daj mi cierpliwość! - powiedziała szeptem, a głośno dodała: - Wobec tego ja to załatwię, a ty tymczasem idź do domu i przygotuj się do jutrzejszej uroczystości. Gdy zadzwonię do ciebie, przyjdź natychmiast, aby mi pomóc szyć.

Gdy tylko Manusia błada, wystraszona, ale zdeterminowana wyszła, Rilla pobiegła do telefonu i poprosiła o połączenie z Charlottetown. Otrzymała połączenie wyjątkowo szybko, co było dla niej dobrym znakiem, lecz po godzinie dopiero zdołała się połączyć z obozem, w którym przebywał Józio Milgrave. W tym czasie niecierpliwiła się ogromnie, modląc się w duszy, aby nikt taki nie włączył się do rozmowy, kto mógłby donieść o wszystkim Księżycowemu Brodaczowi.

- Czy to Józio? Mówi Rilla Blythe... Rilla. Niech pan słucha. Przed przyjazdem do domu proszę zabrać metrykę, tak, metrykę. I kupić obrączki. Ma pan już? To doskonale. Niech pan nie omija sposobności.

Upojona powodzeniem, bo przez cały czas lękała się, że Józia w obozie nie zastanie, Rilla zatelefonowała następnie do Pryorów. Tym razem szczęście jej nie dopisało, bo telefon odebrał Księżycowy Brodacz.

- Manusia? Ach, to pan Pryor! Proszę pana, może pan zechce poprosić Manusię, aby przyszła do mnie po południu i pomogła mi szyć. Sprawa bardzo ważna. Dziękuję panu.

Pan Pryor przyjął tę prośbę niezbyt łaskawie, lecz nie chciał obrażać doktora Blythe i wiedział, że jak nie pozwoli Manusi pracować w Czerwonym Krzyżu, opinia całego Glen zwróci się przeciwko niemu. Rilla pobiegła do kuchni, pozamykała za sobą wszystkie drzwi, co zaniepokoiło Zuzannę, i zapytała uroczyście:

- Zuzanno, czy mogłabyś dziś po południu upiec tort weselny?

- Tort weselny! - Zuzanna skamieniała. Rilla przecież bez żadnych uprzedzeń przywiozła do domu kiedyś niemowlę. Czyżby teraz tak pośpiesznie miała zamiar wprowadzić na Złoty Brzeg męża?

- Tak, weselny tort, wspaniały weselny tort, Zuzanno, ze śliwkami, jajkami i skórką cytrynową. Musimy również inne rzeczy przygotować. Pomogę ci jutro rano. Dzisiaj nie mam czasu, bo muszę zająć się ślubną suknią, moja droga.

Zuzanna uczuła, że już jest za stara na to, aby spokojnie przyjmować takie ciosy.

- Za kogo wychodzisz za mąż, Rillo? - zapytała słabym głosem.

- Zuzanno najdroższa, to nie ja jestem szczęśliwą narzeczoną. Manusia Pryor poślubia Jóia Milgrave jutro po południu, właśnie wtedy, gdy ojciec jej przebywać będzie w mieście. Wojenne zaślubiny, Zuzanno, czyż to nie jest romantyczne? Nigdy jeszcze w życiu nie byłam taka podniecona.

Podniecenie to udzieliło się wkrótce wszystkim niemal mieszkańcom Złotego Brzegu, nie wyłączając pani Blythe i Zuzanny.

- Zaraz się wezmę do tego tortu - postanowiła Zuzanna spoglądając na zegar. - Droga pani doktorowo, pomoże mi pani obierać owoce i kręcić żółtka? Jeżeli pani będzie taka łaskawa, upiekę tort jeszcze na dzisiaj wieczór. Jutro rano będziemy mogły przygotować sałatki i inne rzeczy. Gotowa jestem pracować przez całą noc, byleby tylko zrobić na złość Księżycowemu Brodaczowi.

Manusia zjawiała się we łzach i z zapartym oddechem.

- Musimy przerobić moją białą suknię na twoją figurę - rzekła Rilla. - Zobaczysz, jak ci będzie w niej ładnie.

Obydwie zabrały się do roboty, prując, przycinając, pasując i szyjąc. Po wielkich trudach suknia była gotowa o siódmej i Manusia przymierzała ją w pokoju Rilli.

- Naprawdę bardzo ładna, ale żeby mieć jeszcze welon - westchnęła Manusia. - Zawsze marzyłam o tym, żeby brać ślub w białym welonie.

Jakaś dobra wróżka widocznie postanowiła spełnić wszystkie życzenia wojennej narzeczonej. Drzwi się bowiem po chwili otwały i do pokoju weszła pani Blythe niosąc zwoje białego tiulu.

- Maniusiu droga - powiedziała serdecznie. - Chciałabym, abyś jutro wystąpiła na swym ślubie w moim welonie. Przed dwudziestu czterema laty byłam najszczęśliwszą panną młodą na Zielonym Wzgórzu, a welon szczęśliwej mężatki podobno przynosi szczęście.

- O, jaka pani dobra, pani Blythe! - zawołała Manusia ze łzami w oczach.

Welon przymierzono i udrapowano. Zuzanna wpadła na chwilę, aby wyrazić swą aprobatę, lecz nie miała czasu pozostać dłużej.

- Wsunęłam tort do pieca - oznajmiła - i muszę stać na straży. Wieczorne gazety przyniosły wiadomość, że wielki książę zajął Erzurum. Dobrze to zrobi Turkom. Chciałabym teraz móc powiedzieć carowi, jaki popełnił błąd usuwając Mikołaja.

Zuzanna pobiegła z powrotem do kuchni i po chwili z dołu dobiegł piekielny łoskot. Wszyscy natychmiast znaleźli się w kuchni: doktor, panna Oliver, pani Blythe, Rilla i Maniusia w swym ślubnym welonie.

Zuzanna siedziała na ziemi pośrodku kuchni z błędnym wzrokiem, podczas gdy Doc, przemieniony znowu w Mr Hyde'a, stał na kredensie z najeżonym grzbietem i podniesionym w górę ogonem.

- Zuzanno, co się stało? - zawołała pani Blythe w przerażeniu. - Przewróciłaś się? Potłukłaś się bardzo?

Zuzanna podniosła się spiesźnie.

- Nie - odparła ponuro - wcale się nie potłukłam, chociaż upadłam istotnie. Niech się państwo nie denerwują. Chciałam złapać to cholerne, zatracone kocisko za tylne nogi i oczywiście nie udało mi się. Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Doktor był zupełnie bezradny.

- Ach, Zuzanno, Zuzanno! Usłyszałem wreszcie, że i ty przeklinasz.

- Bardzo mi przykro - wyszeptła Zuzanna ze zmieszaniem - że użyłam takiego wyrażenia w obecności dwóch młodych panienek. Ale mówię panu doktorowi, że to kocisko jest naprawdę zatracone. Chyba diabłu duszę zaprzedało.

- Sądzisz, że wówczas, gdy znika na noc, odbywa spotkania z czartem na rozstajnych drogach?

- Nie wiem, z kim się spotyka ta bestia - odparła Zuzanna niechętnie, pocierając stłuczone kolano. - Boję się tylko, że pod wpływem wstrząsu mój tort zupełnie opadł i będzie ciężki jak ołów.

Ale tort nie był ciężki. Niejedna panna młoda pozazdrościłaby Maniusi takiego tortu, szczególnie gdy go potem Zuzanna przybrała kremem i owocami. Nazajutrz obydwie z Rillą pracowały całe przedpołudnie przygotowując rozmaite smakołyki na ucztę i gdy tylko Maniusia zatelefonowała, że ojciec wyjechał, zapakowano wszystko do wielkiego kosza i przeniesiono do domu Fryorów.

Wkrótce przyjechał Józio, w swym eleganckim uniformie i szalonym podnieceniu, w towarzystwie najlepszego przyjaciela, sierżanta Malcolma Crawforda. Sporo zebrało się gości, bo niemal cała plebania i Złoty Brzeg, a poza tym kilkanaście osób z rodziny Józia, nie

wyłączając jego matki, pani Angusowej Milgrave. Pani Angusowa spoglądała niezbyt chętnie na związek syna z córką znienawidzonego Księżycowego Brodacza.

Tak więc Manusia Pryor zaślubiona została Józefowi Milgrave podczas ostatniego jego urlopu. Właściwie ślub ten powinien był być bardzo romantyczny, ale wcale takim nie był. Stanowczo za dużo czynników sprzysięгло się przeciw romantyczności, nawet Rilla przyznawała to po cichu. Przede wszystkim Manusia mimo swej białej sukni i welonu wyglądała bezbarwnie, po drugie Józio płakał gorzko przez cały czas trwania ceremonii i to ogromnie gniewało Manusię. Po skończeniu ślubu powiedziała nawet do Rilli: „Chwilami chciałabym mu powiedzieć, że jeżeli czuje się tak źle, to nie powinien się ze mną żenić. Ale może biedak płacze dlatego, że wkrótce ma się ze mną rozstać”.

Na domiar wszystkiego, Jaś, który zazwyczaj tak grzecznie zachowywał się przy ludziach, zaczął płakać ni z tego, ni z owego, wołając głośno: „Lilia”. Nikt nie chciał się nim zająć, bo wszyscy pragnęli przyjrzeć się ceremonii ślubu, więc Rilla, aczkolwiek była druhną, musiała podczas ceremonii wziąć go na rękę.

Dopełnieniem przykrego nastroju był Sir Wilfrid, który usadowił się w kącie, za pianinem Maniusi. Gdy pastor związywał stulą ręce zaślubionej pary, Sir Wilfrid począł w okropny sposób hałasować. Skomlał i szczeakał, a potem wył żałośnie. Nikt nie słyszał ani słowa z tego, co mówił pan Meredith. Nikt nie patrzył na panną młodą z wyjątkiem Zuzanny, która nie spuszczała z niej oka, uwaga wszystkich zebranych zwrócona była na psa. Manusia drżała nerwowo, lecz zapomniała o zdenerwowaniu, gdy Sir Wilfrid rozpoczął swe przedstawienie. Sądziła, że pies męczy się okropnie; a’ ona przecież w tej chwili nie może mu przyjść z pomocą.

Rilla, która mimo płaczu Jasia usiłowała wyglądać wyniośle i romantycznie, jak przystało na wojenną druhnę, zrezygnowała z beznadziejnego zamiaru i wyteżyła siły, by podtrzymać atmosferę wesela. Nie śmiała tylko spojrzeć na panią Angusową, lękając się, że wybuchnie niepowstrzymanym śmiechem.

Młoda para jednak została połączona i goście zasiedli do weselnej uczty w jadalni, w której stół był tak obficie zastawiony przysmakami, że zdawać by się mogło, iż przygotowywano je przez cały miesiąc.

Każdy zresztą coś przyniósł z sobą. Pani Angusową przyniosła wielki placek jabłkowy, który położyła chwilowo na krześle w jadalni, a potem w roztargnieniu na nim sama usiadła. Nie popsuło to co prawda ani jej nastroju, ani pięknej jedwabnej sukni, ale za to nie było mowy, aby placek podać gościom. Wreszcie pani Angusową zabrała go z powrotem do domu. Nawet biedne prosię Księżycowego Brodacza nie pożywiło się tym plackiem.

Tego samego wieczoru państwo Józefostwo Milgrave w towarzystwie Sir Wilfrida udali się do Latarni Morskiej Czterech Wiatrów, w której mieszkał wuj Józia i gdzie młoda para miała spędzić swój krótki miodowy miesiąc. Una Meredith, Rilla i Zuzanna zmyły naczynia, posprzątały wszystko, po czym zostawiły zimną kolację i karteczkę od Maniusi panu Prycorowi i wróciły do domu dość późno w nocy.

- Nie wyobrażam sobie siebie samej w roli wojennej panny młodej - westchnęła sentymalnie Zuzanna.

Rilla odczuwała wielkie zmęczenie, może była to reakcja po podnieceniu, które trwało trzydzieści sześć godzin. Była jednak rozczarowana trochę, bo przecież to wszystko jakoś dziwnie się złożyło, a Manusia i Józio stanowili taką mazgajowatą i banalną parę.

- Gdyby Manusia nie dała temu przebrzydłemu psu takiego obfitego obiadu, na pewno potem nie skomlałyby tak żałośnie - rzekła z gniewem. - Ostrzegałam ją, ale twierdziła, że nie może głodzić biednego psa, że wkrótce będzie wszystkim, co jej zostało, etcetera. Mało jej nie rozszarpałam.

- Przyjaciół Józia był bardziej wzruszony od niego samego - wtrąciła Zuzanna. - Życzył Maniusi wiele szczęścia. Ona tam znowu na szczęśliwą nie wyglądała, ale trudno się szczęścia spodziewać w takich warunkach.

„W każdym razie - pomyślała Rilla - będę mogła opisać chłopcom całą tę ceremonię. Jim na pewno pięknie ze śmiechu, gdy mu napiszę o wystąpieniu Sir Wilfrida”.

Lecz chociaż Rilla była tak rozczarowana uroczystością wojennych zaślubin, to w piątek rano, gdy Manusia żegnała swego męża na stacji w Glen, nie miała już młodej parze nic do zarzucenia. Ranek był pogodny, a powietrze czyste i orzeźwiające. Spoza peronu płynęła balsamiczna woń żywicznych sosen. Księżyc gasł dopiero na zachodzie, ponad ośnieżonymi polami, a czerwona tarcza słoneczna ukazała się już nad pagórkami Złotego Brzegu. Józio wziął w ramiona swą bladą małżonkę, ona zaś podniosła ku niemu swą twarz. Rilla z trudem powstrzymywała łzy. Nie myślała teraz o tym, że Manusia jest taka bezbarwna i mazgajowata, nie myślała o tym, że jest ona córką Księżycowego Brodacza. W oczach młodziutkiej mężatki rozgorzał płomień przywiązania i odwagi, który dodawał Józiovi otuchy.

Rilla oddaliła się nieco, zdając sobie sprawę, że nie powinna podglądać młodej pary w takiej uroczystej chwili. Odeszła na sam koniec peronu, gdzie Sir Wilfrid i Wtorek siedzieli obserwując się wzajemnie.

Sir Wilfrid zdawał się wyrażać swe bezgraniczne zdziwienie.

„Dlaczego przesiadujesz w tej starej budzie, kiedy mógłbyś wygodnie leżeć na dywanie na Złotym Brzegu i zażywać spokoju? Czyż to jest poza? Czy idée fixe?”

Na to Wtorek lakonicznie:

„Muszę dotrzymać ślubowania”.

Gdy pociąg odszedł, Rilla podeszła do drżącej Maniusi.

- Pojechał - szeptała Maniusia - i może nigdy już nie wróci, ale jestem już jego żoną i muszę być godna jego miłości. Idę do domu.

- Czyż nie lepiej, żebyś poszła teraz ze mną? - zagadnęła Rilla z powątpiewaniem. Nie była pewna, jak pan Pryor przyjmie teraz swoją córkę.

- Nie. Jeżeli Józio może stanąć w obliczu Hunów, to ja nie powinnam się lękać ojca - oświadczyła Maniusia z powagą. - Żona żołnierza nie może być tchórzem. Chodź, Wilfrid. Pójdę prosto do domu, choć jestem przygotowana na najgorsze.

W domu nie czekało na Maniusię nic strasznego. Możliwe, że pan Pryor doszedł do wniosku, iż trudno będzie znaleźć podobnie oszczędną gospodynię, a wiedział, że wiele domów w rodzime Milgrave stało dla Maniusi otworem. Przypomniawszy sobie również, że zawarte małżeństwo nie musi trwać wiecznie, bo przecież istnieje separacja i rozwód. Ponuro tylko oświadczył córce, że jest idiotką i nie rzekł nic więcej, a pani Józiowa przypasała biały fartuszek i zabrała się do pracy jak zwykle, podczas gdy Sr Wilfrid, który nie był najlepszego mniemania o latarniach morskich jako zimowych rezydencjach, ułożył się spokojnie na dywanie i zasnął smacznie, marząc o ceremonii wojennych zadufam.

XIX.

„NIE PRZEJDA”

Pewnego ponurego ranka w lutym Gertruda Oliver zbudziła się z drżeniem i pośpiesznie wbiegła do pokoju Rilli.

- Rillo, boję się... jestem przerażona jak dziecko. Miałam znowu jeden z moich dziwnych snów. Wiem, że coś strasznego nas czeka.

- Jakież to był sen? - zapytała Rilla.

- Stałam na stopniach werandy, tak jak wówczas we śnie przed zabawą w Latarni Morskiej, a na niebie ukazała się wielka chmura, która szła od wschodu. Widziałam, że się zbliża, i gdy zawisa już nade mną, zaczęłam drzeć z przejmującego chłodu. Nagle zerwała się burza, ale taka straszna, błyskawice oślepiały mnie, a pioruny huczały mi w uszach. Zawróciłam w panice, usiłując schronić się przed tym żywiołem, i nagle ujrzałam na schodach mężczyznę, oficera w francuskim uniformie, który stanął przede mną na progu. Mundur jego przesiąknięty był krwią płynącą z rany na piersiach, twarz miał bladą, ale oczy błyszczące. „Nie przejdą” - rzekł przyciszonym, gorącym szeptem, który dosłyszałam wyraźnie mimo huku piorunów. Potem się przebudziłam. Rillo, boję się - wiosna nie przyniesie nam ofensywy, którą radowaliśmy się tak bardzo, przyniesie nam w zamian jakiś straszny cios, który spotka Francję. Jestem tego pewna. Niemcy będą próbowali zmiażdżyć Francuzów.

- Ale on przecież pani powiedział, że nie przejdą - zauważyła Rilla z powagą. Nigdy nie śmiała się ze snów Gertrudy, co zawsze czynił doktor.

- Nie wiem, czy to było proroctwo, czy rozpacz, Rillo, przestach trzyma mnie jeszcze w swym lodowym uścisku. Będziemy musieli zdobyć się wkrótce na największą odwagę.

Doktor Blythe śmiał się znowu przy śniadaniu, lecz potem nigdy już nie uśmiechnął się nawet, słysząc o snach panny Oliver, w dniu tym bowiem nadeszły wiadomości o ofensywie pod Verdun i w ciągu następnych tygodni wszyscy na Złotym Brzegu żyli w ciągłym przerażeniu. Bywały takie dni, kiedy czekano z rozpaczą końca, bo Niemcy krok za krokiem podchodzili bliżej do granicy francuskiej.

Zuzanna krzątała się po kuchni, lecz myśli jej błądziły wśród pagórków otaczających Verdun.

- Droga pani doktorowo - zauważyła wsuwając któregoś wieczoru głowę przez uchylone drzwi sypialni pani Blythe - chyba jakiś Francuz powiesił się w Jaskrowym Lesie.

A gdy się obudziła nazajutrz o świcie, zastanawiając się wciąż jeszcze nad tym, postanowiła przestudiować dokładnie mapę okolic Verdun, aby móc łatwiej orientować się w sytuacji wojennej.

- Gdy Niemcy zajmą Verdun, Francuzi zupełnie upadną na duchu - mówiła z goryczą panna Oliver.

- Ależ nie zajmą - upierała się Zuzanna, która tego dnia nie mogła jeść obiadu z obawy, że proroctwa panny Oliver się spełnią. - Przede wszystkim wyśniło się pani, że tak nie będzie, że ów francuski oficer powiedział „nie przejdą”. Oświadczam pani, kochana panno Oliver, że gdy przeczytałam gazetę i przypomniałam sobie ten pani sen, to po prostu złodowaciałam ze strachu. Przypomniały mi się czasy biblijne, kiedy ludzie pod wpływem snów stawali się prorokami.

- Wiem... wiem - rzekła Gertruda spacerując niespokojnie po pokoju. - I ja chcę wierzyć w spełnienie mego snu, lecz ilekroć przychodzą przykre wiadomości, upadam na duchu. Wtedy powtarzam sobie, że to moje przywidzenie, że stałam się histeryczką i tak dalej.

- Nie jestem wprawdzie tak wykształcona, jak pani i pan doktor, ale mam wrażenie, że nie powinniśmy martwić się o Verdun, w razie gdyby nawet Hunowie bitwę wygrali - utrzymywała Zuzanna. - Joffre powiada, że odcinek ten nie posiada specjalnego strategicznego znaczenia.

- Zbyt często to powtarza - odparła Gertruda. - W każdym razie żadna przegrana bitwa nie prowadzi do zwycięstwa.

W maju napisał Walter do domu, że został odznaczony Distinguish Cross. Nie pisał, za co otrzymał to odznaczenie, lecz tamci chłopcy postarali się, by Glen dowiedziało się o bohaterstwie Waltera.

W każdej innej wojnie - pisał Jerry Meredith - miałoby to znaczenie Victoria Cross, lecz w tej wojnie bohaterstwa zdarzają się tak często, że trudno, aby Victoria Cross wszystkich dekorować.

- Powinien był dostać Victoria Cross - mówiła z oburzeniem Zuzanna. Nie wiedziała dokładnie, kogo winić za to, więc miała pretensje niemal do wszystkich angielskich generałów.

Rilla nie posiadała się z radości. Więc to jej ukochany Walter zdobył się na takie bohaterstwo, Walter, któremu przesłano do Redmond białe piórko w kopercie, Walter, który wybiegł z okopów, aby ratować ранego towarzysza pod gradem kul. Och, widziała teraz dokładnie jego bladą, uduchowioną twarz i płonące spojrzenie, gdy spełniał ten bohaterski

czyn! Cóż za rozkosz być siostrą takiego bohatera! A on nawet nie wspomniał o tym. List jego był pełen innych wiadomości, pełen intymnych zwierzeń, które tylko obydwójce znali i które tak kochali za dawnych dni pogody i wesela.

Myślałem o narcyzach kwitnących na Złotym Brzegu - pisał. - Na pewno rozkwitły zupełnie i wznoszą swe główki ku błękitnemu niebu. Czy i w tym roku są takie piękne, jak zwykle, Rillo? Zdaje mi się ciągle, że muszą być znaczone krwią, jak maki tutaj. A każde westchnienie wiosny plamić będzie fioletem Dolinę Tęczy.

Dzisiaj jest pierwsza kwadra księżycy, jasna, srebrzysta, zawieszona nad polem śmierci. Czy zobaczysz ją także nad polami porośniętymi zbożem?

Załączam krótki wiersz, Rillo. Pisałem go pewnego wieczoru w okopach przy świetle wątego ogarka, właściwie myślałem o nim wówczas i nie wiem nawet, kiedy go przelałem na papier. Dawniej miewałem takie chwile natchnienia, ale nigdy nie było ono tak realne, jak teraz. Dlatego pewno wysłałem mój wiersz do londyńskiego „Spectatora”. Wydrukowali go i przysłali mi dzisiaj egzemplarz. Sądzę, że ci się będzie podobał. Jest to jedyny wiersz, jaki napisałem na froncie.

Wiersz był krótki, ale prześliczny. Po miesiącu imię Waltera stało się sławne prawie na całym świecie. Wszystkie pisma przedrukowały jego wiersz, a oddziały Czerwonego Krzyża starały się o to, aby był recytowany na wszystkich propagandowych zebraniach. Matki i siostry płakały czytając go, młodzi chłopcy pod wpływem tej poezji nabierali entuzjazmu i całe niemal społeczeństwo uważało ten krótki wierszyk za symbol bólu i łez, które owładnęły Europą. Kanadyjski chłopak w wojennych okopach napisał piękny utwór o wojnie. „Kobziarz” Waltera Blythe stał się niejako utworem klasycznym od chwili, kiedy został wydrukowany.

Rilla przepisała go do swego pamiętnika na samym początku opisanych zdarzeń z ubiegłego tygodnia.

Straszny to był tydzień - pisała - i chociaż minął już i wiemy wszyscy, że to była pomyłka, to jednak nie możemy się otrząsnąć z okropnego wrażenia. Jestem pewna, że nigdy nie potrafiłabym się tak zachować, jak panna Oliver.

Akuratnie tydzień temu panna Gertruda otrzymała list od matki pana Granta z Charlottetown. Pani Grant donosiła jej, że otrzymała depeszę z wiadomością, iż major Robert Grant zabity został przed kilku dniami.

Och, biedna Gertruda! W pierwszej chwili była zdruzgotana. Na drugi dzień jednak odzyskała równowagę i poszła do szkoły. Nie płakała, nie uroniła ani jednej łzy, ale z twarzy jej wiała rozpacz

„Muszę wrócić do pracy - mówiła. - To jest jedynym moim obowiązkiem teraz!”

Ja bym się nigdy na to nie zdobyła.

W słowach jej nie przejawiała się gorycz z wyjątkiem tego razu, kiedy Zuzanna wspomniła coś o nadchodzącej wiosnie. Wówczas Gertruda zapytała:

„Czy naprawdę tego roku będzie wiosna?”

Potem wybuchnęła śmiechem, takim strasznym, smutnym śmiechem, jak ktoś, kto się śmieje spoglądając na śmierć.

„Widzicie, jaka jestem samolubna. Dlatego że ja, Gertruda Oliver, utraciłam przyjaciela, to i wiosna nie powinna nadejść w tym roku. Nie dlatego, że tyle ludzi ginie, tylko dlatego, że on jeden został zabity”.

„Nie rób sobie wyrzutów, kochanie - pocieszała ją mama łagodnie. - Wszyscy mniej więcej czujemy się tak samo”.

A wtedy wtrąciła się do rozmowy ta okropna kuzynka Zofia. Siedziała pochylona nad skarpetką jak wcielenie nieszczęścia, jak zwykle mówił o niej Walter.

„Nie trzeba być przesadną, panno Oliver - rzekła - nie możemy się poddawać wszystkiemu. Są takie, które utraciły mężów. To jest dopiero cios. Są również takie, które utraciły synów. Przecież pani ani męża, ani syna nie zabito”.

„Nie - odparła Gertruda z jeszcze większą goryczą. - To prawda, że nie straciłam męża, straciłam tylko człowieka, który miał być moim mężem. Nie straciłam syna, lecz synów i córki, które miały mi się urodzić i które teraz na pewno nie urodzą się nigdy”.

„Przyzwoita kobieta nie mówi w ten sposób” - oburzyła się kuzynka Zofia, a Gertruda wybuchnęła takim śmiechem, że kuzynka Zofia przeraziła się po prostu. Gdy biedna Gertruda, nie mogąc już znieść dłużej tej rozmowy, wybiegła z pokoju, kuzynka Zofia zapytała mamę, czy przypadkiem pannie Oliver nie rzuciło się na umysł.

„Bardzo cierpiałam po stracie dwóch moich mężów - rzekła. - Ale przecież nie robiłam takich historii”. Sądzę, że nie robiła! Ci biedni mężowie na pewno z radością umierali.

Słyszałam, jak Gertruda przez całą noc chodziła po pokoju. Wprawdzie byłam już do tego przyzwyczajona, ale nigdy tak długo nie spacerowała, jak tej nocy. W pewnej chwili usłyszałam, jej głuchy szloch. Nie mogłam spać i nie mogłam jej pomóc. Myślałam, że ta noc już nigdy się nie skończy. Skończyła się jednak, a potem nastąpiła „radość dnia”, jak opisuje Biblia. Radość ta jednak nie nastąpiła z samego rana, lecz dopiero po południu. Zadzwoił telefon i ja go odebrałam. Telefonowała stara pani Grant z Charlottetown komunikując, że poprzednia wiadomość była omyłką - Robert wcale nie został zabity. Był tylko lekko ranny w

ramię i leżał w szpitalu. Nie wiadomo, jakim cudem zaszła ta pomyłka, ale widocznie to jakiś inny Robert Grant został zabity.

Zawiesiłam słuchawkę i pognałam do Doliny Tęczy. Nie biegłam po prostu, lecz fruwałam, bo stopy moje prawie wcale nie dotykały ziemi. Spotkałam Gertrudę wracającą ze szkoły i od razu wydyszałam wiadomość. Oczywiście mogłam się zdobyć na więcej rozsądku. Wstyd, żeby córka doktora mogła popełnić taki błąd. Ale tak szalałam z radości i podniecenia, że w żaden sposób nie mogłam się powstrzymać. Gertruda osunęła się na ziemię między złociste jaskry, jakby ugodzona celną kulą. Do końca życia zapamiętam moje przerażenie. Byłam pewna, że ją dobiłam tą wiadomością. Przypomniłam sobie, że jej matka umarła nagle na serce, będąc jeszcze zupełnie młodą kobietą. Minuty wydawały się wiekiem, aż wreszcie przekonałam się, że serce jej bije jeszcze. Okropne to było przejście! Nigdy do owej chwili nie widziałam nikogo zemdlonego, a przecież z domu nie mogłam się spodziewać pomocy, bo wszyscy poszli na stację po Di i Nan wracające z Redmond. Teoretycznie wiedziałam trochę, jak należy ratować zemdlonych, a teraz poznałam to w praktyce. Na szczęście strumyk był blisko i po wielu trudach udało mi się przywrócić Gertrudę do życia. Nie powiedziała ani słowa, gdy otworzyła oczy. Prowadziłam ją ostrożnie przez łąkę, a gdy się wreszcie znalazła w swoim pokoju, rzekła z trudem: „Rob... żyje”. Potem padła na łóżko i bardzo długo płakała. Nigdy jej dotychczas nie widziałam płaczącej. Wszystkie łzy, które powstrzymywała przez ten tydzień, trysnęły wreszcie prawdziwą fontanną. Płakała prawie przez całą noc, lecz rano twarz miała już pogodną, a my wszyscy byliśmy szczęśliwi, aczkolwiek w duszach naszych trwał jeszcze lęk.

Di i Nan przyjechały na kilka tygodni do domu. Potem, wracając do pracy w Czerwonym Krzyżu do obozu ćwiczebnego w Kingsport. Zazdroszczę im. Ojciec twierdzi, że i ja przecież jestem pożyteczna tutaj, wychowując Jasia i poświęcając tyle czasu zajęciom w Młodym Czerwonym Krzyżu. Ale one mogły tam mieć r o m a n t y c z n e przygody.

Kut się poddało. Przyniosło to nam chwilową ulgę, bo przecież martwiliśmy się już tak długo. Kuzynka Zofia była ponura, jak zwykle, chodziła po domu i mruczała, że Anglicy wszędzie coś tracą.

„Ładnie tracą - powiedziała Zuzanna sarkastycznie. - Gdy tracą coś, to zawsze muszą potem coś odzyskać! Trzeba także coś zrobić dla kraju, więc uporządkuję kartofle w ogrodzie, a ty mogłabyś wziąć nóż i pomóc mi, Zofio Crawford. Rozerwałoby ci to trochę myśli i przestałabyś się martwić wojną”.

Zuzanna jest wspaniała i świetnie potrafi postępować z kuzynką Zofią.

Co do Verdun, to walki trwają dalej, a my ciągle żyjemy między nadzieją a przerażeniem. Jestem jednak pewna, że sen panny Oliver jest prorocstwem zwycięstwa Francji. „Nie przejdą”.

XX.

NORMAN DOUGLAS SIĘ WYPOWIADA

O czym dumasz, Aniu, pani mego serca? - zapytał doktor, który po dwudziestu czterech latach małżeństwa zwracał się tak do żony, kiedy byli sami. Ania siedziała na stopniach werandy, błędząc nieobecny wzrokiem po cudnie ukwieconym wiosennym świecie. Za białym ogrodem odbijały ciemną plamą młode sosny i kremowe dzikie czereśnie, gdzie drozdy wyśpiewywały swe radosne trele; był wieczór i wczesne gwiazdy błyszczwały nad laskiem klonowym.

Ania z lekkim westchnieniem powróciła do rzeczywistości.

- Szukałam wytchnienia w marzeniach, Gilbercie. Wyobrażałam sobie, że wszystkie nasze dzieci wróciły do domu, że są znowu małe i bawią się w Dolinie Tęczy. Teraz jest tam zawsze tak cicho, ale zdawało mi się, że słyszę ich wesołe, dziecięce głosiki. Słyszałam gwizd Jima i jodłowanie Waltera, i śmiech bliźniąt i przez kilka cudownych chwil zapomniałam o strzałach na zachodnim froncie i byłam szczęśliwa.

Doktor nie odpowiedział. Niekiedy praca pozwalała mu na kilka chwil zapomnienia o zachodnim froncie, choć nieczęsto. W jego gęstej czuprynie przeświecało już wiele srebrnych nitok, których nie było jeszcze przed dwoma laty. Ale uśmiechnął się do dużych, szarych oczu, które kochał - oczu dawniej pełnych śmiechu, a teraz przygasłych od niewypłakanych łez.

Weszła Zuzanna z motyką w jednej ręce, a swym najlepszym czepek w drugiej.

- Przeczytałam w „Przedsięwzięciach”, że jakaś para wzięła ślub w samolocie. Czy pan myśli, że to legalne, drogi panie doktorze? - zapytała z obawą.

- Myślę, że tak - odparł doktor poważnie.

- Wydaje mi się - ciągnęła Zuzanna z powątpiewaniem - że ślub jest obrzędkiem zbyt uroczystym jak na coś tak zawrotnie szybkiego jak aeroplan. Ale nic już nie jest, jak było dawniej. Ponieważ mam jeszcze pół godziny czasu do nabożeństwa, pójdę do ogródka poborykać się trochę z chwastami.

- Muszę i ja przygotować się do nabożeństwa - powiedziała Ania.

Każda wieś ma swoją nie pisaną legendę przekazywaną z ust do ust przez generacje, tragiczną, komiczną czy dramatyczną. Opowiada się ją na ślubach i uroczystościach, w czasie pogawędek przy kominku. W tych nie pisanych annałach kroniki Glen St. Mary wspomnienie zebrania w kościele metodystów zajmie poczesne miejsce.

Zebranie było pomysłem pana Arnolda. Miejskowy batalion, który przez całą zimę ćwiczył się w Charlottetown, miał w najbliższym czasie wyruszyć na front. Chłopcy z przystani Czterech Wiatrów, z Glen, zza portu i górnego Glen po raz ostatni przed wyjazdem przyjechali do domu i pan Arnold uznał, że urządzenie zebrania w kościele będzie czynem właściwym. Pastor Meredith zgodził się z tym i nabożeństwo miało się odbyć w kościele metodystów. Zazwyczaj takie zebrania nie cieszyły się szczególną frekwencją, lecz tego wieczoru kościół metodystów był zatłoczony. Kto żyw, przyszedł. Nawet panna Kornelia przybyła - a było to po raz pierwszy w życiu, że panna Kornelia przestąpiła progi kościoła metodystów. Potrzeba było do tego konfliktu światowego. - Nienawidziłam metodystów - oświadczyła panna Kornelia spokojnie mężowi, gdy wyraził swe zdumienie - ale teraz już ich nie nienawidzę. Nie ma sensu nienawidzić metodystów, kiedy na świecie jest Kaiser.

Tak więc zjawiała się panna Kornelia. Zjawił się też Norman Douglas i jego żona. Wkroczył majestatycznie Księżycowy Brodac, jak gdyby w pełni doceniał zaszczyt wyrządzony budynkowi swoją obecnością. Ludzie byli nieco zdziwieni jego przybyciem, bo wiadomo było, że raczej unikał zebrań związanych w jakiś sposób z wojną. Ale pastor Meredith powiedział, że spodziewa się, iż zebranie będzie reprezentowane jak najświetniej, i widać pan Pryor wziął sobie tę prośbę pastora do serca. Miał na sobie odświętny, czarny garnitur i biały krawat, jego gęste, siwe włosy były starannie uczesane, a szeroka, okrągła twarz wyglądała bardziej „świętoszkowato” - jak twierdziła Zuzanna - niż kiedykolwiek.

- Gdy tylko go zobaczyłam wchodzącego z tym wyrazem do kościoła, wiedziałam, że coś się stanie niedobrego, droga pani doktorowo - mówiła później.

Zebranie rozpoczęło się jak zwykle i przebiegało w spokoju. Pastor Meredith mówił pierwszy, z właściwą mu elokwencją i odczuciem. Pan Arnold przemawiał tak sugestywnie, że nawet panna Kornelia musiała przyznać, że było to kazanie pod każdym względem doskonałe.

A potem pan Arnold poprosił pana Pryora, aby rozpoczął modlitwę.

Panna Kornelia zawsze uważała, że pan Arnold nie ma szczypty rozumu. I istotnie pastor Arnold nie posiadał tej szczypty, skoro zwrócił się do Księżycowego Brodacza, aby zaintonował modlitwę na nabożeństwie o charakterze wojskowym.

Niektórzy sądzili, że pan Pryor odmówi - i to byłby już wystarczający skandal. Ale pan Pryor zerwał się z wawo, powiedział: „Módlmy się” - i rozpoczął. Donośnym głosem, który wnikał w każdy zakątek kościoła, pan Pryor wyrzucił z siebie potok wartkich słów i zanim audytorium - osłupiałe i przerażone - zdołało się zorientować, stało się świadkiem jak najgwałtowniejszego pacyfistycznego apelu do młodzieży, by nie brała udziału w wojnie.

Pan Pryor miał odwagę swych przekonań, a może - jak później mówiono - uważał, że jest bezpieczny w kościele i że ma doskonałą okazję wyrażenia swych opinii, których w innych warunkach bałby się wypowiedzieć. Grzmiał więc przeciwko szaleństwu pójścia na wojnę na zachodni front, a audytorium jego było tak sparaliżowane, iż wydawało się, że Księżycowy Brodacz bez przeszkód doprowadzi swój gwałtowny atak do końca.

Ale jeden człowiek wśród obecnych nie miał wrodzonych czy nabytych zahamowań szacunku dla uświęconego miejsca. Norman Douglas był - jak często mawiała Zuzanna - „poganinem”. Ale był to zaciekły, patriotyczny poganin i gdy sens przemówienia pana Pryora doszedł do jego świadomości, obudził się w nim lew. Z rykiem zerwał się na nogi i zagrzmiął niczym piorun:

- Milcz, milcz, ty potworze!

Wszyscy podnieśli głowy. Jakiś chłopak w mundurze wybuchnął śmiechem. Pastor Meredith podniósł karcąco dłoń, ale Norman ani myślał zwracać na to uwagi. Ignorując powstrzymującą go żonę, jednym susem przeskoczył ławkę i złapał nieszczęsnego Księżycowego Brodacza za kołnierz marynarki. Pan Pryor, który nie zamilkł wtedy, zamilkł teraz, gdyż Norman szalejąc z wściekłości potrząsał nim z całej siły, dodając do tego serię najgorszych epitetów, a potem popchnął nieszczęsnego pacyfistę na drzwi do chóru. Twarz pana Pryora z czerwonej stała się szara. Odwrócił się i wyszeptał:

- Podam cię za to do sądu.

- Zrób to, zrób! - wrzasnął Norman, gotując się do nowego ciosu. Ale pan Pryor już wyszedł. Nie miał ochoty po raz wtóry wpaść w łapy tego rozsierdzonego militarysty. Norman odwrócił się z triumfem.

- Nie stójcie tacy porażeni, pastorzy! - huknął. - Wyście tego nie mogli zrobić, ale ktoś musiał. Ja byłem do tego stworzony, nareszcie miałem swoją wielką szansę w kościele. Mogę teraz dalsze sześćdziesiąt lat siedzieć spokojnie. Kontynuujcie zebranie, ręczę, że nikt wam nie przeszkodzi.

Ale nastrój pobożności prysł. Obaj pastorzy zgodnie doszli do tego przekonania i uznali, że należy zakończyć zebranie i pozwolić wzburzonym parafianom udać się do domu. Pastor Meredith powiedział jeszcze kilka poważnych słów do chłopców w mundurach, które to słowa prawdopodobnie uratowały szyby w oknach pana Pryora od wybicia, a pastor Arnold wybąkał jakieś niezbyt stosowne błogosławieństwo - sam czuł, że nie było najstosowniejsze, ale nie mógł wymazać z pamięci widoku potężnego Normana Douglasa potrząsającego tłustym, pompadurkowym Księżycowym Brodaczem niczym brytan potrząsający szczeniakiem. I wiedział, że każdy myśli te samo. Trudno było to zebranie nazwać szczególnie udanym.

Niemniej jednak zapisało się ono w pamięci mieszkańców Glen St. Mary na zawsze, gdy tymczasem setki zebrzań kościelnych zostały całkowicie zapomniane.

- Nigdy, ale to nigdy już, droga pani doktorowo, nie nazwę Normana Douglasa poganinem - oświadczyła Zuzanna po powrocie do domu. - Helena Douglas może być z niego dumna.

- Norman Douglas postąpił wręcz okropnie - powiedział doktor. - Należało po skończonym zebraniu zbojkotować Pryora. A potem niechby jego pastor i zarząd z nim się rozprawił. Zachowanie Normana było niewłaściwe, wręcz skandaliczne i obelżywe. Ale, na Boga - doktor odrzucił głowę i roześmiał się - ale, Aniu kochanie, było z a d o w a l a j ą c e .

XXI.

„SPRAWY MIŁOSNE SĄ STRASZNE”

Złoty Brzeg

20 czerwca, 1916.

Z dnia na dzień przychodziły coraz bardziej, emocjonujące wieści, dobre i złe, a byliśmy tym tak zaabsorbowani, że nie miałam nawet czasu ani ochoty w ciągu ostatnich kilku tygodni pisać mego pamiętnika. Lubię zapisywać w nim wszystko regularnie, bo ojciec powiada, że pamiętnik z lat wojny będzie rzeczą bardzo ciekawą dla przyszłych pokoleń. Najgorsze to, że lubię zapisywać w pamiętniku tak intymne rzeczy, iż trudno je będzie dać potem własnym dzieciom, do przeczytania. Właściwie chociażby ze względu na te moje przyszłe dzieci powinnam mieć więcej rozsądku i nie pisać o rzeczach, których one czytać nie będą mogły!

Pierwszy tydzień czerwca był znowu straszny. Austriacy zdawali się pokonywać Włochów i nadeszła pierwsza okropna wiadomość o bitwie w Jutlandii, którą Niemcy poczytywali za swoje wielkie zwycięstwo. Nigdy chyba tego dnia nie zapomnę. Po prostu drżeliśmy z niecierpliwości. A jeżeli flota angielska zawiedzie, to co?

„Czuję się tak, jakbym otrzymała palący policzek od serdecznego przyjaciela” - mówiła panna Gertruda Oliver i mam wrażenie, że wszyscy mniej więcej czuliśmy się tak samo. Jedyna Zuzanna utrzymywała równowagę.

„Nikt mnie nie przekona, że Kaiser pokonał angielską flotę - mówiła z przeświadczeniem. - Zaręczam wam, że to jest zwykłe kłamstwo Niemców”. Po upływie kilku dni przekonaliśmy się, że miała słuszność i że istotnie było to zwycięstwo Anglii, a nie triumf Niemców. Później Zuzanna chodziła po domu, powtarzając: „Nie mówiłam?”

Śmierć Kitchenera dobiła Zuzannę. Po raz pierwszy widziałam ją tak załamaną. Wszyscy odczuliśmy ze smutkiem tę wiadomość, lecz Zuzanna wpadła kompletnie w rozpacz. Dowiedzieliśmy się o tym przez telefon, Zuzanna jednak nie wierzyła, dopóki nazajutrz nie przeczytała powtórzenia tej pogłoski w gazetach. Nie płakała, nie mdlała ani też nie dostała ataku histerycznego, lecz zapomniała wsypać soli do zupy, a takie rzeczy Zuzannie nigdy się nie zdarzyły. Mama, panna Oliver i ja płakałyśmy, Zuzanna zaś spoglądała na nas z sarkazmem, mówiąc:

„Zarówno Kaiser, jak i jego sześciu synów cieszą się dobrym zdrowiem. Ludzkość więc nie wyginie na ziemi. Po co płakać, droga pani doktorowo?” Tak się zachowywała

Zuzanna w ciągu dwudziestu czterech godzin, a potem zjawiała się kuzynka Zofia, aby jej złożyć serdeczne kondolencje.

„Straszne wiadomości, nieprawdaż, Zuzanno? Musimy być teraz przygotowane na najgorsze. Powiedziałaś kiedyś - pamiętam doskonale te słowa, Zuzanno Baker - że całą ufność pokładasz w Bogu i Kitchenerze. Tak, Zuzanno Baker, teraz pozostał ci tylko Bóg”.

Mówiąc to, kuzynka Zofia przyłożyła chusteczkę do oczu, jakby śmierć Kitchenera była dla niej naprawdę wielką stratą.

Co do Zuzanny, to przemowa kuzynki Zofii doskonale na nią podziałała. Od razu wróciło jej życie i ostrość języka.

„Uspokój się, Zofio Crawford! - rzekła z powagą. - Możesz być głupia, ale przecież nie jesteś zupełną kretynką. To niemało, jeśli Wszechmogący czuwa nad koalicją. Co do Kitchenera, to śmierć jego jest bezwarunkowo wielką stratą dla nas. Wyniki wojny jednak nie zależą od jednego życia ludzkiego, a teraz, kiedy Rosjanie znowu nacierają, będziemy wkrótce świadkami zmiany na lepsze”.

Zuzanna wypowiedziała to tak energicznie, że przekonała samą siebie i nabrała humoru, lecz kuzynka Zofia potrząsnęła przecząco głową.

„Żona Alberta chciała swemu dziecku dać imię Brusłowa - rzekła - ale ja jej poradziłam, żeby zaczekała i przekonała się, jaki obrót przyjmą sprawy. Rosjanom przecież nie zawsze się udaje”.

Rosjanie jednak spisali się wspaniale i uratowali sytuację Włoch. Aczkolwiek codzienne wiadomości przynosiły nam wiele zadowolenia, to jednak nie byliśmy tak uradowani, aby wywiesić flagę. Jak twierdziła panna Gertruda, Verdun zabiło w nas wszelką radość. Bylibyśmy w lepszych humorach, gdyby te wszystkie zwycięstwa odbywały się na zachodnim froncie. „Kiedy wreszcie Anglicy wystąpią? - westchnęła Gertruda pewnego ranka. - Czekamy już tak długo”.

Największym lokalnym wydarzeniem bieżących tygodni był przemarsz wyszkolonego batalionu przed wysłaniem go na front. Wojsko maszerowało z Charlottetown do Lowbridge, potem dokoła portu i przez Górne Glen do dworca St. Mary. Wszyscy wylegli, aby żołnierzy zobaczyć, z wyjątkiem starej ciotki Fanny Clow, która jest obłożnie chora, i pana Pryora, który ostatnio w ogóle nigdzie się nie ukazywał.

To był cudowny i rozdzierający serce widok tych maszerujących żołnierzy. Byli między nimi zupełnie młodzi chłopcy i mężczyźni w średnim wieku. Ujrzelśmy wśród nich Ludwika MacAllistera z portu, miał dopiero lat szesnaście, lecz przysiągł, że skończył osiemnaście, aby go tylko przyjęto na ochotnika. Był tam również Angus Maekenzie z Górnego Glen,

mający już lat pięćdziesiąt pięć, lecz utrzymujący, że skończył dopiero czterdzieści cztery. Byli również dwaj południowoafrykańscy weterani z Lowbridge i osiemnastoletnie trojaczki Baxterów z za portu. Wszyscy wznosili na ich cześć okrzyki, również na cześć Foster'a Booth'a, który mimo czterdziestu lat kroczył ramię w ramię ze swym synem Karolem mającym dopiero lat dwadzieścia. Matka Karola umarła przy jego urodzeniu, o gdy Karol zaciągnął się do wojska, ojciec jego orzekł, że musi pójść za nim również, i obydwaj teraz maszerowali na wojnę. Na stacji Wtorek stracił zupełnie głowę. Biegał dookoła wyjeżdżających, jakby chciał przesłać za ich pośrednictwem jakąś ważną wiadomość Jimowi. Pan Meredith żegnał żołnierzy serdeczną przemową, a Rita Crawford recytowała „Kobziarza”. Żołnierze wrzeszczeli jak opętani: „Pójdziemy, pójdziemy, nie stracimy wiary”, ja zaś byłam taka dumna, że to mój najdroższy brat napisał ten wiersz, który prawie wszyscy w Glen umieli na pamięć. A potem spoglądałam na khaki szeregi i dziwiłam się, że niemal ci wszyscy żołnierze byli tymi samymi chłopcami, z którymi niegdyś bawiłam się, jak byli jeszcze dziećmi. Coś widocznie nagle zrodziło się w ich duszach, coś oderwało ich od ziemi ojczystej, szli na zew Srokatego Kobziarza.

Fred Arnold był również w tym batalionie, a mnie widok jego sprawił szczególną przykrość, gdyż orientowałam się, że to przeze mnie idzie na tę wojnę z takim bolesnym wyrazem. Niestety nie mogłam mu pomóc.

Ostatniego wieczoru Fred przyszedł na Złoty Brzeg, powiedział mi, że mnie kocha, i prosił, abym mu przyrzekła, że zostanę jego żoną, gdy wróci. Był straszliwie poważny, a ja czułam, się tak okropnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie mogłam mu złożyć tego przyrzeczenia, a zdawałam sobie sprawę, że okrucieństwem z mojej strony było wysyłać Freda na front bez isierki nadziei w duszy. Płakałam jak dziecko, lecz przypuszczam, że posiadam jednak w swym usposobieniu coś bezdusznego, bo wśród tego płaczu i w chwili największej rozpaczyny Freda strzeliło mi do głowy, że byłoby nie do zniesienia widzieć jego długi nos codziennie przy śniadaniu. I to jest jedna z tych rzeczy, której nie chciałabym, żeby moi potomni przeczytali w pamiętniku. Jest to jednak upokarzająca prawda. Gdyby nos Freda był tak piękny, jak jego oczy i usta, to może by sprawa przybrała całkiem inny obrót. Jestem stanowczo dziewczyną bez serca.

Gdy biedny Fred uświadomił sobie, że z mego przyrzeczenia nic nie będzie, zachował się jak dżentelmen, co jeszcze pogorszyło sprawę. Gdyby okazał mi choć odrobinę impertynencji, może byłoby mi lżej znieść tę chwilę. Ale z drugiej strony, przecież nigdy nie dawałam mu najmniejszej nadziei, że mnie choć odrobinę interesuje. W każdym razie czułam wyrzuty sumienia. Jeżeli Fred Arnold z wojny nie wróci, będą mnie dręczyły przez całe życie.

Powiedział mi na odchodnym, że jeżeli nie może mieć nadziei, iż go pokocham, to chciałby chociaż zabrać ze sobą moją przyjaźń, i prosił, abym go pocałowała na pożegnanie, zanim odejdzie - może na zawsze.

Nie rozumiem, dlaczego kiedyś wyobrażałam sobie, że sprawy miłosne są takie przyjemne i interesujące. Teraz uważam, że są po prostu straszne. Nie mogłam, obdarzyć nawet biednego Freda przelotnym pocałunkiem ze względu na moje przyrzeczenie dane Krzysztofowi. Stanowczo jestem brutalna. Powiedziałam mu, że przyjaźń moją będzie miał zawsze, lecz że nie mogę go pocałować, bo dałam słowo komuś innemu.

A on na to: „Na pewno masz na myśli Krzysia Forda?”

Skinęłam głową. Nie mogłam odpowiedzieć słowami, bo przecież to była święta tajemnica moja i Krzysia.

Gdy Fred wreszcie odszedł, pobiegłam do mego pokoju i płakałam tak długo, że mama przyszła na górę, aby się dowiedzieć, co mi się stało. Powiedziałam. Słuchała mego opowiadania, jakby ze zdziwieniem, które określić można byłoby następującymi słowami: „Czyż to możliwe, że któryś z młodzieńców chciałby poślubić to dziecko?” Jednakże rozumiała mnie dobrze, bo należy do tych, którzy „znają Józefa”, i jej zrozumienie sprawiło mi pewną ulgę. Matki są stanowczo najdroższymi istotami.

„Ach, mateczko! - szlochałam. - Chciał mnie pocałować na pożegnanie... a ja nie mogłam i to gnębi mnie najbardziej”.

„Dlaczego go nie pocałowałaś? - zapytała mama chłodno. - Chociażby ze względu na okoliczności mogłaś to uczynić”.

„Nie mogłam, mateczko. Przyrzekłam Krzysiu, gdy wyjeżdżał, że nigdy nie pocałuję nikogo do jego powrotu”

Dla mamy wiadomość ta była zupełnie czymś nowym. Pochyliła się nade mną i zapytała drżącym głosem:

„Rillo, jesteś zaręczona z Krzysztofem Fordem?” „Ja... nie wiem” - zaszlochałam.

„Nie wiesz? - powtórzyła mama.

Opowiedziałam jej znowu całą historię, a w miarę opowiadania wydawała mi się coraz głupsza, bo przecież nie miałam najmniejszych powodów podejrzewać, że Krzys miał o mnie serio. Odczułam w tej chwili straszne zawstydzenie.

Mama siedziała przez chwilę w milczeniu. Potem usiadła na krawędzi mego łóżka i chwyciła mnie w ramiona.

„Nie płacz, Rillo-ma-Rillo. Nie powinnaś czynić sobie żadnych wyrzutów ze względu na Freda. Jeżeli syn Ewy West prosił cię o zachowanie wierności, sądzę, że możesz się

uważać za jego narzeczoną. Ale, dziecko, ach, moje ostatnie dziecko, i ją straciłam, wojna zbyt szybko uczyniła z ciebie kobietę”.

Nigdy nie będę zbyt dorosła, aby nie czuć się dobrze w objęciach mamy. Mimo wszystko jednak serce bolało mnie bardzo, gdy w dwa dni potem ujrzałam Freda w szeregach.

Cieszę się jednak ogromnie, że mama twierdzi, iż jestem zaręczona z Krzysiem.

XXII. WTOREK PRZECZUWA

Dzisiaj mija dwa lata od owej zabawy w Latarni Morskiej, kiedy Janek Elliot przyniósł nam wiadomość o wojnie. Pamięta pani, panno Gertrudo? Kuzynka Zofia odpowiedziała zamiast panny Gertrudy:

- Ach, rzeczywiście, Rillo. Dobrze pamiętam ten wieczór i ciebie, jak przyszedł do kuchni, aby się pokazać w swej balowej toalecie. Czyż nie ostrzegłam cię, że nie wiemy, co nas czeka? Mało wiedziałaś wówczas o przyszłości.

- Wszyscy mało wiedzieliśmy - wtrąciła ostro Zuzanna - nie mamy daru proroctwa. Nie wymaga to wielkiego sprytu, Zofio Crawford, by powiedzieć człowiekowi, że czeka go jeszcze w życiu dużo zmartwień.

- Wszyscy sądzili, że wojna skończy się za kilka miesięcy - szepnęła Rilla w zamyśleniu. - Gdy spoglądam w przeszłość, wydaje mi się dziwnym, żeśmy mogli tak szybki koniec przewidywać.

- A teraz, po dwóch latach, zakończenie to nie jest bliższe, niż było wówczas - dorzuciła ponuro panna Oliver.

Zuzanna porywczo odłożyła robotę.

- Teraz, kochana panno Oliver, uczyniła pani niezbyt rozsądną uwagę. Przecież jesteśmy w każdym razie o dwa lata bliżej zakończenia wojny, chociaż miałyby się ona skończyć nie wiem kiedy.

- Albert czytał w dzisiejszej gazecie, że według zdania ekspertów wojennych wojna potrwa jeszcze pięć lat - wtrąciła kuzynka Zofia.

- To niemożliwe! - wybuchnęła Rilla, po czym dodała z westchnieniem: :- Dwa lata temu mówiliśmy: „Przecież dwóch lat nie potrwa”. Ale jeszcze pięć lat!

- Jeżeli Rumunia się dołączy, czym się tylko pocieszam, zobaczycie, że skończy się to wszystko nie za pięć lat, tylko za pięć miesięcy - oświadczyła Zuzanna.

- Nie mam zaufania do cudzoziemców - westchnęła kuzynka Zofia.

- Francuzi też są cudzoziemcami - odparowała Zuzanna - a spójrz na Verdun. Jeden z twoich sławnych ekspertów wojennych powiada: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Verdun się nie podda”. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, Zofio Crawford. A weź pod uwagę zwycięstwa nad Sommą tego lata. Wielka ofensywa rozpoczęła się i Rosjanie trzymają

się doskonale. Generał Haig twierdzi, że oficerowie niemieccy, których wziął do niewoli, przyznają, iż przegrali wojnę.

- Nie można wierzyć temu, co mówią Niemcy - zaprotestowała kuzynka Zofia. - Nie ma sensu wierzyć ich słowom, Zuzanno Baker, tylko dlatego, że chcesz w to wierzyć. Anglicy stracili miliony ludzi pod Sommą i jak daleko zaszli? Trzeba patrzeć faktom prosto w oczy, Zuzanno Baker.

- W każdym razie zmietli Niemców, a w tym wypadku mniejsza o to, czy to się stało o kilka mil na wschód, czy na zachód. Nie jestem ekspertem wojennym - przyznała Zuzanna z wstrząsającą pokorą - lecz uważam, że mogłabyś trochę inaczej zapatrywać się na to wszystko. Hunowie nie pochłonęli jeszcze całej mądrości świata. Słyszałaś historię Aleksandra MacCalluma z Górnego Glen? Jest w niewoli niemieckiej i matka jego otrzymała od niego list w zeszłym tygodniu. Píše, że traktują go bardzo dobrze, że jeńcy mają mnóstwo pożywienia i że w ogóle w niewoli jest jak w raju. Lecz gdy podpisywał swe imię i nazwisko, zakończył je dwoma gaelickimi słowami: „Wszystko kłamstwo”, a niemiecki cenzor nie rozumie po gaelicku i był pewny, że tak brzmi pełne imię Aleksandra. Zostawię jednak sprawy wojenne generałowi Haigowi i zabiorę się do przystrajania mego czekoladowego tortu. Gdy będzie gotowy, postawię go na górnej półce. Ostatnio zrobiony umieściłam na niższej i Mały Kitchener wsunął się do kuchni i oczywiście zjadł mi cały krem. Mamy dzisiaj gości na kolacji, więc mój tort musi jakoś wyglądać.

- Czy ojciec tej biednej sierotki nie dał o sobie znaku życia? - zapytała kuzynka Zofia.

- Owszem, miałam od niego list w lipcu - odparła Rilla. - Twierdzi, że gdy tylko otrzymał wiadomość o śmierci żony i zabranii dziecka przeze mnie - pan Meredith, jak pani wie, mu o tym doniósł - napisał natychmiast, lecz ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, sądzi, że jego list musiał zaginać.

- Miał czas dojść do tego wniosku przez dwa lata - zauważyła Zuzanna z przekąsem. - Niektórzy ludzie myślą bardzo wolno. Jim Anderson wyszedł z opresji cało, chociaż dwa lata przesiedział w okopach. Głupcy zawsze mają szczęście, jak mówi stare przysłowie.

- Napisał bardzo sympatycznie o Jasiu i twierdzi, że chciałby go zobaczyć - mówiła Rilla. - Doniosłam mu wszystko o małym i posłałam mu jego fotografię. W przyszłym tygodniu Jaś kończy dwa lata i jest wspaniałym brzdącem.

- Kiedyś nie byłaś specjalną wielbicielką dzieci - wtrąciła kuzynka Zofia.

- Dzisiaj nie o wiele więcej je lubię, jeżeli chodzi o ogół - odparła Rilla szczerze. - Kocham jednak Jasia i muszę przyznać, że nie byłam znowu tak uradowana, jak powinnam, gdy otrzymałam list Jima Andersona, w którym pisze, że jest zupełnie zdrow i cały.

- Przecież nie pocieszałaś się chyba nadzieją, że biedak zostanie zabity! - zawołała Zofia z oburzeniem.

- Nie, nie! Myślałam tylko, że postara się zapomnieć o Jasiu, pani Crawford.

- Wówczas twój ojciec musiałby ponieść koszty wychowania małego - zauważyła kuzynka Zofia z naganą w głosie. - Obecna młodzież jest strasznie lekkomyślna.

W tej chwili Jaś we własnej osobie wbiegł do pokoju, a twarzyczka jego była tak różowa i promieniejąca zdrowiem, że nawet kuzynka Zofia musiała wyrazić swą pochwałę.

- Naprawdę wygląda teraz bardzo ładniutko, chociaż ma może zbyt wielkie kolorki, co nie oznacza pełnego zdrowia. Nigdy nie przypuszczałam, że będziesz umiała go tak wychować, i powiedziałam nawet o tym żonie Alberta. Oburzyła się na mnie i rzekła: „Bardziej wierzę w Rillę Blythe, niż przypuszczasz, ciotko Zofio”. To były jej słowa. Żona Alberta zawsze miała o tobie dobre zdanie.

Kuzynka Zofia westchnęła jakby akcentując, że żona Alberta jest całkowicie w swym zdaniu odosobniona” Niemniej jednak kuzynka Zofia bardzo lubiła Rillę na swój specyficzny sposób. Młodym dziewczętom nie wolno jednak okazywać zbytnej serdeczności, mogłyby prędko się zdeprawować.

- Czy pamiętasz powrót do domu z Latarni Morskiej przed dwoma laty? - szepnęła do Rilli Gertruda Oliver zaczepnie.

- Oczywiście, że pamiętam - uśmiechnęła się Rilla, a uśmiech jej był dziwnie senny i nieobecny. Pamiętała coś więcej jeszcze - tę godzinę spędzoną z Krzysztofem na wybrzeżu. Gdzie dzisiaj jest Krzyś? A Jim i Jerry, i Walter, i wszyscy inni chłopcy, którzy tańczyli i flirtowali w Latarni Czterech Wiatrów owego ostatniego wieczoru jej radości i szczęścia? Siedzą w wilgotnych okopach nad Sommą, wsłuchani w huk armat, w jęk rannych, i zapomnieli już prawie zupełnie o przecudnej melodii, którą grał im na skrzypcach Ned Burr. Dwaj spośród nich spali snem wiecznym w swych mogiłach we Flandrii - Olek Burr z Górnego Glen i Czesio Malley z Lowbridge. Inni leżeli ranni w szpitalach. Dotychczas nic się nie stało chłopcom z plebanii i chłopcom ze Złotego Brzegu. Może w całości i zdrowiu przetrwają tę wojnę.

Rumunia przyłączyła się do wojny, a Zuzanna doszła do wniosku, że król i królowa są najładniejszą parą, jaką widziała dotychczas na ilustracjach. Tak minęło lato. Na początku września przyszła wiadomość, że żołnierze kanadyjscy przetransportowani zostali nad Sommę, i w Glen zapanował większy niepokój. Po raz pierwszy pani Blythe zapadła na zdrowiu i doktor począł się sprzeciwiać jej pracy w Czerwonym Krzyżu.

- Ach, pozwól mi pracować, Gilberte - szeptała gorączkowo. - Gdy pracuję, mogę mniej myśleć, a gdy nic nie robię, wyobrażam sobie najgorsze rzeczy, które są po prostu dla mnie męczarnią. Przecież dwaj moi chłopcy biorą udział w tych krwawych walkach nad Sommą, a Shirley od rana do nocy wertuje literaturę lotniczą i nic n i e m ó w i . Widzę jednak postanowienie, płonące w jego oczach. Nie, nie mogę próżnować, nie wymagaj tego ode mnie, Gilberte.

Lecz doktor był nieubłagany.

- Nie mogę pozwolić na to, abys się zamęczała, Aniu - mówił. - Gdy chłopcy wrócą, to przecież muszą mieć zdrową i radosną matkę. Z dnia na dzień gorzej' wyglądasz. Skoro nie wierzysz, zapytaj Zuzannę.

- O, jeśli Zuzanna i ty staniecie przeciwko mnie! - westchnęła Ania bezradnie.

Pewnego dnia nadeszła radosna wiadomość, że Kanadyjczycy zajęli Courcelette i Martenpuich, zdobywając wielu jeńców i kilka dział. Zuzanna wywiesiła flagę, opowiadając wszystkim, że generał Haig poznał się jednak na dobrych żołnierzach. Nie wszyscy jednak tą wiadomością byli uradowani. Kto wie, za jaką cenę zdobyto tak ważne pozycje?

Rilla zbudziła się tego ranka, gdy szary świt zaglądał w jej okno. Z trudem uniosła ociężałe powieki. O świcie świat wyglądał całkiem inaczej niż zwykle. Powietrze było chłodne i wilgotne, a sad i Dolina Tęczy tchnęły jakąś tajemniczością. Nad pagórkami unosiła się srebrzysta mgła. Wiatru nie było. Rilla dosłyszała wyraźnie melancholijne wycie psa od strony stacji. Czyż to był Wtorek? Jeżeli tak, to dlaczego tak wył przeciągle? Rilla zadrżała, w wyciu tym było coś dziwnie smutnego, coś wzruszającego. Przypomniała sobie słowa panny Oliver, gdy wracały kiedyś wieczorem do domu i słyszały wycie psa: „Gdy pies tak wyje, anioł śmierci przelatuje nad nami”. Rilla nasłuchiwała z bijącym sercem. Tak, to był Wtorek, teraz wiedziała na pewno. Czyją śmierć tak opłakiwał, czyjej duszy przysyłał pozdrowienie?

Rilla wróciła do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Przez cały dzień oczekiwała z przerażeniem czegoś, nie mówiąc nic o tym nikomu. Poszła na stację, aby zobaczyć Wtorka.

- Ten pies państwa wył od północy do wschodu słońca - oświadczył zawiadowca stacji. - Nie wiem, co mu się stało. Żona moja nie” spała zupełnie, a ja wyszedłem, aby go uspokoić, lecz nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Siedział w poświacie księżyca na końcu peronu, co chwilę podnosił w górę łeb i wył, jakby mu się serce krajało. Nigdy dotychczas tego nie czynił, zawsze spał spokojnie w swojej budzie i nie ruszał się od pociągu do pociągu. Tej nocy jednak musiał coś przeczuwać.

Wtorek leżał w swojej budzie. Pokręcił ogonem i polizał dłoń Rilli, nie dotknął jednak śniadania, które mu przyniosła.

- Lękam się, że jest chory - rzekła Rilla z niepokojem. Nie miała sumienia odejść i pozostawić go samego. Żadne jednak przykre wiadomości nie nadeszły ani tego dnia, ani następnego. Niepokój Rilli powoli znikał. Wtorek nie był już więcej, obserwując, jak zwykle, przychodzące pociągi. Gdy kilka dni minęło, mieszkańcy Złotego Brzegu uczuli ulgę i poweseleli. Rilla krzątała się po kuchni, pomagając Zuzannie przy śniadaniu i nucąc tak radośnie, że kuzynka Zofia słyszała przez drogę ten jej śpiew i zwróciła się do pani Albertowej:

- „Śpiew przed jedzeniem, płacz przed spaniem”, tak mówili nasi ojcowie.

Lecz Rilla Blythe nie uroniła ani jednej łzy przed nocą. Gdy tego popołudnia przyszedł do niej ojciec o posiwiałych włosach i zmienionej twarzy i zakomunikował jej, że Walter został zabity podczas zdobywania Courcelette, zatoczyła się i bez przytomności padła w jego ramiona. W ciągu długich następnych godzin przytomność jej nie wróciła.

XXIII.

„A ZATEM, DOBREJ NOCY”

Blady płomień wojennego entuzjazmu, którym owładnięty był cały świat, zamieniał się powoli w garstkę tłących jeszcze popiołów. Młody organizm Killi prędzej zwyciężył rozpacz niż organizm jej matki. Przez długie tygodnie pani Blythe leżała, obezwładniona smutkiem i rozpaczą. Rilla doszła do wniosku, że mimo bólu w sercu musi dalej żyć, dopóki to życie jest jej przeznaczone. Poza tym czekało na nią mnóstwo roboty, bo Zuzanna przecież sama nie mogła wszystkiemu podołać. Dla dobra matki postanowiła wziąć się do czegoś. W dzień zachowywała pozory spokoju, lecz w nocy leżała w łóżku i płakała, aż wreszcie łez jej zabrakło i jakaś dziwna skamieniałość owładnęła nią zupełnie.

Przyłgnęła teraz jeszcze bardziej do panny Oliver, która ze wszystkich najlepiej ją rozumiała. Tak mało ludzi na ogół rozumie czyjś ból. Współczucie obcych, którym zdało się, że niosą swymi dobrotliwymi słowami ulgę, sprawiało Rilli ból jeszcze dotkliwszy.

- Przyzwyczaisz się do tej myśli - mówiła życzliwie pani Williamowa Reese. Pani Reese miała trzech dorodnych synów, z których żaden nie poszedł na wojnę.

- Całe szczęście, że to spotkało Waltera, a nie Jima - dodawała panna Salomea Clow. - Walter był członkiem kościoła, a Jim nigdy nie był zbyt pobożny. Niejednokrotnie namawiałam pana Mereditha, aby porozmawiał z Jimem poważnie przed wyjazdem jego na front.

- Mam nadzieję, że biedny Walter nie bardzo cierpiał przed śmiercią! Biedny, biedny Walter! - wzdychała pani Reese.

- Nie jest wcale biedny - wtrąciła, się Zuzanna, stając na progu kuchni i pragnąc przyjść z pomocą Rilli, która już dłużej nie mogła znieść tej rozmowy. - Nie był i nie jest biedny. Był bogatszy niż wy wszyscy. Nie tak, jak pani, która trzyma synów w domu. Oni są biedni, biedni i pozbawieni duszy. Biedni, chociaż posiadają majątek, wielkie stada, lecz dusze ich nie mają skrzydeł.

- Przyszłam tutaj, aby pocieszyć strapionych, a nie po to, aby mnie obrażano - oburzyła się pani Reese na wychodnym, nie żegnając się z nikim.

Po jej wyjściu Zuzanna umknęła do kuchni i wsparłszy głowę na stole, poczęła snuć gorzkie wspomnienia. Potem wróciła do roboty, zagadując od czasu do czasu małego Jasia. Rilla podziwiała Zuzannę za tę jej odwagę.

- Nie mogę pozwolić, abyś zamęczała się dla wojennego dziecka - mówiła Zuzanna z powagą.

- Całe szczęście, że mam chociaż jakąś pracę, Zuzanno - szlochała biedna Rilla. - Wolałabym wcale nie kłaść się w nocy. To takie straszne, gdy człowiek zasypia i zapomina o wszystkim, a potem nazajutrz budzi się i wspomnienie wraca na nowo. Czy ludzie do wszystkiego się przyzwyczajają, Zuzanno? Nie mogę zapomnieć słów, które wypowiedziała pani Reese. Czy Walter bardzo cierpiał? On zawsze był taki niewytrzymały na ból. Ach, Zuzanno, gdybym wiedziała, że nie cierpiał, dodałoby mi to siły.

Przeznaczenie chciało, że Rilla dowiedziała się wkrótce, jak ostatnie chwile swego życia przepędził jej ukochany brat. Nadszedł list od dowódcy Waltera, w którym ten donosił, że Walter został zabity od kuli podczas walk pod Courcelette. Tego samego dnia przybył list Waltera do Rilli.

Nie otwierając go Rilla pobiegła do Doliny Tęczy i dopiero tam, gdzie po raz ostatni rozmawiała serdecznie z bratem, przeczytała ten pośmiertny list od niego. Strasznie dziwne ma się uczucie, gdy czyta się list od kogoś, kto już nie żyje. Jest to uczucie goryczy i radości, dziwnie połączonych z sobą. Po raz pierwszy od chwili gdy się dowiedziała o śmierci Waltera, miała to niewytłumaczone wrażenie, że on jednak żyje jeszcze. Chłopak, który w wigilię swojej śmierci pod Courcelette pisał ten list, nie mógł przecież umrzeć od kuli niemieckiej.

Ruszamy do ataku jutro, Rillo-ma-Rillo - pisał Walter. - Wczoraj pisałem do mamy i Di, lecz coś mnie natchnęło, żeby jeszcze do ciebie napisać. Właściwie dzisiaj nie miałem zamiaru pisać do nikogo. Pragnę ci, siostrzyczko, powiedzieć niektóre rzeczy przed jutrem.

Ty i Złoty Brzeg jesteście dzisiaj dziwnie blisko przy mnie. Po raz pierwszy nie odczuwam dzielącej nas odległości. Zawsze dom wydawał mi się daleki, tak bezgranicznie daleki, oddzielony ode mnie smugą krwi i cierpień. Dzisiaj jest on tuż przy mnie, zdaje mi się, że nawet mogę go zobaczyć, że mogę usłyszeć twój głos. Widzę wyraźnie poświatę księżyca, opromieniającą wierzchołki pagórków. Musi być teraz jesień w domu, przystań tonie we mgle, a wzgórza dookoła Glen parują. Dolina Tęczy tonie w powodzi kwitnących astrów, które podczas dawnych dni nazywaliśmy „pożegnaniem lata”. Wolałem tę nazwę niż nazwę „astry” - była ona dla mnie bardziej poetyczna.

Rillo, wiesz, że miewałem zawsze jakieś wizje. Przypominasz sobie Srokatego Kobziarza - nie, ty tego pamiętać nie możesz - byłeś wówczas za młoda. Pewnego wieczoru, bardzo dawno temu, gdy Nan, Di, Jim i Meredithowie oraz ja siedzieliśmy w Dojinie Tęczy, nawiedziła mnie wizja, która była proroctwem dzisiejszych dni. Rillo, widziałem Kobziarza

idącego przez Dolinę, a za nim ciągnęła się smuga srebrzystego pyłu. Wszyscy obecni myśleli, że blaguję, ale ja naprawdę go widziałem w owej chwili. Wyobraź sobie, Rillo, że po raz drugi widziałem go wczoraj. Widziałem go, jak szedł przez pôle, od strony naszych okopów do okopów niemieckich, widziałem jego wysoką postać, jak trzymał kobzę, a za nim szły masy chłopców w mundurach. Rillo, powiadam ci, że go widziałem, to nie była fantazja. Słyszałem wyraźnie wygrywaną przez niego melodię, potem zniknął. Ale widziałem go i orientowałem się, co to znaczy, orientowałem się, że ja jestem wśród tych, którzy idą za nim.

Rillo, Kobziarz zagra mi melodię śmierci jutro. Czuję to na pewno. Wyobraź sobie, że nie lękam się wcale. Gdy dowiesz się o tym, że zostałem zabity, przypomnij sobie moje słowa. Zdobyłem tutaj w okopach swą wolność, uwolniłem się od lęku. Nigdy już lękać się nie będę - nawet śmierci, nawet życia, jeżeli będę żył dalej. Życie może byłoby dla mnie trudniejsze, bo nigdy już nie będzie posiadało dawnego piękna. Lecz czy mi życie sędzone, czy śmierć, nie lękam się, Rillo-ma-Rillo, i nie jest mi przykro, że tutaj przyszedłem. Jestem zadowolony. Nigdy nie będę już pisał poezji, o czym marzyłem niegdyś, lecz pomogłem wywalczyć w Kanadzie prawa dla poetów przyszłości dla poetów i marzycieli nie tylko Kanady, ale całego świata. Tak, zadowolony jestem, że tu przyszedłem, Rillo. Walczymy wszyscy za przyszłość i zwyciężymy, nie wolno o tym wątpić ani przez chwilę, Rillo. Bo nie tylko żywi walczą - umarli walczą także. Armia umarłych nie może zostać przez nikogo zwyciężona.

Czy na twarzy twej błądzi uśmiech, Rillo? Mam nadzieję, że tak. Światu potrzebny jest śmiech i odwaga ostatnio bardziej niż niegdyś. Nie mam zamiaru prawić kazań, to nigdy nie było moją specjalnością. Pragnę tylko coś ci powiedzieć, co może ci być pomocne w tych dniach najgorszych, kiedy dowiesz się, że ja nie żyję. O tobie myślę równie często, jak o samym sobie. Sądzę, że Krzys wróci do ciebie i że rozpoczną się dla was długie lata szczęścia. Opowiesz swym dzieciom o ideałach, za które walczyliśmy, za które umieramy - nauczysz ich, aby żyli również dla tych ideałów. To będzie twoją misją, Rillo. Jeżeli ty i wszystkie dziewczęta spełnicie tę 'misję, my, którzy do domu już nie wrócimy, uświadomimy sobie, żeście nie zawiodły naszych nadziei.

Chciałem napisać dzisiaj do Uny, ale nie mam już czasu. Przeczytaj jej ten list i powiedz, że pisząc go, miałem na myśli ją i ciebie, was dwie najdroższe, najcenniejsze dziewczyny. Jutro, gdy wyruszymy do ataku, będę myślał o was - o twoim uśmiechu, Rillo-ma-Rillo, i o odwadze pałającej w oczach Uny. Wiem, że obydwie zachowacie wiarę - ty i Una. A zatem - dobrej nocy. O świcie ruszamy do ataku.

Rilla przeczytała ten list kilka razy. Nowy blask rozjaśnił jej bladą twarzyczkę, gdy wreszcie wstała, mając dookoła siebie astry, które Walter tak kochał, ozłoczone promieniami jesiennego słońca. Na chwilę wreszcie opuścił ją ból samotności.

- Nie zawiodę wiary, Walterze - rzekła stanowczo. - Będę pracować - będę uczyć innych i siebie - będę się śmiać, tak, będę się śmiać przez wszystkie te lata z myślą o tobie, coś poszedł za melodią Srokatego Kobziarza.

Rilla zamierzała zachować list Waltera jako swój najdroższy skarb. Lecz widząc zmienioną twarzyczkę Uny Meredith, która przeczytała ów list, od razu zmieniła zamiar. Czyż mogła jej ten list oddać? O, nie, nie mogła się przecież wyzbyć tej ostatniej pamiątki po Walterze, jego ostatniego listu. Chyba to nie było z jej strony samolubstwem. Ale Una, której pozostało tak mało, w której oczach płonął taki ogień rozpacz, która jednak zdobywała się na to, aby nie płakać...

- Uno, czy chciałabyś... zachować ten list? - zapytała Rilla.

- Owszem... jeżeli zechcesz mi go oddać - odparła Una szeptem.

- To weź go sobie.

- Dziękuję. - To było wszystko, co Una powiedziała, lecz w głosie jej brzmiało coś takiego, że Rilla nie żałowała już swego poświęcenia.

Una Meredith wzięła list, a gdy Rilla odeszła, przycisnęła go mocno do poblaskłych warg. Wiedziała, że miłości nie zazna już w życiu, miłość została pogrzebana w wilgotnej ziemi „gdzieś we Francji”. Tylko ona o tym wiedziała i może Rilla. Nikt inny nigdy się nie dowie. Nie miała nawet prawa obnosić swego smutku po świecie. Musiała kryć swoje cierpienie i oddawać mu się tylko w samotności. Ale i ona przez całe życie zachowała wiarę.

XXIV.

MARY ZJAWIA SIĘ W SAMĄ PORE

Jesień roku 1916 była okresem pełnym goryczy dla Złotego Brzegu. Powrót pani Blythe do zdrowia postępował bardzo wolno, nic więc dziwnego, że smutek gościł w sercach wszystkich. Każdy starał się ukryć ten smutek przed innymi i „znieść go w samotności” dzielnie. Rilla śmiała się nawet od czasu do czasu. Nikogo na Złotym Brzegu nie oszukał ten jej śmiech, który pochodził raczej z ust niż z serca. Lecz niektórzy z boku patrzący ludzie mówili o nastroju Rilli bardzo szeroko, a Irena Haward zaznaczała, że zdziwiona jest tym, że Rilla przyjmuje wszystko lekko.

- Po co była ta poza bezgranicznego przywiązania do Waltera, skoro nie wzięła sobie wcale do serca jego śmierci? Nikt nie widział łez w jej oczach, nikt nie słyszał, aby wymieniła kiedykolwiek jego imię. Najprawdopodobniej już dawno o nim zapomniała. Biedny chłopak, byłam pewna, że rodzina bardziej odczuje jego stratę. Mówiłam o nim z Rillą na ostatnim zebraniu Czerwonego Krzyża. Wspominałam, jaki był dzielny i odważny, i zaznaczyłam, że teraz już nie ma dla mnie życia, skoro Walter umarł. Byliśmy takimi przyjaciółmi, przecież ja byłam tą pierwszą osobą, której powiedział, że się zaciągnął do wojska. A Rilla odpowiedziała mi na to tak chłodno i obojętnie, jakby mówiła o kimś obcym: „Był jednym z wielu odważnych i nieprzeciętnych chłopców, którzy oddali wszystko dla swej ojczyzny”. Chciałabym umieć patrzeć tak spokojnie na pewne rzeczy, ale ja już jestem inna. Jestem zbyt wrażliwa i niektóre rzeczy za bardzo mnie przejmują. Nie potrafię się otrząsnąć. Zapytałam Rillę, dlaczego nie nosi żałoby po Walterze. Odparła, że matka jej tego sobie nie życzy. Wszyscy na to patrzą ze zdziwieniem.

- Rilla przecież nie ubiera się jaskrawo, zawsze nosi białe sukienki - zaprotestowała Basia Meade.

- Widocznie w białym kolorze bardziej jej do twarzy - zauważyła Irena z naciskiem. - Wiemy wszyscy, że czarny kolor nie pasowałby do jej urody. Nie mówię, że z tej przyczyny nie nosi żałoby. Ale w każdym razie to jest dziwne. Gdyby mój brat umarł, nosiłabym głęboką żałobę. Nie miałabym sumienia ubierać się na jasno. Muszę przyznać, że rozczarowałam się bardzo do Rilli Blythe.

- Ja tam nie! - zawołała Basia Meade z płonącym wzrokiem. - Uważam, że Rilla jest niezwykle dziewczyną. Przyznaję, że przed kilku laty była strasznie próżna i trzpiotowata, lecz ostatnio ogromnie się zmieniła. Wątpię, czy w całym Glen znajdzie się druga dziewczyna

tak mało samolubna i poważna jak Rilla. Nasz Młody Krzyż rozpadłby się w gruzy, gdyby nie jej cierpliwość i zapas prawdziwego entuzjazmu. Sama zdajesz sobie doskonale z tego sprawę, Ireno.

- Ależ ja nie mam nic przeciwko Rilli - rzekła Irena otwierając szeroko oczy. - Krytykuję tylko jej uczucia. Prawdopodobnie ona niewinna temu. Każda z nas przyzna, że Rilla jest urodzoną organizatorką. Organizacja wszelka jest jej żywiołem, a takich ludzi nam potrzeba. Nie patrz tak na mnie, jakbym powiedziała coś obraźliwego, Basiu. Gotowa jestem przyznać ci słuszność, że Rilla jest uosobieniem wszelkich cnót, jeżeli taki pogląd mój ma ci sprawić przyjemność. Cnotą jest również zachowywanie obojętności w obliczu ciosu, który złamałby każdą z nas.

Niektóre z uwag Ireny doszły do wiadomości Rilli, lecz nie dotknęły one jej do takiego stopnia, jak niegdyś. Nie posiadały dla niej w tej chwili żadnego znaczenia. Życie było zbyt ciężkie, aby mieć czas na zwalczanie obraźliwych plotek. Miała tyle tematów do rozmyślań i tyle roboty! Podczas tych długich, ciężkich dni i tygodni jesiennych nabrała najwięcej przekonania do pracy. Wieści z wojny nadchodziły coraz gorsze, bo Niemcy przechodzili od zwycięstwa do zwycięstwa nad biedną Rumunią.

- Cudzoziemcy, cudzoziemcy - mruzczała Zuzanna z powątpiewaniem. - Rosjanie czy Rumuni, wszystko jedno, kto by to był, są cudzoziemcami i nie można mieć do nich zbyt wiele zaufania. Ale po Verdun nie straciłam jeszcze nadziei. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, droga pani doktorowo, czy Dobrudza jest rzeką, górą czy zjawiskiem atmosferycznym?

Wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych odbyły się w listopadzie i Zuzanna nie mogła otrząsnąć się z podniecenia.

- Nigdy nie myślałam, że dożyję takiej chwili, kiedy zainteresują mnie wybory jankesów, droga pani doktorowo. Świadczy to, że nigdy nie wiadomo, do czego dojdziemy na świecie i co nas będzie zaniepokajało.

Wieczorem jedenastego listopada Zuzanna długo siedziała w jadalni, zajęta niby wykańczaniem ostatniej pary skarpetek. W istocie jednak telefonowała do sklepu Cartera Flagga po informacje, a gdy nadeszły pierwsze komunikaty o tym, że Hughes został wybrany, wkroczyła uroczyście na górę do sypialni pani Blythe i zameldowała wzruszonym szeptem, stając u wezłowania łóżka:

- Pomyślałam, że jeżeli pani nie śpi jeszcze, to będzie pani wynikiem zaniepokojona. Uważam, że stało się dobrze. Może on nareszcie przestanie pisać te idiotyczne noty, droga pani doktorowo. Nigdy nie darzyłam specjalną sympatią takich brodaczy, ale nie mogę żądać za wiele.

Gdy nazajutrz rano przyszła sprawdzona już wiadomość, że jednak Wilson został ponownie wybrany, Zuzanna udawała, że nie zmartwiła się tym zupełnie.

- Lepszy już głupiec, którego się zna, niż głupiec nieznany, mówi stare przysłowie - zauważyła pogodnie. - Nie znaczy to, że mam Wilsona za głupca, chociaż sądząc z ostatnich jego czynów, stanowczo niepotrzebnie się urodził. Ale potrafi świetnie pisać noty, a nie mieliśmy pewności, czy Hughes posiada ten talent. W każdym razie jankesi wykazali trochę zdrowego rozsądku. Kuzynka Zofia pragnęła, aby wybrano Roosevelta, ale jakoś nie posiadał żadnych szans. Ja również nie miałabym nic przeciwko temu, lecz Wszechmocny wie, co robi.

Zuzanna była przejęta najwyższą radością, gdy upadł gabinet Asquitha i tekę premiera objął Lloyd George.

- Nareszcie stanął na czele mądry człowiek, droga pani doktorowo. Modliłam się o to już od dawna. Teraz wkrótce ujrzymy błogosławioną zmianę. Sądzę, że możemy uważać wojnę za wygraną bez względu na to, czy Bukareszt podda się, czy nie.

Bukareszt poddał się - i Niemcy zaproponowali pertraktacje pokojowe. Zuzanna nie chciała słyszeć o tej propozycji. Gdy prezydent Wilson wysłał sławetną grudniową notę pokoju, Zuzanna szalała z gniewu.

- Woodrow Wilson proponuje pokój, zupełnie zrozumiałe. Najpierw Henry Ford starał się o to, a teraz Wilson. Pokój nie może być zawarty przy pomocy atramentu, panie Wilson, musi się pan z tym liczyć - mówiła Zuzanna wymachując groźnie dłońmi biednemu prezydentowi przez otwarte okno w kuchni, które było podobno bliżej Stanów Zjednoczonych. - Lloyd George w swej przemowie wyjaśni Kaiserowi, jak rzeczy stoją.

- Jaka szkoda, że prezydent Wilson nie może cię usłyszeć, Zuzanno - wtrąciła Rilla z uśmiechem.

- Istotnie, Rillo, szkoda, że nie ma przy sobie nikogo, kto by mu mógł dawać dobre rady. Na pewno nie ma nikogo takiego pośród swoich demokratów i republikanów. Nie orientuję się, jaka jest różnica między tymi dwoma partiami, bo dla mnie polityka jankesów jest zagadką. Ale o ile wiem, wszyscy oni są jednego diabła warci.

Jestem szczęśliwa, że Boże Narodzenie już minęło - pisała Rilla w swym pamiętniku w ostatnim tygodniu śnieżnego grudnia. - Wszyscyśmy się bali tego pierwszego Bożego Narodzenia od Courcellette. Na Wigilii na szczęście byli Meredithowie i nikt nie udawał wesołości. Byliśmy wszyscy spokojni i przyjaźnie wzajemnie usposobieni. Jestem również ogromnie szczęśliwa, że Jaś czuje się lepiej, choć jeszcze niezupełnie dobrze. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiała odczuwać prawdziwe zadowolenie, jak dawniej. Wydaje mi się, że

zadowolenie zostało we mnie zabite tą samą kulą, która przeszła serce Waltera. Może przyjdzie dzień, kiedy zrodzi się w mej duszy jakiś nowy rodzaj zadowolenia, lecz to dawne nigdy nie ożyje na nowo.

Zima nastąpiła bardzo wcześnie w tym roku. Na dziesięć dni przed świętami mieliśmy wielką zamieć śnieżną, jakiej nie pamiętamy już od dawna. Zamieć ta jednak była prologiem tego, co stać się miało. Następnego dnia zarówno Złoty Brzeg, jak i Dolina Tęczy wyglądały prześlicznie z drzewami pokrytymi śniegiem, które tworzyły krajobraz prawdziwie bajkowy. Ojciec i mama pojechali do Avonlea. Ojciec sądził, że zmiana dobrze zrobi mamie, a chcieli przy tym odwiedzić biedną ciotkę Dianę, której syn Jock został ciężko ranny przed kilku tygodniami. Pozostawili mnie i Zuzannę na gospodarstwie, ojciec zaś zamierzał wrócić zaraz nazajutrz. Znam już te zamiary, nigdy nie wraca przed upływem tygodnia. Tej samej nocy burza rozpętała się na nowo i trwała bez ustanku cztery dni. Była to najdłuższa i najstraszniejsza burza, jaką Wyspa Księcia Edwarda pamięta od wielu lat. Wszystko się zdeorganizowało - drogi były formalnie zasypane, pociągi nie kursowały, a druty telefoniczne zamrzły na amen.

I wtedy właśnie Jaś zachorował.

Był już trochę przeziębiony, gdy rodzice wyjeżdżali, a po kilku dniach pogorszyło mu się jeszcze, lecz mnie nie przyszło na myśl, że może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo. Nie mierzyłam mu nawet gorączki, czego nie mogę sobie wybaczyć, bo przecież to była z mojej strony szalona lekkomyślność. Prawdę powiedziawszy był to okres, kiedy całkowicie upadłam na duchu. Ponieważ mamy nie było, mogłam oddać się zupełnie rozpacz. Byłam już zmęczona tym ciągłym udawaniem wesołości i teraz odpoczywałam leżąc całymi dniami na łóżku i tonąc we łzach. Zaniedbałam nawet Jasia - okazałam się tchórzem, mimo przyrzeczenia danego Walterowi - i gdyby Jaś umarł, nigdy bym tego sobie nie wybaczyła.

Na trzeci dzień po wyjeździe rodziców Jasiowi pogorszyło się jeszcze bardziej i coraz bardziej. Byłyśmy zupełnie same z Zuzanną. Gertruda wyjechała do Lowbridge jeszcze przed burzą i oczywiście nie mogła wrócić. Z początku nie byłyśmy bardzo przerażone, bo przecież Jaś miał już kilka razy krup i przy pomocy metody Morgana obydwie z Zuzanną dawałyśmy sobie zawsze jakoś radę. Lecz wkrótce zaniepokoiłyśmy się bardzo.

„Takiego krupu jeszcze nigdy w życiu nie widziałam” - mówiła Zuzanna.

Co do mnie, to wiedziałam, niestety za późno, jaki to krup. Wiedziałam, że nie jest to taki zwykły krup - „fałszywy krup”, jak nazywają lekarze - lecz krup „prawdziwy” - bardzo niebezpieczny i prawie zawsze kończący się śmiercią. Ojca nie było, a najbliższy doktor

mieszkał w Lowbridge. Nie mogłam nawet telefonować i żadna furmanka nie mogła się przedrzeć przez zaspyane drogi.

Mały Jaś stoczył zaciętą walkę o swe młode życie. Obydwie z Zuzanną próbowałyśmy wszystkich środków, które znalazłyśmy u ojca, lecz Jaś czuł się coraz gorzej. Serce się krajało, patrząc na niego i słuchając jego ciężkiego oddechu. Oddychał z trudem, biedactwo, a twarzyczka jego miała barwę sinożółtą i wyciągał rączkę, jakby błagając nas o ratunek. Przylapałam się na myśli, że chłopcy otruci gazami na froncie musieli tak samo wyglądać, i jeszcze bardziej zaniepokoiłam się o Jasia. Z każdą minutą rosło mu coś w gardle i tamowało oddech.

Po prostu szalałam z rozpaczy! Dopiero w owej chwili zorientowałam się, jak bardzo kocham Jasia. Byłam jednak zupełnie bezradna. Walczyłyśmy z Zuzanną przeciw ukrytemu wrogowi, nie posiadając żadnej realnej broni, tak jak biedni Rosjanie, którzy gołymi rękami chcieli zwalczyć niemieckie karabiny maszynowe.

Wreszcie Zuzanna straciła wszelką nadzieję.

„Nie zdołamy go uratować! Ach, żeby twój ojciec był tutaj! Spójrz na to biedne maleństwo! Nie mam pojęcia, co robić”

Spojrzałam na Jasia i byłam przekonana, że umiera. Zuzanna wyjęła go z kołyski, aby mógł łatwiej oddychać, lecz mam wrażenie, że nie przyniosło mu to żadnej ulgi. Moje biedne wojenne maleństwo ze swą słodką twarzyczką dusiło się teraz w naszych oczach, a my nie mogłyśmy mu pomóc niczym. I jaką wartość miała ta nasza rozpacz? Jaś umierał jedynie z mojej winy - dlatego, że zupełnie przestałam o niego dbać!

Nagle o jedenastej w nocy zadźwięczał dzwonek u drzwi. Taki przeraźliwy dzwonek, który echo roznosi po domu, mimo szalejącej burzy na dworze. Zuzanna nie mogła pójść otworzyć, bo trzymała na kolanach Jasia, więc ja sama zbiegłam na dół. W hallu zatrzymałam się na chwilę, opanowana jakimś dziwnym lękiem. Przypomniałam sobie historię, którą mi niegdyś opowiadała Gertruda. Jedna z jej ciotek była pewnej nocy sama w domu czuwając przy łóżku chorego męża. Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Gdy poszła i drzwi uchyliła, nikogo za progiem nie było. Lecz gdy otworzyła drzwi, powiew śmiertelnie zimnego wiatru wpadł do wnętrza i popłynął prosto na górę, jakby na dworze panowała mroźna zima. W tej samej chwili ciotka Gertrudy usłyszała czyjś płacz. Gdy wbiegła na górę do pokoju, zastała już swego męża nieżywego. Uwierzyła w to, jak twierdzi Gertruda, że wówczas, gdy otworzyła drzwi, wpuściła do mieszkania Śmierć.

Właściwie mnie samą zdziwił ten paniczny przestach. Byłam jednak tak zdenerwowana i wyczerpana, że nie miałam siły w pierwszej chwili drzwi otworzyć, lękając

się, że za progiem czeka Śmierć. Potem pomyślałam, że szkoda czasu i nie trzeba być przesadną, pobiegłam i drzwi otworzyłam.

Istotnie zimny wiatr wniknął do wnętrza i przepełnił cały hall mroźnym powietrzem. Lecz na progu ujrzałam, postać z krwi i kości. Była to Mary Vance opatulona od stóp do głowy, a przyniosła ona z sobą Życie, nie Śmierć, aczkolwiek w owej chwili jeszcze o tym nie wiedziałam. Stałam tylko i gapiłam się.

„Nie możesz mnie wyrzucić - uśmiechnęła się Mary wchodząc i zamykając za sobą drzwi. - Przyszłam przed dwoma dniami do Cartera Flagga i zamieć mnie tam zaskoczyła. Stara Agata Flagg tak mi już działa na nerwy, że za wszelką cenę postanowiłam się stamtąd wydostać i przyjść do was. Ta moja podróż nie była taka łatwa, jak ci się zdaje. Chwilami myślałam, że już nie dojdę. Po prostu psia pogoda!”

Wróciłam do rzeczywistości i pomyślałam, że muszę biec na górę. Pośpiesznie wyjaśniłam to Mary i zostawiłam ją samą w hallu, bo otrząsała się ze śniegu. Na górze przekonałam się, że Jaś przetrwał jakiś straszny atak, lecz po chwili następny atak schwytał go znowu w swoje kleszcze. Pochyliłam się nad nim i załamalam ręce. Byłam po prostu nieprzytomna i potrafiłam tylko rozpaczać i płakać. Ach, jak się wstydzą teraz, gdy pomyślą o tym! Co miałam jednak robić, próbowaliśmy już wszystkiego. Nagle w pewnej chwili usłyszałam głos Mary Vance tuż za sobą: „Przecież to dziecko umiera!”

Odwróciłam się do niej z wściekłością. Czyż nie wiedziałam, że on umiera, mój mały Jaś? Chętnie wyrzuciłabym Mary Vance przez okno w owej chwili. Stała przy mnie chłodna i zrównowazona, spoglądając na moje dziecko swymi niesamowicie białymi oczami, jakby patrzyła na duszące się kocią. Nigdy nie lubiłam Mary Vance, ale tej nocy po prostu jej nienawidziłam.

„Próbowaliśmy już wszystkiego - rzekła Zuzanna. - To nie jest zwykły krup”.

„To nie jest krup, tylko dyfteryt - rzekła Mary szorstko, sięgając po fartuch. - Nie ma ani chwili do stracenia. Ja wiem, jak na to poradzić. Gdy mieszkałam za portem u pani Wiley przed laty, dziecko Williama Crawforda umierało na dyfteryt, chociaż wezwano kilku doktorów. Gdy stara ciotka Krystyna MacAllister dowiedziała się o tym, powiedziała, że może go uratować babskim lekarstwem. Ale dziecko umarło przed jej przyjściem. Opowiadała potem pani Wiley, jakie to było lekarstwo, a ja oczywiście wszystko dokładnie sobie zapamiętałam. Mam doskonałą pamięć. Zawsze przechowuję wszystko w głowie, dopóki nie nadejdzie chwila, kiedy mogę mieć z tego jakiś użytek. Czy jest w domu siarka, Zuzanno?”

Owszem, mieliśmy siarkę. Zuzanna zeszła na dół z Mary po siarkę, a ja tymczasem trzymałam Jasia. Nie miałam absolutnie nadziei. Mary Vance może błagować, ile chce -

zawsze blagowała - ale ja nigdy nie uwierzę, że jakieś babskie lekarstwo może uratować Jasia. Po chwili Mary wróciła. Przywiązała dokoła swych ust kawałek grubej flaneli i niosła w ręku starą patelnię Zuzanny, napelnioną tłącymi węglami.

„Podziwiał - rzekła dumnie. - Nigdy tego nie robiłam, ale wiem, jak to się robi. Pomoże albo nie pomoże, w każdym razie to dziecko i tak umiera”.

Wsypała łyżkę siarki na rozpalone węgle, po czym podniosła Jasia, pochyliła go nad patelnię twarzą w dół, tuż nad płonącymi węglami. Nie wiem, dlaczego wtedy nie podskoczyłam i nie odebrałam jej Jasia. Zuzanna twierdzi, że tylko dlatego, iż całkiem podświadomie wierzyłam w pomoc Mary, a sama w owej chwili byłam zupełnie bezradna. Nawet Zuzanna wyglądała jak zahipnotyzowana, obserwując Mary od progu. Jaś wisił się w silnych ramionach Mary, dusił się i kaszlał. Czułam, że znosi nieludzkie tortury. A potem nagle, po chwili, która mnie się wydała godziną, odkaszlnął i wypluł cały kłęb flegmy, który go dusił. Mary podniosła go i położyła w łóżeczku. Twarzyczkę miał bladą jak marmur, a łzy płynęły mu po policzkach, lecz ten straszny wyraz oczu zniknął i Jaś zaczął oddychać swobodnie.

„Czyż to nie był świetny kawał? - rzekła Mary wesoło. - Nie miałam pojęcia, czy się uda, lecz postanowiłam spróbować. Przewietrzę mu jeszcze gardło raz czy dwa razy do rana, aby zabić wszystkie zarodki, lecz zobaczysz, że teraz wszystko będzie dobrze”.

Jaś zasnął spokojnie i oddychał równomiernie. Mary „przewietrzyła go” jeszcze dwukrotnie w ciągu nocy, a gdy nadszedł ranek, Jaś miał gardło zupełnie czyste i temperaturę prawie normalną. Gdy upewniłam się o tym, spojrzałam na Mary Vance. Siedziała na kanapie obok Zuzanny i opowiadała jej jakąś historię, którą prawdopodobnie Zuzanna słyszała już ze czterdzieści razy. Nie zastanawiałam się teraz nawet nad tym, czy Mary mówiła prawdę, czy blagowała. Miała prawo blagować, bo przecież uratowała Jasia od straszliwej śmierci. Mniejsza o to, że niegdyś goniła mnie przez całe Glen z suszonym sztokfiszem, mniejsza o to, że nazwała śmiesznymi moje marzenia owej nocy podczas zabawy w Latarni Morskiej, mniejsza o to, że największą jej rozkoszą było rozsiewanie plotek. Nigdy już nie uczuję antypatii do Mary Vance. Zbliżyłam się i pocałowałam ją.

„Co ci się stało?” - zapytała.

„Nic, tylko jestem ci wdzięczna, Mary”.

„Wcale się nie dziwię. Dzieciak umarłby na waszych rękach, gdybym się w porę nie zjawiła” - rzekła Mary pękając wprost z dumy.

Potem przygotowała dla mnie i dla Zuzanny doskonale śniadanie i zmusiła nas do jedzenia, i komenderowała nami przez dwa dni, aż drogi były przetarte i Mary mogła wrócić

do domu. Jaś przez ten czas powrócił prawie zupełnie do zdrowia, jeszcze przed przyjazdem ojca. Ojciec wysłuchał naszego opowiadania w milczeniu.

Zapatrjuje się zazwyczaj dość sceptycznie na wszelkie tak zwane „babskie środki”. Roześmiał się tylko i rzekł: „Po tym wszystkim Mary Vance zażąda, bym ją wzywał na konsylia w niebezpiecznych wypadkach”.

Tak minęło Boże Narodzenie i na szczęście zakończyło się lepiej, niż przypuszczałam. Teraz zbliża się Nowy Rok, a my ciągle mamy nadzieję, że „Wielka Ofensywa” zakończy wreszcie wojnę. Biedny Wtorek dostał reumatyzmu w swej wilgotnej budzie, lecz postanowił również „wytrwać”. Shirley zaczytuje się całymi dniami opisami o lotnikach. Ach, roku 1917, co nam ze sobą przyniesiesz?

XXV.

I SHIRLEY POSZEDŁ

Nie, panie Woodrow, nie będzie pokoju bez zwycięstwa - rzekła Zuzanna, przekłuwszy grubą igłą imię prezydenta Wilsona widniejące na pierwszej stronie gazety. - My, Kanadyjczycy, pragniemy pokoju, lecz jednocześnie pragniemy zwycięstwa. Panu, panie Woodrow, wystarczy pokój bez zwycięstwa - i Zuzanna położyła się tego wieczoru do łóżka z przyjemną świadomością, że dogadała prezydentowi. Lecz w kilka dni później przybiegła do pani Blythe w najwyższym podnieceniu.

- Droga pani doktorowo, co pani na to? Z Charlottetown przyszła telefoniczna wiadomość, że Woodrow Wilson posłał tego niemieckiego ambasadora do wszystkich diabłów. Powiadają, że to oznacza wojnę. Zaczynam już sądzić, że jednak serce Woodrowa leży na właściwym miejscu, chociaż z głową jego nie jest tak dobrze, jak nam się zdawało, i z tej okazji upiekę jakąś leguminę, może czekoladową, mimo tych wiecznych utyskiwań w biurze zaopatrzenia. Powiedziałam kuzynce Zofii o tym, gdy mi zaznaczyła, że takie posunięcie Wilsona jest początkiem końca koalicji.

- Nie wspominaj nawet przed doktorem o leguminie czekoladowej - powiedziała Ania z uśmiechem. - Wiesz przecież, jak przestrzega przepisów, od kiedy rząd zażądał od nas oszczędności.

- Tak, droga pani doktorowo, mężczyzna musi być panem w swoim domu, a kobiety muszą ślepo słuchać jego rozkazów. Pochlebiam sobie, że wykazałam duże kwalifikacje w oszczędzaniu, ale tu i ówdzie trzeba zrobić mały wyłom. Shirley marzył niedawno o mojej leguminie czekoladowej i powiedziałam mu, że pierwsze zwycięstwo ufetuję w ten sposób. Uważam, że te wiadomości równają się zwycięstwu, a czego doktor nie wie, to go i nie rozgniewa. Ja biorę na siebie całą odpowiedzialność, droga pani doktorowo, tak że nie potrzebuje pani obarczać swego sumienia.

Zuzanna tej zimy bezwstydnie rozpieszczała Shirleya. Przyjeżdżał do domu z Królewskiej Akademii co tydzień na niedzielę i Zuzanna pitasiła najlepsze smakołyki dla niego, gdy tylko udało jej się zwieść doktora.

Pewnego dnia Shirley, siedząc na końcu stołu w jadalni i wymachując nogami, piękny, zdrowy okaz chłopca od stóp do głów, odezwał się chłodno:

- Mamo i ojciec, w zeszły poniedziałek skończyłem osiemnaście lat. Czy nie uważacie, że powinienem już pójść do wojska?

Matka spojrzała nań z pobladłą twarzą.

- Dwaj moi synowie już poszli, a jeden z nich nigdy nie powróci. Czy ciebie również muszę oddać, Shirley?

Stary biblijny okrzyk: „Józefa nie ma i Symeona nie ma, a chcecie jeszcze zabrać mi Beniamina”. Wszystkie matki podczas tej Wielkiej Wojny powtarzały mimo woli pełen narzekania okrzyk starego patriarchy sprzed tylu tysięcy lat.

- Chciałabyś, żebym był łązikiem, mamó? Pragnę wstąpić do lotnictwa. Co ty na to, ojcze?

Ręce doktora drżały nieco, gdy nasypywał proszki zlecone Agacie Flagg na reumatyzm. Doktor wiedział, że ta chwila nastąpi, ale nie był na nią zupełnie przygotowany. Odrzekł bezdźwięcznie:

- Nie chcę ci przeszkadzać, skoro uważasz, że to jest twoim -obowiązkiem. Lecz nie wolno ci pójść, dopóki matka ci nie pozwoli.

Shirley nie rzekł nic więcej. Nie należał do tych chłopców, którzy tracą na próżno słowa. Ania również nic więcej nie powiedziała. Myślała o mogile małej Joyce, na starym cmentarzu za portem - małej Joyce, która teraz byłaby dorosłą kobietą, gdyby żyła - o białym krzyżu we Francji i o szarych oczach małego chłopca, który odbywał pierwszą lekcję o swych obowiązkach na kolanach matki - o Jimie przebywającym w okopach, o Nan, Di i Rilli, trwających w oczekiwaniu, wciąż czekających, gdy tymczasem złote lata młodości szybko mijały. I zastanawiała się, czy będzie mogła znieść jeszcze jeden taki cios. Podczas tej wojny ofiarowała i tak wiele.

Jednakże tego samego wieczoru powiedziała Shirleyowi, że może pójść.

Zuzannie nic jeszcze nie mówiono. Nie wiedziała o niczym do następnego tygodnia, kiedy Shirley zaprezentował jej się w kuchni w mundurze lotnika. Zuzanna nie czyniła awantur takich, jak wtedy kiedy Jim i Walter szli na wojnę. Rzekła tylko przyciszonym głosem:

- Więc i ciebie zabierają.

- Zabierają? Nie. Sam idę, Zuzanno.

Zuzanna usiadła przy stole, złożyła swe pomarszczone dłonie, którymi tyle dobrego zrobiła dla dzieci ze Złotego Brzegu, i usiłując powstrzymać ich drżenie powiedziała:

- Tak, musisz iść. Dawniej nie rozumiałam tego, teraz rozumiem.

- Jesteś wspaniała, Zuzanno - rzekł Shirley. Spokój jej przyniósł mu ulgę, lękał się trochę jakiejś płacziwej sceny. Wyszedł z kuchni, gwiżdżąc wesoło, lecz gdy w pół godziny

potem do kuchni weszła pani Blythe, Zuzanna siedziała jeszcze na tym samym miejscu, a nie umyte naczynia stały dokoła niej.

- Droga pani doktorowo - rzekła. - Widocznie jestem już bardzo stara. Jim i Walter należeli do pani, Shirley jest mój. Nie mogą znieść myśli, że mój chłopak będzie latał w powietrzu, że maszyna spadnie na ziemię, że Shirley się zabije, ten mały Shirley, którego piastowałam i kołysałam, gdy był niemowlęciem.

- Zuzanno... daj spokój! - zawołała Ania.

- O, droga pani doktorowo, proszę mi wybaczyć. Nie powinnam była wypowiadać na głos swych myśli. Chwilami zapominam, że postanowiłam być bohaterką. To... to mnie trochę wyprowadziło z równowagi. Ale więcej już się nie zapomnę. Tylko jeżeli w kuchni przez kilka dni nie będzie takiego porządku, jak zwykle, to chyba mi pani wybaczy, W każdym razie - dodała biedna Zuzanna siląc się na uśmiech - w każdym razie lotnictwo jest czystym zajęciem. Shirley nie będzie się tak brudził i błocił, jak tamci w okopach, a dobrze, bo zawsze był takim porządnym dzieckiem.

Tak więc Shirley poszedł - nie z taką radością, jak Jim, nie z takim płomieniem poświęcenia, jak Walter, lecz z zupełnym spokojem, jak ktoś, kto musi spełnić powierzoną sobie misję. Pocałował Zuzannę po raz pierwszy od tego czasu, kiedy miał lat pięć, i rzekł:

- Dc widzenia, Zuzanno, matko Zuzanno.

- Mój mały Murzynku, mój mały. Murzynku - szeptała Zuzanna. - Czy pamięta pan - zwróciła się z goryczą do doktora - czy pan pamięta, jak zbił pan kiedyś Shirleya, gdy był dzieckiem? Jestem szczęśliwa, że ja chociaż nie mam takich wspomnień.

Doktor nie pamiętał tego, lecz kładąc kapelusz przed wyjściem, zatrzymał się na chwilę w wielkim, pustym jadalnym pokoju, który niegdyś rozbrzmiewał wesołym śmiechem dziecięcym.

- Nasz ostatni syn, nasz ostatni syn - rzekł głośno. - Dobry, rozsądny chłopak. Zawsze przypominał mi mego ojca. Sądzę, że powinienem być dumny z tego, że poszedł. Dumny byłem, że Jim odchodził, gdy żegnałem Waltera, lecz dom nasz świecić będzie pustkami.

- Myślałem kiedyś, doktorze - rzekł stary Sandy z Górnego Glen tego samego popołudnia - że dom pański pewnego dnia wyda się panu zbyt obszerny.

Powiedzenie Sandy'ego zapadło głęboko w duszę doktora. Tego wieczoru Złoty Brzeg wydał mu się wielki i pusty, choć Shirley przez całą zimę przebywał poza domem i tylko na każdą niedzielę przyjeżdżał, a nawet w domu bywał spokojnym chłopcem. Czyżby dlatego, że on właśnie poszedł, pojawiła się nagle ta pustka?

Zuzanna ciężko pracowała przez cały dzień, aż do późnego wieczora. Gdy nakręciła już zegar kuchenny i wypuściła na dwór Dra Jekylla, stała przez chwilę w otwartych drzwiach, spoglądając w stronę Glen, które tonęło w srebrzystej poświacie księżyca. Lecz Zuzanna nie widziała znajomych pagórków, nie widziała przystani. Spoglądała w stronę obozu lotniczego w Kingsport, gdzie tej nocy przebywał Shirley.

„Powiedział mi, matko Zuzanno - myślała. - Wszyscy nasi chłopcy teraz poszli: Jim, Walter, Shirley, Jerry i Karol. A żadnego przecież do tego nie zmuszano. Stanowczo powinniśmy być z nich dumni. Lecz duma - Zuzanna westchnęła z goryczą - duma jest zimną towarzyszką i nie daje pełnego zadowolenia”.

Księżyc skrył się za niewielką chmurką na zachodzie. Glen zatoneło w cieniu, a o tysiąc mil stąd kanadyjscy chłopcy w khaki mundurach, ci, co żyli, i ci, co umierali, byli obecnie w posiadaniu Vimy Ridge.

Vimy Ridge jest nazwą, która zapisała się krwawymi i złotymi zgłoskami w kanadyjskich annałach Wielkiej Wojny.

- Brytyjczycy nie mogli go zdobyć, Francuzi nie mogli - mówił niemiecki jeńiec przebywający w niewoli - ale Kanadyjczycy są takimi głupcami, że pójdą w najgorszy ogień.

„Głupcy”. zdobyli Vimy Ridge, płacąc za to zwycięstwo wielką cenę.

Jerry Meredith został poważnie ranny pod Vimy Ridge.

- Biedna Nan - mówiła pani Blythe, gdy przyszła ta wiadomość. Myślała o własnych szczęśliwych dniach na Zielonym Wzgórzu. Wówczas były całkiem inne czasy. Jakżeż dzisiejsze dziewczęta cierpieć musiały! Gdy Nan w dwa tygodnie później wróciła z Redmondu, wychudła jej twarzyczka wskazywała, ile przeżyła w ciągu ostatnich dni. John Meredith również się zmienił i nagle postarzał. Flora do domu nie wróciła. Płynęła teraz przez Atlantyk, jako polowa sanitariuszka Czerwonego Krzyża. Di chciała także z nią jechać, lecz ojciec ze względu na spokój matki stanowczo jej tego zabronił. Di więc po krótkiej wizycie w domu powróciła do pracy swej w Czerwonym Krzyżu w obozie Kingsport.

W małych wąwozach Doliny Tęczy rozkwitły pierwiosnki. Rilla szukała ich wszędzie. Jim zawsze pierwsze pierwiosnki przynosił matce; potem, gdy poszedł na front, Walter go w tej czynności zastępował. Zeszłej wiosny Shirley przyniósł pierwiosnki, a teraz Rilla powinna była zastąpić chłopców. Lecz zanim zdążyła znaleźć je, pewnego popołudnia zjawił się na Złotym Brzegu Bertie Meredith niosąc całe naręcze świeżych, delikatnych kwiatków. Wbiegł na stopnie werandy i złożył pierwiosnki na kolanach pani Blythe.

- Dlatego; że Shirleya nie ma i nie ma kto ich pani przynieść - rzekł rezolutnie, zawstydzony nieco.

- Więc ty pomyślałeś o tym, drogi chłopcze - wyszeptała Ania drżącymi ustami, spoglądając na zręcznego, małego dżentelmena, stojącego przed nią z rączkami wsuniętymi w kieszenie.

- Napisałem dzisiaj do Jima, żeby się nie martwił o pierwszaki dla pani - rzekł Bertie z powagą - zaznaczyłem mu, że ja się tym zajmę. Zakomunikowałem mu, że niedługo już kończę dziesięć lat, więc wkrótce będę miał osiemnaście i wtedy pomogę im na wojnie. Nawet oni będą mogli wrócić, a ja pójdę na ich miejsce. Do Jerry'ego też napisałem. Wie pani, że Jerry się lepiej czuje?

- Naprawdę? Mielicie od niego wiadomości?

- Tak. Mama miała dzisiaj list, w którym pisze, że niebezpieczeństwo już minęło.

- O, dzięki Bogu! - wyszeptała pani Blythe.

Bertie spojrzał na nią z ciekawością.

- Tak samo ojciec zawołał, gdy mama powiedziała mu o liście. Ale jak wczoraj ja powiedziałem te słowa, gdy się przekonałem, że pies pana Meade'a nie wyrządził żadnej krzywdy memu kociakowi, ojciec spojrzał na mnie groźnie i zabronił mi wypowiadać te słowa, jeżeli chodzi o kociaka. Nie mogę zrozumieć dlaczego, pani Blythe. Czułem szaloną wdzięczność, za to pewno Bóg uratował mego Mruczka, bo pies Meade'ów w innym wypadku rozerwałby go na kawałki. Więc właściwie powinienem chyba Bogu za to podziękować. Możliwe - dodał Bertie w zamyśleniu - że wypowiedziałem te słowa za głośno, ale byłem strasznie zadowolony, jak się przekonałem, że Mruczek jest zupełnie zdrowy. Chciało mi się po prostu krzyczeć z radości, pani Blythe. Gdybym wypowiedział te słowa szeptem, jak pani i ojciec, to wszystko byłoby w porządku. Czy pani wie, pani Blythe - Bertie zniżył głos do szeptu i przybliżył się też do ucha Ani - co bym zrobił Kaiserowi, gdybym mógł?

- Co byś zrobił, kochanie?

- Norman Reese powiedział dzisiaj w szkole, że chętnie przywiązałby Kaisera do drzwi i zostawiłby go tak psom na pożarcie - mówił Bertie ze smutkiem. - A Emilia Flagg powiedziała, że zamknęłaby go do klatki i kłuła ostrym drutem. Wszyscy mniej więcej takie rzeczy powtarzają. Ale, pani Blythe - Bertie wysunął małą łapkę z kieszeni i położył ją z powagą na kolanach Ani - ja bym tam przemienił Kaisera w dobrego człowieka - bardzo dobrego - to wszystko, co bym zrobił. Czy nie uważa pani, że to by była dla niego najgorsza kara?

- Kochane dziecko - wtrąciła Zuzanna - skąd wiesz, że to byłaby kara dla tego niegodziwego szatana?

- Zuzanna nie rozumie - rzekł Bertie spoglądając na nią swymi błyszczącymi oczkami
- że gdyby stał się dobrym człowiekiem, zrozumiałby, jakie straszne rzeczy robił, i czułby się
wtedy bardzo nieszczęśliwy? Tak- Bertie zacisnął swoje drobne rączęta - tak, zrobiłbym z
Kaisera dobrego człowieka, na to stanowczo zasłużył.

XXVI.

„RANNY I ZAGINIONY”

Linia załamana, lecz nie przerwana”, opiewał wielki nagłówek artykułu na pierwszej stronicy poniedziałkowej gazety, a Zuzanna powtarzała to kilkakrotnie, zajęta swą pracą w kuchni. W środę nadeszły wiadomości, że Anglicy i Francuzi odparli Niemców, lecz wojska cofały się ciągle. Ustępowanie, ustępowanie i ustępowanie! Kiedy to się skończy? Czyż pozycja przerwana zostanie znowu?

W sobotę gazety rozgłosiły wiadomość, że nawet Berlin przyznaje, iż ofensywa niemiecka zawiodła. I po raz pierwszy w tym tygodniu mieszkańcy Złotego Brzegu odetchnęli swobodniej.

- Jeden tydzień już przeżyliśmy, teraz trzeba zebrać siły na drugi - mówiła Zuzanna.

- Czuję się jak więzień za kratami, mający nadzieję, że go wypuszczą jednak kiedyś na wolność - rzekła panna Oliver do Rilli, gdy szły do kościoła w wielkanocną niedzielę. - Ciągle jeszcze przebywam za tą kratą. Cierpienia mogą się rozpocząć na nowo.

- Zeszłej niedzieli zwątpiłam zupełnie w Boga - odparła Rilla - lecz dzisiaj mam do Niego zaufanie. Zło nie może zwyciężyć. Duch jest po naszej stronie, a przecież posiada on więcej siły niż ciało.

Mimo to wiara Rilli często wystawiana była na próby tej wiosny. Niepewna sytuacja trwała długie tygodnie i miesiące. Hindenburg ciągle wprowadzał w czyn swoje nowe pomysły, eksperci wojenni oświadczaali, że sytuacja z dnia na dzień staje się gorsza. Kuzynka Zofia przyznawała im ciągle słuszość.

- Jeżeli wojska koalicyjne cofną się jeszcze o trzy mile, wojna będzie przegrana - krakała.

- A od czego jest flota angielska? - pocieszała się Zuzanna.

- Powtarzam tylko opinię kogoś, kto się zna na tym - upierała się kuzynka Zofia.

- Taki znawca nie istnieje - odparła Zuzanna. - Ci wszyscy eksperci wojenni nie wiedzą więcej od ciebie i ode mnie. Tyle razy już się mylili. Dlaczego ty na to wszystko patrzysz tak czarno, Zofio Crawford?

- Bo trudno zapatrywać się różowo, Zuzanno Baker.

- Ach, czyżby? Dzięki Bogu mamy już dwudziestego kwietnia, a Niemcy jeszcze nie weszli do Paryża, chociaż ten twój ekspert twierdził, że będą tam już pierwszego. Czyż to się nie przedstawia różowo?

- W moim mniemaniu Niemcy będą w Paryżu szybciej, niż nam się zdaje, Zuzanno Baker. Więcej ci powiem, - Niemcy zajmą Kanadę.

- Ale nie tę część Kanady. Stopa niemiecka nie dotknie Wyspy Księcia Edwarda, dopóki ja będę żyła - oznajmiła Zuzanna spoglądając groźnie przed siebie, jakby gotowa była stawić czoło Niemcom i walczyć z nimi gołymi rękami. - Nie, Zofio Crawford, jeżeli mam być szczerą, to zbrzydły mi już do reszty twoje ponure prorocstwa. Nie przeczę, że podczas tej wojny popełniono wiele omyłek, Niemcy nie zajęliby wielu odcinków, gdyby tam były wojska kanadyjskie. Poza tym nie należało zbytnio ufać Portugalczykom na linii rzeki Lys. Ale to jeszcze nie jest powód, abyś miała twierdzić, że wojna jest przegrana. Nie chcę się z tobą kłócić na ten temat, lecz powiem ci zupełnie otwarcie, że jeżeli masz zamiar krakać dalej, to lepiej kracz u siebie w domu.

Kuzynka Zofia pomaszerowała do domu z oburzeniem i przez następnych kilka tygodni nie ukazywała się w kuchni Zuzanny. Może i dobrze się stało, bo tygodnie te były bardzo ciężkie, gdy Niemcy atakowali wojska koalicyjne ze wszystkich stron i wszędzie prawie odnosili zwycięstwa. Pewnego dnia, na początku maja 1918 roku, gdy słońce złociło promieniami swymi Dolinę Tęczy, przyszła wiadomość o Jimie.

Wróg zaatakował okopy kanadyjskie - był to niewielki atak, o którym nawet komunikaty nic nie wspominały - lecz po ataku tym doniesiono, że porucznik James Blythe „został ranny i zaginiony”.

- To chyba jeszcze gorzej, niż gdyby zawiadomiono nas o śmierci - szeptała Rilla tego wieczoru pobladłymi wargami.

- Nie... nie... „Zaginiony” - to znaczy, że pozostała jakaś nadzieja, Rillo - dowodziła Gertruda Oliver.

- Tak, męcząca, straszna nadzieja, która powstrzymuje człowieka od zupełnej rezygnacji - odparła Rilla. - Och, panno Oliver, nastąpią teraz tygodnie i miesiące, podczas których nie dowiemy się, czy Jim żyje, czy umarł. Może nigdy się o tym nie dowiemy. Ja... ja tego nie przeżyję... Nie będę mogła. Walter, a teraz Jim. Przyspieszy to śmierć naszej mamy. Niech pani spojrzy na jej twarz, panno Oliver. A Florka, biedna Florka, jak ona to zniesie?

Gertruda zadrżała mimo woli. Spojrzała na obrazek, wiszący nad biurkiem Rilli, i nagle znienawidziła uśmiech Momy Lizy.

„Czyż ta twarz zawsze będzie uśmiechnięta?” - pomyślała ze złością.

Rzekła jednak łagodnie:

- Nie, nie przyspieszy to śmierci twojej matki. Matka twoja jest dzielna. Ponadto nie wierzy- w to, żeby Jim miał umrzeć. Pociesza się jeszcze nadzieją i my wszyscy powinniśmy brać z niej przykład. Flora na pewno to zrobi.

- Ja nie mogę - jęczała Rilla. - Jim był ranny, więc jakąż możemy mieć nadzieję? Jeżeli nawet Niemcy zabrali go do niewoli, to wiemy, jak się obchodzą z rannymi jeńcami. Chciałabym i ja mieć nadzieję, panno Oliver. Lecz nadzieja wszelka widocznie w duszy mojej zagasła. Nie mogę mieć nadziei bez przyczyny, a przyczyna żadna nie istnieje.

Gdy panna Oliver odeszła do swego pokoju, a Rilla położyła się do łóżka, zanosząc modły do Boga: o odrobinę siły, do sypialni jej wsunęła się Zuzanna i usiadła przy niej.

- Rillo, nie martw się, kochanie. Mały Jim nie umarł.

- Skąd możesz wiedzieć o tym, Zuzanno?

- Wiem. Posłuchaj. Gdy dziś rano nadeszła ta wiadomość, pomyślałam od razu o Wtorku. Wieczorem, gdy tylko pozmywałam po kolacji i wyjęłam chleb z pieca, pobiegłam zaraz na stację. Wtorek, jak zwykle, cierpliwie czekał na wieczorny pociąg. Zrozum, Rillo, że ten atak na okopy miał miejsce przed czterema dniami, czyli w zeszły poniedziałek. Zwróciłam się zaraz do zawiadowcy z zapytaniem: „Niech mi pan powie, czy ten pies nie był przypadkiem w poniedziałek w nocy?” Zawiadowca zamyślił się na chwilę, po czym odparł: „Nie, był zupełnie spokojny”. „Jest pan pewny?.- zapytałam. - Bo bardzo dużo od tego zależy!” „Jestem najzupełniej pewny - odpowiedział. - Nie spałem przez całą noc poniedziałkową, bo matka moja była chora. Słyszałbym wycie psa, tym bardziej że drzwi naszego mieszkania były otwarte, a buda tego psa mieści się w pobliżu”. Powtarzam ci, Rillo, słowa tego człowieka. Pamiętasz, jak Wtorek był owej nocy, kiedy odbywała się bitwa pod Courcellette? A przecież nie był tak przywiązany do Waltera, jak do Jima. Jeżeli tak był po śmierci Waltera, to przypuszczasz, że spałby spokojnie w budzie, gdyby Jim został zabity? Nie, Rillo, mały Jim żyje, mogę ci zaręczyć. Wtorek na pewno by wiedział, a tymczasem spokojnie czeka powrotu swego pana.

Było to absurdalne, irracjonalne i niemożliwe. Lecz Rilla uwierzyła. Uwierzyła również pani Blythe; i doktor, aczkolwiek uśmiechał się niepewnie. I do serc wszystkich mieszkańców Złotego Brzegu wniknęła nowa nadzieja tylko dlatego, że mały pies na stacji w Glen z niezachwianą wiarą czekał wciąż powrotu swego pana. Wszyscy uwierzyli w przeczucie wiernego Wtorka.

XXVII. ODPŁYW NADCHODZI

Szukacie, panie, jakiejś nowej gwiazdy? - zapytał pan Meredith, zbliżając się do panny Oliver i Rilli, które stały w ogródku, wpatrzone w niebo.

- Tak, znalazłyśmy ją. Proszę spojrzeć, świeci ona nad wierzchołkiem najwyższej jodły.

- Przyjemnie jest patrzeć na coś, co istniało również przed trzema tysiącami lat, nieprawdaż? - zagadnęła Rilla. - Astronomowie twierdzą, że z ukazaniem się nowej gwiazdy następuje jakaś zmiana na dobre. Odnalezienie tej gwiazdy napawa mnie nową nadzieją - dodała z zatamowanym oddechem.

- Nawet to zdarzenie nie może nic zmienić w ustroju świata, nie może zmienić faktu, że Niemcy wciąż zbliżają się do Paryża - dorzuciła Gertruda niechętnie.

- Chciałbym być astronomem - rzekł pan Meredith w zamyśleniu, spoglądając na gwiazdę.

- Tak, to musi być niezwykła przyjemność - przyznała panna Oliver - przyjemność nieziemską. Chciałabym mieć jakiegoś astronoma w gronie moich przyjaciół.

- Opowiadaliby wtedy pani plotki ze świata niebieskiego - zaśmiała się Rilla.

- Ciekaw jestem, czy astronomowie interesują się także sprawami ziemskimi? - zagadnął doktor. - Prawdopodobnie ci, którzy studiują kanały na Marsie, nie mają zupełnie pojęcia o tym, co się dzieje na froncie zachodnim.

- Czytałem kiedyś - rzekł pan Meredith - że Ernest Renan pisał jedną ze swych książek podczas oblężenia Paryża w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym i „radował się ogromnie tym, iż książka mu się udaje”. Takiego należy tylko nazwać filozofem.

- Ja również czytałam - wtrąciła panna Oliver - że na krótko przed śmiercią twierdził, iż żałuje życia tylko dlatego, że chciałby zobaczyć, co ten „niezwykle interesujący młodzieniec, cesarz niemiecki” będzie robił w życiu. Gdyby Ernest Renan żył dzisiaj i widział, co ten interesujący młodzieniec zrobił dla ukochanej jego Francji, nie mówiąc już o całym świecie, wątpię, czy posiadałby taki spokój ducha, jak w roku osiemset siedemdziesiątym.

„Ciekawa jestem, gdzie Jim jest dzisiaj” - pomyślała Rilla, nawiedzona nagłym wspomnieniem.

Już miesiąc minął od ostatniej wiadomości o Jimie. Mimo wielu usiłowań nic konkretnego dotychczas się nie dowiedziano. Przybyły wprawdzie dwa czy trzy listy, które pisał jeszcze przed owym atakiem, a później zaległa nieprzerwana cisza. Teraz Niemcy znowu byli nad Marną, kierując się ku Paryżowi, i od czasu do czasu nadchodziły wieści o ofensywie austriackiej na froncie włoskim. Rilla przestała patrzeć na gwiazdy, bo wspomnienie Jima spowodowało znów dotkliwy ból w jego sercu. Nawiedziła ją jedna z tych chwil, kiedy ostatnia isierka nadziei gasła i kiedy opanowywała ją zupełna rezygnacja. Zdawało jej się wówczas, że po prostu niemożliwym będzie przeżycie jeszcze jednego dnia. Żeby chociaż wiedzieli, co się stało z Jimem - każda świadomość jest lepsza od niepewności. Jeżeli Jim żył, to przecież napisałby kilka słów. Na pewno nie żył. Tylko oni nigdy się o tym nie dowiedzą, nigdy nie będą mieli tej pewności, a Wtorek będzie oczekiwał każdego pociągu, aż wreszcie ze starości zdechnie. Wtorek był biednym wiernym psem, zreumatyzowanym teraz, który nie wiedział nic więcej o losie swego pana ponad to, co wiedziała rodzina.

Rilla miała niedobłą noc i nie spała prawie do świtu. Gdy obudziła się po godzinnej drzemce, ujrzała Gertrudę Oliver siedzącą w jej pokoju przy oknie i wpatrzoną w różową jutrzenkę. Jej wyraźny, piękny profil, otoczony mnóstwem czarnych włosów, znaczył się bladym konturem na ozłoconym promieniami niebie. Rilla przypominała sobie, jak Jim zawsze zachwycał się zarysem brwi i podbródka panny Oliver. Na to wspomnienie zadrżała. Wszystko, co przypominało jej Jima, sprawiało ból. Śmierć Waltera pozostawiła w sercu nie zagojoną ranę, lecz rana ta była czysta i zabiżniała się powoli, jak wszystkie rany, chociaż blizna pozostanie na zawsze. Lecz myśl o zniknięciu Jima była całkiem inną rzeczą. W ranie tej tkwiła jakaś trucizna, która nie pozwalała jej się goić. Połączenie nadziei z rozpaczą, nieustanne czekanie codziennie na” list, który nie nadchodził, który może nie nadejdzie nigdy, komunikaty w gazetach o złym obchodzeniu się z jeńcami, wszystko to podwajało ten ból jeszcze.

Gertruda Oliver odwróciła głowę. W oczach jej płonął niesamowity ogień.

- Rillo, miałam znowu sen.

- O, nie, nie! - zawołała Rilla z drżeniem. Sny panny Oliver zwiastowały zawsze jakieś nowe nieszczęście.

- Ale to był dobry sen, Rillo. Posłuchaj. Śniłam, jak przed czterema laty, że stałam na stopniach werandy i spoglądałam na Glen. Glen pokryte było wzburzonymi falami, które pieniały się u moich stóp. Lecz gdy patrzyłam tak, fale te poczęły odpływać coraz szybciej w stronę zatoki i Glen pozostało okryte zielenią, a nad Doliną Tęczy zawisła prawdziwa tęcza,

utkana z najcudowniejszych kolorów. Wówczas się obudziłam. Rillo, Rillo Blythe, odpływ się rozpoczął.

- Chciałabym w to uwierzyć - westchnęła Rilla.

- Mówię ci, że nie mam wątpliwości.

Aczkolwiek po paru dniach nadeszły wieści o wielkim zwycięstwie Włochów nad Austriakami, Rilla nie mogła pozbyć się zwątpienia, które zawładnęło nią w tym strasznym miesiącu. A gdy w połowie lipca Niemcy przeszli Marne, rozpacz rozpełtała się na nowo. Śmieszna była nadzieja, że nad Marną powtórzy się cud.

A jednak nadszedł, nadszedł tak samo, jak w roku 1914! Rozpoczął się odpływ nad Marną. Wojska francuskie i amerykańskie ruszyły na wroga ze zdwojoną energią i sytuacja uległa nagłej zmianie.

- Koalicja odniosła dwa wielkie zwycięstwa - rzekł doktor 20 lipca.

- To jest początek końca, czuję... czuję to - odparła pani Blythe..

- Dzięki Bogu! - westchnęła Zuzanna, załamując swe drżące ręce, po czym dodała prawie szeptem: - Ale ten koniec nie powróci nam naszych chłopców.

Mimo to jednak pobiegła i wywiesiła flagę. Gdy chorągiew poczęła powiewać na wietrze, Zuzanna podniosła rękę i zasalutowała, jak nauczył ją kiedyś tego Shirley.

- Wszyscy przyczyniliśmy się do tego, żebyś zwyciężyła - rzekła. - Czterysta tysięcy naszych chłopców wyruszyło za morza, pięćdziesiąt tysięcy poległo. Lecz ty jesteś godna tego!

Wiatr rozwiął jej siwe włosy i zatrzepotał bawełnianym pasiastym fartuchem, mimo to jednak postać Zuzanny w tej chwili była imponująca. Była jedną z tych kobiet, odważnych, dzielnych, cierpliwych i bohaterskich, które uczyniły zwycięstwo możliwym. Stanowiła żywy symbol kraju, za który młodzież walczyła.

Doktor obserwował ją, stojąc w otwartych drzwiach.

- Zuzanno - rzekł, gdy wchodziła do wnętrza domu - muszę ci wyrazić moje pełne uznanie!

XXVIII.

PANI MATYLDA PITMAN

Rilla i Jaś stali na tylnej platformie wagonu w chwili, gdy pociąg zatrzymał się na małej stacyjce Millward. Wieczór sierpniowy był tak gorący, że w tłocznych przedziałach trudno było wytrzymać. Właściwie nikt z pasażerów nie wiedział, dlaczego pociąg stanął na stacji Millward. Nikt nie miał zamiaru tu wysiąść ani też nikogo tu nie było na peronie. Jedyny pobliski dom znajdował się o cztery mile od stacji i otoczony był gęstymi krzewami porzeczek oraz rozłożystymi lipami.

Rilla jechała do Charlottetown, gdzie miała przepędzić noc u przyjaciółki, a następnego dnia zająć się sprawunkami dla Czerwonego Krzyża. Zabrała z sobą Jasia, częściowo dlatego, aby nie robić zbytniego ambarasu Zuzannie i matce, a częściowo z tej przyczyny, iż chciała go teraz mieć jak najwięcej przy sobie, zanim rozstanie się z dzieckiem na zawsze. Niedawno otrzymała, list od Jamesa Andersona. Leżał ranny w szpitalu. Nie będzie mógł już wrócić na front i jak tylko wyzdrowieje, natychmiast przyjedzie po Jasia.

Rilla była ogromnie tą wiadomością zmartwiona. Kochała Jasia gorąco i trudno byłoby jej teraz z nim się rozstać. Gdyby chociaż Jim Anderson był innym człowiekiem, gdyby posiadał własny dom i gdyby mógł dać wychowanie dziecku! Nie miała nawet nadziei, żeby Anderson pozostał w Glen. Nie miał tu nikogo i prawdopodobnie zamierzał osiedlić się na stałe w Anglii. Nie będzie miała nawet sposobności widywania swego małego Jasia. Pod opieką takiego ojca jak się przyszłość małemu ułoży? Rilla nawet miała prosić Andersona, aby pozostawił dziecko u niej, lecz po otrzymaniu jego listu straciła wszelką nadzieję. „Żeby chociaż pozostał w Glen, gdzie bym mogła opiekować się Jasiem, byłabym o wiele spokojniejsza - myślała. - Ale jestem pewna, że tego nie uczyni i Jaś zupełnie zniknie mi z oczu. A mądre z niego dziecko, posiada ambicję i nie jest leniwy Ojciec jednak nie będzie miał środków na to, aby go kształcić. Jasiu, mój najdroższy wojenny chłopcze, co się z tobą stanie?”

Jaś zdawał się nie zastanawiać nad swym losem. Obserwował teraz z uwagą małe kominki znaczące się na czerwonej dachówce budynku stacyjnego. Gdy pociąg ruszył z miejsca, Jaś pochylił się naprzód, aby wyrzeć raz jeszcze, i wysunął rączkę z dłoni Rilli. Rilla była tak zajęta swoimi myślami, że zapomniała zupełnie pilnować chłopca i nie zorientowała się w tym, co się w tej chwili stało. Jaś stracił równowagę, zsunął się ze stopni wagonu na peron, a stamtąd na piaszczystą ścieżkę.

Rilla krzyknęła przeraźliwie i straciła zupełnie głowę. Nie namyślając się dłużej, wyskoczyła również z wagonu.

Na szczęście pociąg posuwał się jeszcze bardzo wolno i Rilla wyskoczyła szczęśliwie.

Nikt z pasażerów nie dostrzegł tego wypadku i pociąg, przyspieszając biegu, pomknął dalej. Rilla pobiegła natychmiast do Jasia, będąc pewna, że zastanie go albo nieżywego, albo też pogruchotanego na kawałki. Lecz Jaś, z wyjątkiem wielkiego guza i większego jeszcze przerażenia, był zupełnie zdrow i cały. Przerażony był tak okropnie, że nawet nie płakał, za to Rilla, widząc, że nic mu się nie stało, wybuchnęła głośnym łkaniem.

- Wstrętny stary pociąg! - zauważył Jaś z niechęcią. - Wstrętny stary Bóg - dodał spoglądając w niebo.

Głośny śmiech wydarł się z piersi Rilli, co jej ojciec nazwałby histerią. Opanowała się jednak, zanim jeszcze histeria zupełnie nią ośwładnęła.

- Rillo Blythe, wstyd mi za ciebie. Natychmiast się opanuj! Jasiu, nie pozwalam ci tak mówić.

.- Bóg wyrzucił mnie z pociągu - oznajmił Jaś stanowczo. - Ktoś przecież mnie wypchnął, ty nie, więc Bóg.

- Nie, kochanie. Wypadłeś, bo wychyliłeś się zanadto. Mówiłam ci, żebyś tego nie robił. Wiedz o tym, że to twoja własna wina.

Jaś przyjrzał jej się uważnie, jakby chciał sprawdzić, czy tak myśli, po czym spojrzał znowu w niebo.

- Przepraszam Cię, Panie Boże - rzekł głośno.

Rilla również spojrzała w niebo. Wygląd nieba zupełnie jej się nie podobał. Ciężka, ołowiana chmura sunęła od północo-zachodu Co robić? Tego wieczoru nie było już innego pociągu. Czy będą mogli dotrzeć do domu Hanki Brewster oddalonego stąd o dwie mile? Rilla na pewno by tam szybko dobiegła, ale z Jasiem nie jest taka łatwa historia. Czy drobne jego nóżki wytrzymają?

- Spróbujemy - postanowiła Rilla z rezygnacją, - Nie możemy siedzieć na peronie i oczekiwać burzy, a deszcz przecież może padać całą noc. Jak tylko dostaniemy się do Hanki, to będziemy mogli u niej przenocować.

Gdy Hanka Brewster była jeszcze Hanką Crawford, mieszkała z rodzicami swymi w Glen i chodziła do szkoły z Rillą. Były wówczas serdecznymi przyjaciółkami, chociaż Hanka była o trzy lata starsza od Rilli. Wyszła za mąż bardzo młodo i mieszkała stale w Milward. Ze względu na ciężkie obowiązki, kilkoro dzieci i nicponia męża życie Hanki nie było usłane różami, toteż rzadko kiedy odwiedzała rodzinny dom. Rilla była u niej raz jeden wkrótce po

ślubie, lecz od tego czasu nie widziała jej już przez kilka lat. Wiedziała jednak, że obydwój z Jasiem przyjęci zostaną przez Hankę z otwartymi ramionami.

Pierwszą milę drogi przebyli jakoś nieźle, lecz druga okazała się trudniejsza. Gościniec był ogromnie wyboisty i miejscami zasypany kamieniami. Jaś był już taki zmęczony, że Rilla musiała go nieść na rękach przez ostatnie pół mili. Dobrze wreszcie do domu Brewsterów prawie nieżywa. Postawiła Jasia na ziemi i westchnęła z ulgą. Niebo było zasnuwane czarnymi chmurami, zaczął padać kroplisty deszcz, a odgłos piorunów zbliżał się z każdą chwilą. Nagle Rilla uczyniła nieprzyjemne odkrycie. Zasłony we wszystkich oknach były opuszczone, a drzwi zamknięte. Widocznie Brewsterów nie było w domu. Rilla pobiegła do małej stodoły, lecz i ta również była zamknięta. Nie widziała już teraz żadnego ratunku. Niewielki, biały domek nie miał nawet ani werandy, ani ganku.

Zmrok coraz gęstszy zapadał i położenie Rilli było rozpaczliwe.

„Gotowa jestem wyłamać któreś z okien - pomyślała rezolutnie. - Hanka nie będzie miała do mnie o to żalu. Przecież muszę się gdzieś skryć przed burzą”.

Na szczęście jednak nie doszło do tego, bo okazało się, że okno w kuchni było tylko przysłonięte. Rilla wsadziła przez okno Jasia, a potem wskoczyła sama właśnie w owej chwili, kiedy burza rozpętała się na dobre.

- O, zobacz te kawałki piorunów! - wołał Jaś w zachwycie, tańcząc po kuchni.

Rilla zamknęła okno, z trudem znalazła lampę i zapaliła ją. Znajdowali się w małej, schludnie utrzymanej kuchence. Drzwi z kuchni prowadziły do ładnie urządzonego salonu, z drugiej zaś strony do spiżarni, która była bardzo obficie zaopatrzona.

„Muszę się tu rozgościć - pomyślała Rilla. - Hanka nie będzie miała nic przeciwko temu. Przygotuję coś na kolację dla Jasia i dla siebie, a jeżeli deszcz „będzie padał dalej i nikt się nie zjawi, pójdę na górę do sypialni i położymy się spać. W takich razach trzeba działać przytomnie. Gdybym nie przeraziła się tak tego upadku Jasia z pociągu, poprosiłabym uprzednio kogoś z pasażerów, żeby pociąg zatrzymał. Wówczas obydwój z Jasiem nie znajdowalibyśmy się w takiej przykłej sytuacji. Dzięki Bogu, że nie mokniemy na deszczu.

Ale ten dom -: dodała, rozglądając się wokoło - jest teraz o wiele ładniejszy, niż wydawał mi się niegdyś. Więc jednak Hanka i Tadeusz zaczęli się poważnie zajmować gospodarstwem. A ja kiedyś posadzałam Tadeusza, że nie posiada ani odrobiny przedsiębiorczości. Widocznie wszystko się u nich zmieniło na lepsze, skoro mogli sobie sprawić takie piękne meble. Ogromnie jestem zadowolona ze względu na Hankę”.

Burza powoli mijała, lecz deszcz padał coraz większy. O jedenastej Rilla doszła do wniosku, że nikt już do domu nie wróci. Jaś dawno już zasnął na kanapie, zaniósł go więc na

górze do sypialni i położyła do łóżka. Potem rozebrała się, włożyła nocną koszulę, którą znalazła w nocnym stoliku, i wsunęła się z uczuciem zadowolenia pod przesiąkniętą zapachem lawendy kołdrę. Była tak zmęczona swoimi przygodami, że zasnęła natychmiast.

Spała do ósmej rano następnego ranka i obudziła się z dziwnym jakimś uczuciem. Usłyszała nad sobą nieprzyjemny basowy głos:

- Hej tam, dość tego spania. Co to wszystko ma znaczyć?

Rilla otworzyła oczy. Nigdy jeszcze w życiu nie budziła się z takim uczuciem. W pokoju dostrzegła trzy osoby - jedną z nich był mężczyzna - absolutnie jej nie znane. Mężczyzna był bardzo wysoki i miał długą, czarną brodę, a w oczach wyraz gniewu. Obok niego stała kobieta - wysoka, szczupła, o płomiennoczerwonych włosach, na których sterczał jakiś śmieszny kapelusz. Była jeszcze bardziej zagniewana i zdziwiona od owego mężczyzny. W drzwiach stała druga kobieta, drobna staruszka, która musiała mieć lat najmniej osiemdziesiąt. Mimo swej drobnej postaci robiła wrażenie energicznej. Była ubrana na czarno i miała śnieżnobiałe włosy, bladą twarz oraz przenikliwe, czarne oczy. Twarz jej wyrażała również zdziwienie, lecz Rilla dostrzegła, że na twarzy tej nie było gniewu.

Rilla zorientowała się, że coś tu było nie w porządku. Mężczyzna odezwał się jeszcze bardziej zagniewanym tonem:

- Moja panno, kim jesteś i co tu masz za interes?

Rilla wsparła się na łokciu, spoglądając na niego bezradnie. Usłyszała, że siwa pani stojąca w drzwiach zachichotała do siebie.

„Więc jednak musi być realną istotą - pomyślała Rilla - chyba to nie jest sen”. A głośno zapytała:

- Więc to nie jest mieszkanie Tadeusza Brewstera?

- Nie - odezwała się po raz pierwszy wysoka kobieta - dom ten należy do nas. Kupiliśmy go od Brewsterów zeszłej jesieni. Oni przenieśli się do Greenvale. My się nazywamy Chapley.

Biedna Rilla opadła na poduszki zupełnie oszołomiona.

- Bardzo państwa przepraszam - rzekła. - Myślałam, że Brewsterowie tu mieszkają. Pani Brewster jest moją przyjaciółką. Jestem Rilla Blythe, córka doktora Blythe z Glen St. Mary. Jechałam do miasta z moim... z tym chłopczykiem i wypadł mi z pociągu. Wskoczyłam za nim, a nikt z pasażerów tego nie zauważył. Nie mogliśmy wrócić do domu w nocy, a ponieważ burza nadciągała, przyszliśmy tutaj. Nie zastaliśmy nikogo w domu, weszliśmy przez okno i... i rozgościliśmy się.

- To jest zupełnie widoczne - zaznaczyła kobieta z ironią.

- Bardzo ładna bajeczka - dorzucił mężczyzna.
- Nie wczoraj dopiero przyszedł na świat - mruknęła kobieta.

Siwowłosa pani nic nie rzekła, lecz gdy tamci dwoje dogadywali Rilli, ona tylko kiwała spokojnie głową i stała ciągle w progu.

Oburzona nieprzyjemnym wystąpieniem Chapleyów, Rilla odzyskała równowagę zupełnie. Usiadła na łóżku i rzekła podniesionym głosem:

- Nie wiem, kiedy się państwo urodzili, nie wiem również gdzie, w każdym razie musiało to być gdzieś, gdzie nauczono państwa takich dziwnych manier. Jeśli państwo zechcą opuścić mój pokój, chciałam powiedzieć... ten pokój, będę mogła ubrać się i nie będę nadużywała dłużej gościnności państwa. Zapłacę również chętnie za pożywienie i nocleg.

Siwowłosa pani nie wyrzekła dalej ani słowa, załamując tylko ręce. Widocznie pan Chapley zmieszany był nieco przemową Rilli albo może przyjemna mu się wydała perspektywa zapłaty, gdyż rzekł nieco spokojniej:

- Tak, to rozumiem. Jeżeli pani zapłaci, to będzie wszystko w porządku.

- Nie przyjmiesz chyba pieniędzy - odezwała się wreszcie siwowłosa pani młodym zupełnie głosem. - Jeżeli ty się nie wstydzisz, Robercie Chapley, to wstydziłaby się za ciebie twoja teściowa. Żaden przybysz nie będzie płacił za nocleg i pożywienie w domu, w którym mieszka Matylda Pitman. Pamiętaj o tym nawet po mojej śmierci. Wiem, że byłeś kutwą, kiedy Amelia cię poślubiła, i przeciągnąłeś zupełnie Amelię na swoją stronę. Lecz w tym domu Matylda Pitman była gospodynią dostatecznie długo i jest nią nadal. Bądź łaskaw, Robercie, wyjdź stąd i pozwól się ubrać tej panience. A ty, Amelio, zejdz na dół i przygotuj dla niej śniadanie.

Nigdy w życiu Rilla nie widziała takiego posłuszeństwa, z jakim tych dwoje dorosłych ludzi odniosło się do siwowłosej pani. Wyszli bez słowa protestu. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, pani Matylda Pitman zaśmiała się cicho, kiwając znowu głową.

- Czyż to nie jest zabawne? - zapytała. - Zawsze mogę sobie z nimi poradzić. Słuchają mnie, bo się boją, że im nie zostawię nic po sobie. Właściwie mają słuszość. Mam zamiar zapisać im tylko część tego, co posiadam. Nie mam jeszcze żadnych planów, co zrobię z majątkiem, a właściwie należałoby załatwić to wkrótce, bo przecież w osiemdziesiątym roku życia trzeba myśleć raczej o śmierci. Teraz niech się pani ubierze, kochanie, a ja zejdem na dół i zrobię porządek z tymi nicponiami. Śliczne jest to dzieciątko. Czy to pani braciszek?

- Nie, jest to wojenne dziecko, którym się zaopiekowałam, bo matka jego umarła, a ojciec był na froncie - odparła Rilla.

- Wojenne dziecko! Hm! Pójdę sobie lepiej, nim się obudzi, bo gotów jeszcze zacząć płakać. Nie wiem, dlaczego dzieci mnie nie lubią, nigdy mnie nie lubiły. Zwątpiłam już, żeby któreś dziecko do mnie się zbliżyło. Nigdy nie miałam własnych dzieci. Amelia jest moją pasierbicą. Lepiej, bo oszczędziłam sobie wielu zmartwień. Ja także niespecjalnie przepadam za dziećmi, ale to dziecko jest wyjątkowo ładne.

W tej samej chwili Jaś się obudził. Otworzył swe wielkie, ciemne oczy i spojrzał jasnym wzrokiem na panią Matyldę Pitman. Potem usiadł, przeciągnął się rozkosznie i wskazując staruszkę rzekł uroczyście do Rilli:

- Ładna pani, Lilla, ładna pani.

Pani Matyllda Pitman uśmiechnęła się. Nawet w osiemdziesiątym roku życia jest się czasem próżną.

- Słyszałam kiedyś, że dzieci i wariaci zawsze mówią szczerze - rzekła. - Przyzwyczajona byłam do komplementów za czasów młodości, ale w moim wieku rzadko kiedy się z tym spotykam. Bardzo to miłe dla ucha. A teraz, mała małpeczko, przypuszczam, że mnie nie zechcesz pocałować.

Jaś uczynił coś całkiem nieoczekiwanego. Nie był on wylewnym dzieckiem i rzadko kiedy darzył pocałunkami nawet mieszkańców Złotego Brzegu. Teraz jednak bez słowa stanął na łóżku w koszulce, wyskoczył, zarzucił ramionka na szyję pani Matyldy Pitman i złożył na jej policzku trzy gorące pocałunki.

- Jasiu! - zgromiła go Rilla, przerażona tą jego samowolą.

- Niech mu pani da spokój - rozkazała pani Matyllda Pitman, poprawiając sobie przekrzywiony czepek na głowie. - Lubię taką szczerotę. Przeważnie ludzie kryją się ze swymi uczuciami. Czy zamierza pani nadal opiekować się tym dzieckiem?

- Lękam się, że nie. Ojciec jego wkrótce wróci.

- Czy to porządny człowiek?

- Bardzo porządny, ale biedny i nigdy się chyba nie wzbogaci - odparła Rilla.

- Teraz zaczęłam się dopiero nad tym zastanawiać. Zobaczymy, zobaczymy! Mam pewien pomysł. Dobry pomysł, bo Robert i Amelia będą wściekli. Wolałabym oddać wszystko temu dziecku, bo ono jedyne było ze mną szczerze. Zasłużyło na to. Teraz niech się pani ubiera i zejdzie na dół.

Rilla była jeszcze zmęczona po wczorajszym spacerze, lecz stosunkowo dość szybko ubrała Jasia, a potem zajęła się swoją garderobą.

Gdy zeszła do kuchni, zastała gorące śniadanie na stole. Pana Chapleya w kuchni nie było, a pani Chapley krajała chleb z ponurą miną. Pani Matyllda Pitman siedziała w fotelu,

zajęta wykańczaniem szarej skarpetki. Miała jeszcze wciąż na głowie czepek, a na twarzy uśmiech pełen triumfu.

- Siadajcie, moi drodzy, i jedzcie śniadanie - rzekła.

- Nie jestem głodna - wyszeptała Rilla prawie błagalnie. - Wątpię, czy będę mogła przełknąć cośkolwiek. Najwyższy zresztą czas, żebyśmy wyruszyli na stację. Ranny pociąg wkrótce będzie przejeżdżał. Bardzo przepraszamy, ale musimy już iść. Pozwolę sobie tylko zabrać kawałek chleba z masłem dla Jasia.

Pani Matylda Pitman potrząsnęła długimi drutami.

- Siadaj i jedz śniadanie - rzekła. - Matylda Pitman ci rozkazuje. Wszyscy słuchają Matyldy Pitman, nawet Robert i Amelia. Ty musisz słuchać jej także.

Rilla usłuchała. Usiadła mimo woli - taki dziwny był wpływ przenikliwych oczu pani Matyldy Pitman - i zjadła dość obfite śniadanie. Amelia przez cały czas nie odezwała się ani słowem. Pani Matylda również nic nie mówiła, ale poruszała zawzięcie drutami i chichotała. Gdy Rilla wypila kawę, pani Matylda Pitman zwinęła skarpetkę.

- Teraz możecie iść, jeśli chcecie - rzekła - ale właściwie to jest zupełnie zbędne. Moglibyście zostać tutaj, jak długo wam się podoba, a Amelia gotowałaby wam posiłki.

- Dziękuję pani - rzekła słabym głosem Rilla - musimy jednak naprawdę pójść.

- Niech i tak będzie - zgodziła się pani Matylda Pitman otwierając drzwi. - Wszystko już macie przygotowane. Kazałam Robertowi odwieźć was na stację. Pasjami lubię komenderować Robertem. Mam już przeszło osiemdziesiąt lat i wiele rzeczy przestało mnie bawić, z wyjątkiem komenderowania Robertem.

Robert czekał na koźle dwuosobowego powoziku i z pewnością słyszał słowa swej teściowej, ale się nie odezwał.

- Bardzo bym pragnęła - powiedziała Rilla nieśmiało - żeby mi pani pozwoliła... ach - zadrżała przed przenikliwym spojrzeniem pani Matyldy Pitman - żeby mi pani pozwoliła... wynagrodzić...

- Matylda Pitman już raz oświadczyła, że nie przyjmuje wynagrodzenia od przybyszów ani nie pozwala innym domownikom, choćby nie wiadomo jak chcieli, tego robić. Teraz jedźcie do miasta, a nie zapomnijcie wstąpić tu, gdy będziecie tędy przechodzić. Nie bój się. Co prawda, nie wyglądasz mi na bojaźliwą po tym, jak osadziłaś dziś rano Roberta. Podoba mi się twoja odwaga. Większość dzisiejszych dziewcząt to takie nieśmiałe, zastraszone istoty. Kiedy ja byłam dziewczyną, niczego ani nikogo się nie bałam. Uważaj na tego chłopca. To nie jest przeciętne dziecko. I niech Robert omija kałuże na drodze. Nie życzę sobie, aby ten nowy powozik był zachlapany.

Gdy odjeżdżali, Jaś posyłał wciąż jeszcze rączką całusy pani Matyldzie Pitman, a ona powiewała ku niemu swą szarą skarpetką. Robert przez całą drogę nie wypowiedział ani słowa, ale pamiętał o kałużach. -Gdy dojechali na stację, Rilla wysiadła i podziękowała mu grzecznie. Jedyną odpowiedzią było jakieś niewyraźne mruknięcie i Robert, zaciąwszy konia, odjechał z powrotem do domu.

„Muszę stać się na nowo dawną Rillą Blythe - pomyślała Rilla, oddychając z ulgą. - Podczas tych ostatnich godzin byłam kimś innym, kimś pozostającym zupełnie pod wpływem tej dziwnej staruszki. Zaczynam wierzyć, że mnie zahipnotyzowała. Tę całą przygodę muszę opisać chłopcom”.

W tej chwili westchnęła. Gorzkie wspomnienie wróciło i zorientowała się, że mogła pisać tylko do Jerry’ego, Karola i Shirleya. Jim, któremu najbardziej podobałaby się pani Matylda Pitman, gdzież był teraz Jim?.

XXIX. SŁÓWKA OD JIMA

4 sierpnia, 1918.

Dzisiaj upływa cztery lata od owej tanecznej zabawy w Latarni Morskiej - cztery lata wojny. Wydaje się, jakby to już trzy razy po cztery lata minęły. Miałam wówczas lat piętnaście, dzisiaj mam dziewiętnaście. Przypuszczałam, że te cztery lata będą jednym pasmem radości, a były one latami wojny, latami smutku i trosk, lecz trzeba ciągle mieć nadzieję, że to wszystko przetrzymamy.

Dzisiaj przechodząc przez hali usłyszałam, jak mama z ojcem rozmawiali o mnie. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać - słyszałam mimo woli, idąc przez hali na górę - i prawdopodobnie dlatego usłyszałam coś takiego, co się nigdy nie zdarza ludziom specjalnie podsłuchującym. Rodzice mówili dobrze o mnie. A ponieważ mówiła to mama, postanowiłam zapisać jej słowa w moim pamiętniku, aby kiedyś, gdy je czytać będę, dodały mi otuchy, aby świadczyły o tym, że jednak nie żyję na świecie bezużyteczna.

„Rilla rozwinęła się nadzwyczajnie w ciągu tych ostatnich czterech lat. Była dawniej takim lekkomyślnym stworzeniem. Przeistoczyła się w prawdziwą kobietę i jest dla mnie pociechą. Nan i Di oddaliły się nieco ode mnie - tak rzadko przebywają w domu - lecz Rilla jest mi coraz bliższa. Stałyśmy się przyjaciółkami, Nie wiem, jak bym bez niej przeżyła te straszne lata, Gilbercie”.

Tak mama powiedziała, a ja odczułam zadowolenie i smutek, dumą i gorycz! Cudownie jest wiedzieć, że mama tak o mnie myśli, lecz właściwie nie zasłużyłam na to. Nie jestem znowu tak dobra i silna. Bywają takie chwile, kiedy jestem rozkapryszona, niecierpliwa, bezradna i zrozpaczona. To mama i Zuzanna podtrzymują całą rodzinę. Ja osobiście pomagałam niewiele.

Ostatnie wiadomości z wojny są o wiele lepsze. Francuzi i Amerykanie ciągle odpierają Niemców. Czasami lękam się, że jest za dobrze - po czterech latach zmartwień trudno uwierzyć w to szczęśliwe zakończenie.

Nie okazujemy naszej radości zbyt hałaśliwie. Zuzanna nie zdejmuje flagi, a my tylko cierpliwie czekamy. Zbyt wiele kosztowało to zwycięstwo. Całe szczęście, że te wszystkie poświęcenia nie idą na marne.

Ani słowa nie było od Jima. Mamy wciąż nadzieję, bo cóż nam innego pozostaje? Lecz bywają takie godziny, kiedy czujemy, choć nigdy nie mówimy o tym, że ta nasza nadzieja jest

niedorzecznością. Chwile takie zdarzają się coraz częściej. Może nigdy nie dowiemy się prawdy. Ta myśl jest najstraszniejsza. Dziwię się, jak Flora może znieść to wszystko. Sądząc z jej listów, ani na chwilę nie straciła nadziei, lecz musi przeżywać również chwile zwątpienia, jak i my wszyscy.

20 sierpnia, 1918.

Kanadyjczycy znowu stoczyli walkę, a pan Meredith otrzymał dzisiaj depezę, że Karol został lekko ranny i leży w szpitalu. W depeszy nie podano, jaka to rana, co jest niezwykcyjne. Wszyscy jesteście ogromnie niespokojni.

Codziennie teraz nadchodzą wiadomości o nowych zwycięstwach.

30 sierpnia, 1918.

Państwo Meredith mieli dzisiaj list od Karola. Rana jego była „lekka”, lecz kula trafiła w prawe oko i stracił je na zawsze!

„Jedno oko wystarczy przy zbieraniu ślimaków” - pisze wesoło Karol. A my wiemy, że mogłoby być gorzej! Mógł przecież stracić dwoje oczu! Płakałam całe popołudnie po przeczytaniu listu Karola. Te jego piękne, szczere, błękitne oczy!

Jest tylko jedna pociecha, że nie wróci więcej na front. Ma przyjechać do domu, gdy tylko wyjdzie ze szpitala. Pierwszy z naszych chłopców wraca. Kiedy wróci reszta?

Jest jeden, który nigdy nie wróci. W każdym razie nie zobaczymy go, gdyby wrócił. Ale będzie tu z nami - gdy nasi kanadyjscy żołnierze powrócą, będzie cieniem wśród armii poległych. Nie zobaczymy tej armii, ale oni wszyscy będą z nami! i września, 1918.

Obydwie z mamą pojechałyśmy wczoraj do Charlottetown na pokaz filmu „Serca świata”. Zachowałam się okropnie - ojciec będzie mi dokuczał tym przez całe życie. Lecz to wszystko wydawało się takie rzeczywiste i tak byłam tym przejęta, że zapomniałam o całym świecie, wpatrzona w to, co się działo przed moimi oczami. A przy samym końcu ujrzałam szalenie podniecającą scenę. Bohaterka walczyła z niemieckim żołdakiem, który chciał ją wywlec w pole. Wiedziałam, że ona ma nóż - widziałam, jak go ukryła - i nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie użyje tego noża i nie zabije nim wroga. Myślałam, że zapomniała zupełnie o nim. I gdy najbardziej podniecająca scena nastąpiła, straciłam zupełnie głowę. Zerwałam się na równe nogi w tej przepełnionej publicznością sali i zawołałam głośno: „Przecież pani ma nóż w pończosze!”

Wzbudziłam ogólną sensację!

Najzabawniejsze było to, że w owej chwili, kiedy wypowiedziałam te słowa, dziewczyna sięgnęła po nóż i zatopiła go w piersi żołnierza!

Publiczność wybuchnęła głośnym śmiechem. Oprzytomniałam i upadłam na krzesło straszliwie zmieszana. Mama trzęsła się ze śmiechu. Opanowała mnie złość. Dlaczego mnie mama nie przytrzymała i nie zapobiegła temu mojemu dziecinnemu wystąpieniu? Wytlumaczyła, że nie było na to czasu.

Na szczęście w sali panowały ciemności i zdaje się, że nikt mnie nie widział. A przecież zawsze sądziłam, że jestem opanowana i dorosła. Dopiero po chwili odzyskałam pełną równowagę.'

20 września, 1918.

Na Wschodzie Bułgaria zaproponowała pokój, a na Zachodzie wojska angielskie przerwały linię pozycji Hindenburga. Jednocześnie tutaj, w Glen St. Mary, mały Bertie Meredith uczynił coś niezwykłego. Pani Meredith była u nas dzisiaj wieczorem, aby nam o tym opowiedzieć, a mama i ja rozplakałyśmy się. Zuzanna zaś trząsała garnkami w kuchni.

Bertie zawsze ogromnie kochał Jima i nie zapomniiał o nim przez wszystkie te lata. Był tak samo do Jima przywiązany, jak Wtorek. Za każdym razem powtarzaliśmy Bertie'emu, że Jim wróci. Tymczasem Bertie był wczoraj wieczorem w sklepie Cartera Flagg'a i słyszał, jak jego wuj Norman stanowczo oświadczył, że Jim Blythe nigdy już nie wróci i że mieszkańcy Złotego Brzegu powinni tak samo stracić nadzieję, jak on ją stracił. Po powrocie do domu Bertie płakał przez całą noc. Rano pani Meredith dostrzegła go idącego przez podwórze z wyrazem smutku w oczach, niosącego w ramionach małego ulubionego kodaka. Zapomniiała zupełnie o tym, aż gdy mały wrócił z rozpaczą malującą się na twarzyczce, dostrzegła znowu, że drżał na całym ciele i oświadczył jej, że utopił Mruczusia.

„Dlaczegoś to zrobił?!” - zawołała pani Meredith.

„Aby Jim wreszcie wrócił! - zaszlochał Bertie. - Pomyślałem, że jeżeli poświęcę Mruczusia, to Bóg wróci nam Jima. Utopiłem go więc, ach, jakie to było straszne, ale teraz na pewno Jim wróci, bo Mruczuś przecież był najdroższym stworzeniem, jakie posiadałem. Powiedziałem Panu Bogu, że chętnie oddam Mruczka, jeżeli uratuje Jima. Na pewno zrobi to dla mnie, prawda, mamo?”

Pani Meredith nie wiedziała, co ma odpowiedzieć biednemu dziecku. Nie mogła przecież zasmucić go oświadczeniem, że poświęcenie jego może się zupełnie nie przydać Jimowi. Po zastanowieniu więc rzekła, że nie należy spodziewać się powrotu Jima tak prędko, że prawdopodobnie dość dużo czasu upłynie, zanim Jim wróci. A Bertie na to:

„Nie potrwa to dłużej, jak tydzień, mamo. Ach, Mruczuś był takim ślicznym kotkiem. Tak się potrafił myć. Nie uważasz, że Bóg polubi go bardzo i odeśle nam Jima z powrotem?”

Pan Meredith martwi się o wiarę Bertie'ego w Boga, a pani Meredith martwi się o samego Bertie'ego, jeżeli jego nadzieje zawiodą. Ilekroć o tym wspominam, zawsze mi się chce płakać. Ten czyn Bertie'ego był taki wspaniały, taki smutny i piękny zarazem. Biedne, kochane maleństwo. Uwielbiał swego kodaka. Jeżeli to wszystko ma pójść na marne, jak wiele ludzkich poświęceń, złamie to serce biedakowi, bo przecież jest jeszcze za mały, aby zrozumieć, że Bóg rzadko odpowiada na nasze modły i że trudno przeprowadzać z Wszechmocnym ziemskie transakcje.

24 września, 1918.

Kłęczałam długo przy moim oknie, wpatrzona w księżyc, i zanosłam dziękczynne modły do Boga. Radość wczorajszego wieczoru i dzisiejszego dnia była tak wielka, że graniczyła prawie z bólem i serca nasze ledwo ją mogły ogarnąć.

Wczoraj wieczorem siedziałam w moim pokoju o jedenastej pisząc list do Stirleya. Wszyscy już byli w łóżkach, z wyjątkiem ojca, który jeszcze nie wrócił do domu. Usłyszałam dzwonek telefoniczny, więc pobiegłam, aby nie obudził mamy. Była to zamiejska rozmowa i gdy się odezwałam, usłyszałam głos: „Tutaj centrala telegraficzna w Charlottetown. Jest depesza z za morza do doktora Blythe”.

Pomyślałam o Shirleyu - serce mi bić przestało - w tej samej chwili usłyszałam: „Depesza z Holandii”.

Depesza brzmiała:

„W tej chwili przyjechałem. Uciekłem z Niemiec. Wszystko w porządku. List w drodze.

James Blythe”.

Nie zemdlałam i nie krzyknęłam nawet. Nie czułam radości ani zdziwienia. Nie czułam w ogóle nic. Skamieniałam, jak wówczas kiedy dowiedziałam się, że Walter idzie na wojnę. Zawiesiłam słuchawkę i odwróciłam się. W drzwiach sypialni stała mama. Miała na sobie swoje stare różowe kimono, a włosy opadały jej na plecy w wijących się lokach, oczy jej płonęły. Wyglądała teraz jak młoda dziewczyna.

„Wiadomość od Jima?” - zapytała.

Skąd ona mogła wiedzieć? Przecież ani słowa przy telefonie nie powiedziałam, oprócz: „Tak, tak, tak”. Powiada, że nie wie skąd, lecz wiedziała na pewno. Obudziła się, gdy usłyszała dzwonek, i była przekonana, że to wiadomość od Jima.

„Żyje... czuje się dobrze... jest w Holandii” - odparłam.

Mama weszła do hallu i rzekła:

„Muszę powiadomić ojca. Jest w Górnym Glen”.

Była bardzo spokojna - tego się nie spodziewałam. Mój spokój zniknął w tej chwili. Zbudziłam Gertrudę i Zuzannę, aby się z nimi podzielić wiadomością. Zuzanna wyszeptała: „Dzięki Bogu”, a potem: „Czy nie mówiłam ci, że Wtorek wie najlepiej?” Po chwili ocknęła się i rzekła: „Pójdę na dół i przygotuję herbaty”. Wstała w nocnej koszuli, aby pójść do kuchni. Zrobiła herbaty, zmusiła, żeby mama i Gertruda się napiły, ja zaś pobiegłam do mego pokoju, ‘zamknęłam drzwi na klucz, klękałam przy oknie i płakałam, jak wówczas Gertruda po otrzymaniu wiadomości o swym narzeczonym.

4 października, 1918.

Dzisiaj przyszedł list od Jima. Przybył przed zaledwie sześciu godzinami i wszyscy czytali go po kilka razy. Naczelniczka poczty opowiedziała wszystkim w Glen o przybyciu listu i wszyscy przybiegli, aby usłyszeć coś o Jimie.

Jim był ciężko ranny w udo i zabrany został do niewoli w gorączce, dzięki której nie wiedział, gdzie się znajduje. Po wielu tygodniach dopiero wrócił do przytomności i wtedy napisał do nas, lecz list nie doszedł. Traktowany był zupełnie nieźle w obozie, tylko pożywienie miał marne. Nie dostawał nic prócz kawałka czarnego chleba, gotowanej brukwi i odrobiny zupy, a my przecież podczas tych dni zajadaliśmy najsmaczniejsze potrawy! Pisał do nas bardzo często, lecz domyślał się, że listy nie dochodziły, bo nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. Gdy tylko wrócił do zdrowia, usiłował zbiec, lecz został schwytany i sprowadzony z powrotem do obozu. W miesiąc później przedsięwziął wraz z jednym ze swych kolegów nową ucieczkę i tym razem udało mu się dotrzeć do Holandii.

Nie może jeszcze tak prędko wrócić do domu. Nie czuje się tak d o b r z e , jak donosił w depeszy, gdyż rana nie jest zupełnie, zagojona, i musi pozostać jeszcze w Anglii w szpitalu, aby się zupełnie wyleczyć. Twierdzi jednak, że będzie się czuł zupełnie dobrze, a my wiemy, że żyje, że wróci kiedyś, i to nam wystarcza!

Dzisiaj również otrzymałam list od Jima Andersona. Ożenił się z Angielką, dostał zwolnienie i wraca do Kanady wraz z swą żoną. Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy martwić. Zależy od tego, jakim typem kobiety jest żona Jima Andersona. Otrzymałam jeszcze jeden list, tajemniczy nieco. Pisany jest przez jednego z adwokatów z Charlottetown, adwokat ten pragnie zobaczyć się ze mną w sprawie związanej z majątkiem „nieboszczki pani Matyldy Pitman”.

Czytałam wzmiankę o nagłej śmierci - atak serca - pani Pitman w „Przedsięwzięciach” przed kilku tygodniami. Ciekawa jestem, czy to ma coś wspólnego z Jasiem.

5 października, 1918.

Byłam dzisiaj rano w mieście i odbyłam konferencję z adwokatem pani Pitman, szczupłym, małym człowieczkiem, który mówił o swej klientce z takim szacunkiem, iż domyśliłam się, że musiał tak samo być pod jej wpływem, jak Robert i Amelia. Na krótko przed śmiercią spisała nowy testament. Posiadała trzydzieści tysięcy dolarów, z czego lwia część zapisała Amelii Chapley. Lecz pozostawiła również pięć tysięcy dla mnie na wychowanie Jasia. Procenty z tej sumy miały być przeznaczone na jego wykształcenie, a cała suma miała zostać wypłacona w dwudziestą rocznicę jego urodzin. Naprawdę Jaś urodził się w czepku. Ja go wyratowałam z rąk okropnej pani Conover, Mary Vance uratowała go od śmierci, a nawet Opatrzność czuwała nad nim, gdy wypadł z pociągu. I nie tylko wylądował w paprociach, ale wprost w niezły zapis spadkowy. Najwidoczniej, jak twierdziła pani Matyllda Pitman i jak ja zawsze uważałam, Jaś nie jest przeciętnym dzieckiem i czeka go nieprzeciętny los.

W każdym razie jest zabezpieczony i Jim Anderson będzie mógł przyzwoicie go wychować. Jeżeli tylko ta angielska macocha okaże się dobrą kobietą, będę już zupełnie spokojna o przyszłość mego wojennego dziecka.

Ciekawa jestem, co Robert i Amelia o tym myślą. Z pewnością teraz będą zabijać gwoździami okna, ile razy na dłużej wyjdą z domu!

XXX.

ZWYCIĘSTWO!

Dzień „szalejącego wiatru i zdradzieckich chmur” - mówiła Rilla pewnego niedzielnego popołudnia, a było to dokładnie szóstego października. Na dworze panował taki chłód, że rozpalono ogień na kominku w jadalni i wesołe płomienie rzucały refleksy po ścianach. - Przypomina raczej listopad niż październik, a listopad to taki brzydki miesiąc.

W pokoju znajdowała się kuzynka Zofia, która przebaczyła już Zuzannie, oraz pani Marcinowa Clow, która tym razem nie składała niedzielnej wizyty, lecz wpadła na chwilę, aby pożyczyć trochę lekarstwa na reumatyzm od Zuzanny, co przecież było tańsze niż lekarstwo zapisane przez doktora.

- Obawiam się, że będziemy mieli ostrą zimę - prorokowała kuzynka Zofia. - Krety pobudowały sobie kryjówki dokoła stawu, a to jest najlepszy znak ostrej zimy. Boże, jak to dziecko wyrosło! - Kuzynka Zofia westchnęła, jakby to była bardzo smutna okoliczność. - Kiedy spodziewasz się przyjazdu jego ojca?

- W przyszłym tygodniu - odparła „Rilla.

- Mam nadzieję, że macocha nie będzie maltretować biedactwa - westchnęła kuzynka Zofia - ale mam pewne wątpliwości. W każdym razie odczuje chłopak różnicę między tym domem i tamtym. Zepsułaś go strasznie, Rillo.

Rilla uśmiechnęła się i przylgnęła policzkiem do loków Jasia. Wiedziała, że grzeczny, rozkoszny mały Jaś nie był zepsuty. Mimo to jednak w sercu jej panował niepokój. Sama także często myślała o nowej pani Anderson i zastanawiała się, do jakiego typu kobiet należała ta Jasia macocha.

„Nie mogę przecież oddać Jasia kobiecie, która nie będzie go kochać” - buntowała się w duszy.

- Mam wrażenie, że deszcz zacznie padać - rzekła kuzynka Zofia. - Mieliśmy już strasznie dużo deszczu tej jesieni. Dla starszych ludzi takie pogody są prawdziwym zabójstwem. Za moich młodych lat tak nie bywało. Przeważnie październik był bardzo pogodny. Czasy się zmieniają i klimat się zmienił.

Boleściwą przemowę kuzynki Zofii przerwał dzwonek telefonu. Pobiegła do hallu Gertruda Oliver.

- Tak. Co? Co takiego? Czy to możliwe? Czy to urzędowo sprawdzone? Dziękuję, dziękuję.

Wróciła do pokoju z płonącym wzrokiem i zarumienioną twarzą. W tej samej chwili spoza chmur wyrzało słońce i złociste promienie wniknęły przez okno. Oświeciły one twarz Gertrudy, która wyglądała teraz jak kapłanka przynosząca jakąś wieść mistyczną.

- Niemcy i Austria proponują pokój - rzekła.

Rilla oszalała na kilka minut. Zerwała się i poczęła tańczyć po pokoju, klaszcząc w dłonie, śmiejąc się i płacząc.

- Usiądź, moje dziecko - rzekła pani Clow, która nigdy nie podniecała się niczym, dzięki czemu uniknęła wszelkich zmartwień w swej długiej wędrówce życia.

- Ach! - wołała Rilla. - Dość długo chodziłam w rozpacz i lęku po tym pokoju. Niechaj teraz potańczę z radości. Warto było przetrwać te długie, okropne lata, aby doczekać tej chwili i ujrzeć ją. Zuzanno, wywieś flagę, musimy roztelefonować tę wiadomość po całym Glen.

- Czy będziemy mieli teraz tyle cukru, ile zechcemy? - zapytał nagle Jaś.

Popołudnie to było niezapomniane. Gdy wiadomość rozprzestrzeniła się po Glen, ludzie biegali w podnieceniu po całej wsi i zaglądali na Złoty Brzeg. Przyszli Meredithowie, zostali na kolacji, wszyscy mówili, a nikt nie słuchał. Kuzynka Zofia usiłowała protestować, że Niemcom i Austrii nie można ufać, że to pewno plotka, lecz nikt nie zwracał na jej słowa najmniejszej uwagi.

- Ta niedziela jest nagrodą za to wszystko, co przeżyliśmy w marcu - mówiła Zuzanna.

- Lękam się - dowodziła sennie Gertruda, zwracając się do Rilli - że życie stanie się monotonne, gdy pokój zapanuje. Po tych czterech latach niepokoju, napięcia nerwowego i oczekiwania zwycięstwa wszystko będzie teraz nieciekawe. Nie będziemy oczekiwali każdego przybycia poczty.

- Jeszcze teraz dosyć nałykamy się strachu - odparła Rilla. - Pokój nie zapanuje w ciągu najbliższych tygodni, a podczas tych tygodni mogą się stać najokropniejsze rzeczy. Podniecenie moje minęło. Zwyciężyliśmy, ale za to zwycięstwo zapłaciliśmy drogo!

- Nie ma zbyt wysokiej ceny za wolność - rzekła Gertruda. - Uważasz, że cena ta była za wysoka, Rillo?

- Nie - wyszeptała Rilla z zapartym oddechem. Widziała teraz oczami wyobraźni mały krzyż na polach walki we Francji. - Nie, jeżeli ci, co żyją, będą godni tego, jeżeli zachowają wiarę.

- Zachowamy wiarę - odrzekła Gertruda. Nagle podniosła się z krzesła. Cisza zaległa przy stole, a Gertruda Oliver zaczęła recytować sławny wiersz Waltera „Kobziarz”. Gdy skończyła, pan Meredith wstał i podniósł szklanę.

- Wypijmy - rzekł - za milczącą armię - za chłopców, którzy polegli w myśl słów
Kobziarza. „Za nasze jutro - oddali swoje dzisiaj!” Ich jest zwycięstwo!

XXXI.

MIODOWY MIESIĄC ZUZANNY

Na początku listopada Jaś opuścił Złoty Brzeg. Rilla żegnała go ze łzami, lecz z lekkim sercem. Pani Jimowa Andersonowa numer drugi była tak miłą kobietą, że należało zazdrościć szczęścia Jasiowi. Miała rumianą twarzyczkę i błękitne, śliczne oczy. Rilla z pierwszego wejrzenia przekonała się, że może jej zaufać Jasia.

- Ogromnie lubię dzieci, panienko - rzekła serdecznie. - Jestem do nich przyzwyczajona. Zostawiłam w Anglii sześcioro rodzeństwa. Jaś jest strasznie miłym dzieckiem i trzeba przyznać, że dokonała pani cudów, aby go tak wychować. Będę go kochała jak swoje własne dziecko, panienko. Postaram się dać mu jakiś prawy kierunek. Wynajęliśmy małą farmę tuż za wsią i mamy zamiar się na niej osiedlić. Jim chciał zostać w Anglii, ale ja powiedziałam: „Nie”. Chciałam poznać nowy kraj, a wiedziałam, że Kanada mi się spodoba.

- Jestem ogromnie zadowolona, że zamieszkacie państwo w pobliżu. Pozwoli pani Jasiowi przychodzić do mnie, prawda? Bardzo jestem do niego przywiązana.

- Nic dziwnego, panienko, rzadko kiedy widzi się milsze dziecko. Obydwoje z Jimem zachowamy dla pani wdzięczność aż do śmierci. Jaś może przychodzić do pani, kiedy zechce, i chętnie przyjmę pani radę w kwestii dalszego jego wychowania. Jest on przecież prawie pani dzieckiem, jeśli tak można powiedzieć, i postaram się, żeby pani miała z niego pociechę.

Tak więc Jaś odjechał - ze swą niebieską wazą, chociaż nie w niej.

Potem nadeszła wiadomość o zawieszeniu broni i całe Glen St. Mary omal nie oszalało. Tej nocy we wsi rozpalono wielkie ognisko, na którym spłonął manekin Kaisera. Chłopcy ze wsi rybackiej zapalili pochodnie na szczytach pagórków i łuna rozgorzała na przestrzeni kilku mil. Na Złotym Brzegu Rilla wbiegła ze śmiechem do swego pokoju.

- Teraz uczynię coś najbardziej niestosownego i niewybaczalnego! - zawołała wyciągając z pudła swój zielony aksamitny kapelusz - Podrę mój kapelusz na strzępki i przysięgam, że nigdy więcej nie kupię sobie zielonego.

- W każdym razie dotrzymałaś swego przyrzeczenia - zaśmiała się panna Oliver.

- To był czysty upór, wstydzę się bardzo - odparła Rilla wesoło. - Chciałam pokazać mamie. Nauczył mnie on jednak cierpliwości. Ach, panno Gertrudo, czuję się na nowo młodą, frywolną i głupią. Czy powiedziałam kiedyś, że listopad jest brzydkim miesiącem? Uważam, że jest najpiękniejszy w całym roku. Proszę posłuchać dźwięku dzwoneczków w Dolinie Tęczy! Nigdy nie słyszałam, żeby dzwoniły tak wyraziście. Wydzwaniają pokój, szczęście i

to wszystko dobre, kochane, co było dawniej i co wraca do nas. Nie postradałam zmysłów, panno Gertrudo. Cały świat dzisiaj szaleje z radości. Wkrótce wszystko się ułoży, „zachowamy wiarę” i rozpoczniemy budować nasz nowy świat. Ale niech pani pozwoli, abym dzisiaj szalała i radowała się.

W tej chwili Zuzanna weszła do pokoju z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Mr Hyde zginął - oznajmiła.

- Zginął! Czy chcesz powiedzieć, Zuzanno, że nie żyje?

- Nie, droga pani doktorowo, ta bestia na pewno żyje. Ale nigdy go już więcej nie zobaczymy, jestem pewna.

- Nie bądź taka tajemnicza, Zuzanno. Co mu się stało?

- Otóż, droga pani doktorowo, siedział na schodach po południu. Było to zaraz potem, kiedy nadeszła wiadomość o zawieszeniu broni, wyglądał jeszcze bardziej po wariacku niż zwykle. Mogę pani przysiąc, że ten kot był wcielonym diabłem. Nagle, droga pani doktorowo, zjawił się Bertie Meredith na swych szczudłach. Nauczył się już chodzić na szczudłach wspaniale i przyszedł się pochwalić przede mną. Mr Hyde spojrzał na niego i jednym skokiem wypadł za parkan. Potem biegł przez lasy klonowe z uszami po sobie. Nigdy pani chyba nie widziała podobnie wyglądającej bestii, droga pani doktorowo. Od tej chwili nie wrócił.

- O, na pewno wróci, Zuzanno. Po prostu przeląkł się Bertie’ego.

- Zobaczymy, droga pani doktorowo, zobaczymy. Proszę nie zapominać, że zawieszenie broni zostało podpisane. Aha, przypominam sobie, że Księżycowy Brodacz dostał ataku paraliżu zeszłej nocy. Nie chcę mówić, że dotknęła go sprawiedliwość, bo nie wolno mi wtrącać się w wyroki Wszechmocnego, ale każdy może mieć przecież swoje zdanie. Ani o Księżycowym Brodaczu, ani o Mr Hyde nie będziemy już słyszeli w Glen St. Mary, droga pani doktorowo, mogę pani zaręczyć.

O Mr Hyde istotnie nie słyszano nic więcej. Może to przestraszył go z daleka od mieszkańców Złotego Brzegu, a może zginął gdzieś wśród lasów czy pól. Wszyscy tak myśleli z wyjątkiem Zuzanny, która twierdziła, że Mr Hyde „wrócił na właściwe miejsce”. Rilla żałowała go, bo bardzo lubiła tego kociaka we wszystkich jego wcieleniach, zarówno we wcieleniu Mr Hyde’a, jak i Dra Jekylla.

- A teraz, droga pani doktorowo - mówiła Zuzanna - ponieważ sprzątanie już minęło i wszystkie jarzyny z ogrodu spoczywają w piwnicy, zamierzam odbyć miodowy miesiąc dla uczczenia pokoju.

- Miodowy miesiąc, Zuzanno?

- Tak, droga pani doktorowo, miodowy miesiąc - powtórzyła Zuzanna z naciskiem. - Prawdopodobnie nigdy nie będę miała męża, lecz miodowy miesiąc muszę przepędzić. Pojadę do Charlottetown w odwiedziny do mego żonatego brata i jego rodziny. Żona jego chorowała przez całą jesień i nikt nie wie, czy umarła, czy jeszcze żyje. Nie zwykła nikomu zwierzać się ze swych zamiarów. Prawdopodobnie z tego powodu nie cieszyła się sympatią w naszej rodzinie. Uważam jednak, że powinnam ją odwiedzić. Nie byłam w mieście od dwudziestu lat, a sądzę, że powinnam zobaczyć jakiś film, o których tyle mówią dokoła. Proszę nie myśleć, że wyjadę na długo, droga pani doktorowo. Chciałabym przesiedzieć tam ze dwa tygodnie, jeżeli pani pozwoli.

- Stanowczo zasłużyłaś na urlop, Zuzanno. Wyjedź na miesiąc, na prawdziwy miesiąc miodowy.

- Nie, droga pani doktorowo, dwa tygodnie zupełnie mi wystarczą. Zresztą muszę być w domu chociażby na trzy tygodnie przed świętami, aby móc przygotować wszystko. W tym roku będziemy mieli prawdziwe Boże Narodzenie. Czy można mieć nadzieję, że nasi chłopcy na święta będą już w domu?

- Nie, sądzę, że nie, Zuzanno. Jim i Shirley piszą, że prawdopodobnie nie wrócą do domu przed wiosną, a Shirley może dopiero ukazać się latem. Przyjedzie jednak do domu Karol Meredith, przyjadą Nan i Di. Będziemy mieli prawdziwą uroczystość. Postawimy krzesła dla wszystkich, jak w pierwszym roku wojny, tak, dla wszystkich, bo mój drogi chłopiec, którego krzesło zawsze będzie puste, duchem pozostanie między nami.

- O nim nigdy nie zapomnę, droga pani doktorowo - rzekła Zuzanna ocierając oczy i zabierając się do pakowania swych rzeczy przed wyjazdem na swój „miodowy miesiąc”.

XXXII.

„RILLA-MA-RILLA!”

Karol Meredith i Miller Douglas wrócili do domu przed samym Bożym Narodzeniem i całe Glen St. Mary witało ich na dworcu przemówieniami i orkiestrą sprowadzoną z Lowbridge. Miller mimo swej sztucznej nogi tryskał humorem. Stał się wesołym, przystojnym chłopcem, a Distinguish Cross, który nosił na piersiach pogodził pannę Kornelię z jego niskim rodowodem, tak że milcząco uznała jego zaręczyny z Mary Vance.

Mary trochę zadzierała nosa, zwłaszcza gdy Carter Flagg zaangażował Millera do swego sklepu, ale nikt nie miał jej tego za złe. - Oczywiście praca na farmie nie wchodzi teraz w rachubę - zwierzała się Rilli - ale Miller twierdzi, że na pewno polubi sklep, kiedy się przyzwyczai do spokojnego trybu życia, a Carter Flagg będzie z pewnością przyjemniejszym szefem niż Kitty. Na jesieni bierzemy ślub i sprowadzamy się do starego domu Meade'ów z oknami na zatokę i spiczastym dachem. Zawsze uważałam ten dom za najpiękniejszy w Glen, ale nawet we śnie nie marzyłam, że będę w nim mieszkać. Na razie oczywiście go wynajmujemy, ale spodziewamy się, że gdy Carter Flagg przyjmie Millera do spółki, kupimy go kiedyś na własność. No, powiedz sama, udało mi się, co? Nigdy nie spodziewałam się, że będę żoną kupca. Ale Miller jest bardzo ambitny i chce mieć żonę na poziomie. Mówi, że nie spotkał żadnej Francuzki wartej zachodu i że przez cały czas zachował mi wierność.

Jerry Meredith i Józio Milgrave wrócili w styczniu i przez całą zimę chłopcy z Glen po dwóch, trzech wracali do domu.

Pewnego wiosennego dnia, gdy rozkwitły narcyzy w ogródku na Złotym Brzegu, a wąwozy Doliny Tęczy usiane były fiołkami, osobowy pociąg popołudniowy zatrzymał się na stacji w Glen. Rzadko kiedy przyjeżdżał ktoś do Glen tym pociągiem, toteż nikogo nie było na peronie oprócz zawiadowcy i małego psa, który od czterech i pół roku wychodził na każdy pociąg zatrzymujący się w Glen St. Mary. Tysiące pociągów widział już Wtorek, lecz nigdy nie ujrzał młodzieńca, którego oczekiwał. Mimo to Wtorek czekał cierpliwie, a w jego oczach wciąż płonęła nadzieja. Może serce chwilami ścisnęło mu się bólem. Był stary i zreumatyzowany. Gdy wracał za każdym razem do swej budy, włókł się powoli z łbem spuszczonego ku dołowi i oczami przymkniętymi.

Jeden pasażer wysiadł z popołudniowego pociągu - wysoki młodzieniec w wypłowiałym mundurze porucznika. Szedł, lekko utykając. Miał opaloną twarz i kilka srebrnych włosów na skroniach. Nowy zawiadowca stacji spojrzał na pasażera z

zaciekawieniem. Przyzwyczajony był, że jedni pasażerowie w wojskowych mundurach wysiadający z pociągu witani byli entuzjastycznie przez tłum oczekujących na stacji; inni, którzy nie zawiadomili o swym przybyciu, wysiadali spokojnie jak ten. Ale było coś w wyglądzie i postawie tego żołnierza, co zwróciło szczególną uwagę zawiadowcy.

Coś, jak wielka czarno-żółta piłka, przemknęło przez peron. Wtorek - stary? Wtorek - zreumatyzowany? Wtorek - ledwo się poruszał? To niemożliwe. Wtorek był młodym szczeniakiem, skaczącym i szalejącym wesoło.

Rzucił się teraz na wysokiego żołnierza z głośnym szczekaniem i skoczył mu na piersi. Usiłował wspiąć się wyżej w szalonej radości, która zdawała się rozdzierać jego małe ciało na strzępki. Lizał buty przybyłego porucznika, który z uśmiechem na ustach i łzami w oczach chwycił w ramiona Wtorka, przycisnął go mocno do piersi i ucałował.

Zawiadowca stacji znał historię psa Wtorka. Zrozumiał teraz, kim był ów powracający żołnierz. Długa udręka Wtorka skończyła się wreszcie. Jim Blythe wrócił do domu.

Jesteśmy wszyscy bardzo szczęśliwi i smutni, i pełni wdzięczności - pisała Rilla w swoim pamiętniku w tydzień potem - chociaż Zuzanna nie otrząsnęła się i nigdy nie otrząsnie z pierwszego wrażenia, jakiego doznała, gdy ujrzała Jima wchodzącego do domu wieczorem. Nigdy nie 'zapomnę, jak wyglądała wówczas, jak biegła nieprzytomnie z kuchni do piwnicy, znosząc do jadalni najlepsze rzeczy. Nikt z nas prawie nie zwracał na jedzenie uwagi, ni z nas nie mógł nic przełknąć. Pożywieniem i napojem był widok Jima. Mama nie spuszczała zeń oka, jakby się lękała, że gotów jej zniknąć znowu. Jak cudownie pomyśleć, że w domu jest Jim - i Wtorek. Wtorek nie odstępował Jima ani na chwilę, sypia pod jego łóżkiem, towarzyszy mu zawsze przy jedzeniu. Nawet w niedzielę poszedł z nim do kościoła i wszedł do ławki, gdzie zasnął u stóp Jima. Wśród nabożeństwa obudził się i szczeknął kilka razy. Nie chciał się uspokoić, dopóki Jim nie wziął go na ręce. Nikt z obecnych jednak nie rozgniewał się, a pan Meredith po skończonym nabożeństwie podszedł i serdecznie poklepał Wtorka.

„Wiara i przywiązanie są największym skarbem w życiu. Przywiązanie tego małego psa jest również skarbem, Jim”.

Pewnego wieczoru, gdy rozmawiałam z Jimem w Dolinie Tęczy, zapytałam go, czy odczuwał kiedyś strach na froncie.

Jim zaśmiał się.

„Strach. Bardzo często byłem przerażony, śmiertelnie przerażony, ja, co śmiałem się zawsze z Waltera. Czy wiesz, że Walter nie odczuwał nigdy strachu na wojnie? Rzeczywistość nie przerażała go, tylko lękał się imaginacji. Pułkownik jego powiedział mi, że Walter był najodważniejszym żołnierzem w pułku. Rillo, dopóki nie wróciłem do domu, nie

wierzyłem, że Walter nie żyje. Nie masz pojęcia, jak mi go brak teraz. Wy wszyscy przyzwyczailiście się do tej myśli, a dla mnie jest ona całkiem nowa. Wychowaliśmy się razem i byliśmy serdecznymi przyjaciółmi, a teraz w tej starej dolinie, którą tak kochaliśmy obydwa, będąc jeszcze dziećmi, uświadomiłem sobie, że go już więcej nie ujrzę”.

Jim wraca na uniwersytet jesienią, jak również Jerry i Karol. Przypuszczam, że Shirley także wróci. Ma przyjechać do domu w lipcu, Nan i Di będą na nowo nauczycielkami. Florka ma wrócić dopiero we wrześniu. Sądzę, że także zostanie nauczycielką, bo ślub jej z Jimem ma się odbyć dopiero wówczas, gdy Jim ukończy medycynę. Una Meredith postanowiła ‘skończyć kursy gospodarstwa w Kingsport, a Gertruda wkrótce wychodzi za swego majora i jest „bezwstydnie szczęśliwa”, jak sama twierdzi.

„Żyjemy w nowym świecie - mówi Jim - i musimy stworzyć go lepszymi niż był. To jest naszym obowiązkiem”.

Zapisuję te słowa Jima w pamiętniku, abym mogła je przeczytać, ilekroć zabraknie mi odwagi, i abym czerpała z nich siły do „zachowania wiary”.

Rilla zamknęła swój pamiętnik z głębokim westchnieniem. Nie czuła się teraz na siłach do „zachowania wiary”. Wszyscy ułożyli sobie jakoś życie, oprócz niej. Była samotna, straszliwie samotna. Jim wrócił wprawdzie, ale nie był to ten jej śmiejący się brat, który odszedł w 1914 roku, należał teraz w zupełności do Flory. Walter nigdy nie wróci. Nie miała nawet przy sobie Jasia. Cały świat wydał jej się nagle pusty - obszerny i pusty od wczorajszego dnia, kiedy wyczytała w dzienniku montrealskim komunikaty o żołnierzach, którzy wrócili w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Między innymi było tam nazwisko kapitana Krzysztofa Forda.

Więc Krzyś był w domu i nie napisał nawet do niej o swoim powrocie. Był w Kanadzie od dwóch tygodni, a ona nie otrzymała od niego ani słowa. Oczywiście zapomniał, jeżeli było o czym zapomnieć, o uścisku ręki, o pocałunku, o spojrzeniu, o owym przyrzeczeniu, które mu dała. Wszystko to było absurdem, była głupią, romantyczną, niedoświadczoną gąską. W przyszłości będzie mądrzejsza, mądrzejsza i bardziej powściągliwa. Będzie inaczej patrzyła na mężczyzn.

Może lepiej byłoby, gdybym pojechała z Uną na kursy gospodarstwa” - pomyślała stojąc przy oknie i spoglądając w stronę Doliny Tęczy.

Zadzwiećwał dzwonek u drzwi. Rilla skierowała się ku schodom. Musi drzwi otworzyć, bo nikogo w domu nie ma. Niechętnie pomyślała o czyjejskolwiek wizycie. Zeszła na dół wolnym krokiem i otworzyła drzwi.

Na progu stał wysoki młodzieniec w uniformie, b czarnych oczach, czarnych włosach i małej, prawie nieznacznej bliznie na policzku.

Rilla patrzyła nań przez chwilę. Któż to był? W twarzy tej było coś dziwnie znajomego...

- Rilla-ma-Rilla - rzekł żołnierz.

- Krzyś - wyszeptała Rilla.

Oczywiście to był Krzyś, lecz wyglądał o wiele poważniej, był zmieniony i ta blizna na twarzy!

Ujął jej dłoń i spojrzał w oczy. Zamiast drobnego podlotka sprzed czterech lat zastał dorosłą kobietę, kobietę o pięknych oczach, wyraźnie zarysowanych ustach i zarumienionych policzkach, kobietę piękną i pożądaną, ideał swoich snów.

- Czy to Rilla-ma-Rilla? - zapytał z naciskiem.

Dreszcz przeniknął Rillę od stóp do głowy. Radość, szczęście, smutek, lęk, wszystkie te uczucia, które dręczyły jej serce od tylu lat, odezwały się na nowo. Chciała mówić, lecz nie mogła wydobyć głosu. A po chwili:

- Tak, Ks-sysiu - odparła sepleniąc.